

Timothy Zahn

Czarne komando

Dylogia: Wyzwolenie tom 1

Tytuł oryginału THE BLACKCOLLAR

Rozdział 1

Poranne słońce, świecące na czystym, błękitnym niebie, zdawało się podejmować tylko symboliczny wysiłek, by przeciwdziałać wiosennemu ochłodzeniu, które objęło większą część środkowej Europy. Osłaniając się podniesionym kołnierzem od północnego wiatru wiejącego nad Jeziora Genewskiego, Allen Caine przyspieszył nieco kroku. Wygodniej byłoby przejechać choć część drogi, ale tylko ktoś nieorientowany czekałby na taksówki we wschodniej części Nowej Genewy w Dniu Zwycięstwa. Większość pojazdów została zarekwirowana do przewiezienia dygnitarzy na stadion, gdzie zorganizowano coroczne obchody zakończenia wojny między Ryqrilami a imperium Terranu. Caine spodziewał się, że zimno spowoduje zmniejszoną frekwencję. Nie było wprawdzie obowiązku stawiania się na uroczystościach, lecz w tej udział weźmie kilku Ryqrilów, więc władze Nowej Genewy nie mogły sobie pozwolić na nieobecność. Allen usłyszał przytłumione okrzyki dobiegające ze stadionu oddalonego o dobre trzy kilometry. Zdziwiająco bezczelny przejaw hipokryzji, pomyślał gorzko. Urządzono już dwudzieste dziewiąte z kolei widowisko na cześć zwycięstwa Ryqrilów. Nie znający faktów przybysz doszedłby do wniosku, że to Demokratyczne Imperium Terranu wygrało wojnę.

Zwykli ludzie ignorowali Święto. Na ulicach panował tłok jak co dzień, więc Caine nie miał problemu ze zniknięciem w tłumie. Wyprawę do Nowej Genewy uznał za spóźniony prezent na dwudzieste szóste urodziny. Przybył tu zaledwie dwa tygodnie temu, lecz już czuł się jak miejscowy. Podobnie jak inne ziemskie narody, ten także posiadał niepowtarzalny styl i zachował odmienne zwyczaje. Obecne zadanie Allena polegało właśnie na przyswojeniu sobie owego specyficznego sposobu bycia. Dzięki przygotowaniu oraz schludnemu wyglądowi mógł, w razie konieczności, uchodzić za studenta, osobę na kierowniczym stanowisku lub, jeśli odpowiednio przyciąłby brodę, członka jednego z cechów. W tym rejonie Nowej Genewy, zamieszkanym przez niższe warstwy średnie, nie miało to na szczęście wielkiego znaczenia, a do dzielnicy rządowej przenosi się dopiero za kilka tygodni. Do tego czasu zdąży więc nabrać właściwych nawyków.

Dotarł do celu, zanim na dobre przemarzył w zbyt lekkim ubraniu. Niewielka księgarnia wciśnięta była między dwa bary. W witrynie stały wyblakłe tomy Dickensa i Heinleina. Caine wszedł do środka i zatrzymał się na moment tuż przy drzwiach, pozwalając oczom przywyknąć do panującego tu półmroku. Kilka metrów dalej, przy kasie, siedział rozparty właściciel sklepu. Ciekawie przyglądał się przybyszowi.

– Chce się pan tu ogrzać? – zapytał.

– Właściwie nie – odparł Allen, rozglądając się po wnętrzu. Wzdłuż półek snuło się trzech czy czterech mężczyzn.

Przeniósł spojrzenie na sprzedawcę i uniósł brwi. Tamten odpowiedział lekkim skinieniem głowy, więc Allen powoli ruszył jednym z dwóch przejść między regałami. Udając, że z zainteresowaniem przygląda się tytułom książek, konsekwentnie kierował się na tyły sklepu. Tam, na wpół schowane za szeroką półką, znajdowały się drzwi z napisem „Tylko dla pracowników”. Odczekawszy, aż wszyscy klienci będą odwróceny do niego tyłem, Caine cicho wślizgnął się do zagraconego magazynu. Stał na

środku podłogi wyłożonej terakotą, po czym delikatnie nacisnął jedną z płytek. Oczekiwano go, ponieważ dwumetrowy kwadrat odsunął się natychmiast. Ruszył w dół po drewnianych stopniach schodów. Pochylił się, a betonowy blok nad jego głową wrócił na swoje miejsce i został dodatkowo zabezpieczony stalową belką. Allen szedł ostrożnie, tylko jedna lampa bowiem oświetlała schody. U ich podstawy znajdował się krótki korytarz zakończony drzwiami. Gdy otworzył je i wszedł do ciemnego pomieszczenia, same zatrzasnęły się za jego plecami.

Nagle zabłysło oślepiające światło. Uniósł ramię, by osłonić oczy, i odruchowo zrobił krok do tyłu.

– Kim jesteś? – zapytał głos.

– Alain Rienzi, adiutant senatora Auriola – odpowiedział natychmiast nieprzyjaznym tonem. – Wyłączcie to!

Ostre światło zgasło. Zastąpiło je inne, stonowane. Poprzez czerwone plamy skaczące przed oczyma Caine dostrzegł trzech mężczyzn i kobietę siedzących wokół niskiego stołu.

– Wspaniale – rzekł jeden z zebranych, obracając w dłoniach przedmiot przypominający pudełko na buty. – Żadnego wahania. Nic w jego głosie nie zdradza kłamstwa i brzmi w nim właściwa doza arogancji. Jest gotowy, Morrisie.

Drugi z siedzących skinął głową i zwrócił się do Caine'a:

– Siadaj, Allenie.

Przybysz zajął wskazane krzesło i lustrował zgromadzonych. Gdy oczy na dobre przyzwyczyły się do oświetlenia, serce zabiło mu mocniej. To nie było jakieś tam spotkanie. Miał przed sobą przywódców ruchu oporu na obszarze całej Europy. Mężczyzna z pudełkiem – były dowódca Gwiezdných Sił Terranu – nazywał się Bruno Hurlimann. Drugi, Raul Marinos, planował i nadzorował operacje sabotażowe przeciwko rządowi, a nawet bazom wojskowym Ryqrilów przez ostatnich dwadzieścia dziewięć lat. Kobieta, Jayne Gibbs, była niegdyś powszechnie znaną członkinią rozwiązanego już demokratycznego parlamentu. Morris zaś to sam generał Kratochwil – ostatni dowódca obrony Ziemi. Żadne z nich nie wyglądało oczywiście na swój wiek. Pomimo rządowej kontroli, poprzez czarny rynek do ruchu oporu trafiała wystarczająca ilość iduniny, by liczący dziewięćdziesiąt dwa lata Kratochwil zachował wygląd czterdziestolatka. Caine spotykał już ich wszystkich, lecz nigdy razem, w jednym miejscu. Musiało dziać się coś ważnego.

Generał Kratochwil jakby czytał w myślach Caine'a.

– Obawiam się, że okres przygotowań musi zostać gwałtownie skrócony, Allenie – przemówił. – Musimy znacznie przyspieszyć działania. Zaistniały nieoczekiwane zmiany. Dlatego wylatujesz do Plinry za niecałe dwadzieścia godzin.

Caine poczuł suchość w gardle.

– Myślałem, że mam zastąpić Alaina Rienziego za kilka tygodni.

– My także – oświadczył generał. – Rienzi jednak wczoraj wyjechał na wakacje i nikogo nie powiadomił, dokąd się wybiera. Zdecydowaliśmy się więc wykorzystać tę okazję.

Do końca okresu adaptacji pozostało jeszcze tak wiele... ale zapewne poradzi sobie.

– Zdjęliście Rienziego?

Marinos przytaknął.

– Dziś rano. Bez kłopotów. – Wskazał kopertę leżącą na stole. – Tu jest jego identyfikator, oczywiście odpowiednio zmieniony, i reszta twoich rzeczy.

Allen sięgnął po pakunek, uważając, by nie potrącić „wygniatacza pluskiew” w kształcie grzyba, elektronicznie oślepiającego i ogłuszającego wszystkie pobliskie urządzenia monitorujące. Otworzywszy kopertę, wyjął niebieski identyfikator, portfel zawierający osobiste oraz rządowe karty kredytowe, ponad tysiąc marek w banknotach DIT, a wreszcie nie potwierdzony bilet do odległego świata Plinry.

– Bilet jest właściwie tylko rezerwacją – wyjaśnił Marinos. – Będziesz musiał dać w porcie do sprawdzenia swój identyfikator, zanim uzyskasz pozwolenie wejścia na pokład.

Widniejąca na dokumencie twarz – pociągła, otoczona starannie ufryzowaną szopą blond włosów – stanowiła doskonałą replikę oblicza Caine’a. Jedyna różnica w wyglądzie polegała na tym, że Allen nosił brodę. Pod warstwą plastiku, zapewne nie do naruszenia, znajdował się jednak zestaw odcisków palców i wzór siatkówki, które wpisane były do mocno strzeżonego systemu komputerowego mieszczącego się zaledwie dziesięć kilometrów stąd.

– Jest pan pewien, że moje dane zostały właściwie wprowadzone do rządowej kartoteki? – zapytał Marinos.

– Wszystkim się zajęliśmy – odparł Raul, a ton jego głosu świadczył o trudnościach, jakie napotkano przy wykonaniu tego zadania. Naruszenie systemu bezpieczeństwa Ryqrilów to poważna sprawa.

– Nie mamy jeszcze dla ciebie zgody na wgląd do archiwów na Plinry – powiedział Kratochwil – ale dostarczą nam ją przed osiemnastą. Udasz się zatem na tę planetę, naopowiadasz o swojej książce i wyciągniesz odpowiednie dane. – Uśmiechnął się do Allena. – W praktyce oczywiście to nie takie proste, lecz mam nadzieję, że zdołasz poradzić sobie z większością problemów, które napotkasz.

Caine przytaknął. Chociaż nigdy jeszcze nie powierzono mu poważnej misji, wyćwiczono go możliwie najlepiej w walce i sztuce samokontroli.

– Jak przedstawia się bieżący układ militarny i jaki ma wpływ na sytuację na Plinry? Ryqrilowie założyli tam zapewne swoją bazę, prawda?

– Spodziewamy się tego, lecz nie powinno cię to niepokoić. – Kratochwil zwrócił się do Hurlimanna. – Kapitanie, prosimy o informacje.

– Raporty o wielkim zwycięstwie Ryqrilów nad rasą Chryseli w okolicach Regulusa wydają się prawdziwe – rzekł Hurlimann tonem wykładowcy z koledżu. – Prawdopodobnie jednak ponieśli straty większe, niż się przyznają. Zabrali już z różnych baz na Ziemi dwa transportowce klasy Elephant oraz pełne skrzydło Korsarzy. Wysłali je zapewne na front chryselijski. Jeżeli i na Plinry posiadają jakąś bazę, to tam też może mieć miejsce podobna mobilizacja. Ale takie dodatkowe zamieszanie ułatwi ci wykonanie zadania, jeśli tylko będziesz miał właściwe papiery. – Uśmiechnął się szeroko. – A biorąc pod uwagę nasze cele, im więcej Ryqrilów znajdzie się na terytorium Chryseli, tym lepiej.

– Karty, jak widzisz, układają się sprzyjająco – uznał Kratochwil. – Sądźmy, że do czasu twojego powrotu z niezbędnymi informacjami uda nam się przygotować załogi do wyruszenia. – Popatrzył na resztę zgromadzonych. – Czy coś jeszcze?

– Pomoc na Plinry – podsunęła Jayne Gibbs.

– Ach, tak. Allenie, nie mamy żadnego kontaktu z Plinry od czasu, gdy została zdobyta trzydzieści pięć lat temu, więc nie wiemy, co tam się dzieje. Prawdopodobnie struktura polityczna przypomina tę, jaka jest na Ziemi; grupy Ryqrilów sprawują władzę poprzez lokalny wiernopoddańczy rząd. Nie ma jednak sposobu na potwierdzenie tych przypuszczeń. Jeśli napotkasz jakiegokolwiek problemy, powinienesz skorzystać z pomocy działającego tam podziemia.

– Zakładając, że coś takiego istnieje – zauważył Caine.

– To prawda – przyznał wojskowy. – Wciąż jednak żywię nadzieję, że generał Avril Lepkowski przeżył klęskę planety. Zapamiętaj to nazwisko, Allenie. Jeśli na Plinry funkcjonuje podziemie, to właśnie Lepkowski będzie nim kierował. Pod koniec wojny zostało tam także niemal trzystu blackcollarów. Część z nich może wciąż żyć.

Blackcollarowie. Caine wyprostował się nieco, usłyszawszy to określenie. Nigdy osobiście nie poznał żadnego z tych wspaniale wyćwiczonych wojowników specjalizujących się w walce partyzanckiej, lecz o ich wyczynach podczas wojny krążyły legendy. Niewielu ich żyło jeszcze na Ziemi, a większość zniszczyła swoje mundury i wtopiła się w tłum zwykłych ludzi. Garstka blackcollarów, która pozostała w aktywnej służbie, niemiłosiernie doskwierała Ryqrilom w Północnej Ameryce.

Kratochwil mówił dalej:

– Postaram się jak najszybciej zebrać kilka nazwisk ludzi przebywających na Plinry. Przygotuję także mikrolist polecający, na wypadek gdybyś znalazł generała Lepkowskiego. Wiezienie listu będzie nieco ryzykowne, ale sądzę, że warto. Oczywiście decyzja należy do ciebie. – Wstał. Caine oraz pozostali także podnieśli się z krzeseł. – To chyba wszystko, co możemy teraz zrobić. Przyjdź tu ponownie o osiemnastej po resztę dokumentów i ostatnie instrukcje. Do tego czasu nie gol brody. Wątpię, abyś tutaj napotkał kogoś ze znajomych Rieniego, ale ostrożności nigdy nie za wiele. I jeszcze jedno; od południa będziemy na dwugodzinnym cyklu zabezpieczającym w księgarni na górze. Zwróć na to uwagę.

– Rozumiem.

– Dobrze. – Generał wyciągnął rękę ponad stołem i uściśnął dłoń Caine'a. – Kiedy przyjdiesz wieczorem, może mnie tu nie być, więc żegnam się już teraz. Jesteś dla nas bardzo cenny, Allenie. Uważaj na siebie. Ale jednocześnie pamiętaj, że to najważniejsza misja, jaką przedsięwzięliśmy w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Nie przesadzę mówiąc, że szansę na oswobodzenie Ziemi spoczywają w twoich rękach. Może już nigdy nie powtórzy się okazja do wysłania kogokolwiek z naszej planety, a wiesz, że siłą nie zdobędziemy niezbędnych do dalszej walki informacji. Nie zawieź nas, Allenie.

Caine spojrzał w piwne oczy generała. Były przejrzyste i pełne zdecydowania. Jednak spojrzenie dawało wyraz bolesnym przeżyciom generała. Elikser młodości nie zdołał tego ukryć. Trzydzieści lat przegranej w efekcie wojny i kolejnych dwadzieścia dziewięć przeżytych pod panowaniem wroga

postarzyło te oczy tak wyraźnie, iż Allen nagle poczuł się znowu jak dziecko. Nie potrafił zdobyć się na wypowiedzenie silnym głosem zapewnienia, więc wyszeptał tylko:

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, proszę pana.

* * *

Była za pięć szósta. Caine, lawirując w gęstym tłumie wracających do domów robotników, ponownie zbliżał się do księgarni. Uroczystości związane z Dniem Zwycięstwa zakończyły się już dawno. Na ulicach znowu pojawiły się taksówki oraz nieliczne prywatne samochody. Allen wiedział, że ruch nie zmniejszy się jeszcze przez co najmniej godzinę. Mnóstwo czasu na wślizgnięcie się do środka, zabranie pozostałych papierów i ponowne zniknięcie w morzu pieszych.

Caine zaczął torować sobie drogę, aby przejść na drugą stronę ulicy, gdy nagle widok witryny zaparł mu dech w piersiach. Przy dwugodzinnym cyklu zabezpieczającym, od jego porannej wizyty wystawa miała zostać zmieniona trzykrotnie. Teraz książka Heinleina powinna więc być odwrócona o dziewięćdziesiąt stopni, a naprzeciw temu Dickensa spodziewał się zobaczyć leżącą kasetę. Ekspozycja natomiast wyglądała tak jak o czternastej. Pierwsza, pełna nadziei myśl nasuwała przypuszczenie, że ktoś zapomniał dokonać zmiany. To jednak uznał za niemożliwe. Było tylko jedno wytłumaczenie i Allen dobrze je znał: w ciągu ostatnich czterech godzin nastąpił nalot na księgarnię.

Oczywiście zawsze istniało takie prawdopodobieństwo, ale nigdy wcześniej nic podobnego nie zdarzyło się w jego bezpośrednim otoczeniu, więc ogarnął go paralizujący strach. Tylko dzięki odpowiedniemu treningowi Caine zapanował nad sobą i przeszedł obok sklepu bez widocznego wahania. Przystanął dwie przecznice dalej. Był bezpieczny.

Ale na jak długo? Jeżeli obserwowano księgarnię, wiadano, że zaglądał tam cztery razy w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

Gdyby nawet nie zwrócono jeszcze na to uwagi, w końcu skojarzenia nasuną się same. Z pewnością co najmniej jeden z czworga przywódców ruchu oporu znajdował się w środku, kiedy napadły siły bezpieczeństwa. Zapewne teraz jest poddawany przesłuchaniom z zastosowaniem weryfyny lub czytnika neuronowego. Caine musiał uciekać. Ale dokąd? Ruch oporu zorganizował wiele kryjówek, lecz w tej sytuacji żadna nie była pewna. Kratochwil i pozostali przeszli najlepszy trening psychologiczny, ale nawet te wyrobione umiejętności nie wystarczą na długo przy zastosowaniu przez wroga czytnika neuronowego. Przesłuchiwany załamie się, a wtedy władze bez trudu znajdą Caine'a gdziekolwiek ukryłby się na Ziemi.

Dotarło to do niego dopiero po kilku sekundach, ale jednocześnie przypomniał sobie o grubej paczce w wewnętrznej kieszeni płaszcza. Identyfikator Rieniego, pewna suma pieniędzy... i bilet na Plinry. Jeśli pojмали Kratochwila, ruch oporu na tym obszarze był spalony. Ale niekoniecznie oznaczało to także wykrycie misji. Gdyby Allenowi udało się uzyskać pomoc generała Lepkowskiego i pliniańskiego podziemia, istniała jeszcze niewielka szansa na sukces. Do diabła... mikroskopijna. Ale cóż innego pozostało? A jeżeli nawet nie powiodłoby się, miałyby przynajmniej satysfakcję, że zmusił Ryrqilów do ścigania go przez osiem parseków.

Powrót do mieszkania, zgolenie brody, przebranie się i zniszczenie dokumentów Allena Caine'a – wszystko to zajęło mu niespełna godzinę. Wziął dość eleganckie walizki, odpowiednie dla zwykłego urzędnika, złapał taksówkę i pojechał do zachodniej części miasta. Identyfikator Rienziego umożliwił mu przejazd do rządowego sektora Nowej Genewy. Znalazł się tam po raz pierwszy w życiu.

Pierwsza przeszkoda – strażnik przy bramie – została pokonana. Teraz jednak Allen stanął przed nieoczekiwanym problemem. Statek na Plinry startował o szóstej rano. Do odlotu pozostało więc jedenaście godzin – zbyt dużo czasu, by przesiedzieć w porcie. Gdyby zarejestrował się w hotelu, musiałby okazać identyfikator, a im rzadziej go używał, tym lepiej.

Rozwiązanie było oczywiste. Zmienił trasę taksówki, zostawił bagaż w portowej skrytce i wybrał się na wycieczkę po zachodniej Nowej Genewie. Spędził noc w barach, restauracjach oraz ośrodkach rekreacyjnych. Nigdzie go nie rozpoznano. Wreszcie, gdy niebo na wschodzie zaróżowiło się, wrócił na lotnisko.

Nawet o tej porze panował tam znaczny ruch. Nową Genewę ustanowiono stolicą Ziemi dopiero po wojnie, więc lotnisko zostało zaprojektowane do obsługi zarówno samolotów jak i statków kosmicznych. W czasach przedwojennych takie przedsięwzięcie wymagałoby rozbudowy portu ponad wszelką miarę, ale obecnie, gdy tylko urzędnicy i akredytowani biznesmeni mogli podróżować tą drogą, bez problemu radzono sobie z napływem pasażerów. Wziąwszy bagaż, Caine skierował się długim korytarzem ku terminalowi lotów pozaplanetarnych. Serce waliło mu głośno w piersiach.

Punkt kontrolny był już widoczny. W pobliżu bramy wejściowej Allen dostrzegł kilka osób. Jedni krążyli niespokojnie, drudzy siedzieli w fotelach. O ścianę opierał się wyraźnie znudzony strażnik. Caine skrzywił się ponuro. Całość wyglądała jak klasyczna pułapka, gdzie wszyscy w promieniu dwustu metrów są agentami bezpieczeństwa w cywilnych strojach. Uznał, że już za późno, by się wycofać. Jeśli to rzeczywiście zasadzka, z pewnością został już dostrzeżony i rozpoznany. Zawrócenie przyspieszyłoby tylko skierowane przeciwko niemu działania. Zacisnął zęby i szedł dalej.

Gdy zbliżył się, urzędnik powitał go uśmiechem.

– Tak, proszę pana?

– Alain Rienzi. Udaję się na Plinry – wycedził Caine. Sięgnął po rezerwację oraz identyfikator, jednocześnie uważnie obserwując twarz kontrolującego.

Nie zauważył żadnej szczególnej reakcji.

– Dobrze, proszę tylko położyć dłoń na tej płytce i spojrzeć w lewo – powiedział urzędnik, wsuwając kartę w szczelinę konsoli.

W odróżnieniu od zwykłych oględzin przy zewnętrznym ogrodzeniu, teraz Allen był poddawany pełnemu sprawdzeniu tożsamości. Wzór siatkówki i linie papilarne zostaną porównane z tymi na identyfikatorze, a ponadto sprawdzone w danych głównego komputera. Jeśli Marinos nie dokonał cudu, zmieniając je, wszystko zakończy się już na lotnisku.

Trudny do wychwycenia błysk dotknął na ułamek sekundy oka Caine'a, a płytka rozgrzała się pod palcami. Urzędnik nacisnął jakiś guzik. Allen wstrzymał oddech. Na konsoli zamrugało zielone światełko.

– Wszystko w porządku, panie Rienzi. Na jakie konto zapisać należność?

Allen przyjął z ulgą to zaskakujące oświadczenie. Ponownie zaczął oddychać. Zachowując niewzruszony wyraz twarzy, wręczył osobistą kartę kredytową Rienziego. Kontrolujący wetknął ją w inną szczelinę, a po kilku sekundach maszyna wypuściła z siebie właściwy bilet, identyfikator, a ponadto niewielką kartę magnetyczną.

– Co to? – zapytał Caine, marszcząc brwi.

– Recepta – wyjaśnił urzędnik. – Widocznie przebywanie w środowisku Plinry może spowodować u pana jakieś problemy zdrowotne. Lek można wykupić w tamtym okienku.

Agent podziemia już chciał zapytać, skąd, u diabła, ktoś wiedział, jakich lekarstw będzie potrzebował na Plinry, lecz w porę się zmytygował. Zapewne personel rządowy miał w swoich danych także informacje medyczne. Komputer opracował je pod kątem warunków panujących na Plinry, błyskawicznie stawiając diagnozę.

– Dziękuję – rzucił tylko.

– Proszę bardzo. Na pokład zaczynamy wpuszczać za dziesięć minut.

Zrealizowanie recepty zajęło farmaceucie niemal kwadrans. Po odejściu od okienka Caine natychmiast skierował się do tunelu wejściowego, mijając po drodze znudzonego strażnika, który zapewne nigdy się nie dowie, jak blisko był zdobycia awansu. Allen zastanawiał się, co powinien zrobić z tabletkami. Mało prawdopodobne, by jego kondycja była zbliżona do stanu zdrowia Rienziego i aby lekarstwo przedstawiało dla niego jakakolwiek wartość. Z drugiej jednak strony możliwe, że Marinos zamienił wszystkie dane prawdziwego adiutanta senatora, a wtedy niewykluczone, że pigułki mogą okazać się niezbędne do przeżycia na Plinry. Postanowił wreszcie, że po prostu je zachowa i zażyje w przypadku zaobserwowania jakichś niepokojących objawów.

Ewentualna choroba zdawała się najniższym ze zmartwień. Jak dotąd Caine całą uwagę skoncentrował na opuszczeniu

Nowej Genewy, zanim ziemski ruch oporu rozpadnie się niczym domek z kart. Teraz, gdy już niemal dotarł na statek kosmiczny, mógł wreszcie pomyśleć nad rozwiązaniem innych problemów. Bez sfalszowanych dokumentów obiecanych mu przez Kratochwila, nie miał żadnych nadziei, że zostanie od władz Plinry pozwolenie na dostęp do potrzebnych informacji. Także bez listu generała również trudne było uzyskanie wsparcia od tamtejszego podziemia. Jediną jego szansę stanowiło skontaktowanie się z Lepkowskim, jeśli ten rzeczywiście kierował tajną organizacją. Gdyby zdołał go przekonać, że jest współpracownikiem Kratochwila, mógł liczyć na pomoc. A kiedy zdobyłby potrzebne informacje... Caine pokręcił głową, próbując odpędzić od siebie myśli nasuwające się w tej kwestii. Po co wybiegać w tak daleką przyszłość? Już teraz miał przed sobą zbyt wiele problemów, które zdawały się go przerastać. Musiał rozwiązywać je po kolei.

Wyszedł z tunelu wejściowego na stanowisko zajęte przez statek pasażerski wyglądający na przerobiony wojskowy frachtowiec. Zmieniając w rękach walizki, przystanął i dyskretnie rozejrzał się wokół. Ze zbudowanego powyżej poziomu ziemi lądowiska widać było znaczną część miasta, jezioro i otaczające je góry. Wzrok Caine'a, niczym przyciągany magnesem, powędrował ku południowemu zachodowi. Tam, siedem kilometrów stąd, znajdował się ciemny obszar, gdzie kiedyś tętniła życiem Stara Genewa. Lekko wzruszył ramionami, po czym skierował się w stronę statku.

Wiedział, że Ryqrilowie rozegrali tę grę w sposób gwarantujący sukces.

Rozdział 2

Do pierwszego kontaktu doszło na początku roku 2370, kiedy statek badawczy DIT natknął się na posterunek Ryqrilów oddalony około dwóch parseków od Liano, kolonii Terranu. Po dziesięciu latach ustalono regularną komunikację między ludźmi a wysokimi, gruboskórnymi dwunogami. Przygotowano nawet liczne umowy handlowe. Ryqrilowie dziwnie mało mówili o sobie oraz o sprawach dotyczących ich imperium, co tłumaczono cechującą tę rasę nieśmiałością. Pogłosek zaś o toczonej przez nich wojnie na odległej granicy nie udało się potwierdzić.

Czterdzieści lat później sytuacja uległa nagle radykalnej zmianie. Ryqrilowie zaniechali wszelkich wysiłków mających na celu „normalizację stosunków” między dwoma rasami, a nowe informacje dostarczone przez wywiad odsłoniły prawdę. Ryqrilowie rzeczywiście prowadzili wojnę i wygrali ją przed niemal dwudziestu laty. Wszystko wskazywało na to, że ich późniejsza remilitaryzacja dobiegała właśnie końca, a następnym celem ekspansji ma być Demokratyczne Imperium Terranu.

Natychmiast poczyniono odpowiednie przygotowania, ale od początku było jasne, że są to daremne zabiegi. DIT kontrolował dwadzieścia osiem planet, a Ryqrilowie sto czterdzieści. Niemniej nie ulegało wątpliwości, że ludzie nie poddadzą się bez walki.

I rzeczywiście doszło do krwawego starcia. Od ujawnienia rewelacji o nowo poznanej rasie do rozpoczęcia totalnej wojny minęło osiem lat. W tym czasie ludzie zaprojektowali, zbudowali i wypróbowali imponująco wiele rodzajów broni: poczynając od ręcznej, a kończąc na ogromnych okrętach klasy Supernova. Mimo iż DIT nigdy nie walczył z obcymi, w swej historii miał wystarczająco dużo lokalnych konfliktów, by nauczyć się czegoś z dziedziny walki kosmicznej. Natomiast niezliczone przedwojenne utarczki z Ryqrilami dały mieszkańcom Terranu okazję do zwiększenia swych umiejętności. Sytuacja jednak nadal przedstawiała się beznadziejnie. Zdesperowani ludzie musieli ponownie przemyśleć z dawna uznane teorie militarne, na przykład dotyczące czegoś tak podstawowego jak dokładne określenie, co stanowi broń.

W rezultacie powstałi blackcollarowie.

Caine zawsze interesował się nimi, ale do przeciętnych mieszkańców Ziemi docierało niewiele informacji na ich temat. Teraz, zamknięty w statku na dziesięć dni, z pokaznym zbiorem taśm traktujących o najnowszej historii, miał nadzieję zaspokoić swą ciekawość.

Nagrania wywołały jednak rozczarowanie. Dostarczyły bowiem zaledwie garstki nie znanych mu wcześniej wiadomości. Program tworzenia oddziałów blackcollarów rozpoczął się w roku 2416, dwa lata przed wybuchem wojny, i trwał aż do chwili kapitulacji Ziemi. Oprócz ciężkiego treningu bojowego, który opierał się w znacznej części na nauce wschodnich sztuk walki, wojownicy przechodzili takie same ćwiczenia psycho-mentalne jak Caine. Z początku Allenowi wydawało się dziwne, że taśmy milczały o różnorodnych preparatach stosowanych podczas szkolenia. Sądził bowiem, iż to właśnie stanowiło jeden z najważniejszych elementów przygotowania. Blackcollarom aplikowano co najmniej trzy rodzaje specyfików: zwykłą iduninę, która podawana w małych dawkach utrzymywała mięśnie, kości i stawy w idealnym stanie, podczas gdy wygląd wojownika zmieniał się z wiekiem; pochodną RNA, by pomóc zwiększyć zdolność zapamiętywania i w ten sposób wydalnie

skrócić okres szkoleniowy, oraz specjalny środek o tajemniczej nazwie „reaktol” , który podobno podwajał szybkość i refleks. W wyniku tego zrodzili się żołnierze nie wyróżniający się w tłumie – ich identyfikację umożliwiały jedynie badania psychiki oraz procesów biochemicznych – zdolni natomiast sprostać w walce wręcz Ryqrilom. Niebezpieczni przeciwnicy. Zapewne dlatego, skonstatował Caine, dane o nich były tak niekompletne. Informacje adresowano wyraźnie do niższych urzędników, a najwyżej stojący w hierarchii zatajali prawdę, chcąc zminimalizować zagrożenie, jakie mogli stanowić ocaleli blackcollarowie. Wynikająca z tego konkluzja nie napawała otuchą: jeśli wojowników wciąż uznawano za potężnego wroga, to prawdopodobne, że pozostali przy życiu na Plinry są tak dobrze ukryci, iż może ich nigdy nie znaleźć.

* * *

Caine był jedynym pasażerem wysiadającym na Plinry -trzecim przystanku spośród siedmiu leżących na trasie statku. Na tej planecie zaplanowano tankowanie, więc Allena ominął transport promem. Mógł pozostać w swojej kabinie, podczas gdy rzeczywista grawitacja powoli zastępowała sztuczną. Wreszcie, z zaledwie lekkim wstrząsem, statek wylądował.

Przejście na rampę, gdzie pożegnali go kapitan i jeden z pracowników obsługi, zajęło Caine'owi zaledwie kilka minut. Schodząc na ląd agent podziemia rozglądał się uważnie, by zarejestrować w pamięci jak najwięcej szczegółów otoczenia.

Znajdował się na skraju ogromnego, pokrytego szkliwem pola, wyraźnie zaprojektowanego do obsługi znacznego ruchu. Z prawej strony stało sześć statków kosmicznych, głównie frachtowców średniej wielkości, oraz kilka samolotów, zapewne do dyspozycji wysokich urzędników. Po lewej, daleko poza głównym portem, za drucianym ogrodzeniem zobaczył coś, co przyprawiło Caine'a o nagły skurcz żołądka. W równych szeregach stało co najmniej trzydzieści Korsarzy – myśliwców zwiadowczych dalekiego zasięgu, decydujących o sile uderzeniowej maszyny wojennej Ryqrilów. Obsługiwała je załoga złożona z jednego do trzech pilotów i czterech członków personelu pomocniczego. Oznaczało to, że obcy mają w tej części Plinry przynajmniej dwuosobowy garnizon. Sto metrów za Korsarzami znajdowało się kolejne ogrodzenie, wyglądające na solidniejsze. Otaczało cały port, tworząc barierę między szklistą nawierzchnią a łąkami z rozsianymi na nich z rzadka drzewami. Na wprost Allena znajdował się natomiast kompleks kilku budynków, stanowiący zapewne centrum administracyjne. Jeden z nich wyglądał na hangar, inne, nie opodal Korsarzy, na koszary.

U stóp rampy oczekiwało przybysza dwóch mężczyzn w szarzielonych mundurach.

Caine'owi serce zabiło mocniej, lecz pewnie szedł dalej, nie zwalniając. Wiedział, że myśliwiec zwiadowczy może dolecieć stąd na Ziemię w niecałe pięć dni. Jeśli zatem władze szybko zdołały złamać przywódców ruchu oporu, na Plinry wiedziano już o specjalnym wysłanniku. Nie pozostawało więc nic innego, jak tylko kontynuować marsz.

Wyższy z czekających zrobił krok w kierunku zbliżającego się Caine'a.

– Pan Rienzi? – zapytał. Gdy uzyskał twierdzącą odpowiedź, rzekł: – Jestem prefekt Jamus Galway, szef planetarnych sił bezpieczeństwa. A to mój oficer i adiutant Ragusin. Witamy na Plinry.

– Bardzo mi miło. Czy zawsze wychodziecie na spotkanie turystom?

Galway uśmiechnął się w sposób, który powiedział Allenowi więcej niż jakiegokolwiek słowa mężczyzny. Nie był to uśmiech szefa sił bezpieczeństwa skierowany do podejrzanego rebelianta, lecz raczej świadomego swego znaczenia polityka, który obdarzył nim dygnitarza o wpływach większych niż jego własne. Maską Caine'a pozostawała więc nie naruszona.

– Tak, panie Rienzi – przemówił Galway – rzeczywiście mam zwyczaj witania odwiedzających nas po raz pierwszy gości i wyjaśniania im panujących u nas zwyczajów. Pozwala to zaoszczędzić czas wszystkim zainteresowanym. – Wskazał na budynki. – Jeśli jest pan gotowy, proszę do kontroli celnej. Później udamy się do Capstone. Tam przeprowadzone zostaną rutynowe działania mające na celu potwierdzenie tożsamości.

Allen bez wahania skinął głową. Przeszedł pomyślnie sprawdzian na Ziemi, a tutejszy nie mógł być bardziej wnikliwy.

– Proszę prowadzić, panie prefekcie.

Kontrola celna była czystą formalnością. Oprócz ubrań, Caine miał przy sobie tylko kieszonkową kamerę, kilka czystych kaset i pastylki otrzymane w porcie w Nowej Genewie.

Bagaż szybko sprawdzono i już po kilku minutach agent podziemia wraz z Galwayem siedzieli w samochodzie sił bezpieczeństwa, zdążającym w kierunku Capstone. Prowadził Ragusin, który sprawiał wrażenie osiłkowatego milczka.

Zajęty innymi sprawami, Caine nie miał okazji dokładnie przyjrzeć się samej planecie. Kiedy popatrzył przez szybę auta, był zaskoczony zarówno podobieństwami do rodzinnego świata, jak i wyraźnymi różnicami. Na Ziemi roślinność miała przeważnie kolor zielony, na Plinry zaś niebieski, lecz wokół aż się roiło od kwiatów i drzew bijących w oczy żółcią, purpurą, a nawet oranżem. Mniejsze, przytulone do ziemi okazy flory nie dały się dokładnie zaobserwować z mknącego pojazdu, lecz ich liście wydawały się szersze od trawy. Drzewa i zarośla przypominały te pochodzące z ziemskiej strefy śródziemnomorskiej. Między konarami mignęło kilka niewielkich stworzeń mających bardziej opływowe kształty niż znane Allenowi ptaki.

– Ładna planeta – zauważył Caine. – Bardzo kolorowa. Galway przytaknął.

– Nie zawsze tak wyglądała. Kiedy byłem jeszcze chłopcem, rośliny miały barwę niebieską lub zieloną. Te bardziej kolorowe pojawiły się dopiero po wojnie. To mutacje powstałe w wyniku naziemnego ataku Ryqrilów. Większość z nich zapewne zniknie po pewnym czasie.

Caine ponownie spojrzął przez szybę i poczuł, jak ciarki przebiegły mu po plecach. W głosie prefekta nie zabrzmiała nuta żalu ani wrogości, gdy mówił o zniszczeniach dokonanych przez obcych w jego świecie. Po prostu stał po stronie wrogów. Nikt nie mógł należeć do władz DIT-u bez uprzedniego ułojalnienia. To, czy proces podporządkowywania ludzi rzeczywiście zmieniał poglądy, czy też tylko wywoływał poczucie bezsilności, stanowiło otwartą kwestię. Jedno nie ulegało wątpliwości: ułojalnione osoby nie potrafiły słowem ani czynem działać przeciwko władzy Ryqrilów. Nie można było ich zaszantażować ani przekupić, a tylko przechytryć lub zastrzelić. Caine zaś nie posiadał żadnej broni.

Wjechali na przedmieścia – w okolicę zamieszkaną przez klasę średnią, a nawet wyższą. Inaczej niż na Ziemi, dzielnice mieszkaniowe i przemysłowe nie znajdowały się w wyraźnie oddzielonych, odległych od siebie częściach miasta. Allen zdecydował się o to zapytać.

– Pojazdy stanowią rzadkość na Plinry – wyjaśnił Galway. -Nawet zamożni pieszo docierają wszędzie. W nowo powstałych dzielnicach domy są gdzie indziej niż miejsca pracy. Dalej, w biedniejszych rejonach ludzie często mieszkają i pracują w tym samym budynku. Oczywiście w Piaście wygląda to inaczej. Mamy sporo taksówek, więc przemieszczanie się nie powinno panu nastęrczać kłopotów.

– Piasta, jak wnioskuję, to centrum rządowe?

– Tak. Mieszka tam również większość rodzin urzędników rządowych. – Wskazał ręką przed siebie. – Widać niektóre z głównych budynków.

Allen stwierdził, że gmachy są oddalone zaledwie o parę kilometrów. Najwyższe z nich liczyły sobie zaledwie kilkanaście pięter. Nie były to więc drapacze chmur, a i tak wznosiły się wysoko ponad otaczające je zabudowania. Allen wywnioskował, że Capstone jest terenem o płaskiej architekturze.

Im bliżej centrum, tym miasto wyglądało bardziej ubogo. Niemal wszystkie biurowce na najwyższych piętrach miały lokale mieszkalne. Chodnikami poruszało się więcej ludzi niż na przedmieściach. Przy szybkości z jaką jechali trudno było zauważyć wyraz twarzy biednie odzianych pieszych, ale Caine'owi wydało się, że spoglądali na pojazd sił bezpieczeństwa z wrogością. Był to dobry znak – gdyby powszechnie szanowano władze, jego szansę na znalezienie podziemia spadłyby do minimum.

Samochód skręcił i za następnym skrzyżowaniem Allen ujrzał szary mur zagrządzający drogę. Znajdowała się w nim solidna, metalowa, ażurowa brama. Stało przy niej dwóch strażników w szarzielonych mundurach, takich samych jakie mieli na sobie prefekt i jego adiutant. Jeden z wartowników zbliżył się, gdy pojazd zahamował.

– Proszę o identyfikatory – rzucił.

Wszyscy trzej wręczyli swoje karty. Po rutynowych oględzinach mężczyzna zwrócił dokumenty i skinął na kolegę. Brama rozsunęła się i zatrzasnęła z powrotem natychmiast, gdy samochód minął wjazd.

Po krótkiej jeździe zatrzymali się przed czteropiętrowym budynkiem opatrzonym napisem „Departament Bezpieczeństwa Planetarnego”. Galway i Caine wysiedli przy głównym wejściu i udali się do środka. Bagaż przybysza został w samochodzie, pod opieką Ragusina. Wjechali na drugie piętro. Galway poprowadził gościa do niewielkiego pomieszczenia wyposażonego w dwa fotele, stół, telefon oraz urządzenie podobne do tego z portu w Nowej Genewie.

– Proszę o identyfikator, panie Rienzi... dziękuję. Niech pan oprze dłoń na płytce.

Błysk światła znowu wniknął w głąb oczu Allena. Prefekt nacisnął przycisk i rzekł do gościa:

– Teraz może pan usiąść wygodnie. Obawiam się, że sprawdzanie danych potrwa kilka minut. Jeden z miejskich komputerów zepsuł się wczoraj, więc pozostałe dwa są mocno obciążone.

Prefekt stał tuż przy urządzeniu testującym, jakby obecność dostojnika mogła zachęcić maszynę do szybszej pracy.

– Nie ma sprawy – rzekł spokojnie agent ruchu oporu. – Nie widzę powodu, dla którego rutynowy sprawdzian miałby posiadać szczególny priorytet.

Galway także nieco się rozluźnił.

– Cieszę się, że pan to rozumie. Proszę powiedzieć, długo zamierza pan zostać na Plinry?

– Tylko dziesięć dni, do następnego połączenia z Ziemią. Muszę wracać do pracy.

– Ach tak... Kapitan doniósł przez radio, że jest pan adiutantem senatora Aurianda.

– Auriola – Allen poprawił go odruchowo. – Tak, to prawda. Pełnię niezbyt ważną funkcję, ale tata pomyślał, że pracując w senacie, zdobędę doświadczenie polityczne.

– Pański ojciec także należy do władz?

– Owszem. Szczerze mówiąc, jest zaangażowany w politykę od końca wojny. Zaczynał jako radny w Milanie, a teraz zajmuje stanowisko trzeciego ministra edukacji.

– Wnioskuje więc, że został pan przygotowany już w młodym wieku?

„Przygotowany” – eufemizm na określenie ułojalnienia. Rozmowa zmierzała w niewłaściwym kierunku.

– Kiedy miałem pięć lat – odparł szorstko. Adiutant senatora nie powinien w ogóle odpowiadać na takie pytania.

Prefekt zrozumiał, o co chodzi i rzekł pośpiesznie:

– Proszę wybaczyć. Nie zamierzałem wnikać w pańskie osobiste sprawy. Byłem po prostu ciekaw.

– Zamilkł nagle i Caine niemal słyszał jego myśli, gdy szukał bezpieczniejszego tematu do rozmowy. – Czy przybył pan w interesach, czy tylko na wypoczynek?

Allen odetchnął z ulgą.

– Z obu powodów. Jestem tu na urlopie, ale zamierzam także pracować – wyjaśnił z nieśmiałością lecz i dumą w głosie. – Chcę napisać książkę.

Brwi Galwaya uniosły się w pełnym uprzejmości zdziwieniu.

– Doprawdy! O Plinry?

– Właściwie o wojnie. Wiem, że powstało na ten temat wiele tekstów, ale większość opisuje działania na Ziemi i Centauri. Ja pragnę przedstawić to wydarzenie z punktu widzenia ludzi zamieszkujących dalsze rejony DIT. Skoro Plinry było stolicą sektora i główną bazą wojskową, sądzę, że powinienem znaleźć tu wszystkie dane, których potrzebuję.

– Nasze archiwa są dość bogate – przyznał prefekt. – Posiada pan oczywiście właściwe upoważnienie?

Caine poczuł, że grunt usuwa mu się spod nóg.

– Co? Potrzeba tu pozwolenia na pisanie książki? – zapytał z uśmiechem.

– Och nie... Miałem na myśli zgodę na korzystanie z danych. Twarz Allena przybrała poważny wyraz.

– O jakie pozwolenie chodzi?

Galway zmarszczył czoło.

– Standardowy formularz DIT, jakiego zawsze wymaga się w przypadku, gdy ktoś chce korzystać z oficjalnych dokumentów.

– Cholera! Pierwsze słyszę – krzyknął z udawanym oburzeniem agent. – Do diabła, należą do władz DIT i nic nie powinno być dla mnie zastrzeżone. Dobrze, skorzystam z danych w asyście strażnika.

Galway wzruszył ramionami.

– Proszę spróbować, ale wątpię, żeby archiwiści się na to zgodzili. Przykro mi bardzo.

Allen spuścił wzrok, a potem spojrzał na urządzenie weryfikacyjne.

– Czy ten cholerny komputer jeszcze nie skończył? – mruknął głosem pełnym irytacji.

– Zaraz sprawdzę. – Prefekt nacisnął jakiś klawisz i po kilku sekundach zabłyśła zielona kontrolka, a ze szczeliny wysunął się identyfikator Rieniego. – Już gotowe – powiedział zwracając kartę.

Czyżby tak szybko?, pomyślał Caine. Wątpił, że był to tylko zbieg okoliczności, ale nie miał zamiaru pytać. Zaczynał się zastanawiać, czy prefekt jest rzeczywiście tak uczynnym lokalnym urzędnikiem. Na szczęście idiotyzm był grą dla dowolnej liczby uczestników. Jeśli Galway istotnie rozmyślnie przerwał weryfikację, Caine miał prawo być wściekły, ale większą korzyść przyniosłoby mu przyznanie się do głupoty. Bez słowa wziął więc kartę i wstał.

– Czy to wszystko?

– Tak. Po drodze dam panu zestaw informacyjny. Zawiera wyszczególnienie restauracji, ośrodków rozrywkowych, dane o taksówkach i podróżach powietrznych, plan miasta oraz mapy okolicznych terenów. – Zawahał się przez chwilę. – Przykro mi, ale nie możemy dać panu przewodnika. Niestety brakuje nam tu takich ludzi.

– Nie szkodzi – oświadczył wielkodusznie Caine. Jeszcze mu tylko takiej niańki brakowało. – Nie sądzę, żeby mi się na coś przydał.

– Co zamierza pan zrobić? – zapytał prefekt, kiedy opuścili pomieszczenie i szli korytarzem w stronę wind.

Allen milczał przez moment, co sprawiało wrażenie, że nie miał jeszcze czasu tego przemyśleć.

– Nie chciałbym, żeby ta wyprawa została całkiem zmarnowana... Nie uwierzyłby pan, ile kosztował bilet. Może porozmawiam z ludźmi, którzy przeżyli wojnę. Nie zamierzałem zaczynać od tego, ale... – Wzruszył ramionami, po czym zmarszczył brwi. – Pamiętam, że był tu jakiś ważny generał czy admirał, kiedy wojna dobiegła końca, ale nie przypominam sobie nazwiska. Wie pan, o kim mówię?

– Może chodzi o generała Lepkowskiego? Dowodził tym sektorem, kiedy nastąpiła kapitulacja.

– Niewykluczone, choć kojarzyłem go z planetą Vladimir.

– Chyba stamtąd pochodził. Obawiam się jednak, że znów nie ma pan szczęścia – zginął w ostatniej fazie wojny.

Allen poczuł skurcz żołądka.

– Jest pan pewien? – zapytał najbardziej beztroskim tonem, na jaki było go stać.

– Tak. Ostrzał naziemny zniszczył centrum dowodzenia, w którym przebywał generał. – Prefekt urwał, jakby zadumał się nad czymś. – Nie znam nikogo, kto mógłby panu pomóc. Wielu przeżyło wojnę, nawet ja sam, ale zapewne nikt nie potrafi przedstawić jej syntetycznego obrazu.

– No cóż, spróbuję kogoś takiego odszukać. – Wolno narastający ucisk na klatkę piersiową spowodował, że Caine zaczął chrypieć. – Albo zbiorę wypowiedzi zwyczajnych ludzi i w nich wyszukam cenne dla siebie informacje.

– Co się dzieje z pańskim głosem? – zaniepokoił się Galway. Już miał nacisnąć przycisk windy, lecz cofnął rękę, podtrzymał nią Caine'a i zajrzał mu w oczy.

– Nie wiem.

Chrypienie przybrało na sile i Allen poczuł ból towarzyszący oddychaniu.

– Ale ja wiem.

Wspierając Caine'a, prefekt ruszył do sekcji wypoczynkowej, znajdującej się na końcu korytarza. Jedną ręką przekreślił zawór dystrybutora z wodą, drugą sięgnął do kieszeni marynarki Allena i wyjął fiolkę z pigułkami. Podając kubek z wodą, spojrzał na etykietkę. Wysypał na dłoń dwie tabletki.

– Proszę to zażyć – polecił.

Ziemianin posłuchał. Czuł, że musi usiąść, ale w korytarzu nie było krzeseł ani ławek, a Galway nie proponował przejścia do któregoś z pokoi. Na szczęście lekarstwo zadziałało szybko. Po kilku minutach prefekt mógł go już puścić.

– Wszystko w porządku – rzekł agent podziemia i na próbę wziął głęboki oddech. Ból zniknął. Po chrypie też nie było śladu. – Dziękuję.

– Nie ma za co. – Galway podał Caine'owi fiolkę. – Sądziłem, że zażył pan lekarstwo przed lądowaniem. W przeciwnym razie dopilnowałbym, żeby zrobił pan to przy odprawie celnej. Mam nadzieję, że w przyszłości postąpi pan rozsądniej.

– Bez wątplenia – zapewnił Allen. – Co to w ogóle było?

– Pewien rodzaj astmy. Atakuje trzy procent przybywających tu mieszkańców innych planet. Wywołuje ją jakiś składnik występujący w naszym powietrzu. Przypadłość ta jest zupełnie niegroźna, jeśli regularnie przyjmuje się codzienną dawkę histrophyny. Sądzi pan, że możemy już iść dalej?

– Oczywiście.

Galway ruszył pierwszy z powrotem ku windom. Kilka minut później Caine stał przed głównym wejściem do budynku. Pod pachą trzymał gruby plik przeróżnych informatorów.

– Pański bagaż powinien już znajdować się w pokoju hotelowym – poinformował prefekt. – W Piaście mamy tylko jeden hotel dla przyjezdnych – „Coronet” – więc tam właśnie pozwoliłem sobie wysłać walizki.

– W porządku.

Nie było wątpliwości, że po drodze przeszukano bagaż, lecz Allen nie miał w nim nic, co mogłoby wzbudzić jakiegokolwiek podejrzenia. Zresztą im szybciej siły bezpieczeństwa dojdą do wniosku, że Alain Rienzi jest uczciwym, jeśli nie wzorowym członkiem władz, tym lepiej.

– Dziękuję za pomoc, prefekcie. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

Galway uśmiechnął się pogodnie.

– Bardzo możliwe. Miłego pobytu, panie Rienzi.

* * *

„Coronet” , chociaż był zapewne niczym nie wyróżniającym się hotelem rządowym, stanowił najbardziej luksusowy obiekt, jaki kiedykolwiek widział Caine. Pokój miał łazienkę, okazałe łóżko z bogato zdobioną pościelą oraz transporter łączący gościa ze służbą hotelową i stacją rozrywkową.

Caine zaczął układać ubrania w szafce i szufladach wbudowanych w łóżko. Cały czas wypatrywał ukrytych kamer lub pluskiew, ale ich nie zauważył. Zresztą nie miało to istotnego znaczenia – wiedział, że gdzieś muszą być, a nie zamierzał robić w pokoju niczego, co mogłoby go zdemaskować.

Gdy rozpakował już wszystkie rzeczy, telefonicznie zapoznał się z menu, po czym złożył zamówienie. Wreszcie zrzucił półbuty i ogarnięty zmęczeniem, skoczył na łóżko. Pliniańskie słońce znajdowało się w połowie drogi między zenitem a horyzontem. Było popołudnie liczącego trzydzieści godzin dnia. Dla Allena, wciąż biologicznie dostosowanego do innego czasu, zbliżała się już północ. Mógł pozostać na nogach jeszcze godzinę lub dwie, ale nie widział takiej konieczności. Może przecież przystąpić do pracy od jutrzejszego ranka.

Ułożywszy się wygodnie, zaczął rozmyślać nad swoją sytuacją. Po ataku astmy jego zmieniona tożsamość nie powinna budzić żadnych wątpliwości. Lekarstwo zostało zaordynowane na podstawie danych Rienzego, na co prefekt z pewnością zwrócił uwagę. Caine nie mógł nawet wyobrazić sobie, jak Marinós zdołał zamienić wszystkie informacje, nawet te dotyczące stanu zdrowia. Zaistniała sytuacja powinna rozwiązać wszelkie wątpliwości Galwaya.

Galway. Allen poruszył się niespokojnie. Spróbował stworzyć w myślach logiczny obraz tego człowieka. Nieco napuszony a jednocześnie służalczy. Na początku uznał go za kogoś bez wyrazu, lecz nie zgadzało się to ze zdecydowanym działaniem. Potrafił zachować zimną krew. Gdy nastąpił atak astmy, postawił szybką, właściwą diagnozę. Nie wykonał żadnego zbędnego ruchu. Pamiętał nawet dokładnie, gdzie Allen schował lekarstwo. Kompetentny, pewny siebie człowiek... który nie szczędził wysiłków, żeby postrzegano go zupełnie inaczej. Dlaczego? Czy zawsze odgrywał tę rolę w kontaktach z gośćmi, czy też Caine był szczególnym przypadkiem? Agentu ruchu oporu ogarnął niepokój. Pomyślał, że może właśnie tego chciał prefekt.

Cichy dzwonek spowodował, że Caine aż podskoczył. Dopiero po chwili uświadomił sobie, iż to tylko dźwięk dochodzący z transportera. Dostarczono posiłek. Wstał, wyjął z urządzenia tacę i przeniósł ją przez pokój, do miejsca gdzie ze ściany automatycznie wysunęły się stół i krzesło.

Potraw nie znał, ale były smaczne. Podczas jedzenia odzyskał nieco ducha. Misja zaledwie się rozpoczęła, a już doszedł dalej niż się spodziewał. Bezpiecznie dostał się na wrogie terytorium i

spreparował odpowiednią wymówkę, pozwalającą mu poruszać się bez przeszkód i zadawać pytania mieszkańcom Capstone. Z okna pokoju znajdującego się na trzecim piętrze widział tylko szczyt szarego muru oddzielającego Piastrę od reszty miasta. Unosząc szklankę do ust, wznosił toast za znajdujących się po tamtej stronie. Nawet jeśli generał Lepkowski rzeczywiście nie żył, zwykli ludzie na pewno zorganizowali podziemie przeciw Ryqrilom i Piaście. Jutro się przekona.

Rozdział 3

Dyrektorka archiwów wyglądała młodo, ale jej oczy świadczyły o zaawansowanym wieku. Była sroga i poważna. Miała bardzo opiekuńczy stosunek do zbiorów. Zachowywała się jak niedźwiedzica broniąca własnych dzieci.

– Nie ma żadnych wyjątków, panie Rienzi – oświadczyła twardo. – Wyraziłam się chyba jasno. Przykro mi bardzo.

Spodziewał się takiej odpowiedzi, więc nie był szczególnie zdziwiony, że to podejście zakończyło się niepowodzeniem. Musiał jednak spróbować.

– W porządku. Rozumiem panią.

Wyszedł z gmachu. Powietrze przesycone było światłem wczesnego poranka. W Piaście o tej porze już panowała krzątanina. Plinianie zdawali się poważnie traktować swoją pracę. Caine usiadł na ławce stojącej nieopodal budynku archiwum. Zajrzał do planu miasta. Nie mógł się doczekać wyjścia poza mur i rozpoczęcia poszukiwań podziemnej organizacji. Najpierw musiał jednak poświęcić kilka godzin na zdobywanie informacji do swojej „książki”. Oczywiście wypytywanie urzędników stanowiło stratę czasu, lecz wyglądałoby dziwnie, gdyby nie rozpoczął rozmów od najwyższej postawionych. Musiał zachować wszelkie pozory na wypadek, gdyby ktoś obserwował jego zabiegi, a zapewne tak właśnie było.

Znalezienie rozmówców okazało się niezwykle łatwe. Wszyscy, z wyjątkiem najbardziej zajętych, z ochotą zgadzali się na zmianę porządku dnia i wygospodarowanie czasu na przyjęcie gościa z Ziemi. W pewnym stopniu taki wpływ na własnych wrogów wydawał się Caine'owi zabawny. Z drugiej strony wzbudzenie zainteresowania i rozgłos mogły zrodzić niebezpieczeństwa.

Allen nagrał prawie cztery godziny wspomnień wojennych siedmiu urzędników. Uznał, że to wystarczy. Było już popołudnie. Nie mógł pozwolić sobie na dalsze marnowanie czasu w Piaście. Odnalezienie na pewno trochę potrwa, a nie miał do dyspozycji zbyt wielu dni. Taksówka podwiozła go do szarego ogrodzenia.

Wysiadł przy północnej bramie – tej, którą wjechał tu z Galwayem.

– Chciałbym wyjść – obwieścił jednemu z wartowników.

– Dobrze, proszę pana – odparł młody agent służby bezpieczeństwa. – Proszę wrócić do auta, a ja otworzę bramę.

Allen pokręcił głową.

– Idę pieszo.

Wartownik zamrugał powiekami ze zdziwienia.

– Och... nie radziłbym panu.

– Dlaczego?

– Zwykli ludzie bywają czasami niezbyt przyjaźni. Może pan narazić się na kłopoty.

Caine beztrąsko machnął ręką.

– Nic mi nie będzie. Proszę otworzyć.

– Tak jest.

Strażnik, mimo ogarniających go wątpliwości, podszedł do niewielkiego panelu kontrolnego i brama rozsunała się na blisko metr. Kiwając głową w podzięcie, agent ruchu oporu minął umundurowanego mężczyznę i znalazł się po drugiej stronie muru.

* * *

Szedł powoli, wszystkimi zmysłami starając się uchwycić to, co działo się wokół. Miasto nie przypominało żadnego z tych, które widział do tej pory, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Po uważnym przyjrzeniu się Caine dostrzegł jednak pewne cechy wspólne z miejscami na Ziemi. Niewątpliwie stanowiło to wpływ władzy Ryqrilów. Zakurzone budynki, wysokie na dwa, trzy piętra, jeszcze bardziej przypominały pudełka niż ich terrańskie odpowiedniki. Allen słyszał, że taką zabudowę nazwano „architekturą zwyciężonych” i jasne było, że Plinry bardziej niż Ziemia ucierpiało w wyniku działań wojennych. Nędznie ubrani ludzie snujący się po ulicach sprawiali równie ponure wrażenie. Na twarzach malowała się rezygnacja, beznadzieja lub zupełna pustka. Większość spośród nich była w podeszłym wieku; widocznie niewielkie ilości iduniny przedostawały się poza mur. Ale przecież musieli być tu także młodzi ludzie. Gdzie też mogli się oni kryć?

Częściową odpowiedź na to pytanie znalazł dwie przecznice dalej. Tam, w bocznej uliczce ujrzał coś wyglądem przypominającego kawiarnię na wolnym powietrzu. Dochodziły stamtąd odgłosy rozmów, a czasem także śmiechy. Zaciekawiony poszedł w tę stronę.

Po chwili znalazł się niedaleko rozstawionych w pobliżu chodnika stolików. Kilkadziesiąt innych widniało w zacisznej niszy powstałej przez wyburzenie frontowej ściany piętrowego budynku. Przy stolikach siedzieli starsi ludzie pijący samotnie bądź parami, a także młodzież w co najmniej kilkusobowych grupach. To właśnie ona czyniła najwięcej hałasu i zamieszania.

Pod ścianą ustawiony był bar w kształcie podkowy, zza którego mężczyzna w średnim wieku obserwował nastolatków. Allen zawahał się, lecz wreszcie ruszył w głąb kawiarni, nie zwracając uwagi na utkwione w nim spojrzenia.

Barman baczny wzrokiem zlustrował nowego klienta.

– Witam, przyjacielu. Co podać?

– Piwo i brandy.

Obsługujący kiwnął głową i wyjął spod lady butelkę.

– Pan tu po raz pierwszy, prawda? – zapytał z zawodową ciekawością w głosie, nalewając trunek do wyszczerbionego szklanego kufła.

– Przyjechałem do Capstone z wizytą – wyjaśnił Allen, ostrożnie pociągając łyk piwa. Miało dziwny smak i przez moment Caine zastanawiał się, z czego mogło zostać uwarzone. – Nazywam się Rienzi.

– John – przedstawił się krótko barman. – Skąd pan jest?

– Z Ziemi.

Mężczyzna wytrzeszczył oczy i momentalnie zmienił stosunek do przybysza.

– Rozumiem – rzekł oficjalnym tonem. – Węszy pan? Caine zignorował tę obrazę i tylko pokręcił głową.

– Piszę książkę o wojnie, z punktu widzenia mieszkańców światów położonych na obrzeżach imperium. Myślałem, że na Plinry zdołam odnaleźć jakichś starych żołnierzy lub pilotów, z którymi porozmawiam.

Barman milczał przez chwilę.

– Kręci się tu paru – rzekł wreszcie. – Ale wątpię, żeby ich relacje nadawały się do książek kolabów.

– Kolabów?

John wyraźnie się zawstydził.

– To potoczne określenie członków władz – wymamrotał. -Skrót od kolaborantów.

– Aha. A więc nie powiedzą nic pochlebnego?

– Nie można ich za to winić.

Barman urwał nagle, jakby się zreflektował, że zbyt wiele mówi. Sięgnął po kufel i z zapalem zaczął go pucować ściereczką.

Allen odczekał kilka sekund, zanim ponownie się odezwał:

– Jestem bardzo niskim urzędnikiem, ale pracuję dla senatora DIT. Jeśli macie na Plinry jakieś kłopoty, może udałoby się im zaradzić.

– Nic nie można zrobić, chyba że z kieszeni wytrzepie pan milion miejsc pracy. – John westchnął i odstawił kufel. -Proszę posłuchać. Zostaliśmy zniszczeni przez Ryqrilów. Ich cholerny ostrzał planety zmiotł trzy czwarte ludności. Siedem ósmych ziemi nie nadaje się już do zamieszkania. Straciliśmy większą część przemysłu i terenów uprawnych. Kolejny milion mieszkańców umarł z głodu bądź zamarł pierwszej zimy... -Westchnął ciężko. – Nie będę zanudzał pana szczegółami. Sytuacja poprawia się z wolna, ale wciąż brakuje nam miejsc pracy. W przeciwnym razie czy, u licha, oni byliby tu o tej porze dnia?

Kciukiem wskazał grupki nastolatków.

Caine napił się nieco piwa i popatrzył na okupującą stoliki młodzież. Bardziej wnikliwa obserwacja pozwoliła zauważyć emanującą z nich frustrację, a szeregi opróżnionych już butelek świadczyły o tłumionym rozgoryczeniu.

– Rozumiem, o czym pan mówi – rzekł. – Ale jestem pewien, że jakoś można im pomóc. Jak tylko wrócę, zapoznam z waszą sytuacją senatora Auriola. A teraz może wskaże mi pan kogoś, z kim mógłbym porozmawiać o wojnie.

John zacisnął usta. Allen wiedział, co teraz barman myśli: „tego Ziemianina nie obchodzi nic, tylko ta cholerna książka”.

– No cóż, jeśli szuka pan prawdy, proszę się zwrócić do Damona Lathe’a. Jest tam – dodał, wyciągając rękę ponad ramieniem przybysza.

Caine zobaczył samotnie siedzącego siwego mężczyznę z długą brodą. Był raczej niewysoki, średniej budowy ciała. Allen doszedł do wniosku, że ma co najmniej sześćdziesiąt kilka lat.

– Dziękuję – rzucił. – W jakich wojskach służył?

– Był blackcollarem – prychnął John jakby od niechcenia.

– Naprawdę! – wykrzyknął Allen, nie starając się ukryć emocji. Położył na ladzie banknot dwumarkowy, wziął swój kufel i ruszył w stronę wskazanego stolika.

Lathe, pogrążony w zadumie, nie podniósł wzroku, gdy Caine zbliżył się do niego. Uczynił to dopiero, kiedy przybysz głośno chrząknął}.

– Pan Lathe? – zapytał Allen niepewnie. – Nazywam się Alain Rienzi. Czy mógłbym porozmawiać z panem przez chwilę.

Lathe wzruszył ramionami i wskazał na jedno z wolnych krzesel.

– Czemu nie? I tak nie mam nic do roboty. Nie znam pana, prawda?

Caine usiadł naprzeciwko mężczyzny, odczuwając bolesne rozczarowanie. Jakże jego wyobrażenia różniły się od rzeczywistości. Lathe w niczym nie przypominał pełnego życia i gotowego do działania blackcollara. Widać zapomniał o tym, jak trzydzieści pięć lat życia bez iduniny może zmienić człowieka.

– Nie, właśnie tu przybyłem. Z Ziemi.

– Kolab, co? Więc jak tam teraz w domu?

Allena zaskoczył brak negatywnej reakcji, z jaką się spotkał ze strony barmana.

– Dobrze. Jest pan z Ziemi?

– Tak. Urodziłem się i wychowałem w Odense – w Danii. Mieszkałem tam, dopóki w 2420 roku nie wstąpiłem do blackcollarów. Nie byłem w rodzinnych stronach już od pewnego czasu – wojna, wie pan. Jestem blackcollarem, powiedziano panu o tym? – Rozpiął dwa górne guziki wyblakłej koszuli i dotknął czarnego, idealnie przylegającego do szyi kołnierza. -To prawdziwy dermopancerz. Wszyscy kiedyś je nosiliśmy. Dlatego właśnie nazwano nas blackcollarami*. [* blackcollar (ang.) – czarny kołnierz] – Ponownie oparł łokieć na blacie, westchnął ciężko i utkwiał wzrok w jakimś odległym punkcie. – Tak, to były czasy – wyszeptał. -Dawno już minęły. Bezpowrotnie.

* * *

Agent ruchu oporu przytaknął w milczeniu, czując się jakby brutalnie wtargnął w czyjeś życie. Lathe, jakkolwiek dawniej wyglądał, zmienił się bardzo za sprawą Ryqrilów i mijających lat. Teraz Caine miał przed sobą tylko wrak człowieka. Już zamierzał wstać i odejść, gdy blackcollar ponownie na niego spojrzał i zapytał:

– O czym chciał pan ze mną porozmawiać, panie...

– Rienzi – podsunął Caine. – Szukam na Plinry weteranów wojennych. Zbieram materiały do książki, którą piszę. Czy mógłby mi pan podpowiedzieć, gdzie mogę ich znaleźć?

– Ależ oczywiście. My, blackcollarowie spotykamy się czasem, by wspólnie powspominać stare dzieje. Wojnę – dodał pełnym zadumy głosem, gładząc pierścień na środkowym palcu prawej dłoni.

Caine wcześniej już zwrócił na niego uwagę. Wykonany ze srebrzystego metalu wyglądał na ciężki. Miał kształt głowy jakiegoś gada. Szeroki grzebień przypominający skrzydła nietoperza wznosił się ponad głową stwora i zakrzywiał w kierunku nasady palca. Dwa jaskrawoczerwone klejnoty stanowiły oczy.

– Podoba się panu? – zapytał stary, unosząc rękę, żeby Allen mógł lepiej się przyjrzeć. Caine dostrzegł, że mimo pomarszczonej skóry ręka wygląda zadziwiająco prężnie i silnie.

– Tak. Nigdy nie widziałem podobnego pierścienia.

– Nic dziwnego – stwierdził blackcollar. – Naszym symbolem był smok z Carno. Niezwykle szybkie stworzenie i wspaniały myśliwy. Tylko blackcollarowie mogli zakładać takie pierścienie. Moi towarzysze broni pozdejmowali je, gdyż kolaby ich nie lubią, a Ryqrilowie wprost nie cierpią. Ale ja swój nadal noszę. – Nagle podniósł wzrok i wpatrzył się w Caine'a. – Przyleciał pan aż z Ziemi? To musi być naprawdę ważna książka.

– Cóż... jest ważna dla mnie.

Lathe przytaknął, jakby uznał to za oczywiste.

– Z przyjemnością pomogę ci, synu... panie Rienzi. Ale pamięć nie jest już tak dobra jak niegdyś. – Delikatnie pogładził smocze oczy. – Kiedyś byłem dowódcą grupy do zadań specjalnych. Przewodziłem jedenastu innym blackcollarom – najlepiej walczący oddział w całej cholernej galaktyce. – Pokręcił głową i westchnął. – Tylko ja zostałem.

– Wszyscy pańscy ludzie nie żyją? – zapytał Caine po chwili.

Lathe przytaknął. Raz jeszcze pociągnął palcem po pierścieniu.

– Ale to już przeszłość. Co mogę dla pana zrobić?... Ach, tak, chciał pan porozmawiać z innymi blackcollarami. To nie powinno być trudne... – Urwał nagle i odwrócił głowę. – Proszę, oto idzie jeden z nich. Hej, Skyler! Pozwól na moment!

Allen spojrzał przez ramię i zobaczył wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyznę kierującego się w ich stronę. Ten zawahał się na moment, widząc, że stary blackcollar nie jest sam, ale wreszcie podszedł do stolika, lekko zaciskając usta.

– Cześć, Lathe – rzekł. Miał dźwięczny głos, z pobrzmiewającą w nim nutką humoru. – Kim jest twój towarzysz?

– Gość z Ziemi... Nazywa się Rienzi. To Rafe Skyler, synu... mój dobry znajomy.

Caine skinął głową.

– Miło mi pana poznać.

– Z Ziemi, tak? – Skyler przyjrzał się Allenowi zimnym wzrokiem. – Czy nie znalazł się pan w zbyt dużej odległości od swoich zza muru?

Agent ruchu oporu wzruszył ramionami.

– Szukam ludzi, którzy brali udział w wojnie. Piszę książkę.

– Aha. – Skyler zwrócił się do Lathe'a: – Pomyślałem sobie, że moglibyśmy pojutrze zebrać się w domku myśliwskim. Nadszedł czas, żeby się tam wybrać.

– Jasne. Czemu nie? I tak nie mam wiele do roboty -zgodził się stary komandos. Nagle uderzył dłonią w blat stołu. -Słuchaj! To będzie wspaniała okazja dla naszego gościa, żeby porozmawiać ze wszystkimi. Co o tym sądzisz, Rienzi? Chcesz pojechać na kilka dni do domku myśliwskiego?

– Lathe! – wykrzyknął osłupiały Skyler. – On nie może jechać.

– Dlaczego? – Stary prowokująco wydał policzki.

– To przyjezdny. I kolab.

Lathe wyciągnął prawą pięść w stronę tamtego i wskazał na pierścień.

– Jestem dowódcą, pamiętasz? Czerwone oczy są tego oznaką. Jeśli powiedziałem, że może pojechać z nami, to tak jest.

– Ale... – Skyler przeciągnął dłonią po rzednących już włosach. – Do diabła, niech ci będzie. Ale pozostałym się to nie spodoba.

Obaj popatrzyli na Allena.

– Więc? – zapytał młodszy.

Caine myślał intensywnie. Widocznie osłabienie władz umysłowych, które dotknęło Lathe'a, nie przydarzyło się wszystkim blackcollarom. – Skyler sprawiał wrażenie tylko nieco młodszego od dowódcy, lecz mózg wciąż pracował mu właściwie. Ich grupa mogła stanowić oparcie dla ruchu podziemnego, więc istniały duże szanse, że niektórzy z dawnych blackcollarów mają odpowiednie powiązania. Spotkanie w domku myśliwskim stanowiło świetną okazję do nawiązania kontaktu z opozycją.

– Jeśli nie sprawi to zbyt dużo kłopotu – rzekł niepewnie -przyjmę zaproszenie z wielką radością. Rozmowa z blackcollarami bardzo pomoże mi w pracy.

– A widzisz – zwrócił się Lathe do towarzysza. – Wiedziałem, że będzie chciał jechać z nami. – Do Caine'a zaś powie- dział: – Domek znajduje się na wschód od Capstone, w Górach Zielonych. Masz samochód?

– Nie, ale postaram się zdobyć.

– Nieważne – uciał Skyler. – Załatwimy, żeby ktoś pana zabrał. Proszę być przy wschodniej bramie Piasty pojutrze o szóstej trzydzieści rano.

– Dobrze. Dziękuję bardzo za... – urwał, widząc samochód sił bezpieczeństwa. Patrol wyjechał z za rogu i zatrzymał się przed kawiarnią. Trzech mężczyzn wysiadło z auta, po czym skierowało się prosto w ich stronę.

„Uciekaj!” zabrzmiał sygnał alarmowy w mózgu Caine'a. Agent ruchu oporu z ogromnym trudem powstrzymał się od natychmiastowej reakcji, zanim przyszło otrzeźwienie. Na czele patrolu szedł Galway. Pozostawiając asystę w pewnej odległości, zbliżył się do rozmawiających.

– O, nasz prefekt odwiedza swoich podopiecznych. – Ton głosu Lathe'a był pozornie bez troski, lecz brzmiała w nim tak zjadliwa ironia, jakiej Caine nie spodziewał się po starym blackcollarze. Lathe wyraźnie nie lubił Galwaya i widocznie wcale nie zależało mu na ukryciu antypatii.

Prefekt sztywno uklonił się obydwu byłym żołnierzom.

– Dzień dobry, dowódco Lathe, komandosie Skyler. – Ten ostatni odpowiedział kiwnięciem głowy, lecz nie rzekł ani słowa. Galway odwrócił się do Allena. – Panie Rienzi, bardzo zaniepokoił mnie fakt, iż samotnie opuścił pan Piastę. Chyba zapomniałem ostrzec pana, że ta część miasta może być niebezpieczna.

– Naprawdę? – Caine udał zdziwienie. – Przepraszam, nie chciałem sprawić kłopotów. Szukałem po prostu ludzi, z którymi mógłbym pomówić o wojnie. I wie pan co? Pojadę na spotkanie z całą grupą blackcollarów!

W tym momencie w oczach Skylera zabłysło obrzydzenie. Caine wiedział, że tym wyznaniem nie zaskarbił sobie sympatii wielkoluda. Bardzo jednak prawdopodobne, że prefekt i tak dowiedziałby się o zaproszeniu, więc Allen wołał sam go o tym poinformować, niż narazić się na późniejsze indagacje i wyjaśnienia. W obecnej chwili nie mógł sobie pozwolić, by jego postępowanie rodziło jakiegokolwiek podejrzenia.

– Nie jestem pewien, czy to rozsądna decyzja – powiedział powoli Galway. – Ale porozmawiamy o tym później. Jeśli pan skończył, razem wrócimy do Piasty. W przeciwnym razie zostawię panu jako eskortę jednego z moich ludzi.

– Mogę jechać już teraz. – Caine wstał i kiwnął głową siedzącym blackcollarom. – Miło mi było poznać panów. Zobaczymy się za kilka dni.

– Do zobaczenia – rzucił Lathe, machając ręką. Nadal milczący Skyler utkwiał spojrzenie w blacie.

– Myślę, że nie powinien pan nigdzie się z nimi wybierać -rzekł Galway, kiedy pojazd ruszył w stronę szarego muru.

– Dlaczego nie? To wygląda na zjazd kombatantów. Starzy żołnierze zbierają się od czasu do czasu, żeby wspominać przeszłość.

– Tylko że to nie są zwykli żołnierze, lecz blackcollarowie. Caine wzruszył ramionami.

– Ich czas minął ponad ćwierć wieku temu. Z pewnością nie potrafią być już groźni. Inaczej dawno zamknąłby ich pan, prawda?

Prefekt zrobił poważną minę. Allen uświadomił sobie, że trochę przeholował, więc postanowił nieco stonować wydźwięk swojej wypowiedzi.

– Proszę zrozumieć, zaprzepąciłem szansę na skorzystanie z miejscowego archiwum. Spotkanie z blackcollarami stanowi więc prawdopodobnie jedyną okazję, aby wynieść z tej podróży coś pożytecznego.

Galway przez dłuższą chwilę patrzył przed siebie. Wreszcie zdecydowanie skinął głową.

– W porządku. I tak nie mam prawa pana powstrzymywać.

Ziemianin rozparł się wygodnie na siedzeniu, powstrzymując triumfalny uśmiech.

– Dziękuję, prefekcie – rzekł z wdzięcznością.

* * *

Kilkanaście raportów leżało na biurku Galwaya – niezbity dowód, iż zaniedbuje swoją pracę. Odchylony w fotelu, nerwowo obracał w palcach ołówek i patrzył na piętrzące się dokumenty. Gdzie, u licha, podziewał się Ragusin z tym raportem?

Ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę – rzucił Galway.

Do gabinetu wszedł młody oficer bezpieczeństwa. W rękę trzymał kasetę oraz plik papierów.

– Mam to, czego pan sobie życzył, prefekcie – oświadczył. Galway chrząknął.

– Co my tu mamy?

Ragusin położył na biurku przyniesione materiały i usiadł naprzeciw zwierzchnika.

– Można sądzić, że wszystko wygląda jak należy. Propozycja podwiezienia do domku myśliwskiego wyszła od Skylera, a nie od Lathe'a, chociaż to on zaprosił Rienziego. Nie mogli wcześniej uzgodnić tej sprawy między sobą.

– Chyba że wiedzieli, iż Rienzi jest tutaj i mieli wszystko ukartowane.

– To brzmi zbyt nieprawdopodobnie – stwierdził Ragusin.

– Zgadza się – przyznał Galway. Dumał przez moment. -A co z sygnałami przekazywanymi rękoma? Istnieje jakaś możliwość, żeby Lathe dał znak Skylerowi, aby zaproponował podwiezienie?

– Hm... – zamyślił się oficer. – Nie wiem.

– Przekonajmy się zatem.

Prefekt wsunął kasetę do interkomu. Ragusin już wcześniej ustawił ją tak, by odtwarzanie rozpoczęło się od wejścia Rienziego do baru. Galway odtworzył całą scenę dwukrotnie, bacznie obserwując każdy szczegół.

– Ładnie – warknął Galway. – Widzisz, że kiedy podchodzi Skyler, lewa ręka Lathe'a znajduje się pod stołem? Jest poza zasięgiem kamery, ale założę się, że Skyler dostrzeże ją wyraźnie.

Ragusin wzruszył ramionami.

– Z całym szacunkiem dla pańskiej przenikliwości, śmiem twierdzić, że to zbyt daleko posunięte przypuszczenia. Blackcollarowie gromadzą się w tym opuszczonym domku dwa, trzy razy w roku, odkąd zakończyła się wojna. Obserwujemy ich od piętnastu lat i na niczym nie zostali przyłapani. Co tak bardzo niepokoi pana tym razem?

Galway pokręcił głową. Nie umiał racjonalnie wytłumaczyć adiutantowi swych przeczuców związanych z blackcollarami, ani też faktu, iż wszystko co dotyczyło Alaina Rienziego wydawało mu się podejrzanym.

– Chodzi mi o to, że zmieniają własne zwyczaje – oświadczył, wybierając najłatwiejszy do sprecyzowania problem. – Nigdy wcześniej nie zapraszali obcego na swoje zgromadzenia, a już z pewnością żadnego przedstawiciela władzy.

– Proszę wybaczyć, prefekcie, ale niezupełnie ma pan rację. Sześć lat temu Skyler wraz z kilkoma kolegami próbował zainteresować bezrobotną młodzież kursem sztuki wojennej. Dwudziestu najlepszych uczniów pojechało potem do domku myśliwskiego.

– Tak, zupełnie o tym zapomniałem. Z tego co pamiętam, wkrótce zaniechano prowadzenia kursów z powodu braku zainteresowania, prawda?

Ragusin przytaknął.

– A więc obecna sytuacja nie jest całkowicie bezprecedensowa. I to Lathe zaprosił Rienziego. Kto wie, jak pracuje teraz umysł tego starca?

– Spójrzmy na dossier Lathe'a. Adiutant zajrzał do papierów.

– Urodzony w Odense, w Danii, na Ziemi; 27 lipca 2403 roku. Szkolenie rozpoczął...

– Nie czytaj tego – przerwał prefekt. – Tych danych Lathe sam dostarczył nam po kapitulacji. Chcę wiedzieć coś więcej.

– Hm... obawiam się, że pozostałe informacje są niekompletne. Raporty wojskowe na temat blackcollarów zostały zniszczone na Ziemi. Lathe wyszedł z lasu, kiedy ogłoszono amnestię. Wtedy też powiedział, kim jest. Wszyscy blackcollarowie tak zrobili. Szczerze mówiąc, chyba nigdy nie mieliśmy okazji zobaczyć któregoś z nich walczącego.

– Owszem, widzieliśmy – zaprotestował Galway. – Dziesięć lat temu, kiedy Mordecai został napadnięty przez sześciu chuliganów.

– Trudno jednak tę bijatykę nazwać walką – skwitował Ragusin, wzruszając ramionami. – Chyba nawet umiejętności blackcollarów zanikają bez odpowiedniego treningu.

– Mimo wszystko chcę, żeby uważnie przyglądano się spotkaniu w domu myśliwskim. Zainstalowano wystarczającą liczbę pluskiew?

Oficer przytaknął.

– Wszyliśmy dodatkowe mikrofony we wszystkie wierzchnie ubrania Ziemiańszczyzny, z wyjątkiem tego, które obecnie nosi. Nim też się zajmujemy, kiedy odda je dzisiaj do prania. Podszuch w domku wciąż działa bez zarzutu.

– Dobrze. Czy są jakieś wieści w sprawie prośby o kuriera mającego sprawdzić tożsamość Rienziego?

– Obawiam się, że źle – rzekł Ragusin z wahaniem w głosie. – Została odrzucona przez Ryqrilów. Nie podali powodu, ale odniosłem wrażenie, że uznali to za stratę czasu. Identyfikator Rienziego jest w stu procentach autentyczny.

– Wiem – mruknął Galway. – Ale obecność Rienziego na naszej planecie wciąż spędza mi sen z powiek.

– Uważa pan, że może być szpiegiem Ryqrilów? Prefekt parsknął ze złością. Jeżeli istniało coś w okupacji obcych, czego nienawidził, była to stosowana przez nich praktyka umieszczania agentów na podbitych terytoriach. Jako prefekt sił bezpieczeństwa, Galway musiał wiedzieć, kto i gdzie działa, by właściwie wykonywać swoją pracę, więc nie lubił kręcących się w pobliżu tajniaków.

– Wątpię, żeby Rienzi był wysłannikiem Ryqrilów. Jeśli wyznaczyliby mu zadanie szpiegowania nas, dostałby tu na stałe jakieś stanowisko, a jeżeli miałyby pracować między zwykłymi ludźmi, ulokowałiby go we właściwym miejscu. Tak naprawdę niepokoi mnie ta jego bajeczka o zapomnieniu zezwolenia otwierającego dostęp do archiwum. – Przez moment prefekt przyglądał się kasecie tkwiącej w interkomie. – Do diabła! – Galway przerwał wreszcie ciszę. – Teraz nie pozostaje nam nic innego jak tylko uzbroić się w cierpliwość i czekać. – Spojrzał na zegarek. – Możesz już iść do domu. Przed wyjściem wyznacz na pojutrze obserwatora wschodniej bramy. Chcę wiedzieć, kogo Skyler przyśle po Rienziego. I zostaw mi te akta.

– Tak jest. – Dobranoc, prefekcie.

Galway poczekał, aż za asystentem zamkną się drzwi, i sięgnął po dossier. Tak cholernie mało informacji... i żadna nie warta zainteresowania. Już nie po raz pierwszy żałował, że nie dowodził siłami bezpieczeństwa trzydzieści lat temu, gdy blackcollarowie zrezygnowali z wojny partyzanckiej w zamian za amnestię. Nalegałby wtedy na poddanie ich działaniu weryfyny. Teraz nie mógł tego zrobić bez oczywistego dowodu, że łamią prawo. Przeczucia w ogóle się nie liczyły.

Nagle cisnął akta na biurko. Zdecydowanym ruchem odepchnął je na bok, po czym sięgnął po jeden z aktualnych raportów zmuszając się do pracy.

Rozdział 4

O szóstej dwadzieścia, gdy Caine przekraczał wschodnią bramę, Piasta dopiero zaczynała się budzić. Był trochę zdziwiony widząc, że pozarządowa część Capstone tętni już o tej porze pełnią życia. Ulicami sunęli mężczyźni ubrani w znoszone kombinezony. W rękach nieśli torebki z drugim śniadaniem. Wschodzące nad górami słońce sprawiało, że za pieszymi ciągnęły się długie cienie. Sprzedawcy przygotowywali do otwarcia niewielkie sklepy: przecierali witryny, zamiatali chodniki, rozkładali markizy i porządkowali wystawy.

Pięćdziesiąt metrów od muru stał jedyny w zasięgu wzroku pojazd: poobijana furgonetka przypominająca pudełko, z częściowo zatartą nazwą sklepu mięsnego na bocznych i tylnych drzwiach. Obok samochodu stał z rękoma splecionymi na piersi niewysoki, żylasty mężczyzna o ciemnej karnacji i wydatnym nosie. Allen ruszył ku niemu z pewnym wahaniem.

Gdy podszedł, tamten odezwał się pierwszy:

– Ty jesteś Rienzi? – zapytał, uważnie oglądając przybysza. Kiedy Caine przytaknął, powiedział: – nazywam się Mordecai. Skyler mnie przysłał. Wsiadaj.

Agent ruchu oporu posłusznie zajął miejsce w aucie. Za przednimi siedzeniami piętrzyły się koce. Pełno też było sprzętu do pieszych wędrówek.

– Macie niezłe wyposażenie – zauważył z nie ukrywanym zdziwieniem.

– Samochód należy do nas wszystkich. Odkupiliśmy go od sklepu, w którym pracuję – wyjaśnił kierowca pełnym powagi tonem. – Większość przybywa na spotkanie pieszo lub dojeżdża na rowerach, więc zabrałem potrzebne rzeczy.

– W domku myśliwskim chyba brakuje jakichkolwiek wygod?

– I to od lat. – Mordecai posłał spojrzenie pasażerowi. – Posłuchaj, Rienzi. Nie wiem, dlaczego Lathe cię zaprosił, ale słuchamy go, więc muszę być dla ciebie uprzejmy. Nie mam jednak obowiązku darzyć cię sympatią, więc ucisz się, dobra?

Allen przemilczał tę wypowiedzianą ze złością uwagę. Czy większość zgromadzonych będzie go tak właśnie traktowała? Caine ukradkiem spoglądał na towarzysza twardo wpatrującego się przed siebie. Szrama okazałych rozmiarów, której Allen wcześniej nie zauważył, przecinała prawy policzek kierowcy. Na ponurej twarzy nie było widać zmarszczek powstałych od śmiechu.

Wzdychając w duchu, Allen oparł się wygodniej i przygotował na długą, uciążliwą jazdę.

* * *

Domek myśliwski „Hamner” stał na zachodnim stoku wzniesienia stanowiącego część pasma Gór Zielonych, szesnaście kilometrów na pomocny wschód od Capstone. Kiedyś zapewne przybywały w te okolice bogate i wpływowe osobistości, bo w pobliżu widniała stacja podziemnej kolei łączącej Capstone z Nowym Karachi znajdującym się po drugiej stronie gór.

W wyniku wojny wszystko uległo zmianie. Nowe Karachi leżało w depresji, zatopione w szerniałym gruncie. Z kolei nie korzystano, więc popadła w ruinę. Sam zaś domek był opuszczony przez większą część roku.

– Zbieramy się tu dwa, a czasem i cztery razy w roku, od 2440 – poinformował Caine’a rzeński mężczyzna po sześćdziesiątce nazwiskiem Dodds, gdy wędrowali lasem nie opodal budynku.

Frank wziął na siebie rolę przewodnika tuż po przyjeździe Allena. Zaznajamiał go z historią owego miejsca oraz topografią. Caine'a ucieszyła zmiana opiekuna. Dodds co prawda nie witał gościa otwartymi ramionami, ale przynajmniej nie okazywał niechęci.

– Dziwi mnie, dlaczego właściciele nie odrestaurowali budynku po wojnie – rzekł Allen do blackcollara, drżąc nieco z powodu zimnego, górskiego powietrza. – Przecież jest jeszcze w niezłym stanie.

– Z tego co sobie przypominam, zginęli w Nowym Karachi – powiedział cicho Dodds.

Wysłannik podziemia zorientował się, że popełnił gafę. Przewodnik uważnie przyjrzał się podopiecznemu.

– Niezbyt stosownie pan się ubrał, biorąc pod uwagę panującą tu temperaturę.

– Nie jest mi zimno.

– No cóż, Skyler przywiózł dodatkowe okrycia, na wypadek gdyby pan nie miał odpowiednich. Radziłbym się przebrać.

– Chyba tak zrobię. – Uwagę Caine'a zwrócił jakiś ruch po lewej stronie. – Kto tam jest?

– Zapewne myśliwi. Chodźmy sprawdzić.

Szli ze dwadzieścia metrów, brnąc po opadłych liściach, aż dotarli do niewielkiej polanki, gdzie najwyraźniej czekało na nich trzech mężczyzn.

– Słyszeliśmy was – oświadczył chudy, siwiuteńki nieznajomy. Pod kurtkami wszyscy mieli takie same czarne kombinezony opinające ciało aż po brodę, a na palcach nosili smocze pierścienie, tyle że z oczami bez kamieni szlachetnych. Odważyli się założyć, gdyż nikogo obcego nie ma w pobliżu, pomyślał Allen cynicznie. Dodds dokonał prezentacji.

– Alain Rienzi, a to Dawis Hawking, Kelly O'Hara i Charles Kwon.

– Miło mi panów poznać – powiedział Caine.

Pomimo zaawansowanego wieku, O'Hara i Kwon, niezwykle szerocy w ramionach, wyglądali jak zapaśnicy. Nieco skośne oczy tego ostatniego świadczyły o wschodnim pochodzeniu.

Hawking skinął głową z chłodną uprzejmością.

– Słyszałem o tobie. Podobno piszesz książkę o wojnie.

– Zgadza się.

– Może Rienzi chciałby popatrzeć jak polujecie – podsunął Dodds.

Hawking wzruszył ramionami.

– Niech tylko na siebie uważa. – Sięgnął do sakiewki wiszącej u pasa i wyjął z niej metalowy przedmiot sporych rozmiarów. – Wdziałeś kiedyś coś podobnego, chłopcze? -zapytał.

Allen zaciekawiony wyciągnął szyję. Była to stalowa ośmioramienna gwiazdka o średnicy około piętnastu centymetrów. Choć miejscami zmatowiała, brzegi i czubki wyglądały na bardzo ostre.

– Nazywa się to „gwiazdką do miotania” lub „shurikenem”. Zaraz zobaczysz, jak się tego używa. Patrz na tamto stworzenie.

Caine spojrział we wskazanym kierunku. Po suchym pniu skakało zwierzątko wielkości małej małpy. Rozstawiwszy nieco nogi, Hawking chwycił gwiazdkę w środku i przyciągnął rękę do barku. Przez chwilę stał w takiej pozie, wychylony w przód, aż wreszcie wyrzucił ramię przed siebie, ciskając broń. Zwierzak był jednak szybki. Gdy pocisk doleciał do drzewa, on sam znajdował się już na sąsiednim. Wrzeszcząc wbiegł po pniu i zniknął z pola widzenia.

– Cholera – mruknął blackcollar. Odszukał gwiazdkę, a następnie dołączył do grupy. – Nie zawsze skutkuje. Ale od czasu do czasu trafiam kogoś. Może zostaniecie jeszcze i popatrzycie.

– Nie, dziękuję. – Allen ponownie wzdrygnął się, tym razem nie tylko z zimna. Wszyscy oni jedynie bawią się w żołnierzy. Próbują wskrzesić dawne umiejętności, które już przerastają ich siły. – Chyba rzeczywiście ubiorę się cieplej.

– Tak. Nie chcemy, żebyś nabawił się zapalenia płuc albo innej choroby. Kolaby potrafiłyby zapewne z naszych emerytur należność za twoje leczenie – skomentował O'Hara.

– Chodź, Rienzi, poszukamy Skylera – rzekł Dodds. – A wy, chłopcy, pospieszcie się lepiej. Potrzebne będzie jakieś mięso, jeśli chcemy zjeść obiad.

– Nie martw się – odburknął Hawking.

W oczach Caine'a zakręciły się łzy, gdy wraz z opiekunem ruszyli ku domowi. Nie obejrzał się już na polujących.

* * *

Trzej myśliwi stali w milczeniu, dopóki nie usłyszeli odgłosu drzwi zamykających się za niedawnymi obserwatorami.

– Wyglądał na mocno przygnębionego, prawda? – zwrócił się Hawking do pozostałych, chowając na miejsce gwiazdkę.

Kwon przytaknął.

– Oczywiście mógł grać.

– W takim razie musiałby być całkiem niezłym artystą -stwierdził O'Hara.

Hawking wzruszył ramionami.

– Cóż, przekonamy się po południu. Tymczasem spróbujmy coś upolować.

Wszyscy trzej zamarli nasłuchując. Pośród mnóstwa odgłosów – ćwierkania, buczenia i trzasków – dochodzących z koron drzew ponad ich głowami, Hawking wychwycił ledwie słyszalny chrobot. Jakieś zwierzę tarło pazurami o pień. Mężczyzna zlokalizował źródło dźwięku. Poczekał, aż ofiara pojawi się na gałęzi.

Ponownie sięgnął do pasa. Tym razem z ukrytego małego woreczka wyjął inną gwiazdkę. Ta także miała osiem ostrzy, ale na tym kończyło się wszelkie podobieństwo z poprzednią. Była o połowę mniejsza, cięższa, ostrzejsza i pomalowana na czarno. Nie spuszczać wzroku z celu, Hawking uśmiechnął się na wspomnienie naiwności Caine'a, który najwyraźniej uznał, że blackcollarowie używają treningowego shurikena do polowania.

Gwiazdka błysnęła w promieniach słońca i wbiła się głęboko w ciało skoczka, zanim ten zdążył zareagować. Stworzenie runęło niczym kamień. W gałęziach zapanowało ożywienie. O'Hara jednym pewnym ruchem wyjął gwiazdkę z ciała zwierzęcia i cisnął ją w górę. Drugi skoczek, zabity w locie, wpadł na drzewo, na które przeskakiwał, i osunął się na ziemię.

– Ale pokaz – mruknął Hawking, po czym ruszył odzyskać pocisk. O'Hara uśmiechnął się tylko i podążył za towarzyszem.

– Zaniosę nasze zdobycze do domu – zaproponował Kwon. – Upolujcie jeszcze co najmniej cztery sztuki. Dziś mamy dom pełen ludzi.

– W porządku – rzekł pewnie Hawking. Skinął na O’Harę i ruszył w las.

* * *

Biorąc pod uwagę problemy, jakie trzej myśliwi mieli w trakcie polowania, Caine’a zaskoczył fakt, że posiłek rzeczywiście podano w ustalonym czasie. Jedzenie było dość smaczne -pieczony skoczek przypominał nieco za twarde krewetki. Allen jednak całą niemal uwagę skoncentrował na obserwowaniu trzydziestu jeden mężczyzn zebranych wokół dużego, drewnianego stołu. To, co widział, nie napawało go otuchą.

Wszyscy zgromadzeni z dumą obnosili opinające szyje części dermopancerza i pierścienie z głową smoka. Oprócz Lathe’a był jeszcze jeden dowódca: Trevor Dhonau – pomarszczony starzec zajmujący miejsce u szczytu stołu. Lathe, siedzący obok Allena, przedstawił Dhonaua jako seniora blackcollarów mieszkających na Plinry. Caine nie wiedział, czy ten tytuł dawał jakąś władzę, ale teraz nie miało to już chyba znaczenia. Przyglądając się twarzom mężczyzn i przysłuchując rozmowom, doszedł do wniosku, iż tutaj nie znajdzie dla siebie pomocy. Z jednej strony nie ulegało wątpliwości, że komandosi nienawidzili Ryqrilów oraz ich dominacji. Z drugiej zaś jasne było, iż pogodzili się wreszcie z takim stanem rzeczy. Wiedział, że nie powinien spodziewać się niczego innego. Gdyby aktywnie występowali przeciw obecnym władzom, już dawno zostaliby zgładzeni. Mimo wszystko Caine nie mógł otrząsnąć się z szoku spowodowanego takim spostrzeżeniem.

Blackcollarowie, nawet ci starzy, nie należeli do ludzi marnujących czas na jedzenie, więc wkrótce talerze były puste. Chromy Trevor Dhonau niezdarnie podniósł się zza stołu. Zastukał nożem w talerz. Wszyscy zamilkli.

– Wojownicy, ponownie spotykamy się razem – przemówił, unosząc kielich. – Poświęćmy czas spędzany tutaj naszym towarzyskom, którzy odeszli, i wnieśmy toast, żeby ich ofiara nie poszła na marne.

Pozostali duszkiem wypili trunek. Caine, świadom odgrywanej tu roli kolaba, nie ruszył swojego kielicha. Lathe trącił gościa łokciem.

– Jest dobre – rzekł. – Tardy Spadafora sam je zrobił. Nie zamierzasz spróbować?

Allen pokręcił głową.

– Przykro mi. Nie powinienem przyjeżdżać... Nie pasuję do tego miejsca. – Spojrzał przez stół na siedzącego po drugiej stronie Mordecaia. – Słyszałem, że dziś wieczorem wracasz do Capstone. Mógłbym się z tobą zabrać?

Zapytany przeszył Ziemiańnika wzrokiem.

– Zobaczymy.

Lathe pociągnął Caine’a za rękaw.

– Nic z tego. Nie możesz wyjechać już dzisiaj. Przegapisz turnieje w posługiwaniu się shurikenami, nunczakiem i...

Allen wstał, czując odrazę do całej tej patetycznej farsy.

– Wybaczcie mi, proszę.

W pokoju przydzielonym mu przez Skylera zaczął zbierać ubrania oraz resztę przywiezionych rzeczy. Ledwie jednak wziął się do roboty, ogarnęły go nagłe zawroty głowy. Usiadł na podłodze. Przez kilka sekund starał się przezwyciężyć słabość, lecz siły opuszczały go gwałtownie. Zanim uświadomił sobie, co się dzieje, było już za późno na wzywanie pomocy.

Zasnął.

Rozdział 5

Caine pływał w ciemnej mgłę przecinanej eksplozjami światła. Nie miał pojęcia gdzie się znajduje, lecz nie odczuwał potrzeby zastanowienia się nad tym problemem. Odniósł wrażenie, że coś go obudziło, ale nie kojarzył sobie, co to mogło być. Słyszał jakiś głos.

– Jak się nazywasz? – zapytał ktoś surowym, stanowczym tonem.

„Allen Caine”, podsunął szybko jego umysł. Caine podświadomie czuł się zadowolony, że tak dobrze pamięta dane. Ale język nie był mu posłuszny.

– Al... Alain Rienzi.

– Jak się nazywasz?

– Alain Rienzi – powtórzył język.

Caine z zainteresowaniem obserwował własne poczynania. Postrzegał je niczym jakąś magiczną sztuczkę, wykonywaną przez kogoś zupełnie innego.

– Dla kogo pracujesz?

To już znacznie trudniejsze pytanie. Caine był teoretycznie samodzielny agentem. Znajdował się z dala od tych ludzi, których nazwisk nie pamiętał. Gdy powoli rozmyślał nad odpowiedzią, język udzielił własnej:

– Dla senatora DIT-u, Auriola.

Sytuacja zaczęła nużyć Allena, więc doszedł do wniosku, że należy z powrotem zasnąć.

– Obudź się! – zażądał głos.

Niechętnie wykonał polecenie.

Tajemnicze przesłuchanie zdawało się ciągnąć bez końca.

* * *

– No i co? – zapytał Trevor Dhonau.

Freeman Vale wyłączył mikrofon zapewniający łączność z sąsiednim pomieszczeniem, zanim wyraził swą opinię:

– Z pewnością nie jest Alainem Rienzim. Każdą jego odpowiedź poprzedza zbyt długie wahanie. Wydaje mi się, że wszystko, co mówi, to nieprawda. Z tego zaś wynika, że albo został dogłębnie ułożony albo przeszedł wspaniały trening psychologiczny.

Dhonau potakująco kiwnął głową i spojrzał na twarze milczących blackcollarów zgromadzonych w pozbawionym okien pomieszczeniu.

– Jakież uwagi?

– Może by zwiększyć dawkę weryfyny? – podsunął Kelly O'Hara.

Vale niecierpliwie machnął ręką.

– To na nic. Już podaliśmy maksymalną. I tak ciągle zasypia.

– Odciski jego palców odpowiadają tym na identyfikatorze -zauważył inny komandos. – Jeśli jest szpiegiem kolabów, dlaczego nie zostawili mu przynajmniej własnego nazwiska? Przecież nie polecimy na Ziemię, żeby sprawdzić dane.

– Celną uwagę – przyznał Dhonau. – Z drugiej strony, jeśli wysłała go tutaj jakaś podziemna organizacja, aby zrealizował określoną misję, to w jaki sposób dostał się na Plinry? Na Ziemi, a także u nas wszystkich podróży dokładnie kontrolują. Galway zaś nie jest głupcem.

– Zapytajmy go zatem – odezwał się Lathe opanowanym głosem, przerywając ciszę. – Podobne rozważania w niczym nam nie pomogą.

Najstarszy z grona blackcollarów wydał policzki.

– Chyba masz rację. Vale, Haven... przynieście tego Rienziego.

Po przebudzeniu Caine czuł dotkliwy ból głowy. Nie był w stanie utrzymać się na nogach. Dwaj blackcollarowie prze- nieśli go więc do pomieszczenia, gdzie czekała cała grupa. Allen zdawał sobie sprawę, że poddano go działaniu jakichś środków psychotropowych. Nie wiedział jednak, dlaczego aż tylu blackcollarów bierze w tym wszystkim udział. Czternastu mężczyzn w czarnych kombinezonach tłoczyło się w ciasnym pokoju. Byli wśród nich Dhonau, Skyler, Mordecai i Lathe. Celu obecności tego ostatniego nie potrafił zrozumieć.

– Siadaj – rzekł Dhonau. Caine z ulgą opadł na podsunięte mu krzesło. Dwaj podtrzymujący go blackcollarowie wycofali się pod jedyne widoczne wyjście z pomieszczenia.

– Zacznijmy od twojego nazwiska – zaproponował najstarszy z zebranych. – Wiemy, iż nie nazywasz się Alain Rienzi oraz to, że przeszedłeś doskonały trening psychologiczny. Zobaczymy jednak, czy zdołasz zachować przed nami swoje tajemnice, gdy zostaniesz poddany, w razie konieczności, fizycznym torturom.

Plecy Allena oblał zimny pot. Caine rozejrzał się, analizując w myślach, co by nastąpiło, gdyby rzucił się w kierunku drzwi. Tylko dwóch, niewątpliwie mniej sprawnych od niego, ludzi blokowało

drogę. Allen wciąż jednak czuł osłabienie po środkach, które mu podano. Poza tym blackcollarowie teoretycznie byli przecież po jego stronie... a w głosie Dhonau zabrzmiało coś, czego nie słyszał wcześniej.

– W porządku – powiedział wolno. – Ale musicie dać słowo, że będziecie milczeli. Moje życie wisi teraz na włosku.

Ktoś z boku prychnął.

– A nasze nie?

– Chodziło mi tylko...

– Wszyscy jesteśmy świadomi niebezpieczeństwa – zapewnił Dhonau. – Za twoimi plecami pracuje wygniatacz pluskiew.

Caine spojrział przez ramię. W rogu stało urządzenie w kształcie grzyba, które tak często widywał w czasie tajnych spotkań na Ziemi. Ponownie przeniósł wzrok na Dhonaua.

– Dobrze. Nazywam się Allen Caine. Jestem członkiem ziemskiego ruchu oporu. Potrzebuję waszej pomocy.

Nie zauważył, aby wiadomość ta zaskoczyła obecnych. Tylko paru w zamyśleniu pokiwało głową. Twarz najstarszego blackcollara pozostała niewzruszona.

– Możesz tego dowieść?

– Nie wiem. Miałem nadzieję, że znajdę tu generała Avrila Lepkowskiego. Jeden z naszych przywódców, generał Morris Kratochwil, zamierzał dać mi list przedstawiający i rekomendujący moją osobę. Nie sądzę, żeby Galway skłamał, że Lepkowski nie żyje.

Dhonau pokręcił głową.

– Zginął wraz ze wszystkimi współpracownikami, w schronach Nowego Karachi podczas ostrzału naziemnego – wyjaśnił Dhonau. – Masz ze sobą ten list?

– Niestety nastąpiły poważne komplikacje. – Caine opowiedział o likwidacji kryjówki ruchu oporu oraz o swojej ucieczce na Plinry. – Bez odpowiednich dokumentów nie mogę uzyskać dostępu do archiwum. Miałem nadzieję, że miejscowe podziemie przyjdzie mi z pomocą.

– Hm... – Senior blackcollarów zamyślił się. – Widzę, że starannie unikasz wyjawienia powodu, z jakiego musisz dotrzeć do archiwum. Co w nim jest tak ważnego?

Allen głęboko wciągnął powietrze do płuc. Oto nastąpił punkt kulminacyjny wieloletnich przygotowań, od których zależała możliwość wyzwolenia Ziemi. Wystarczająco często słyszał, jak ważne znaczenie ma powierzona mu tajemnica, lecz teraz musiał ją zdradzić. Nie było innego wyjścia.

– Gdzieś tam – zaczął, wskazując w górę – jest ukryty wielki skarb. Pięć okrętów gwiazdnych klasy Nova. Zaopatrzonych w paliwo, uzbrojonych i gotowych do lotu.

I znowu, jak poprzednio, wypowiedź nie spotkała się ze spontaniczną reakcją słuchaczy. Ale tym razem zaległa grobowa cisza. Dhonau pierwszy odzyskał mowę.

– Chyba żartujesz – przemówił dziwnie zmienionym głosem.

Allen zaprzeczył ruchem głowy.

– Zgadzam się, że trudno w to uwierzyć. Posłuchajcie jak do tego doszło. W pierwszych latach wojny DIT produkował znaczne ilości uzbrojenia. Na początku roku 2424 ktoś w Najwyższym Dowództwie wpadł na pomysł ukrycia pewnej liczby w pełni wyposażonych i obsadzonych przez załogi okrętów na jednym z systemów w pobliżu linii frontu. Plan zakładał pozwolenie Ryqrilom na wejście w głąb naszego terytorium -czego by i tak dokonali – a później nagłe uderzenie tych ukrytych sił na szlaki zaopatrzeniowe wroga.

– Niczego by to nie zmieniło – mruknął jakiś blackcollar.

– Wtedy żaden atak nie mógł już nam przynieść zwycięstwa – zauważył Dodds siedzący obok Lathe'a.

– Cóż, nigdy się o tym nie przekonamy – stwierdził Caine. -Zgodnie z planem pięć okrętów zostało przerzuconych przez ograniczone do minimum załogi, które ukryły je i wróciły na Ziemię. Konwój z pełnymi załogami wpadł w zasadzkę Ryqrilów. Został kompletnie zniszczony, chociaż obcy nigdy nie dowiedzieli się, czemu właściwie zapobiegli. W każdym razie wieść o incydencie dotarła do właściwych ludzi, gdy było już za późno. Ryqrilowie posunęli się naprzód, co całkowicie uniemożliwiło przerzucenie załóg przez linię frontu. Wszystkie dokumenty dotyczące tego planu zostały zniszczone na Ziemi przed zwycięstwem Ryqrilów, a ludzie znający miejsce ukrycia okrętów już nie żyją. Pozostała garstka oficerów zrezygnowała z realizacji projektu. O całej sprawie przypomniało sobie jednak jakieś siedem lat temu.

– Zdublikowane dane znajdują się na Plinry? – zapytał Skyler.

Caine przytaknął.

– Generał Kratochwil odszukał byłego kontradmirała, który stacjonował na waszej planecie. Namiary okrętów są ukryte w jednym z cywilnych dokumentów, w archiwum. Zapisano je specjalnym kodem, by nikt niepowołany nie zorientował się, o co chodzi.

– Mów dalej – poprosił Dhonau.

– Nie. Reszta musi pozostać tajemnicą.

– Rozumiem. – Stary blackcollar podrapał się po policzku. – Co zamierzałeś zrobić po zdobyciu potrzebnych informacji?

– Według ustalonego planu miałem wrócić na Ziemię, wciąż jako Alain Rienzi. Zadaniem ruchu oporu było odszukanie i zwerbowanie członków starych załóg, porwanie jakichś statków, a następnie dotarcie do krążowników, zanim znajdą je Ryqrilowie. Teraz... – Zrezygnowany wzruszył ramionami. - Sam nie wiem, co zrobię.

– Wróćmy do Rienziego – przemówił Dhonau, nagle zmieniając temat. – Jak to się stało, że mogłeś podawać się za niego?

– Ktoś o tym nazwisku naprawdę istnieje. Jest adiutantem senatora DIT-u, członkiem rodziny posiadającej powiązania z rządem. Widocznie wyglądem przypominam Rienziego. Członkowie ruchu oporu porwali go, przerobili identyfikator i zmienili dane w bazie komputerowej, żeby odpowiadały moim odciskom palców oraz wzorowi siatkówki.

– To niemożliwe – zawyrokował Hawking nie znoszącym sprzeciwu tonem.

– Nie wiem, jak zostało to zrobione, ale...

– Posłuchaj Caine, nie da rady dostać się pod plastik na identyfikatorze kolabów. Sam próbowałem. A jeśli chodzi o nie postrzeżone wniknięcie do komputerowych baz danych, to kompletne mrzonki.

– A jednak najwyraźniej udało się tego dokonać. – Agent podziemia poczuł wzbierającą wściekłość, ale zdołał ją opanować. – W przeciwnym razie wpadłbym już na lotnisku w Nowej Genewie.

– W porządku, uspokójcie się, panowie – przeciął dyskusję zdecydowany głos Dhonau. – Vale, Haven... wyprowadźcie Caine'a. Musimy zastanowić się nad zaistniałą sytuacją. Wkrótce powiadomimy cię, co ustaliliśmy.

Allen wstał z niemałym trudem. Skinął głową i wyszedł. Drzwi zamknęły się tuż za jego plecami.

* * *

Przez dłuższą chwilę w pomieszczeniu panowała cisza, podczas której zgromadzeni analizowali słowa Caine'a. Gładząc pierścień, Lathe rozejrzał się ukradkiem, próbując odgadnąć, co myślą pozostali. W głowie starca aż kłębiło się od różnorodnych spekulacji.

Dhonau pierwszy zabrał głos:

– Co o tym sądzicie?

– Uważam, że przede wszystkim powinniśmy zastanowić się, czy można ufać Caine'owi – rzekł Skyler, cedząc słowa.

– Jeżeli ktoś rzeczywiście zdołał dostać się do komputera kolabów, to fakt ten nie mógł pozostać nie zauważony -wyjaśnił Hawking.

– Odkryto by manipulację, zanim Caine opuścił planetę?

– Znacznie wcześniej. Bardzo prawdopodobne, iż Ryqrilowie złamali przywódców ruchu oporu i pozwolili wymknąć się Caine'owi, żeby doprowadził ich do okrętów.

– Ale jeśli wiedzą o wysłanniku, dlaczego Galway nie dopuszcza go do archiwum? – zaprotestował O'Hara. – Powinni przecież starać się zapewnić mu dyskretne wszystko, czego potrzebuje.

Siedzący obok Lathe'a Dodds poruszył się niespokojnie.

– Istnieje jeszcze inna możliwość – rzekł. – Ruch oporu mógł przygotować bardzo przemyślną sztuczkę z Caine'em. Niewykluczone, że jest klonem Rienziego.

Dhonau zmrużył oczy.

– Co masz na myśli?

– Po kilku pierwszych latach od zakończenia wojny dało się przewidzieć, że rodzina Rienzich utrzyma się u władzy. Trzeba więc było tylko zdobyć niewielki fragment skóry nowo narodzonego syna, aby na jej bazie zrobić klona i wychować powstałe dziecko pod nadzorem ruchu oporu.

Sklonowanie zapewniało identyczne odciski palców i wzór siatkówki. Kilkumiesięczna różnica wieku nie stanowiła najmniejszego problemu.

– Czy to możliwe, aby siły bezpieczeństwa nie zwróciły uwagi, że ktoś pobiera próbkę skóry?

– Na początku nie prowadzono tak ścisłej kontroli jak teraz -zauważył Lathe. – Przynajmniej na Plinry.

– Czy ktoś się orientuje, jak zaawansowana była technika klonowania pod koniec wojny? – spytał Dhonau.

– Słyszałem, że usilnie nad tym pracowano, aż wreszcie udało się pokonać problem niestabilności – rzekł Dodds. – Ale nie mam pojęcia, czy zdołano wyjść poza sferę eksperymentów.

– Zostawmy to teraz – przemówił potężny czarnoskóry James Novak. – Nawet jeśli Ryqrilowie wiedzą o wszystkim, możemy ich ubiec. Chcę tylko wiedzieć, czy rzeczywiście warto zajmować się pięcioma krążownikami?

– Celna uwaga – przyznał O’Hara. – Przecież w skład floty Ryqrilów wchodzi ze dwieście podobnych okrętów oraz niezliczona liczba mniejszych jednostek.

– Oczywiście, ale prawie wszystkie są zaangażowane w wojnę z Chryselli – zabrał głos Hawking. – Sądzę, że poza Korsarzami na obszarze DIT-u pozostało niewiele okrętów.

– Znajdujemy się daleko na tyłach Ryqrilów – zauważył Kwon. – Chociaż po trzydziestu latach moglibyśmy postąpić według oryginalnego planu i uderzyć na ich transporty z zaopatrzeniem.

– Hmm. Chryselli – zadumał się Dhonau. – Co wiecie na ich temat?

Zapanowała chwila ciszy.

– W kilka lat po rozpoczęciu wojny DIT wysłał ludzi na rozmowy z nimi – odezwał się wreszcie Lathe. – Pertraktacje prowadził generał Lepkowski, zanim został dowódcą naszego odcinka frontu. Mój brat był w załodze jego okrętu.

Ostatnie słowa wypowiedział z ogromnym przekonaniem i tylko Dodds wiedział, że to nieprawda.

– Jak wyglądają? – zapytał Novak.

– Niskie, pękate stwory. Ogromne włochate kule na nogach, jak mówił Paul. Ciepłokrwiste, oddychają tlenem... reszty nie pamiętam. W każdym razie Lepkowski miał nakłonić ich, aby razem z nami toczyli wojnę przeciwko Ryqrilom.

– Widać misja się nie powiodła – zauważył oschle O’Hara.

– Tak, ale nie dlatego, że Chryselli nie widzieli zagrożenia. Po prostu nie byli gotowi do wojny. Uznali, że zyskają na czasie, przygotowując się do obrony, podczas gdy Ryqrilowie będą zajęci zdobywaniem naszych planet.

– Bardzo sprytny typy. Lathe wzruszył ramionami.

– Nie powinniśmy mieć do nich żalu. Nawet teraz, po czterdziestu latach, jeśli wierzyć doniesieniom, z trudem bronią się przed wrogami.

– Kiedy między stanem zbrojnym obu stron panuje względna równowaga, pięć krążowników klasy Nova stanowi poważną siłę – rzekł Kwon.

– Zgadza się – przyznał Dhonau. – Jeśli nawet uznalibyśmy, że Chryseli nie są warci bezpośredniej pomocy, moglibyśmy skierować okręty na ziemską orbitę, zniszczyć możliwie najwięcej sprzętu Ryqrilów i spróbować wszcząć powstanie. Wystarczy, abyśmy już przerwali izolację, na jaką skazali nasze światy.

– Pamiętaj tylko, że od pierwszego dnia będziemy ich mieli na ogonie – ostrzegł Chelsey Jensen, przesuając palcami po gęstych blond włosach przetykanych siwizną. – Nie planuj więc żadnych spektakularnych akcji. Pięć krążowników lecących razem zostawiłoby za sobą ślad długi na sześć parseków.

– Przecież można się rozproszyć i działając w pojedynkę wiele namieszać. Twierdzę, że to warte zachodu – skwitował Skyler.

Ponownie zapadła cisza.

– Jeszcze coś? – zapytał Dhonau. – Nie? Kto zatem głosuje za zaangażowaniem się w to zadanie?

Lathe wiedział, że teoretycznie głosowanie nie jest konieczne. Gdyby on i Dhonau, dwaj dowódcy oddziałów, podjęli decyzję, pozostali mieli obowiązek respektować ich rozkazy. Niemniej nie miał nic przeciwko głosowaniu, na dodatek anonimowemu. Wszyscy już od dawna czekali na coś podobnego.

Dhonau skinął na Vale'a i Havena. Dwaj blackcollarowie wyszli i prawie natychmiast wrócili z Caine'em. Lathe uważnie przyglądał się twarzy młodzieńca. Ten dobrze panował nad jej wyrazem, więc trudno było się zorientować, jak ogromne przeżywa napięcie. Dhonau poczekał, aż Ziemianin usiądzie, po czym rzekł:

– Omówiliśmy całą sprawę. Postanowiliśmy, że zapewnimy ci potrzebną pomoc.

– Wspaniale. Dziękuję bardzo. – Allen pochylił się do przodu. – W takim razie, skontaktujcie mnie z tutejszym podziemiem.

– Chwileczkę! – Stary blackcollar uniósł pomarszczoną dłoń. – Na Plinry nie ma żadnej zorganizowanej opozycji. Jesteśmy tylko my.

Caine na chwilę zaniemówił po czym krzyknął:

– Ależ to niemożliwe! Przecież miejscowi ludzie są rozgoryczeni, szczególnie młodzież. Wystarczająco nienawidzą Ryqrilów, żeby z nimi walczyć.

– Niewykluczone. Ale wszelkie organizacje tego typu powstają wtedy, gdy istnieją jakieś wyraźne punkty zapalne. W innych przypadkach ludność pozostaje niezadowolona, lecz bierna. – Dhonau powiódł wzrokiem po pokoju. – Obawiam się, że właśnie z taką sytuacją mamy do czynienia na Plinry. Organizowaliśmy kursy sztuki wojennej. Nasze starania były jednak niewystarczające i spóźnione, by mogły dać efekty.

– Rozumiem – rzekł Caine uprzejmie, lecz w jego głosie wyraźnie brzmiała nuta gorczy. – Mogę więc zapytać, jak zamierzacie mi pomóc?

– Poprosimy kolabów o dostęp do naszych starych wojskowych raportów. Mamy przecież takie prawo.

Allen pokręcił głową.

– To nie ma szans powodzenia – rzekł zrezygnowanym tonem. – Galway wie, iż dzisiejszy dzień spędzamy wspólnie. Domyśli się, że prosicie o to w moim imieniu, a wtedy zastanowi się dlaczego. W chwili gdy zacznie coś podejrzewać, wszystko przepadnie.

Dhonau podrapał się za uchem.

– No cóż... Masz rację. Ale nie martw się, Caine. Pozostało jeszcze kilka dni na wymyślenie jakiegoś rozwiązania. Posłuchaj, jeśli chcesz, wróć już z Mordecaiem do Capstone. Bagaze są spakowane, więc możecie jechać choćby zaraz. My zostaniemy tu dzień lub dwa i wspólnie zastanowimy się nad planem działania. Tymczasem umówmy się, że za trzy dni przyjdiesz na spotkanie ze Skylerem do znanego ci już baru. Powiedzmy o czternastej trzydzieści.

Caine zawahał się, wreszcie wzruszył ramionami i potakująco kiwnął głową.

Allen wstał i powiódł wzrokiem po blackcollarach. Obserwującemu go Lathe'owi wydało się, że w oczach agenta ruchu oporu dostrzegł tylko litość dla zgromadzonych i żal.

– Cokolwiek się stanie, jestem wam wdzięczny za wyrażoną gotowość pomocy.

Mordecai podniósł się z podłogi i ruszył pierwszy. Caine, skłoniwszy się, podążył za mężczyzną.

– Chyba pozbawiliśmy tego biednego chłopaka wszelkich iluzji – mruknął O'Hara.

– Jakoś to przeżyje – skwitował Dhonau. – Jeśli Ryqrilowie już siedzą mu na karku, powinniśmy uderzyć w najmniej oczekiwanej chwili. Ruszamy dziś wieczorem. Pełen stan gotowości, zmodyfikowany plan Delta.

Lathe drgnął na te słowa, odruchowo napinając mięśnie, zanim świadomie je rozluźnił. Pozostali reagowali w podobny sposób, co sprawiało zaskakujące wrażenie. Wszyscy wyczekująco wpatrywali się w Dhonaua. Ożywiony wzrok ujął blackcollarom lat. Lathe w myślach porównał Dhonaua do dzikiego kota tuż przed atakiem.

– Vale, natychmiast udasz się do Capstone. – Głos seniora nabrał ostrego brzmienia. Nie należał już do słabego starca, lecz do dowódcy blackcollarów. – O'Hara, ty dowodzisz wabikiem. Skyler, będziesz oswobodzicielem. Kwon, Haven i Novak, wy odpowiadacie za szturm. Sam zajmę się muchołapką. Lathe, pojedziesz do Piasty z Caine'em. Jakies pytania? Godzina zero... – spojrzął na zegarek – za cztery godziny, dokładnie o dwudziestej piątej. Zbierać drużyny i ruszać.

* * *

Dodds stał przy oknie swojego pokoju, gdy Lathe wślizgnął się cicho, zamykając za sobą drzwi.

– Spodziewałem się ciebie – powiedział, nie odwracając głowy.

– Nic dziwnego. Wiesz zapewne także, o co chcę cię prosić. Dodds popatrzył na buczący cicho wygniatacz pluskiew i wreszcie spojrzął na przyjaciela.

– Lepiej wyjaśnij wszystko dokładnie.

Lathe szeptem przedstawił swój plan. Gdy skończył, Dodds uśmiechnął się krzywo.

- Jeśli odmówię, znajdziesz kogoś innego? Oczywiście, że polecę.
- Dobrze. Pamiętaj, żeby trzymać się z tyłu, aż ustanie strzelanina. Umieszczę cię na pozycji nie wymagającej walki, jako ubezpieczającego razem z Havenem. Umiesz latać Korsarzem?
- Tak. Ale zanim wystartuję, będę musiał wiedzieć, który to system.
- W porządku – powiedział Lathe, gładząc pierścień z głową smoka.

Rozdział 6

Caine zamknął za sobą drzwi pokoju hotelowego i cisnął torbą przez całą długość pomieszczenia na łóżko. Złość, frustracja i – tak, zdawał sobie z tego sprawę – wżgarda zdążyły już ujść z niego niczym powietrze z balona. Podczas drogi powrotnej do Capstone Mordecai nie był bardziej rozmowny niż wtedy, gdy wioził przybysza do domku myśliwskiego. Jeśli zaś zmienił do Allena nastawienie na bardziej przyjacielskie, można by je zmierzyć chyba tylko mikrometrem. Istniało prawdopodobieństwo, że blackcollar obawiał się ukrytych mikrofonów, ale Caine osobiście w to wątpił. Ten człowieczek po prostu go nie lubił. Allen nie miał jednak o to żalu. Pochopna oferta pomocy zgłoszona przez Dhonaua i tak napytałaby blackcollarom kłopotów, gdyby Galway się o niej dowiedział. Gdyby... Do diabła, zapewne już znał szczegóły.

Za oknem zapadał zmrok. Wzdychając, Caine podszedł do łóżka. Rozpakowując torbę, zastanawiał się nad zaistniałą sytuacją. Spotkanie z blackcollarami okazało się niewypałem. Musiał znaleźć inne rozwiązanie.

Przerwał rozmyślania, rażony nagłą myślą. Przyjrzał się uważnie ubraniom wyrzuconym na łóżko.

Brakowało lekarstwa.

– Cholera – mruknął, na próżno przeszukując kieszenie. Przypomniawszy sobie wreszcie, że to przecież blackcollarowie pakowali jego rzeczy. Klnąc podszedł do telefonu i wykręcił numer do informacji.

Jak się okazało, Mordecai należał do zaledwie trzydziestu procent szczęśliwców spoza Piasty, posiadających telefon. Komandos podniósł słuchawkę po szóstym sygnale.

– Co jest, Rienzi?

Caine wyjaśnił w czym rzecz, powstrzymując się od wskazania winowajców.

– Nie znalazłem numeru do domku myśliwskiego. Wiesz, jak się z nimi skontaktować?

– Tak. Możesz dojechać samochodem albo pójść pieszo. Spotkajmy się przy wschodniej bramie za trzydzieści minut. Zawiozę cię do domku.

– Nie, nie ma sensu – rzekł pospiesznie Allen. – Na pewno gdzieś w mieście zdobędę to lekarstwo.

– Posłuchaj, nie chcemy cię mieć na sumieniu. Wschodnia brama za pół godziny.

Ekran zgasł.

Klnąc pod nosem, Caine włożył płaszcz i wyszedł.

* * *

Jazda w góry była dla Allena niczym powolna agonía. Mordecai ani razu nie użył słowa „głupi” w odniesieniu do Caine’a, choć najwyraźniej miał na to ochotę. Ziemianin odetchnął z ulgą na widok domku myśliwskiego.

Światło przebijało przez zasłony w holu. Kiedy zbliżyli się do drzwi, dobiegły ich głośnie rozmowy i wybuchy śmiechu. Napitki własnej roboty lały się dziś zapewne strumieniami.

Mordecai sięgnął do klamki, jednocześnie odwracając się do swojego pasażera i przykładając palec do ust. Caine zmarszczył czoło, ale posłusznie nie odezwał się ani słowem. Blackcollar otworzył drzwi.

Pomieszczenie było puste.

Allen spojrział na towarzysza, powstrzymując się od zadawania pytań. Zauważył, że Mordecai przypatruje mu się z nieco ironicznym uśmiechem. Plinrianin wskazał ruchem głowy długi stół, przy którym wcześniej jedli obiad. Agent ruchu oporu zajrzał pod blat. Znajdowało się tam pięć pracujących magnetofonów.

Gdy Allen wyprostował się, przewodnik kiwnął na niego spod drzwi prowadzących w głąb budynku. Biesiadne odgłosy stopniowo cichły, kiedy komandos prowadził gościa przez labirynt ciemnych korytarzy, a później w dół długimi schodami. Caine doszedł do wniosku, że znajdowali się już dobre pięćdziesiąt metrów pod powierzchnią ziemi. Na końcu kolejnego mrocznego korytarza widniały drzwi oświetlone dwiema lampkami.

– Witam powracających – rozległ się głos za ich plecami. Caine natychmiast uskoczył w bok. Błyskawicznie odwrócił się, jednocześnie unosząc ręce w bloku karate i starając się przebić wzrokiem ciemności. Głos zachichotał.

– Świetny refleks – pochwaliła potężna, ubrana na czarno postać, która bez najmniejszego szmeru wysunęła się z niszy w ścianie.

Skyler uniósł przeciwodblaskowe gogle, uśmiechnął się szeroko do Ziemianina, a następnie posłał wymowne spojrzenie jego towarzyszowi.

– Dobra – mruknął Mordecai, wskazując podwójne drzwi. -Idziemy, Caine.

Weszli przez nie do dużego, jasno oświetlonego pomieszczenia... i Allen zamarł w pół kroku z zaskoczenia.

Pokój był pełen blackcollarów!

Oślepiiony, zdezorientowany Caine stał chwilę, mrugając powiekami, po czym rozejrzał się uważnie. W sali siedziało co najmniej stu mężczyzn, odzianych w ściśle dopasowane do ciała czarne ni to kostiumy, ni kombinezony. Identyczny strój miał na sobie Skyler. Większość obecnych sprawdzała sprzęt lub nosiła jakieś skrzynki w przeciwległy koniec pomieszczenia, gdzie stały dwa wagony z własnymi napędami. Reszta kończyła się ubierać. Caine wciąż rozglądał się wkoło, nie mogąc wyjść ze zdumienia.

– Przepraszam, że musieliśmy odegrać tę szopkę, chowając ci lekarstwo, ale było to konieczne, żeby niepostrzeżenie sprowadzić cię tu z powrotem – odezwał się jakiś mężczyzna. -Niestety kolaby wszędzie mają uszy.

Allen odwrócił się do mówiącego. W tym samym momencie zauważył, że Mordecai zniknął już gdzieś. Ziemianin niemal nie poznał stojącego obok blackcollara, choć ten nie założył jeszcze kasku ani gogli.

– Lathe? – zapytał z niedowierzaniem.

– Tak się nazywam – odpowiedział, uśmiechając się wesoło.

Caine z trudem mógł uwierzyć w zmiany, jakie zaszły w wyglądzie tego człowieka. Broda została ostrzyżona bardzo krótko. Po siwiźnie nie było ani śladu. Jednak jeszcze bardziej uderzający wydawał się wyraz determinacji na twarzy Lathe'a. Po raz pierwszy Ziemianin dojrzał wolę działania blackcollara i aż zadrżał, zaszokowany jej siłą.

– Zmieniłeś się od popołudnia. Odmłodniałeś o co najmniej piętnaście lat.

Lathe uśmiechnął się ponownie, nie spuszczać wzroku z Caine'a.

– Większość tego bagażu lat sam sobie dołożyłem. Idunina w niewielkich ilościach czyni cuda z kośćmi i mięśniami.

– A więc jej używaliście. Miałem taką nadzieję, ale nie chciało mi się wierzyć...

– Chodzi o moją nieruchawość i nienormalne zachowanie? Allen przytaknął, po czym rzekł z uznaniem:

– Wszystko zostało świetnie odegrane. Ale żeby zwodzić władze tak długo...

– Trzydzieści lat – uzupełnił Lathe, kiwając głową. – Chodź, zmienisz ubranie. Mamy dermopancerz, który powinien być na ciebie dobry.

Obaj ruszyli w kierunku rzędu szafek.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał Caine, gdy mijali szumiący wygniatacz pluskiew -jeden z pięciu czy sześciu rozmieszczonych w różnych punktach pomieszczenia.

– Na starej stacji kolejki pod domkiem myśliwskim „Hamner” – wyjaśnił blackcollar. – Nie używano jej od zakończenia wojny. Zaczęliśmy zbierać sprzęt i gromadzić go tutaj jakieś pięć lat temu, gdy kolabom znudziło się już śledzenie każdego naszego kroku. Tory stąd do Capstone wciąż nadają się do użytku. Wagoniki zaś mają własne zasilanie. Sami się o to postaraliśmy.

Stanęli przed otwartą szafką i Allen na polecenie Lathe'a zaczął zdejmować ubranie.

– Mam nadzieję, że na coś mi się przyda ten kombinezon -skomentował z powątpiewaniem w głosie, przyglądając się strojowi Lathe'a.

– Na pewno – rzekł blackcollar. – Powstrzymuje większość pocisków, łącznie z takimi, których sama siła uderzenia odrzuca ciało na metr. Gdy zostaniesz trafiony, materiał stwardnieje i energia pocisku rozłoży się na większą powierzchnię. Laser przeciwpancerzy przebiję powłokę, ale zwykła broń ręczna może najwyżej zniszczyć wierzchnią warstwę.

– Więc drugi strzał sięgnie ciała?

– Przeciężny strzelec zdąży trafić tylko raz – rzekł cicho komandos. – Wiedz jednak, że w niczym nie przypomina to średniowiecznej zbroi płytowej – ciągnął. – W walce wręcz trzeba polegać wyłącznie na własnych umiejętnościach. Dermopancerz nie zabezpiecza przed uderzeniami ani kopnięciami, nieco tylko je osłabia.

– Dziękuję za ostrzeżenie.

Lathe wychwycił jakąś fałszywą nutę w głosie Allena.

– Powinieneś uważać się za szczęściarza, że masz co na siebie włożyć – oświadczył zgryźliwie. – Mnóstwo chłopców rusza dziś do walki wyłącznie w zwykłym czarnym stroju, a co najwyżej w kamizelce z dermopancerza.

– Nie rozumiem.

– Większość naszych wojowników to dzieciaki. Pod samym nosem Galwaya zwerbowałem najzdolniejszych adeptów kursu sztuki wojennej. Od kilku lat ćwiczą razem z nami.

Głos blackcollara dał wyraz czemuś, co sprawiło, że Caine na moment przestał się ubierać.

– Znoszenie kpín i pogardy było bardzo trudne, prawda? -zapytał. – Chyba nie wytrzymałbym tego.

– Wielu spośród nas nie mogło znaleźć miejsca w zaistniałej rzeczywistości – mruknął Lathe. – Dlatego właśnie wojna partyzancka trwała tak długo. Nie chcieli przerwać walki.

– Wy natomiast złożyliście broń.

Allen uznał, że posunął się za daleko. Ale wściekłość tylko na moment wykrzywiła twarz Lathe'a.

– Nie poddaliśmy się, tylko zmieniliśmy taktykę. – Dowódca wydał z siebie dźwięk będący mieszaniną westchnienia i parsknięcia. – Posłuchaj pewnej historii. Jakies siedemset lat temu, w Starej Japonii, na Ziemi żył pan o imieniu Kira, który spowodował, że jego przeciwnik okrył się hańbą. Wróg -Asano – popełnił samobójstwo, bo tak nakazywał obyczaj.

Czterdziestu siedmiu samurajów Asano powinno pójść w ślady swojego pana, ale zamiast tego rozdzielili się i spadli do najniższej klasy społecznej. Stracili żony, rodziny, przyjaciół, wszyscy bowiem traktowali ich z pogardą. Oczywiście Kira uznał samurajów za niegroźnych. I nagle, pewnego zimowego ranka czterdziestu siedmiu mężczyzn pojawiło się w pałacu Kiry. Pokonali strażników, schwytali i zabili Kirę. Kiedy już wypełnili swą powinność, popełnili samobójstwo.

Zamilkł. Allen, nie znajdując odpowiednich słów komentarza, skoncentrował się na ubieraniu. Strój, z wyjątkiem szczególnego surowca, z jakiego został wykonany, krojem przypominał typowy ubiór komandosów. Na rękawach i nogawkach miał wszyte pochwy na noże. Pod kłamrą pasa oraz na wysokości ud znajdowały się prostokątne kieszonki. Wszystkie schowki były puste, co zaniepokoiło Caine'a.

– Jak leży? – zapytał Lathe.

Allen zrobił parę kroków i spróbował wykonać kilka ciosów karate.

– Nieźle.

– To dobrze. Bierz rękawice, kask, gogle i ubranie, które miałeś na sobie. Ruszamy.

– A co z bronią?

– Nie masz żadnej – oświadczył blackcollar, ucinając wszelkie protesty szybkim uniesieniem ręki.
– Wiem, wiem, jesteś świetnie wyszkolony w walce i potrafisz posługiwać się wszelkiego rodzaju orężem używanym po tej stronie Chaparralu. Ale dla nas stanowisz przykład niebezpiecznego amatora, który bronią przez nas stosowaną może zrobić większą krzywdę sobie niż wrogowi.

Caine poczuł, że traci panowanie.

– Słuchaj, Lathe...

– Nie, to ty lepiej popatrz.

Blackcollar odskoczył do tyłu i z długiej pochwy na biodrze wyjął dwa trzydziestocentymetrowe kijki połączone krótkim czarnym łańcuchem. Lathe chwycił za jeden patyk, a drugim zaczął wymachiwać wokół swojej głowy i całego ciała z taką szybkością, że otaczała go jakby lekka mgiełka. Allen głośno przełknął ślinę. Nigdy nie widział tak ogromnej wprawy w posługiwaniu się nunczakiem.

– W porządku. Przekonałeś mnie, ale tylko jeśli chodzi o walkę wręcz. Na większe odległości potrzebujecie pistoletów, a ja jestem strzelcem wyborowym.

Blackcollar złożony nunczako wsunął je na miejsce.

– Jensen! – zawołał. – Rzuć mi cel!

Blondyn, do którego się zwrócił, kiwnął głową i odłamał kawałek plastikowego pudła. Rozejrzał się, po czym rzucił tę część w najmniej zatłoczone miejsce.

Caine kątem oka dostrzegł tylko nagły błysk. Nie było jednak wątpliwości, że cel został trafiony, gdyż zupełnie zmienił tor lotu. Jensen podniósł odłamek i posłał go pod nogi Lathe'a.

– Rzadko używamy konwencjonalnej broni palnej lub laserowej – powiedział cicho dowódca oddziału komandosów. Wyjąwszy z celu gwiazdkę, wsunął ją do schowka na udzie. -Jest zbyt łatwo wykrywalna.

Ziemianin z trudem odzyskał mowę.

– Przekonałeś mnie.

– Cieszę się bardzo. Chciałbym cię jeszcze uprzedzić co do jednego. – Lathe popatrzył Caine'owi prosto w oczy. – Wciąż nie wiem, czy jesteś tym, za kogo się podajesz, czy też szpiegiem, który chce nas zdradzić... ale jeśli to zrobisz, przysięgam, że cię zlikwiduję. I nikt mnie przed tym nie powstrzyma. Jasne?

Allen wytrzymał spojrzenie blackcollara.

– Nie zdradzę was.

Lathe przyglądał mu się jeszcze przez moment, po czym lekko skinął głową i zrobił krok do tyłu.

– W porządku. Ruszajmy.

Rozdział 7

Zanim opuścili domek myśliwski, wiatr rozgonił już kilka postrzępionych chmur. Na niebie jasno świeciły gwiazdy. Caine nigdy z Ziemi nie widział takiego blasku. Nie zastanawiał się jednak nad tym, ponieważ miał na głowie znacznie poważniejsze sprawy.

Furgonetka była zatłoczona. Wraz z Lathe'em i Caine'em znajdowali się w niej Mordecai, Dawis Hawking oraz jeden z najstarszych wojowników – Tardy Spadafora. Ten ostatni prowadził samochód tą samą drogą co wcześniej Mordecai. Lecz kiedy zbliżyli się do Piasty, zбочzył z trasy i zatrzymał się nie opodal szarej ściany. Gdy ponownie uruchomił silnik, w pojeździe oprócz niego pozostał tylko Ziemianin.

Po kilku minutach Spadafora zahamował dwadzieścia metrów przed rześcicie oświetloną wschodnią bramą. Allen wziął ciężką walizkę z siedzenia pasażera i wysiadł. Starając się zachowywać naturalnie, ruszył w kierunku światła. Płaszcz i spodnie zasłaniały cały dermopancerz, lecz nie mógł włożyć na niego butów. Na szczęście stopy wyglądały tak, jakby Allen miał na nich jakieś nowoczesne obuwie, więc nie rzucały się w oczy. Droga do strażnika dłużyła się w nieskończoność. Po wręczeniu identyfikatora Caine'owi zdawało się, że całą wieczność czeka, aż strażnik zlustruje dokument i da odpowiedni sygnał. Wreszcie jednak Ziemianin znalazł się w Piaście.

Nie miał kłopotu z transportem, ponieważ w godzinach mniejszego ruchu kilka taksówek zawsze stało przy bramach.

Postępując według otrzymanych instrukcji, po upływie kilku minut Caine dotarł do ślepego zaułka nie opodal muru. Tylko w nielicznych oknach budynków mieszkalnych paliły się światła. Większość mieszkańców zapewne udała się już na nocny spoczynek. Jedna z latarni ulicznych nie działała, więc Allen zagłębił się w mroku, oczekując, co nastąpi dalej.

– Jakież problemy? – wyszeptał głos z ciemności.

Agent ruchu oporu gwałtownie odwrócił głowę. Lathe czaił się zaledwie metr od niego, a za nim stali Mordecai oraz Hawking.

– Nie, żadnych – odpowiedział zdławionym głosem. – Zostawiłem ubranie pod siedzeniem.

– W porządku. Zajmę się tym – rzekł Lathe, wskazując walizkę. – Możesz wezwać taksówkę?

Allen przekazał bagaż i nacisnął klawisz przywoływacza, przez moment zastanawiając się, czy nie prościej było zatrzymać auto, którym przyjechał. Widocznie blackcollar nie chciał zostawiać wyraźnych śladów. Po chwili na końcu ulicy zabłyśły światła pojazdu.

– Nie zabieramy ze sobą walizki? – spytał Caine dowódcy. Lathe przecząco pokręcił głową.

– Zostaje dla drużyny Skylera. To ich shurikeny, noże oraz inny metalowy sprzęt. Nie mogliśmy przenieść tego przez mur, bo na szczycie znajduje się pole indukcyjne, które spowodowałoby uruchomienie alarmu.

Caine popatrzył na szarą ścianę z pewnym zdziwieniem.

– Przeszliście przez mur? Sądziłem, że są tam wbudowane czujniki uniemożliwiające przedostanie się na drugą stronę.

– Owszem, są – przyznał blackcollar. – Ale tę budowlę wznosili najemni robotnicy, a my byliśmy pośród nich. Pewne części powierzchni zostały wykonane w taki sposób, by uległy zniszczeniu szybciej niż pozostałe. Rozpadły się, a wraz z nimi czujniki.

– Dlaczego Ryqrilowie nie wymienili urządzeń? Lathe wzruszył ramionami.

– A dlaczego mieliby to zrobić? Uszkodzenia wyglądają na przypadkowe, a pozostałe sensory i tak wykryją każdą drabinę oraz wspinającego się po niej człowieka. Ale jeśli ktoś wybierze odpowiednią trasę, przejdzie górą, nie wywołując alarmu.

Gdy taksówka zatrzymała się na poboczu, czwórka mężczyzn szybko zajęła w niej miejsca.

– Dokąd? – zapytał Allen, z ręką zawieszoną nad mapą.

– Pojedźmy w okolice budynku archiwum. Chcę się tam trochę rozejrzeć.

Ziemianin wskazał odpowiedni punkt na wyświetlaczu. Samochód cicho ruszył pustą ulicą

* * *

Powietrze w klubie „Apex” wypełniał gęsty dym unoszący się z wonnych pałeczek, zmieszany z oparami i zapachem piwa oraz wonią tanich hot-dogów. Siedząc samotnie przy stoliku nie opodal sceny, Samm Durbin rozglądał się po pomieszczeniu, próbując ocenić stan psychiczny dwóch setek młodych ludzi zgromadzonych w klubie. Byli wyraźnie wściekli. Niecałą godzinę temu podano wiadomość o nowej redukcji miejsc pracy. Posunięcie to pozbawiło ostatniej iskry nadziei przeważnie bezrobotną klientelę. Specjalista od świateł wyczuł panujący nastrój. Czerwone, migocące światło reflektorów potęgowało nerwowość i poczucie krzywdy. W podobnych sytuacjach młodzi reagowali zawsze w ten sam sposób: słuchając muzyki i pijąc piwo próbowali pozbyć się frustracji, aż wreszcie oszołomieni alkoholem, wyczerpani fizycznie rozchodzili się do domów. Tu i tam wybuchała bójka na pięści, ale nie dochodziło do niczego poważniejszego.

Dzisiaj jednak ten schemat zostanie zmieniony.

Zespół na scenie zagrał pierwsze akordy. Z głośników popłynął charkotliwy jazgot, który także pasował do nastroju słuchaczy. Durbin rzucił ukradkowe spojrzenie na zegarek. Cztery piosenki, może pięć i czas ruszać.

* * *

Nawet w środku nocy w kilku oknach budynku archiwum paliły się światła. Caine patrzył na tę czteropiętrową ceglana budowlę, rozważając, ile osób znajduje się wewnątrz. Nie myślałby o tym, gdyby Lathe po drodze nie powiedział, że budynek jest także chroniony alarmem indukcyjnym, co oznaczało, iż wojownicy wejdą praktycznie nie uzbrojeni. Trzej blackcollarowie mieli nunczaka, a Hawking dodatkowo procę z kamieniami. To wszystko. Jeden strażnik z laserem mógł wystrzelać całą ich czwórkę. Pocąc się pod dermopancerzem, Allen myślał gorączkowo, czy zdołałby jeszcze odwołać całe przedsięwzięcie.

Trójka wojowników zakończyła prowadzoną szeptem naradę. Lathe wskazał Caine'owi narożnik budynku od strony zaplecza.

– To chyba najlepsze miejsce, na uboczu i w cieniu. Będziemy wchodzić pojedynczo – ty jako ostatni. Przy ścianie poczujesz lekkie mrowienie, ale nie zwracaj na to uwagi.

Nie czekając ani chwili dłużej, blackcollar rozejrzał się na boki, po czym pobiegł zaskakująco długimi susami. Hawking był następny. Wreszcie nadeszła kolej Caine'a. Ruszył biegiem najciszej i najszybciej jak mógł, lecz i tak miał wrażenie, że pokonanie otwartej przestrzeni zajęło mu dwukrotnie więcej czasu niż pozostałym. Gdy dopadł rogu budynku, ujrzał Lathe'a. Dowódca był już na wysokości dwóch metrów. Wspinał się po ceglanej ścianie przy pomocy plastikowych raków. Zanim pojawił się Mordecai, Lathe sprawdzał zamknięcie najbliższego okna na piętrze.

To okazało się akurat solidne, więc blackcollar przeszedł ku sąsiedniemu. Tym razem dopisało mu szczęście i po kilku sekundach wejście stało otworem. Mężczyzna zniknął we wnętrzu, lecz zaraz wyłonił się ponownie, by ręką dać reszcie sygnał. Hawking dotknął ramienia Allena, wsparł się o mur i splótł dłonie. Ziemianin postawił na nich jedną nogę, odbił się od ziemi drugą i wyciągnął ręce ponad głowę, podczas gdy blackcollar wypchnął go w górę. Caine najsilniejsze mrowienie odczuwał przy samej ścianie. Zdrętwiałymi dłońmi wreszcie sięgnął parapetu. Lathe chwycił go za nadgarstki i pomógł wpełznąć do niewielkiego biura. Odzyskawszy równowagę, Allen odwrócił się, by pomóc następnemu wojownikowi, lecz Mordecai wisiał już na brzegu okna. Wyjrząwszy, dostrzegł, że Hawking wspina się po koledze, chwytając się kolejno jego butów, pasa, ramion. Bez niczyjej pomocy obaj dotarli na górę. Ostatni, najniższy wzrostem komandos ostrożnie zamknął za sobą okno.

Lathe znajdował się już w przeciwległym końcu pomieszczenia. Nasłuchiwał przy drzwiach. Uchylił je dopiero wtedy, gdy dołączyła do niego reszta. Do pokoju wpadło przyćmione światło. Dowódca spojrział na lewo, na prawo, po czym mężczyźni prześlizgnęli się przez wąską szparę. Stanęli na korytarzu z całym rzędem drzwi.

– Wyżej, tak? – wyszeptał Lathe. Caine przytaknął.

Nie zauważeni przez nikogo dotarli do schodów. Piętro wyżej Lathe wyjrzał przez drzwi na korytarz, a po chwili zamknął je ostrożnie bez najmniejszego odgłosu.

– Strażnicy? – zapytał cicho Caine.

– Ryqril – odparł blackcollar, wysuwając z pochwy nunczako. Allen aż drgnął. Co obcy mógł tu robić, szczególnie o tej porze?

– Dość późno jak na niego – zauważył Mordecai. Nie wydawał się poruszony zaistniałą sytuacją.

– Tak, ale nie ma powodu do obaw – stwierdził Lathe. -Jest uzbrojony jak zwykle i spokojnie rozmawia z jednym z nocnych strażników.

– Uważasz, że coś podejrzewają? – spytał Hawking.

– Według mnie to rutynowa inspekcja.

– Nie powinniśmy czegoś zrobić? – wtrącił drżącym głosem Allen. „Uzbrojony jak zwykle” oznaczało, że Ryqril miał przy sobie szeroki, krótki miecz i niezwykle niebezpieczny ręczny laser. – Co będzie, jeśli tu podejdziesz?

– Spokojnie – poradził mu Hawking. – Z pewnością nie pofatyguje się, by sprawdzić schody. Musimy po prostu spokojnie odczekać, aż się oddali. Mamy czas.

– Chyba że wolałbyś zaatakować – podsunął z uśmiechem Lathe.

Caine aż się wzdrygnął. Myśl o podjęciu walki nawet z nie uzbrojonym Ryqrilem przyprawiała go o mdłości, więc był wściekły na blackcollara, że żartuje z tak poważnego zagrożenia.

Gdzieś w głębi budynku rozległ się odgłos uruchomionego mechanizmu windy. Gdy znów zapanowała cisza, Lathe ponownie wyjrzał. Tym razem wyszedł na korytarz, gdzie znajdowało się tylko dwoje drzwi.

Te po prawej miały wbudowany szklany panel, przez który padało jaskrawe światło. Lathe wskazał na nie, jednocześnie pytająco unosząc brwi.

– Główny komputer – wyszeptał Allen. – Jak wynika z planu taśmy archiwalne są naprzeciwko.

Dowódca kiwnął głową i skinął na Hawkinga. Wspólnie ruszyli w głąb korytarza. Lathe przyjrzał się wnętrzu pokoju z komputerem. Drugi zaś blackcollar przykucnął i sprawdził drzwi znajdujące się po drugiej stronie. Niebawem wrócili na podest

– Zamknięte – poinformował Hawking.

– Moje również. W środku siedzi czterech mężczyzn, chyba operatorów.

– Szybki atak? – wyszeptał Mordecai.

Lathe zaprzeczył ruchem głowy.

– Są za daleko. Pomieszczenie ma wysokość dwóch kondygnacji. Jakies trzy metry nad podłogą jest jednak dość szeroka rynna, w której zamieszczono okablowanie. Przyjrzyj się dokładnie.

Mordecai podszedł do drzwi i zajrzał przez szybę. Wracając skinął na resztę. Wszyscy wycofali się na schody.

– Nie ma sprawy – orzekł. Bez dalszych komentarzy ruszył na górę.

– Co on zamierza zrobić? – zapytał Caine.

– Oczyszczyć to pomieszczenie – wyjaśnił Lathe jakby z roztargnieniem.

– Sam?

Blackcollar obdarzył go pełnym zdziwienia spojrzeniem.

– Mordecai jest specjalistą od walki wręcz. Niewykluczone że najlepszym w całej historii. Nie będzie miał z tym żadnych problemów.

– Czas ruszać – przerwał Hawking.

Dowódca przytaknął i ponownie sprawdzwszy korytarz, skierował się ku drzwiom opatrzonym szybą. Zajrzał przez nią ostrożnie, po czym ustąpił miejsca Allenowi.

Na środku dużego pomieszczenia stał komputer w kształcie słupa – model ziemskiej produkcji jeszcze sprzed wojny. Pod ścianami tkwiły w rzędach różnorodne urządzenia peryferyjne, a szum systemu chłodzenia słychać było nawet przez drzwi. Obok komputera widniała stacja kontrolna, przy której siedzieli czterej operatorzy. Niemal bezpośrednio nad nimi, po rurze, ostrożnie pełził Mordecai.

Allenowi serce głośno waliło w piersiach. Nieświadomie kilkakrotnie oblizał suche wargi. Bez względu na to jak dobry był kiedyś Mordecai, w tej sytuacji miał małe szanse na pokonanie przeciwnika. Wystarczyło, że któryś z operatorów spojrzy w górę i będzie po wszystkim. A nawet gdyby blackcollarowi udało się ich zaskoczyć, mieli przewagę cztery do jednego. Z ręką świeżbiącą bez broni, Ziemianin nerwowo obserwował, jak komandos zajął pozycję nad centrum kontrolnym... i wtedy nagle otworzyły się drzwi windy.

Do Caine'a dotarł dziwny dźwięk. Odwróciwszy się ledwie zdążył zauważyć wyraz zdziwienia na twarzy upadającego strażnika. Z procą gotową do drugiego strzału, Hawking podszedł do trafionego, przesunął go i zamknął wejście do dźwigu. Allen ponownie zajrzał do pokoju komputerowego, obawiając się, że hałas mógł zwrócić uwagę operatorów. Widok, jaki ujrzał, zaskoczył go niebywale.

Wszyscy czterej mężczyźni leżeli nieprzytomni. Mordecai zaś, z pękiem kluczy w dłoni, szedł właśnie w stronę oszklonych drzwi.

Otworzył je, a Hawking przywłókł bezwładnego wartownika. Mordecai bez słowa wręczył klucze Lathe'owi i pomógł koledze wciągnąć strażnika do środka.

– Caine – zawołał dowódca oddziału spod przeciwległych drzwi. – Chodź tu i bierz tę swoją taśmę.

Allen, nieco oszołomiony, ruszył w jego stronę. Mordecai unieszkodliwił czterech mężczyzn, zanim ci zaczęli się bronić... a blackcollar chyba nawet nie sięgnął po swoje nunczako.

Lathe wraz z Caine'em weszli do składnicy. Ziemianin zapalił światło i znalazł się przed rzędem kilkunastu szafek od podłogi aż po sufit, mieszczących setki pojemników z taśmami.

– Spora kolekcja – zauważył blackcollar.

– Wszystko dotyczy tego sektora od powstania DIT-u -wyjaśnił Caine, przyglądając się informacjom na szufladach. -Taśma, której szukam, jest tutaj. Podejdź i wybierz dowolnie trzy inne. Zmylimy przeciwnika.

– Dobry pomysł.

Minutę później byli już z powrotem przy drzwiach, obaj z trzema pojemnikami. Mordecai stanął na posterunku przy pokoju komputerowym, a trzeci spośród blackcollarów tkwił przy konsoli komputera, przyglądając się jej uważnie.

– Pracowałeś kiedyś na komputerze kolabów? – zapytał Hawking Allena.

– Nie, ale zostałem niezłe wyszkolony w posługiwaniu się takim sprzętem.

– Dobra. – Hawking wstał i sięgnął po taśmy. – Uruchom maszynę, a ja włożę ten materiał.

Procedura zajęła niecałe trzy minuty. Gdy sześć taśm zostało umieszczonych w czytnikach, Caine zaprogramował urządzenie na przepisywanie informacji. Poczul lekkie drżenie rąk, gdy wyjmował gotowe kopie i przewijał oryginały.

– Zrobione.

Hawking spojrzał na dowódcę.

– Odkładamy je na miejsce?

– Nie, lepiej już ruszajmy. Mordecai, masz przywoływać? Dobrze... nie chcę wykorzystywać Caine'a częściej niż to konieczne. Opuścimy archiwum głównym wyjściem – zapewne gdzieś tam jest panel sterowania polem indukcyjnym.

Ruszyli korytarzem. Kiedy wsiedli do windy, Allen rzucił Lathe'owi ukradkowe spojrzenie. Wyraz twarzy starego black-collara, który dało się dostrzec pod kaskiem i goglami, nie należał do człowieka, który zakończył zadanie. Caine'a rozpieszczała ciekawość, lecz o nic nie pytał. Jeśli nie pomylił się w swoich przypuszczeniach, wkrótce się dowie, co jeszcze komandos planował.

* * *

Walizka była dokładnie tam, gdzie miał ją pozostawić Lathe. Kryjąc się w półmroku, Skyler pospiesznie wyjmował zawartość, jednocześnie obserwując ulicę. Dobiegający z daleka szum silnika samochodu pozwalał sądzić, że Braune'owi i Pittmanowi też się udało. Gdy zamknął walizkę, pojazd skręcił właśnie w zaułek, zawrócił i zatrzymał się przy krawężniku. Po kilku sekundach ruszył, już ze Skylerem w środku.

– Jakież kłopoty? – zapytał, wręczając noże, gwiazdki i radia krótkiego zasięgu.

Siedzący za kierownicą Woody Pittman pokręcił głową.

– Braune poradził sobie z zamkiem w pół minuty. Skylerowi nie podobał się pomysł zabrania młodych na rajd do twierdzy kolabów, ale taki otrzymał rozkaz. Przydzielono mu dwóch najlepszych chłopaków. Szczególnie dobry był Pittman: dwudziestodwulatek, z pięcioletnim stażem szkoleniowym, który pozbył się już młodzieńczego braku rozważności i zaczynał rozwijać w sobie umiejętność szybkiej oceny sytuacji, stanowiącej atrybut wytrawnego wojownika. Braune, trzy lata młodszy, wydawał się równie zdolny co kolega, lecz z uwagi na swą impulsywność wymagał stałej kontroli ze strony kogoś doświadczonego. Skyler już chyba po raz setny uznał za brzemienny w skutki błąd, że blackcollarowie nie zgromadzili zapasu reaktolu, gdy planeta kapitulowała. Bez niego żaden z młodych plinriańskich komandosów nigdy nie uzyska refleksu i szybkości charakteryzującej starych wiarusów. Przyjrzał się kątem oka twarzy Pittmana. Wyrażała ona czujność i determinację, a także strach, który usprawniał działanie. Z reaktolem czy nie, kiedyś ten dzieciak będzie wspaniałym wojownikiem.

Najwięcej świateł w budynku Departamentu Bezpieczeństwa Planetarnego paliło się na parterze, gdzie czuwała nocna zmiana obrońców interesów Ryqrilów. Skyler wiedział, że wraz z dwoma młodymi pomocnikami znalazł się w najniebezpieczniejszym dla blackcollarów miejscu. Otuchy dodawała myśl, że mieli przy sobie sztylety oraz inną broń. Agenci bezpieczeństwa kręcili się po tej okolicy przez całą dobę, więc nie stosowano tu alarmu opartego na polu indukcyjnym. Misja Lathe'a była jego zdaniem bardziej ryzykowna. Skyler przez chwilę zastanawiał się, jak idzie przyjaciółom.

Pittman zatrzymał samochód nie opodal budynku i wysiadł wraz ze Skylerem. Braune przejął kierownicę, po czym odjechał. Uczeń zniknął w nie oświetlonym zaułku, zajmując posterunek obserwacyjny, a Skyler, sprawdzając sztylety na przedramionach i u pasa, przemknął na drugą stronę ulicy.

Główne drzwi były solidnie obsadzone, a poza tym wyglądały imponująco. Na szczęście posiadały plastikowe, przezroczyste elementy. Dzięki temu blackcollar mógł zajrzeć do środka. Krótkie, wyłożone lustrami foyer prowadziło bezpośrednio do większego pomieszczenia, w którym dominowała okazała konsola. Dyżurny agent bezpieczeństwa siedział przy niej niedbale, bawiąc się scyzorykiem. Dwaj inni rozmawiali wsparci o ścianę naprzeciwko kolegi. Stojący byli uzbrojeni, zapewne ten siedzący także. W pierwszej kolejności należało wyeliminować dyżurnego, ponieważ znajdował się najbliżej sygnalizatorów alarmowych. Następnie niepostrzeżenie powinni zostać unieszkodliwieni pozostali mężczyźni. Z nunczakiem w lewej ręce oraz nożem w prawej Skyler otworzył drzwi wejściowe, dwoma susami przemierzył foyer i wpadł do recepcji.

Gdy tylko się pojawił, tamci dostrzegli go, lecz stali zaskoczeni. Nie sięgali po broń na tyle długo, że blackcollar zdecydował się na ryzyko aktu litości.

– W porządku, nie ruszać się – rozkazał zdecydowanym tonem... i czar paraliżujący strażników prysł jak bańka mydlana.

Dyżurny wyciągnął dłoń ku przyciskom na konsoli, lecz siła ciosu nożem między oczy odrzuciła go do tyłu. Dwaj pozostali, wciąż stojąc obok siebie jak amatorzy, sięgali do kabur, kiedy powietrze przecięło nunczako, trafiając obu w głowy. Jeden padł natychmiast, a drugi, choć oszołomiony, zdołał utrzymać się na nogach, dopóki Skyler nie uderzył go kantem dłoni w miejsce za uchem.

Wyteżając słuch, czy znikąd nie dobiega sygnał alarmu, komandos odzyskał swą broń. Sprawdził stan ofiar ataku. Dwóch agentów zostało wyeliminowanych co najmniej na czas pobytu blackcollara w gmachu. Trzeci, ten za biurkiem, przestał być wrogiem już na zawsze.

Skyler przez moment przyglądał się trupowi z bolesnym skurczem żołądka. Minęło mnóstwo czasu, odkąd po raz ostatni zabijał. Z pewnym niesmakiem chowając nóż, zainteresował się planem pokoju uwidocznionym na konsoli.

Bez problemu zlokalizował pomieszczenie dla zakładników. Znajdowało się na lewo, za dwójgim drzwi. Z nunczakiem w ręku przemierzył recepcję, uchylił pierwsze drzwi i prześlizgnął się przez niewielką szparę.

Z otwartego pokoju dwadzieścia metrów dalej padało na korytarz światło. Stamtąd dochodziły też odgłosy rozmów. Niewątpliwie było to lokum zakładników, bo tylko oni mogli zachowywać się tak hałaśliwie. Blackcollar ruszył naprzód, świadom paradoksalności sytuacji. Wkrótce po podbiciu Plinry Ryqrilowie zażądali, aby cywilnych przywódców rotacyjnie przetrzymywać jako zakładników, co miało zapewnić spokój i współpracę ze strony ludności. Rozkazu nigdy nie odwołano, lecz po kapitulacji ostatnich partyzantów zmienił się stosunek do tego rozporządzenia. Zostanie zakładnikiem więzionym przez cztery dni zaczęto uznawać za zaszczyt. Miejsce stanowiące celę otrzymało eleganckie wyposażenie, a sami przetrzymywani traktowali pobyt w niej jako darmowe wakacje. Pod wieloma względami tych dziesięcioro kobiet i mężczyzn było tak samo winnych kolaboracji z wrogiem jak ułojalnieni urzędnicy. Skyler dziwił się więc rozkazowi uwolnienia dawnych dowódców. Niemniej nadal pozostawali zakładnikami i gdy rozpoczęto akcję, ich sytuacja mogła ulec gwałtownemu pogorszeniu.

Blackcollar bez wahania wszedł do pomieszczenia. Naprzeciw niego znajdowali się zakładnicy, a po obu stronach wejścia stali dwaj strażnicy: jeden niedbale wsparty o ścianę, a drugi, młodziutki, w

pozie pełnej gotowości. Skyler najpierw zajął się chłopakiem, unieszkodliwiając go ciosem w spłot słoneczny i na wszelki wypadek z boku w szyję. Starszy wartownik sięgał już po broń, lecz padł powalony uderzeniem w żołądek i dwoma dodatkowymi w głowę.

W pokoju zapanowała głucha cisza, gdy blackcollar uniósł się znad nieprzytomnych. Zakładnicy wpatrywali się w niego szeroko otwartymi oczami, zapomniawszy o kartach, drinkach i pogawędkach.

– Panie i panowie – rzekł Skyler, lecz nie kontynuował przemowy, bo nagle zaczął pracować nadajnik elektromagnetyczny na jego prawym nadgarstku. Męczyzna przez skórę czuł krótkie i długie sygnały alfabetu Morse'a. W ekonomicznym kodzie bojowym blackcollarów wiadomość miała zaledwie dwanaście znaków, lecz jej znaczenie było jasne. „Ryqril przy głównym wejściu. Zaatakuj. Potrzebna pomoc”.

Skyler wypadł z pokoju i popędził korytarzem, zanim jeszcze nadawanie zostało zakończone, ale i tak wiedział, że będzie na miejscu zbyt późno. Stłumione głosy potwierdziły jego obawy. Gdy pokonał ostatnie drzwi, stwierdził, że w recepcji rozpoczęła się już walka.

Ryqril, z tyłu wyglądający jak ogromny, stojący na tylnych łapach doberman pokryty brązową gumą, szedł naprzód dużymi krokami. Wymachując krótkim mieczem, starał się dosięgnąć Woody'ego Pittmana. Młodziak z ogromnym wysiłkiem robił uniki lub odpierał ciosy poważnie już uszkodzonym nunczakiem, lecz szybko ustępował pola i coraz bliżej za plecami miał ścianę. Skyler przerzucił nunczako do lewej ręki, a prawą sięgnął do pasa po nóż, jednocześnie analizując prawdopodobieństwo chybienia w szybko poruszającego się wroga i przypadkowego ugodzenia swojego podopiecznego. Ale taki obrót sytuacji uznał za niemożliwy. Uniósł sztylet i wycelował. W tej samej chwili Pittman potknął się, po czym upadł na plecy. Z cichym okrzykiem pełnym triumfu Ryqril wznosił miecz.

Nóż śmignął przez pomieszczenie i po rękojeść zagłębił się w plecach obcego.

Ryqril podskoczył niczym rażony prądem. Miecz wypadł mu z ręki. Zablokowane stawy sprawiły, że stał jeszcze na tyle długo, by kolejne dwa noże blackcollara przebiły jego grubą skórę. Wreszcie, niemal z gracją, runął na podłogę.

Pittman wstał już, gdy Skyler zbliżył się do niego.

– Nic ci nie jest? – zapytał komandos tubalnym głosem, dostrzegając na nie osłoniętych dermopancerzem przedramionach i dłoniach młodzika krwawe ślady.

– Drobiazg. Jego laser jest za biurkiem.

– Twój atak z zaskoczenia nie całkiem się udał, co? Dobrze przynajmniej, że rozbroiłeś przeciwnika. Weź pistolet. Zaraz wracam.

Skyler wyciągnął z ciała zabitego noże i pospieszył do pomieszczenia dla zakładników. Znajdujący się tam ludzie wciąż siedzieli tak jak ich zostawił, lecz pierwsze zaskoczenie minęło i tęgi mężczyzna przy stole do gry przemówił z oburzeniem, gdy w drzwiach pojawił się blackcollar:

– Posłuchaj no, co ty wyprawiasz?

– Wyciągam was stąd – odpowiedział Skyler. – Zamierzamy zaatakować Ryqrilów.

Twarz mężczyzny przybrała barwę ściany.

– Jesteście nienormalni? – wykrztusił. – Skazujecie nas na śmierć. Głupcy, nie nauczyliście się, że nie można ich pokonać?

Skyler nie zwracał na niego uwagi.

– Wstawać. Idziemy.

– Nie! – Spod stolika wyłoniła się ręka mężczyzny trzymająca laser któregoś z nieprzytomnych strażników. – Odwołaj to wszystko!

Blackcollar zareagował natychmiast, uskakując w lewo szybciej, niż nadażyła za nim lufa pistoletu. Nóż przeciął powietrze, zanim jeszcze zbuntowany zakładnik stanął na nogach. Po chwili laser poszybował wysoko, a mężczyzna chwycił się za rękę w miejscu, gdzie rękojeść noża zapewne zdruzgotała kość.

– Powiedziałem: idziemy, do cholery – warknął Skyler głosem zimnym i twardym niczym stal.

Poruszając się z gwałtownością świadcząca o przerażeniu, zakładnicy zaczęli wstawać. Czując się jak pies pasterski, blackcollar poprowadził ich korytarzem w kierunku recepcji.

Pittman czał się za konsolą, obserwując główne wejście.

– Braune już jest – zameldował.

– Dobrze. Dopilnuję załadunku, a później odjedziemy innym samochodem.

– Ale przecież nie wolno nam opuścić Piasty – zaprotestowała jedna z zakładniczek, wlepiając pełen strachu wzrok w martwego Ryqrila. – Strażnicy przy bramie...

– Zostaną usunięci – urwał Skyler, po czym rozejrzał się dokoła. – W porządku. Ruszajmy.

Braune najwyraźniej zdołał otworzyć furgonetkę należącą do sił bezpieczeństwa, bo choć była nie oznakowana, miała przegrodę za miejscami dla kierowcy i pasażera. Z tyłu auta znajdował się przedział przeznaczony do transportu więźniów. Skyler dopilnował, by zakładnicy wsiedli, udzielił Braune'owi ostatnich instrukcji i gdy furgonetka ruszyła ku południowej bramie, skierował się do pojazdu, którym przyjechali.

Pittman siadał właśnie za kierownicą.

– Zmykaj stąd. Ja prowadzę.

– Ja też umiem.

– Jechać i jednocześnie opatrywać ręce? Przesiadaj się szybko.

Młodzieniec posłuchał i blackcollar obrócił wóz również na południe. Rzucił ukradkowe spojrzenia na Pittmana, obserwując, jak ten ledwie radzi sobie z bandażowaniem. To bez znaczenia, w jakim stopniu realistyczny jest trening, pomyślał. Prawdziwa walka zawsze wyglądała inaczej.

– Dobrze się dziś spisałeś – rzekł, przerywając ciszę.

– Dziękuję panu. Wstyd mi, że nie trafiłem go w głowę nunczakiem.

– Ryqrilowie są bardzo szybcy. – Zamilkł na moment. – Tak przy okazji, to było bardzo głupie, żeby udawać upadek. Mogłeś zginąć.

Pittman wzruszył ramionami.

– Zobaczyłem pana z gotowym nożem. Wydawało mi się, że ułatwię zadanie, jeśli zmuszę Ryrqila do zatrzymania się na chwilę. Uznałem, że warto zaryzykować.

– A poza tym nie chciałeś się znaleźć na linii rzutu?

– Pomyślałem, że będzie pan musiał bardzo uważać, żeby mnie nie trafić.

– Doceniam twoją troskę. Ale nie rób już czegoś takiego. Zanurkuj, skocz na prawo, lewo, przeskocz ponad sukinsynem, ale nigdy nie kładź się przed nim na plecach. Rozumiesz?

– Tak, proszę pana.

Skyler poklepał chłopca po ramieniu.

– Nie mogą cię stracić. Zbyt dużo wysiłku włożyłem w twoje szkolenie.

Pod ręką poczuł, że mięśnie Pittmana rozluźniły się nieco.

– Dobrze. Będę szczególnie uważał na pańską inwestycję. Skyler uśmiechnął się w ciemności. Tak, ten dzieciak z pewnością wyrośnie na cholernie dobrego wojownika.

* * *

Natarczywy sygnał dzwonka telefonu stojącego przy łóżku wyrwał prefekta Galwaya z głębokiego snu. Prefekt sięgnął po słuchawkę i wyłączył wizję.

– Galway – rzucił ziewając.

– Tu sierżant Grazian monitorujący Alaina Rieniego. Przepraszam, że pana budzę, ale zauważyłem coś, co może okazać się ważne.

– Proszę mówić – polecił dostojnik, trąc powieki.

– Rienzi zostawił w domku myśliwskim lekarstwo. Został tam ponownie zawieszony, żeby je zabrać. Mam raporty ze wschodniej bramy o jego wyjściu i powrocie. Tylko dziwi mnie, że wchodząc do Piasty miał ze sobą walizkę.

Galway ocknął się momentalnie.

– Została przeszukana?

– Nie, proszę pana. I coś jeszcze: Rienzi przekroczył wschodnią bramę niemal pięćdziesiąt minut temu, ale nie dotarł jeszcze do hotelu. A przez mikrofony umieszczone w ubraniu słyszeć tylko odgłosy ulicy.

– Połącz się z recepcją. Niech przygotują informację o wykorzystaniu taksówek w ciągu ostatniej godziny.

– Tak jest. – Długa cisza. – Nikt nie odpowiada. Nieokreślony lęk przeszedł dreszczem po plecach prefekta.

– Idź tam i zobacz, co się dzieje. Zabierz ze sobą kilku ludzi.

– Oni pewnie tylko...

– Wykonać, sierżancie. I proszę się ze mną bezzwłocznie skontaktować.

Odłożywszy słuchawkę, obrócił się na łóżku. Dobrze, że Margerite miała twarde sen. Odzienie leżało złożone starannie na pobliskim krześle, więc zaczął ubierać się najszybciej jak mógł. Właśnie wkładał buty, kiedy ponownie zadzwonił Grazian.

– Alarm beta – rozkazał prefekt. – Wzmocnić straż przy bramach. Chcę, żeby Piasta została zablokowana. Sprawdź, czy zrobili coś jeszcze... – Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. – Natychmiast skieruj kilku ludzi do budynku archiwum.

Sierżant rozłączył się, potwierdziwszy przyjęcie rozkazu. Zapinając pas z bronią, prefekt myślał gorączkowo. A więc nadeszła ta chwila, stwierdził ze smutkiem. Nastąpiła eksplozja, której obawiał się od tyłu lat.

Po raz ostatni spojrzął na śpiącą żonę, sprawdził poziom naładowania lasera, po czym pospiesznie wyszedł z mieszkania.

Rozdział 8

Nadszedł już czas.

Natężenie muzycznych dźwięków w klubie „Apex” sięgnęło szczytu. Gdy nastąpiła cisza, od ścian długo jeszcze odbijało się echo hałasu. Drażniąca muzyka, światła i alkohol sprawiły, że w młodzieży wręcz kipiała wściekłość. Tłumione emocje mogły wybuchnąć w każdej chwili.

Zapalnik był przygotowany. Z drugiej strony sceny Denis Henrikson spoglądał na Durbina, z brwiami uniesionymi w niemym pytaniu. Specjalista od świateł skinął przyzwalająco. Henrikson z ponurym uśmiechem na twarzy wskoczył na podest i sięgnął po mikrofon. Durbin także przysposobił się do działania.

– Przyjaciele! – Wzmocniony głos Henriksona rozległ się echem po klubie. Kilku nastolatków przerwało rozmowy, by spojrzeć, co się dzieje. – Po co tu siedzimy? Dlaczego pozwalamy tym cholernym kolabom robić nam taką krzywdę? Czy nic nie możemy na to poradzić?

Coraz więcej głów odwracało się w stronę Henriksona. Szum cichł, gdy mężczyzna zaczął obrzucać rząd coraz to ostrzejszymi epitetami. Durbin wiedział, że nie decydują same słowa, bo wszyscy słyszeli je już wcześniej, ale sposób, w jaki były wypowiedane. Mówca posiadał jakąś nieokreśloną charyzmę, która czyniła z niego przywódcę potrafiącego pociągnąć za sobą innych. Wrodzone umiejętności oraz trzy lata tajnego szkolenia w dziedzinie psychologii oraz socjologii sprawiły, że Henrikson stał się mistrzem w manipulowaniu ludzkimi emocjami.

Tłum zareagował na jego słowa. Ponownie rozległy się okrzyki. Tym razem przypominały one odgłosy wydawane przez zwierzęta, pełne zajadłej pasji. Z rogu sali doleciał krzyk:

– Spalić ich! Spalić ich!

Podchwytywało go coraz więcej osób i po chwili budynek aż drżał od rytmicznego tupania nóg.

Przy stoliku naprzeciw zajmowanego przez Durbina ciemnowłosy chłopak ukradkiem sięgnął do kieszeni. Nie zauważony przez zahipnotyzowany tłum, Durbin zaszedł gościa od tyłu i gdy ręka

młodzieńca wysunęła się z kieszeni, zadał mu precyzyjny cios w kark. Chłopak runął z krzesła, a Durbin podniósł z podłogi przedmiot, który wypadł z dłoni nieprzytomnego. Był to miniaturowy nadajnik.

Durbin schował urządzenie z powrotem do kieszeni szpicla, uśmiechając się z satysfakcją. Od dawna już podejrzewał, że to informator sił bezpieczeństwa. Nie wolno było dopuścić, żeby ktoś uprzedził kolabów, co się święci.

Nagle, jak mu się wydawało bez żadnego hasła, tłum ruszył. Młodzież sunęła obok Durбина w kierunku bocznego wyjścia, niczym gnana przez wiatr. Ustupując z drogi zdołał dostrzec, że Henrikson opuszcza pomieszczenie na czele dziewcząt i chłopców. Wobec tego dołączył do pozostałych i dopiero wówczas uświadomił sobie, że tak skoncentrował się na wyeliminowaniu agenta kolabów, iż przegapił ostatnie słowa wystąpienia Henriksona. Szkoda, bo bardzo chciał je usłyszeć.

Po opuszczeniu klubu wszyscy skręcili w prawo. Dwie przecznice dalej ukazała się południowa brama Piasty. Wyprzedziwszy idących skrajem, Durbin wszedł w środek grupy, gdzie w razie konieczności mógł pełnić funkcję pomocniczego przywódcy.

– Stać! – rozległ się potężny głos jednego ze strażników, który użył megafonu. – Macie się natychmiast rozejść.

W odpowiedzi Henrikson odwrócił się do podążających za nim i krzyknął coś, czego Durbin nie zrozumiał, po czym jeszcze przyspieszył. Wiązki światła z laserów wartowników przecięły pierwszy rząd. Ich broń była jednak ustawiona na niską moc. Parzyła ciało, a nie zabijała. Idący zwolnili na moment, gdy okrzyki bólu mieszały się z wrzaskami wściekłości. Ale Henrikson nie zmieniał tempa marszu. Jego dźwięczny głos rozległ się ponownie i tłum znów ruszył za nim naprzód. Durbin widział, jak obaj strażnicy zmieniają ustawienie laserów, wycofując się jednocześnie. Otwartą bramę mieli tuż za plecami. Przygotowywali się do drugiej salwy, zapewne niosącej już śmierć. Gdyby wystrzelili z tej odległości, laserowi poddałby się nawet ukryty pod ubraniem dermopancerz Henriksona.

Ale strzały nie padły. Głowy wartowników jak na komendę odskoczyły do tyłu i obaj runęli na ziemię. Strażnik znajdujący się w środku przez chwilę przyglądał się kolegom, zanim sam runął rażony przez ukrytych snajperów O'Hary. Brama wciąż pozostawała otwarta.

Z okrzykiem triumfu Henrikson wmaszerował do Piasty. Kilku młodzieńców zabrało leżącym broń i kiedy samochód pełen agentów bezpieczeństwa wyjechał z za rogu, chłopcy zasypali auto gradem strzałów. Dzięki tej akcji zdobyto dodatkowo osiem sztuk broni. Wkrótce powietrze przecinały wiązki promieni z laserów, gdy buntownicy wyładowywali złość na okolicznych budynkach. Henrikson ponownie podburzył tłum, który parł przed siebie, gotów siać zniszczenie w całej dzielnicy rządowej.

Durbin, od tyłu ubezpieczając zbuntowaną młodzież przed atakiem, dostrzegł trzy pojazdy – taksówkę, prywatny samochód oraz furgonetkę – wyjeżdżające przez bramę. Faza pierwsza zakończona, pomyślał. Nadszedł czas na realizację kolejnego etapu. Zadanie polegało na odegraniu roli wabika, ściągnięcie na siebie wszystkiego najgorszego, czego można się było spodziewać po kolabach. Drżąc lekko z emocji i stale obserwując tyły, Durbin pospieszył za oddalającym się pochodem.

* * *

Meldunek o zajściach dotarł do Galwaya, gdy ten jeszcze jechał do siedziby sił bezpieczeństwa.

– Ilu ich się wdarło, sierżancie? – zapytał zwięźle.

– Co najmniej kilkuset – odpowiedział Grazian, który objął służbę przy głównej konsoli. Jego głos drżał, pomimo wyraźnych wysiłków żołnierza, aby zapanować nad sobą. – Nie wiem, jak to się stało. Wszyscy trzej strażnicy po prostu nagle upadli. Brama była otwarta, ale wykrywacze pola i metalu nie trafiły na nic, co mogłoby stanowić broń.

– Proce – mruknął prefekt.

– Słucham?

– Broń snajperska blackcollarów – wykrzyknął Galway. -Włączaj M-siedem. Natychmiast chcę mieć wszystkich w pełnej gotowości.

– Tak jest. – Na monitorze pojazdu natychmiast zajaśniał duży czerwony napis M-7. – Zrobione, panie prefekcie.

Galway nacisnął reset i napis zniknął.

– W porządku, a co z innymi? Kogo jeszcze straciliśmy?

– Czterech ze wsparcia, których kazał pan wysłać do bram. Tylko zdążyli zgłosić, że słyszą buntowników, kiedy ich zaatakowano. Chyba sądzili, że tłum wciąż znajduje się za murem.

– Jak to możliwe? – zapytał gwałtownie prefekt. – Ty nadzorowałeś poczynania tej grupy, prawda? Dlaczego ich nie ostrzegłeś?

– To... – zaczął Grazian słabym głosem. – To wszystko działo się tak szybko...

– A więc zagapiłeś się i zginęło czterech żołnierzy. – Głos Galwaya był ochryply, lecz wściekłość prefekta szybko zmieniała się w przerażenie. Teraz inicjatywa należała do atakujących blackcollarów, a siły bezpieczeństwa nie reagowały odpowiednio szybko. Oczywiście były przygotowywane do tego rodzaju zadań, ale od lat nikt nie brał pod uwagę możliwości zaistnienia podobnej sytuacji. Czy będą potrafili zmobilizować się w ogniu walki? Galway nie był wcale tego pewien.

Co do jednego nie miał jednak wątpliwości: atak na Piastę był tylko wstępem do katastrofy. Należało więc bezzwłocznie powstrzymać buntowników, zanim blackcollarowie zdążą zrealizować swoje plany.

– Sierżancie, co mamy w powietrzu?

– Osiem zwiadowców. Koordynują działania na ziemi. Tłum rozdzielił się, a każda grupa ma co najmniej jedną sztukę zdobytej broni. Ludzie zaczynają się zbierać także pod innymi bramami, ale jak na razie utrzymujemy ich pod kontrolą.

Jednostki zwiadowcze nie mogły robić niczego więcej poza koordynacją. Na ich pokładach nie było broni odpowiedniej do przeprowadzenia ataku na tłum. Posiadały ją natomiast inne plinriańskie siły powietrzne.

– Skontaktuj się z portem. Natychmiast potrzebuję ich patrołowców.

– Wszystkich sześciu? – zapytał z powątpiewaniem Grazian. – Wtedy lotnisko pozostanie bez obrony.

– Mają jeszcze ogrodzenie, prawda? Poza tym unieszkodliwienie rzeszy buntowników przy ich użyciu nie potrwa długo. A jeśli się za bardzo wystraszą, niech poproszą Ryqrilów o poderwanie w górę kilku Korsarzy.

– Tak jest. – Chwila ciszy. – Nawiązałem łączność z oficerem dyżurnym lotniska. Kanał trzeci. Galway zmienił zakres i wydał odpowiednie rozkazy.

* * *

Nad miastem pojawiło się sześć lśniących patrołowców. Nadlatywały z północy, zastępując pękate jednostki zwiadowcze sił bezpieczeństwa, które przeszły na wyższy pułap, żeby zrobić im miejsce. Z samotnego, z rzadka porośniętego drzewami wzgórza dwa kilometry na wschód od Capstone Trevor Dhonau liczył patrołowce i z zadowoleniem kiwał głową. Galway nieco wcześniej niż przypuszczali wezwał z lotniska jednostki bojowe, ale to nie miało istotnego znaczenia. Wraz z Terrisem Shenem, odgrywając zgodnie z planem rolę muchołapki, już od niemal godziny znajdowali się na stanowiskach.

Przykucnąwszy za celownikiem podwójnej wyrzutni rakiet, chromą nogę nienaturalnie odginając w bok, stary blackcollar pozwolił sobie na chwilę zadumy. Tak długo czekał na ten wybuch nieposłuszeństwa, iż miał ochotę na własne oczy ujrzeć jego zakończenie. Ale ktoś musiał wziąć na siebie rolę muchołapki, a lepiej, żeby był to on niż ktoś z dwiema zdrowymi nogami. Idunina mogła długo utrzymywać przy życiu, ale zniszczone tkanki wymagały innych środków, a odmowa dostarczenia ich przez kolabów stanowiła kolejny powód, dla którego należało działać.

Dhonau uśmiechnął się, po czym odbezpieczył spust. Jeśli za ten zryw musiał zapłacić wyższą cenę niż ktokolwiek inny, to uznał, że trzeba to po prostu potraktować jako obowiązek dowódcy. Z pewnością Lathe wykonał swoje zadanie bez chwili wahania. Dhonau skrzywił się na myśl o samotnym, cierpliwym wyczekiwaniu przez Lathe'a na kontakt z wysłannikiem podziemia z innej planety, które wreszcie przyniosło rezultat. Senior blackcollarów wiedział, że ma w Lathe'em godnego następcę. Żywił nadzieję, że po dzisiejszym dniu pozostanie tak niewiele kawałków układanki, iż nowy główny dowódca zdoła je poskładać.

* * *

Już pora. Patrołowce krążyły nad Capstone w poszukiwaniu buntowników. Blackcollar odczekał, aż zawisną bez ruchu, po czym delikatnie nacisnął spust.

Niewielki pocisk ziemia-powietrze wystrzelił z lewej rury, rozsypując wokół snop iskier. Dhonau błyskawicznie zmienił cel i ponownie nacisnął spust.

Salwa przyniosła rezultat, na który Dhonau liczył tylko po cichu. Niebiesko-biała kula światła rozbłysła w miejscu, gdzie wisiał statek. Patrołowiec, najpierw odrzucony w bok, spadł na ziemię.

Drugi, manewrując chaotycznie, by uniknąć zmierzającej w jego kierunku rakiety, wszedł wprost w trajektorię pocisku. Potężna eksplozja paliwa i uzbrojenia sprawiła, iż jednostka rozpadła się w locie, rozjaśniając błyskiem całe niebo. Siła wybuchu zepchnęła trzeci statek niebezpiecznie blisko ziemi, lecz jego pilot odzyskał panowanie nad sterami. W tym momencie ze stanowiska Shena, nieco na południowy-zachód, wystrzeliła kolejna raketa i nie pozwoliła już patrolowcowi wzbić się wyżej. Nastąpiło to tak szybko, że huk wybuchu dotarł do wzgórza, gdy było już po wszystkim.

Stary komandos uśmiechnął się szeroko. Trzy załadowane po pierwszej salwie – lepiej niż można było sobie wymarzyć. Pozostałe statki krążyły niespokojnie niczym szerszenie, poszukując napastników, lecz Dhonau wcale się tym nie przejmował. Patrolowce, choć produkowane przez Ryqrilów, stanowiły kopie przedwojennego projektu Terranu i stary wiedział, że ich czujniki nie radzą sobie jednocześnie z wąsko i szerokopasmową detekcją. Skierowane na powstańców w Capstone, nie mogły równocześnie śledzić trajektorii pocisków. Ktoś, kto kradnie technologię, zawsze powinien pamiętać, że autor wie o niej więcej niż naśladowca.

Dwie jednostki przeszły do standardowej procedury przeszukiwania, a trzecia wzniosła się na dużą wysokość, by objąć obserwacją większy obszar. Postępując w ten sposób, nieprzyjaciel ryzykował utratę co najmniej jednego nisko lecącego statku. Dhonau ponownie załadował wyrzutnię, czekając, aż wrogowie zbliżą się jeszcze. Zauważył, że jeden ze statków wykonał nagle szybki skręt w lewo. A więc Shen został wykryty.

Drugi blackcollar także dostrzegł nadciągające niebezpieczeństwo. W powietrze, jedna po drugiej, wystrzeliły dwie rakiety. Obie eksplodowały nie czyniąc żadnej szkody, trafione w locie promieniami lasera.

Dhonau zaklął cicho. Błyskawicznie ustawił celownik i nacisnął spust. Zdradzało to jego pozycję, ale nie miał innego wyjścia. Z obiema pustymi wyrzutniami, Shen będzie przez kilkanaście sekund niczym kaczka na polowaniu. Dowódca musiał dać czas koledze na ponowne załadowanie.

Pocisk zmierzał ku celowi. Przeczucie Dhonaua, iż załogi kolabów to niedoświadczeni piloci, potwierdziło się całkowicie. Skupiwszy uwagę na bezbronnym Shenie, zupełnie przeoczyli ракетę kierującą się wprost na ich silniki i zbyt późno ją dostrzegli. Pilot próbował jeszcze uciec, ale znacznie szybszy pocisk doścignął go i zakończył lot patrolowca. Dhonau skrzywił się pogardliwie, jednocześnie szukając na niebie pozostałych wrogów. Gdyby na pokładzie znajdował się blackcollar, widząc, że śmierć jest nieunikniona, rozbiłby maszynę o ziemię, starając się zniszczyć w ten sposób przynajmniej część rebeliantów.

Nagle rozległ się potężny huk i szczyt wzgórza zajaśniał niebieskim błyskiem. Dhonau ledwie zdążył zamknąć powieki, chroniąc oczy przed oślepieniem skoncentrowaną wiązką lasera. Światło zgasło tak gwałtownie, jak się pojawiło. Pozostał tylko wypalony pas roślinności. Blackcollar leżał na ziemi, tam gdzie padł instynktownie, czując, iż rozgrzana wewnętrzna warstwa dermopancerza parzy skórę. Otworzywszy oczy, usiłował dostrzec cokolwiek poprzez skaczące przed nimi plamy. Wiedział, że dopisało mu szczęście. – Gdyby statek zawisł nad nim, zamiast atakować w trakcie przelotu, już by nie żył. Ale i tak dermopancerz nie miał szans przetrwać kolejnego ataku. Komandos zaczął czołgać się w stronę wyrzutni, jednocześnie obserwując niebo.

Niedobrze. Pociski sprawiały wrażenie nie naruszonych, ale cienki metal wyrzutni był nieco wygięty od wysokiej tempera- tury. Zaciskając zęby, Dhonau zajął się wymianą mechanizmu odpalającego.

Chwilę później odruchowo padł na ziemię, słysząc odgłos eksplozji. Dostrzegł, jak spada trafiony statek. Kolejny punkt dla Shena. Radość nie trwała długo. Po kilku sekundach pojawił się inny patrolowiec i stanowisko Shena zostało ponownie ostrzelane. Pozostała w jego wyrzutni rakiet pomknęła w górę, lecz eksplodowała unieszkodliwiona, zanim dotarła do celu. Jednostka raz jeszcze omiotła pozycję blackcollara laserami, by upewnić się, że wróg już niczym nie zagrozi. Mocnym szarpnięciem stary komandos oswoił wreszcie mechanizm. Chwył jedną z rakiet i szybko kuśtykając w dół zbocza, ładował urządzenie przystosowane także do ręcznego odpalenia.

Broń była gotowa do strzału, gdy pojazd zawrócił i ruszył w stronę przeciwnika. Stary blackcollar położył się na plecach, z wyrzutnią ukrytą pod ręką. Zdawał sobie sprawę, że zostanie wykryty. Drzewa płonęły ponad jego głową, a światło płomieni wyraźnie odbijało się od na wpół stopionego dermopancerza. Jediną szansą, by jednostka podleciała odpowiednio blisko, było udawanie trupa.

Patrolowiec zbliżał się ku niemu, niezbyt wolno, ale także nie spiesząc się zanadto. Dhonau czekał, wstrzymując oddech... i wreszcie uznał, że pora zaatakować. Zacisnął palce na spuście. Pocisk wystrzelił w górę, spalając blackcollarowi ramię i cały bok.

Westchnął ciężko z bólu, czując jak zamazuje mu się obraz przed oczami. Lecz zanim ogarnęły go ciemności, doznał jeszcze jednej satysfakcji. Patrolowiec stanął w płomieniach.

Dhonau już nie żył, kiedy szczątki jednostki rozbiły się w miejscu, gdzie leżał.

* * *

Błoto na zewnątrz portu lotniczego było przeraźliwie zimne, a karłowate drzewa nie powstrzymywały wiatru wiejącego z północy. James Novak nie zwracał na to jednak uwagi. Czaił się pięć metrów od zewnętrznego ogrodzenia, wpatrzony w nieliczne światła w budynkach portowych. Obserwował je od ponad pół godziny, w napięciu oczekując znaków świadczących, iż zostali wykryci. Ale widocznie bardzo powolne tempo, w jakim się czołgali, pozwoliło oszukać zainstalowane tu czujniki ruchu. Już tylko ogrodzenie wraz z zabezpieczeniami stało na drodze do pograżonych w ciemnościach Korsarzy.

Przez chwilę Novak przyglądał się samemu ogrodzeniu. W przeciwieństwie do muru okalającego Piastę, ta przeszkoda została zbudowana wyłącznie przez Ryqirilów i odpowiadała ich standardom. Oprócz detektorów ruchu, zainstalowanych w niemal niezniszczalnej siatce, znajdowały się tam wykrywacze metalu i promieniowania. Nie tylko uniemożliwiały one sforsowanie ogrodzenia, ale także naprowadzały lasery przeciwlotnicze, umieszczone na wieży lotniska. Przed atakiem z ziemi dodatkowo zabezpieczały pasy min igłowych po obu stronach bariery, odpalanych wskutek nacisku lub przez czujniki na siatce. Nic więc dziwnego, że nigdy dotąd nie usiłowano niszczyć czy forsować ogrodzenia.

Za minutę miała nastąpić historyczna chwila. Niedawno załogi statków patrolowych zajęły miejsca w pojazdach i wystartowały, żeby wesprzeć walczące siły bezpieczeństwa. Zapewne zdążyły już dotrzeć nad Capstone.

Kątem oka Novak dostrzegł błysk pierwszej eksplozji, a gdy odwrócił głowę, zobaczył drugi i trzeci wybuch. Ponownie skupiwszy uwagę na zabudowaniach portowych, komandos zaczął ustalać czas. Musiał mieć pewność, że patrolowce będą na tyle zajęte, iż nie powrócą dostatecznie szybko, a jednocześnie dopilnować, żeby Ryqrilowie nie dopadli swoich Korsarzy.

W budynku koszar nagle zabłyśły światła.

Novak nie czekał dłużej. Sięgnął w lewo i nacisnął przełącznik wystający z krótkiego, przypominającego moździerz przedmiotu, który ostrożnie zakotwiczył w błocie dwadzieścia minut wcześniej. Zwykle drabiny były bezużyteczne w pobliżu ogrodzenia, ponieważ z uwagi na swoje rozmiary uruchamiały czujniki ruchu, a ponadto ich rozłożenie zajmowało zbyt dużo czasu. Jednak...

Ze świstem sprężonego powietrza, z „moździerza” wyłoniła się teleskopowa rura. Łukiem przeszła nad ogrodzeniem. Zanim sięgnęła ziemi, ze środka wypłynęła biała ciecz, która rozlała się, tworząc kałużę po drugiej stronie bariery. Równocześnie znaczna część trysnęła przez otwory w rurze. Płyn tężał szybko w zetknięciu z powietrzem i po kilku sekundach był już gotowy most półmetrowej średnicy. Novak zaczął się po nim wspinać, wykorzystując nierówności powstałe podczas krzepnięcia.

Trzy miny eksplodowały, gdy je mijał, lecz nie wyrządziły szkody twardemu i wytrzymałemu tworzywu, z którego powstał most. Zastygła ciecz osłabiła także energię odłamków, które przestały być groźne dla dermopancerza blackcollara. Z lewej Novak słyszał podobne, stłumione eksplozje, gdy Kwon i Haven przeprowadzali swoje oddziały.

Lasery na wieży nie były widocznie ustawione na ogień automatyczny do celów naziemnych, czego kolaby zapewne bardzo szybko pożałują. Novak bez problemów dotarł na drugą stronę ogrodzenia. Jego dwudziestoosobowy zespół sforsował przeszkodę tuż za dowódcą. Dwunastu uczniów radziło sobie ze wspinaczką niemal tak dobrze jak ośmiu komandosów. Po chwili wszyscy znaleźli się na terenie lotniska.

– Gotowi? – zapytał szeptem Novak.

– Ryqrilowie! – syknął ktoś, wskazując palcem. Dowódca oddziału już wcześniej dostrzegł postacie obcych wybiegające z koszar.

– Ruszamy – zakomenderował pewnie, choć w ustach czuł dziwną suchość.

Zniknęli w ciemnościach. Blackcollarowie tworzyli pierwszą linię, by stanąć naprzeciw zbliżających się nieprzyjaciół. Uczniowie zaś rozproszyli się między Korsarzami. Ryqrilowie na pewno zauważyli już, że za sprawą snajperów Havena potężne reflektory nie działają, a przeciwnik wdarł się do portu. Novak biegł między rzędami zaparkowanych myśliwców. Czuł, że brakuje mu treningu, co znacznie ograniczy szansę w walce.

Przed nim, na płaskim obszarze rozjaśnionym światłem gwiazd, między Korsarzami a budynkiem koszar, rozgorzała już bitwa. Blackcollarowie zaatakowali Ryqrilów procami i gwiazdkami. Błyski laserów na krótko rozświetliły pole walki, bo obcy bali się ryzykować zniszczenie własnej flotyli wojennej.

Ta faza starcia szybko jednak dobiegła końca, gdy ocaleli Ryqrilowie dopadli cienia rzucanego przez Korsarzy. Novak, czający się obok przedniego wspornika myśliwca, uznał, że to on musi pokierować tą makabryczną zabawą w chowanego. Nieprzyjaciele zdali sobie sprawę, że posługując się laserami ujawniają swoje pozycje. Błyskawicznie więc przyjęli taktykę blackcollarów polegając na krótkich mieczach i nadludzkiej szybkości. Nie mieli innego wyjścia jak tylko walczyć wręcz lub uruchomić chociaż jednego Korsarza. A wraz z upływem czasu szansę blackcollarów rosły. Novak wsunął okrytą rękawicą dłoń pod prawy rękaw i nadał wiadomość: „Ryqrilowie rozproszeni. Szybciej do głównego celu”.

Odpowiedzią był gwałtowny potok zakodowanych rozkazów. Kwon oraz Haven przerzucali część sił w kierunku Korsarzy. Przy odrobinie szczęścia może uda się skutecznie okrążyć obcych, zanim ci zorientują się w liczbie przeciwników.

Cichy szelest ubrania stanowił wystarczające ostrzeżenie dla Novaka. Uskoczył w bok. Za późno. Krótki miecz przeciął powietrze i ugodził komandosa w lewe przedramię. Blackcollar przyciągnął rękę do ciała najszybciej jak mógł, pozwalając ostrzu obsunąć się po rękawie dermopancerza. Novak poczuł ostry ból w ranionej kończynie. Jeszcze w odskoku wyszarpnął z pochwy nunczako i zaczął wymachiwać nim na ślepo, starając się powstrzymać napastnika, póki sam nie odzyska równowagi. Ryqril z łatwością uniknął niezdarnego ataku i natychmiast rzucił się na komandosa, chcąc trafić go w szyję. Obcy widocznie jednak nie docenił refleksu blackcollara. Novak uchylił się, cofnął kilka kroków i wyciągnął długi nóż z kieszeni na lewym przedramieniu.

Ryqril znów napierał, zadając ciosy z ogromną szybkością i precyzją. Pocąc się pod dermopancerzem, komandos postępował do tyłu, odpierając ataki nożem i nunczakiem. Lewe ramię bolało dotkliwie. Novak zdawał sobie sprawę, że stoi w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa. Teoretycznie miecz nie przebijał jego osłony, ale uderzenia były wystarczająco silne, by pogruchotać kości. Ponadto Ryqril bez trudu zdołałby udusić przeciwnika, który stracił pełną sprawność.

Novak z trudem przełknął ślinę. Znajdował się między dwoma rzędami Korsarzy, widoczny wyraźnie na tle świateł odległych budynków. Wiedział, że zajmuje kiepską pozycję, nie tylko dlatego, że wystawiał się na atak, ale też Ryqril mógł spychać go wprost pod miecz któregoś z przyczajonych towarzyszy. Blackcollar z desperacją próbował przejąć inicjatywę, ale obcy okazał się równie doświadczonym wojownikiem. Powoli, lecz systematycznie Novak tracił grunt.

I wtedy, jak podarunek nieba, impulsy na nadgarstku złożyły się w wiadomość: „Nie cofaj się przez dwie sekundy”.

Novakowi serce podskoczyło w piersiach. Odzyskawszy siły sprężył się, zacisnął nóż... i w tym momencie z dysz wszystkich otaczających go Korsarzy jednocześnie, z potężnym hukiem wystrzeliły płomienie.

Zaskoczony Ryqril zamarł bez ruchu. Novak natychmiast cisnął nóż w twarz obcego. Ryqril wyrwał się z otępienia i uchylił, unosząc miecz, na co blackcollar z całych sił uderzył go nunczakiem w odsłonięty bok.

Rozległ się głuchy trzask łamanych kości. Obcy zatoczył się, tracąc równowagę. Dowódca oddziału atakował bez przerwy, zasypując głowę i tors Ryqrila gradem ciosów. Uderzał bez opamiętania, nawet gdy wróg leżał już nieruchomo na ziemi. Nie mógł się opanować przez dobrych kilka sekund.

Wreszcie przestał i klęcząc przy pokonanym przeciwniku, odetchnął głęboko. Śmierć była blisko, zdecydowanie zbyt blisko. A jednak komandosa wypełniło uczucie dumy i pewności siebie. Od dawna już nie walczył na poważnie, lecz udało mu się zwyciężyć, i to mając Ryqrila za przeciwnika.

Gdzieś z boku błysnęło światło lasera. Novak natychmiast sięgnął po gwiazdkę, od razu zgadując, co mogło się wydarzyć. Ryqrilowie, wybuchami wypłoszeni na otwartą przestrzeń, postanowili ponownie posłużyć się najsilniejszą bronią, jaką dysponowali, mając nadzieję, że dzięki temu zdołają przejąć inicjatywę.

Znowu błysnął laser. Ktoś krzyknął, lecz gdy Ryqril szukał nowego celu, padł, z gwiazdką Novaka tkwiącą głęboko w szyi. Gdzieś dalej blackcollar widział rozbłyski innych laserów. Schował do pochwy nunczako, wyjął kolejne dwie gwiazdki i nie wychodząc z cienia, bezszelestnie ruszył naprzód. Ryqrilowie nie zorientowali się jeszcze, że siła ich ognia nie sprawdza się w konfrontacji z blackcollarami.

Dwadzieścia minut później było już po wszystkim.

* * *

W porcie od godziny panował spokój, gdy Lathe pozwolił Hawkingowi przejechać taksówką przez główną bramę. Wyglądając przez okno, Caine dostrzegł dwóch lub trzech blackcollarów czających się w mroku, nigdzie zaś wkoło nie widział ludzi w mundurach sił bezpieczeństwa.

– Zajęli całe lotnisko? – zapytał Ziemiańin z niedowierzaniem.

– Zaraz się o tym przekonamy – odparł Lathe. – Tam, Hawking... To chyba Kwon.

Rzeczywiście był to potężnie zbudowany komandos, bawiący się zdobytym laserem. Ujrawszy nadjeżdżający pojazd, ruszył w jego stronę.

– Proszę o raport – odezwał się Lathe.

– Wieża i większość lotniska jest nasza. W koszarach pozostało jeszcze nieco Ryqrilów, ale nie wydadzą się stamtąd. Jeśli będzie trzeba, możemy ich spalić laserami przeciwlotniczymi, a nawet zwalić im na głowy cały budynek. Novak twierdzi, że wystarczy do tego pięć umiejętnie rozmieszczonych, niewielkich ładunków.

– Wierzę na słowo – odpowiedział dowódca. – Wstrzymamy się na razie z takimi działaniami... A co z Korsarzami?

– Są skutecznie unieruchomione. Stoją ze zniszczonymi stabilizatorami głównych silników. Według rozkazu jeden myśliwiec zachowaliśmy w nie naruszonym stanie. Dodds robi rozeznanie.

– Straty?

– Tutaj, na lotnisku, dziewiętnastu: trzech blackcollarów i szesnastu uczniów. Durbin doniósł o dwóch zabitych młodzikach spośród powstańców w Capstone, ale ich liczba może być wyższa. Zginęli także Shen i Dhonau.

Lathe ze smutkiem pokiwał głową.

– W dzisiejszych czasach zwycięstwa drogo kosztują.

– Jak zawsze.

Skrobiąc w zamyśleniu policzek, dowódca komandosów rozglądał się po polu startowym.

– Te frachtowce sprawiają wrażenie małych. Ilu mogą wziąć na pokład?

Kwon wzrokiem usiłował przebić ciemności.

– Nie jestem pewien. Należą chyba do klasy F. Jensen zna się na tym lepiej. Powinien gdzieś tu być. Mam go zapytać?

– Tak. Jeśli uzna, że są wystarczająco duże, wezwij ciężarówki i rozpocznijcie załadunek. Chcę wystartować przed świtem. Aha, pożycz mi swój komunikator – muszę skontaktować się z wieżą.

Kwon odpiął od pasa niewielki przedmiot w kształcie soczewki i podał go dowódcy.

– Wieża znajduje się w zasięgu naszych nadajników.

– Muszę też złapać kontakt z Doddsem – wyjaśnił Lathe. -Hawking, pomóż Jensenowi wybrać transportowiec, którym polecimy. Mordecai, zajmij się organizacją ekspedycji. Wiesz, kogo zabieramy? Dobrze. A jeśli znajdziesz Dayle'a Greene'a, poproś, żeby się do mnie odezwał. Kiedy my wystartujemy, on będzie tu dowodził.

Kwon wycofał się w cień, a Hawking i Mordecai opuścili pojazd. Pozostawszy tylko z Lathe'em, Caine poczuł się nieswojo.

– Dokąd lecimy? – zapytał.

– Musimy dotrzeć do twoich okrętów.

– Teraz?

Blackcollar zmierzył rozmówcę zaciekawionym spojrzeniem.

– A myślałeś, że kiedy? Z pewnością nie oczekiwałeś, że wejdiesz sobie na statek pasażerski i jakby nigdy nic wrócisz na Ziemię. – Wskazał na czytnik leżący na kolanach Allena. -Jak idzie rozkodowanie?

– Powoli. Kod jest skomplikowany.

– Wiesz już, który to system?

W oczach Lathe'a było coś, co nie spodobało się Ziemianinowi.

– Dlaczego pytasz?

– Bo chcę wiedzieć, dokąd lecimy, zanim jeszcze wystartujemy.

– Przecież i tak najpierw musimy dotrzeć na Ziemię, aby zabrać załogi.

– Ziemia jest pierwszym miejscem, gdzie będą nas szukali -wyjaśnił komandos cierpliwie. – Musimy spróbować zebrać kompetentne osoby w innym systemie. O który chodzi?

– M-4, w sektorze Oriona.

– Hmm, Argent.

Lathe pokiwał głową, marszcząc jednocześnie czoło.

– Argent to nieźle prosperująca planeta, zakładając, że niewiele się zmieniło. Powinniśmy bez trudu skompletować tam załogę. Z drugiej jednak strony sektor Oriona przylega do granicy między DIT-em a Chrysellii, więc można się spodziewać w tej strefie znacznych sił Ryqrilów.

– Tak, to nie brzmi najlepiej.

– Mogło być jeszcze gorzej – skwitował Lathe i włączył komunikator. – Lathe do Doddsa. Lathe do Doddsa.

Po chwili nadszedł odzew:

– Tu Dodds.

– Jak postępują przygotowania do lotu?

– Właśnie skończone. Masz tę informację?

– Tak. Numer trzynastcie na naszej liście. Zrozumiałeś?

– Powtarzam: jeden trzy. Jeśli załatwisz, co trzeba, z wieżą, startuję. Bezpiecznego lotu.

– Wzajemnie. – Blackcollar wybrał inną kombinację przycisków. – Lathe do wieży.

– Tu Novak. Słyszeliśmy twoją ostatnią rozmowę. Co robi Dodds?

– Wykonuje zadanie specjalne – uciął Lathe. – Chcę, żeby lasery zostały wyłączone do czasu, aż opuści atmosferę.

Zapadła krótka cisza.

– Nie przypominam sobie, żeby Dhonau o tym wspominał.

– Bo to ja wydałem ten rozkaz.

– Rozumiem. – Ponownie chwila milczenia. – Lasery przeciwlotnicze wyłączone.

– Dobrze. Skontaktuj się z Doddsem i powiedz, że może startować.

Dowódca blackcollarów wyłączył komunikator, przypiął go sobie do pasa i wbił wzrok w rząd Korsarzy. Caine chrząknął głośno.

– Co to za misja, Lathe?

– Później ci wyjaśnię. – Zapytany wskazał ruchem głowy lądowisko. – Leci.

Nikłe refleksy światła odbijały się od kadłubów jednostek i gładkiej nawierzchni pola startowego. Caine obserwował, jak jeden z odległych Korsarzy powoli unosi się w powietrze, a z jego silników grawitacyjnych wydobywają się różnobarwne błyski. Z dziobem skierowanym na wschód, statek wystrzelił nagle w górę z zadziwiającą prędkością, momentalnie ginąc niemal na tle rozgwieżdżonego nieba. Oślepiający rozbłysk świadczył o uruchomieniu głównego napędu. Myśliwiec całkowicie zniknął z pola widzenia.

Lathe drgnął i prawą ręką chwycił lewy nadgarstek.

– Ktoś zbliża się do lotniska – wyszeptał do Caine'a. – Wieża mówi, że to pojazd sił bezpieczeństwa. Mordecai jest już w drodze. Chcę, żebyś udał się z nim na statek. Tam będziesz bezpieczny.

– A co z tobą?

– Zamierzam spotkać się z przybyszami. – Lathe zauważywszy wyraz twarzy Allena, dodał: – Nic mi nie grozi... to nie żaden atak. Ale twoje życie jest dla nas zbyt cenne, żeby choć w najmniejszym stopniu ryzykować. Ruszaj.

Caine wysiadł z ociąganiem. Przez moment stał jeszcze, przypatrując się, jak Lathe zawraca ku bramie lotniska. Mordecai wyłonił się z ciemności i razem ruszyli ku transportowcom.

* * *

Lathe czekał już przy bramie, kiedy podjechał pojazd sił bezpieczeństwa. Wyszedł z niego kierowca, który uniósł dłonie, pokazując, że są puste. Dostrzegłszy blackcollara, postąpił w jego stronę.

Był to prefekt Galway.

– Przybyłem sam i nie mam broni – przemówił. – Chcę pertraktować.

– Skąd taka myśl, iż jest coś, o czym moglibyśmy rozmawiać? – zapytał Lathe, chowając gwiazdkę, którą trzymał w ręku.

Galway zmarszczył brwi, przyglądając się pogrążonej w półmroku twarzy rozmówcy.

– Dowódca blackcollarów, Lathe, prawda? – Ze smutkiem pokręcił głową. – Cholera, ale nas załatwiliście. Aż trudno uwierzyć.

– Szczerze mówiąc, nie było to wcale takie łatwe. Szczególnie pan sprawiał nam kłopoty swoją podejrzliwością. Ale szkoda czasu na wymianę komplementów. Przejdźmy do rzeczy. Czego pan chce?

Prefekt spojrział poza bramę, w głąb lotniska.

– Właściwie przyjechałem tu, żeby udzielić rady. – Ponownie popatrzył na komandosa. – Jako odwrócenie uwagi i wabik, powstanie było świetnie pomyślane. Ale nie nadużywajcie takiego postępowania.

– Co pan ma na myśli? – zapytał spokojnym tonem Lathe.

– To, iż spowodowaliście, że ludność znalazła się na rozdrożu. Wszyscy w Capstone wiedzą już, co się dzieje. Obserwują, ile kłopotów sprawia nam kilkuset agresywnych podrostków i zapewne zastanawiają się, jakie skutki wywołałoby ogólnoplanetarne powstanie.

– A jakie byłyby te skutki pańskim zdaniem?

– Zniszczenie Plinry – odrzekł Galway. Blackcollara uderzyło zdecydowanie brzmiące w głosie prefekta. – Doskonale pan wie, że części Piasty należącej do Ryqrilów nie da się zdobyć. A nawet odcięcie jej od reszty świata potrwa tylko do czasu pojawienia się ich kuriera. – Szef sił bezpieczeństwa wskazał na południe, gdzie widoczne były światła miasta. – Nigdy nie udało się nam podźwignąć po ostatniej wojnie. Jak pan sądzi, ile akcji odwetowych jesteśmy w stanie przetrwać?

– Niewiele – przyznał komandos. – Czego więc pan ode mnie oczekuje?

– Powstrzymania rewolty. No, powiedzmy spowolnienia tempa wydarzeń, bo zapewne nie zechce pan jej zupełnie stłumić. Możemy wynegocjować jakiś układ, ale proszę pamiętać, że moje kompetencje są ograniczone.

Lathe milczał przez chwilę, aż wreszcie wolno pokręcił głową.

– Nie potrzeba żadnych paktów, Galway. Naszym celem nie jest wyzwolenie Plinry. Przynajmniej nie teraz. Nasi ludzie na pewien czas zejda do podziemia i jeśli nie będzie ich pan zbyt naciskał, nie sprawią dalszych kłopotów.

Prefekt spojrzał blackcollarowi prosto w oczy.

– Słowo?

– Wydam odpowiedni rozkaz. Tylko tyle mogę zagwarantować.

Galway zareagował lekkim grymasem przypominającym uśmiech.

– W porządku. Ja także będę starał się zapanować nad swoimi ludźmi. W przeciwnym razie, za jakiś czas, może tu już nie być żadnej planety. – Raz jeszcze jego spojrzenie powędrowało ku lądowisku i ciemnym sylwetkom statków. – Oddałbym ostatnią dawkę iduniny, żeby poznać pańskie plany.

– Pewnego dnia wszystkiego się pan dowie.

– Nie wątpię – odparł ironicznie.

Odwrócił się, wsiadł do samochodu i ruszył spod bramy.

* * *

Ze swojego punktu obserwacyjnego, obok kanciastego transportowca, Caine widział, jak Galway odjeżdża. W głowie Ziemianina kłębiły się sprzeczne myśli. Spotkanie miało wyraźnie pokojowy charakter, może nawet przyjacielski. Rozmawiali dosyć długo. Dlaczego? A co ważniejsze, z jakich powodów Lathe tak bardzo starał się, żeby przy tej wymianie zdań nie było żadnych świadków?

Pokręcił głową, czując, że cały tok rozumowania jest absurdalny. Jakikolwiek podejrzenia krzywdziły dowódcę. A jednak... Allen odruchowo mocniej ścisnął czytnik. Ziemianin uświadomił sobie, że od momentu gdy przybył, to blackcollarowie decydowali o wszystkim. Nawet teraz traktują go co najwyżej jak cenny ładunek. Ale gdy nadejdzie decydujące rozdanie, wtedy on, Allen Caine, będzie miał w ręku asa. A tej karty nie pozbywa się pochopnie... i nie daje byle komu.

Lathe szedł w stronę transportowca. Caine przełożył czytnik do drugiej ręki i skierował się do towarowego wjazdu. Może blackcollarowie pozwolą mu przynajmniej pomóc przy załadunku.

Rozdział 9

Nawigacyjny komputer frachtowca określił odległość do Argentu na sześć parseków. Korsarz przebyłby ten dystans w trzy dni. Statkowi pasażerskiemu, którym Caine przyleciał na Plinry, pokonanie tej odległości zajęłoby tydzień. Frachtowiec, zaprojektowany z myślą o oszczędności paliwa, a nie szybkości, potrzebował zaś prawie dwunastu dni.

Mimo to czas upływał szczególnie pracowicie. Większość spośród jedenastu komandosów przebywających na pokładzie zajęła się przysposabianiem zabranego sprzętu. Lathe natomiast polecił Skylerowi i Novakowi poddać Caine'a przyspieszonemu treningowi blackcollarów. Był to intensywny kurs, który sięgał umysłowych i sprawnościowych granic możliwości Allena. Ziemianina zaznajomiono z bitewnymi kodami komandosów, zarówno przekazywanymi impulsami biomagnetycznymi jak i gestami rąk. Pokazano mu również nie znane dotąd techniki walki wręcz. Po kilku dniach ćwiczeń Allen zdobył w nich pewną wprawę. Nauczył się także, przynajmniej w podstawowym zakresie, posługiwać nunczakiem, procą i shurikenami. Pomiedzy lekcjami spędzał czas na poznawaniu nowych towarzyszy... i zadawaniu ostrożnych pytań.

– Och tak, znaleźliśmy się z Tardym jeszcze przed wojną. Wiedział o każdej destylarni na Plinry. Kradliśmy stamtąd whisky, a później używaliśmy jej do zapalników bomb. Lathe? Nie, nie spotkałem go aż do amnestii...

– ...Wygląda mi na to, że Lathe i Dodds należeli do oddziałów walczących gdzieś w okolicach Nowego Karachi. Nie znałem żadnego z nich, dopóki nie zacząłem bywać na spotkaniach w domku myśliwskim...

– ...Z Doddsa zawsze był odludek. Nigdy nie ćwiczył z nami. Słyszałem, że podczas wojny został zaskoczony atakiem gazowym, którego paraliżujące działanie zniweczyło jego umiejętności. Sprytny jednak z niego facet. Przyjaciel dowódcy blackcollarów. Jasne, znam od dawna... byliśmy razem przesłuchiwanie przez kolabów...

I tak to wszystko wyglądało, aż wreszcie Caine doszedł do wniosku, że nikt z obecnych na pokładzie nie słyszał o Lathe'u ani Doddsie aż do czasu zakończenia wojny.

Takie ustalenia nie powinny jednak dziwić. Na Plinry początkowo działało trzystu blackcollarów – dwadzieścia pięć typowych dwunastoosobowych oddziałów partyzanckich. Skoro więc spośród wszystkich komandosów przeżyło tylko trzydziestu jeden, to niewykluczone, że co najmniej kilku było jedynymi ocalałymi z całej drużyny. Niemniej w połączeniu z upartym odmawianiem przez Lathe'a wyjaśnień na temat specjalnej misji Doddsa, wyciągnięte z rozmów wnioski zaniepokoiły Caine'a.

Gdy w dziewięć dni po starcie Allen zakończył wreszcie rozszyfrowywać wiadomość z taśmy zdobytej w archiwum, zakodował sobie w pamięci osiem najważniejszych liczb określających pozycję ukrytych okrętów. Po sześciu godzinach autohipnozy, jakiej poddał się Ziemianin, zostały one otoczone psychometrycznymi blokami, których nie zdołałyby złamać żadne środki farmakologiczne.

Nikt, nawet Lathe, nie dostanie tych parametrów, dopóki Caine nie uzna tego za stosowne.

* * *

Gdy transportowiec opuścił nadprzestrzeń, Argent widniał jako jasna plamka z widocznym dyskiem. Chelsey Jensen, pilot statku, nastawił komputer na określenie trajektorii lotu, po czym wyświetlił na monitorze schemat systemu.

– To jest Argent – powiedział do Caine’a, wskazując drugą z kolei planetę. – Zajmuje jedno z czołowych miejsc w tabeli podobieństwa do Ziemi, a na dodatek to niespotykanej wielkości kopalnia surowców mineralnych. Przed wojną ta planeta była aż nieprzyzwoicie bogata.

Schemat przedstawiał jeszcze dwanaście planet i dziwnie ukształtowaną mgiełkę.

– Co to? – zapytał Allen.

– Pas asteroidów, nazywany Diamentowym Pierścieniem. Chyba nie muszę ci tłumaczyć dlaczego.

– Co powoduje, że jest tak nienaturalnie skupiony?

– Nie mam pojęcia. Ale bliskie względem siebie położenie asteroidów znacznie ułatwia uzyskiwanie surowców. Stawiam dziesięć do jednego, że właśnie tam są ukryte okręty.

– Być może. To także doskonałe miejsce do przeprowadzania partyzanckich wypadów.

Oczami wyobraźni Ziemianin ujrzał niewielkie myśliwce pojawiające się nie wiadomo skąd i atakujące Ryqrilów.

– Niezupełnie. Pas asteroidów nie jest wystarczająco gęsty. Jednostka z dużym napędem pozostawi po sobie wyraźny ślad. Lepiej już ukryć się wśród bagien lub lasów na Argencie.

Projekt heroicznego działania legł w gruzach.

– A więc to właśnie zamierzamy zrobić?

– I tak i nie – rozległ się głos. Caine ujrzał Lathe’a wspinającego się po wąskich, kręconych schodach. – Będziemy się kryli w takiej okolicy najwyżej przez jeden dzień, dopóki nie nawiążemy łączności z lokalnym podziemiem.

– Mielicie z nimi jakiś kontakt? – zapytał zaintrygowany Allen. Lathe spojrzał na niego karcącym wzrokiem.

– Oczywiście, że nie. Dobrze wiesz, że na Plinry byliśmy odizolowani od reszty świata.

– Ale przecież powiedziałeś... – Agent ruchu oporu strzelił palcami. – Rozumiem. Dodds. Już tam wylądował, prawda?

– Caine, masz niewłaściwy zwyczaj wyciągania pochopnych wniosków. – Dowódca blackcollarów zwrócił się do Jensa. – Jaka jest sytuacja?

– Autopilot uruchomiony. Oczekiwany czas przybycia -piętnaście godzin. Rzecz jasna skontaktują się z nami znacznie wcześniej.

– W porządku. Idź więc odpocznij i skończ przygotowania. Rozkażę, żeby Spadafora zajął twoje miejsce. Masz być z powrotem za dziewięć godzin.

Po raz ostatni obrzuciwszy wzrokiem instrumenty, Jensen przemierzył pomieszczenie i zniknął na schodach.

- Idź do ładowni i pomóż przygotować ładowniki – zwrócił się Lathe do Caine’a.
- Chcę być tutaj, kiedy będziesz rozmawiał z planetą -oświadczył twardo Ziemianin.

Blackcollar wzruszył ramionami.

- W porządku. Nałóż tylko dermopancerz, żeby w każdej chwili być gotowym.

* * *

Gdy statek pasażerski dzieliło trzydzieści minut drogi od głównej orbity Argentu, z pokładowych głośników rozległo się wezwanie:

- Do niezidentyfikowanego frachtowca w wektorze dwa-osiem-zero, plus cztery-przecinek-dziewięć. Tu kosmiczna kontrola Argentu. Proszę podać swoje dane.

Jensen wskazał ręczny mikrofon przytwierdzony do konsoli. Lathe sięgnął po niego, sprawdził działanie urządzenia, stukając palcem, po czym znacząco spojrzał na Caine’a.

- Tu transportowiec pierwszej klasy Donovan. Ładunek specjalny z Magna Graecii. Proszę o umieszczenie na orbicie priorytetowej, z dala od głównych szlaków.

- Jak brzmi wasz identyfikator lądowania?

- Nie mamy żadnego. Mówię przecież wyraźnie, że to ładunek specjalny. Podano mi zakodowany numer i polecono przekazać go jedynie ludziom prefekta sił bezpieczeństwa.

Caine oczyma wyobraźni widział, jak kontroler ruchu poprawia się w fotelu.

- Zrozumiałem. Natychmiast was łączę. Upłynęła minuta, zanim głośnik odezwał się znowu:

- Biuro prefekta sił bezpieczeństwa. Porucznik Peron. Słucham.

- Gamma-dwanaście. Wie pan już, o co chodzi?

- Skąd macie ten kod?

- Od graeciańskiego oficera sił bezpieczeństwa, który kazał na siebie mówić Hydra. Znajduje się na dole. Znajdźcie go tylko, a wszystko potwierdzi.

Nastąpiła krótka przerwa.

- Nie znam człowieka o takim pseudonimie – oświadczył oficer, a w jego głosie pojawiła się nuta podejrzliwości. – Jest pan pewien, że to był agent sił bezpieczeństwa?

- Tak, ale mówiłem już, że pracuje na Magna Graecii, a nie na Argencie. Miał polecieć przodem i załatwić formalności, żeby ja nie musiał już zwracać sobie tym głowy.

Znowu cisza.

- Chwileczkę.

Lathe wyłączył mikrofon.

– Jensen, nadaj rozkaz, żeby cała załoga zajęła stanowiska w ładownikach. Nie wiem, jak długo jeszcze uda mi się ich kołować, ale na pewno będziemy musieli stąd szybko zniknąć.

Jensen skinął głową i zaczął wydawać polecenia za pośrednictwem interkomu. W tym czasie Caine wyrzwał przez iluminator i zobaczył biało-niebieski dysk Argentu, odległy już o niecałe sto tysięcy kilometrów. Ogrom tej planety oraz fakt, iż znajdzie się na niej zaledwie jedenastoma blackcollarami, nie napawał go optymizmem.

Z głośnika na konsoli ponownie rozbrzmiał głos:

– Mówi pułkownik Eakins, zastępca prefekta sił bezpieczeństwa na Argencie. Niech mi pan udzieli więcej informacji na temat tego Hydry.

– Mogę opisać jego wygląd – zaproponował dowódca komandosów i rozpoczął trzyminutową charakterystykę, jak zauważył Allen, osoby prefekta Plinry, Galwaya. Lathe'owi dopisywało poczucie humoru. – Ale jeśli nie dotarł jeszcze do was, to doprawdy nie wiem, co się zdarzyło.

– Wykonuję bezpośrednie rozkazy Ryqrilów – oświadczył Eakins. – Natychmiast się z nimi skontaktuję. Do czasu otrzymania odpowiedzi zezwalam panu wejść na orbitę polarną. Dane dotyczące kursu prześlemy waszemu komputerowi.

Dwutonowy sygnał potwierdził ich otrzymanie.

– Dziękuję – rzekł Lathe. – I proszę dopilnować, żeby nikt się do nas nie zbliżał. Nasz frachtowiec jest niezwykle czuły. Nie chciałbym, żeby ktoś przejechał po nim smugą ze swoich silników.

Znów zapanowało milczenie.

– Rozumiem – rzekł wreszcie pułkownik. – Załatwione. Koniec nadawania.

Lathe wyłączył mikrofon i włożył go w uchwyt na konsoli.

– Znajdujemy się już prawie na orbicie – zameldował Jensen. – Kiedy chcesz ruszać?

Dowódca w zamyśleniu gładził swój pierścień.

– Wstrzymamy się tak długo, jak tylko to możliwe – postanowił. – Jeśli wykorzystamy okazję przyjrzenia się całemu obszarowi planety, będziemy mieli większe szansę na znalezienie dobrego miejsca do lądowania.

– Masz rację.

Jensen nacisnął jakieś klawisze, uruchamiając cztery duże monitory.

Zanim Lathe skupił na nich uwagę, zwrócił się jeszcze do Allena:

– Caine, idź do ładowni i wsiadaj do swojego ładownika. Nie chcę, żebyś tu krążył do ostatniej chwili, a później pakował się w pośpiechu.

Ziemianin przytaknął.

– Dobra. Do zobaczenia na dole. – Zawahał się przez moment. – Powodzenia, Jensen – dodał wreszcie, będąc już na schodkach.

Łądowniki awaryjne miały kształt szyszek ściętych na obu końcach, wysokość około trzech metrów i średnicę dwóch w najszerszym miejscu. Przy włączach w ładowni znajdowało się ich pięć: dwa modele czteroosobowe i trzy towarowe, gdzie było miejsce tylko dla jednej osoby. Jensenowi, który miał pozostać na pokładzie dłużej niż inni, przygotowano jeszcze jeden, ustawiony przy awaryjnym włączu w pobliżu mostka.

Cała reszta zajęła już swoje stanowiska. Przez otwarte włązy dawało się słyszeć rozmowy komandosów zapinających i sprawdzających paski oraz klamry. Caine zbliżywszy się do drugiego z kolei ładownika zajrzał do środka.

– Jest tu jeszcze dla mnie trochę miejsca? – zapytał. Siedzący w mrocznym wnętrzu Skyler energicznie pomachał ręką.

– Jasne. Włącz.

Wspierając się na grubej powłoce ceramicznej, Allen wskoczył przez niewielki włącz i przesunął się o krok na prawo, lawirując między płataniną przewodów, pasów oraz prętów.

Wcisnął się pomiędzy Vale'a a Novaka, po czym zaczął zapinać swoją uprząż.

Słuchającego cichych rozmów i przyglądającego się twarzom blackcollarów Caine'a uderzyło jak nigdy dotąd jakieś zdumiewające, trudne do określenia wzajemne podobieństwo tych ludzi. Poza różnicami w stylu bycia widział tę jednoczącą ich... co? Uznał, że siłą połączoną ze spokojem – cechy trudne do pogodzenia z wizerunkiem legendarnych wojowników, wokół których trup ściele się gęsto. Wnioski płynące z tej obserwacji nieco go rozczarowały.

Czekali niemal godzinę, gdy ładownikiem szarpnęło nagle po manewrze zbyt gwałtownym, żeby jego skutki zniwelowała sztuczna grawitacja. Rozmowy urwały się gwałtownie i do uszu Caine'a dobiegł stłumiony jęk silników.

– Ruszamy – oświadczył Novak, znajdujący się najbliżej włązu.

Wyglądał na szczególnie przejętego, lecz Allen wiedział, że nie jest to związane ze zbliżającym się lotem. Już wcześniej podczas podróży zwrócił uwagę na szczególną nić przyjaźni łączącą Novaka z Jensenem, a ten miał być diabelnie dużym celem przez kilkanaście minut po opuszczeniu transportowca przez pozostałych.

– Zamykać?

– Czekaj, aż przyjdzie Lathe – poradził Skyler. Po kilku sekundach uchyliły się drzwi ładowni.

– Zapiąć pasy! – zawołał dowódca blackcollarów, zmierzając do swojego ładownika. – Jensen otworzy włącz za niecałą minutę. Starajcie się kierować na zachód.

Novak zatrzasnął klapę. Wnętrze ładownika pogrążyło się w ciemności. Oczami wyobraźni Caine widział jednostki lecące w ich stronę i grożące otwarciem ognia. Jensen podejmie grę na czas, twierdząc że ma kłopoty z nawigacją. Będzie starał się zwabić patrolowce jak najbliżej.

Nagle ładownik przechylił się tak, że Allen odniósł wrażenie, iż żołądek podjechał mu do gardła. Kapsułą zakręciło i zatrzęsło gwałtownie, gdy po chwili, już w przestrzeni kosmicznej, dostali się w turbulencje za ogonem frachtowca.

Na szczęście po upływie kilku sekund pojemnik przyjął stabilną, pionową pozycję, a opór pierwszych warstw atmosfery sprawił, że wewnątrz czuło się wzrost ciężenia. Przez poszycie pojazdu dochodził cichy szum powietrza. Ziemianin skoncentrował się na słuchaniu tego odgłosu, aby pozbyć się chęci ciągłego przypominania Novakowi o kontroli wskaźnika wysokości.

Minuty wlokły się straszliwie. Waga Caine'a stopniowo wzrastała, gdy lądownik zwalniał. Podłoga pod stopami zaczęła się rozgrzewać. Temperatura powietrza wewnątrz rosła, a świst powietrza zagłuszał rozmowę. Kurczowo zaciskając palce na pasach, Allen starał się przezwyciężyć strach.

– Uwaga na spadochron! – Skyler musiał krzyczeć, żeby było go słychać. – Trzy, dwa, jeden...

Pierwsze szarpnięcie, spowodowane otwarciem pomocniczego spadochronu, okazało się dość łagodne. Naprawdę gwałtowne było drugie, gdy główna czasza rozpostarła się nad lądownikiem. Niemal natychmiast ogłuszający gwizd z zewnątrz zmienił się w lekki szum. Powróciło normalne ciężenie. Stając na nieco drżących nogach, Allen odetchnął głębiej.

– Niezła przejażdżka – stwierdził.

– Tak uważasz? – mruknął Skyler, a jego twarz widoczna w słabej poświacie fluoryzujących wskaźników nie odzwierciedlała napięcia większego niż wyrażał głos. – A myśleliśmy o sprzedaniu ich centrum rozrywkowemu. Dobra. Jesteśmy na wysokości dwóch tysięcy metrów. Rozpad za czterdzieści sekund... Wszyscy gotowi?

Caine mocniej uchwycił pasy. Po kolejnym szarpnięciu ściany lądownika rozdzieliły się od sufitu po podłogę. Ta ostatnia zniknęła gdzieś, a prąd powietrza spowodował rozwarcie ścianek, jakby w zniszczonej parasolce. Wciąż przypięty do jednej z części obudowy, Allen został wyrzucony na zewnątrz, gdy lądownik rozpadał się w locie.

Ziemianin ledwie miał czas, by stwierdzić, iż znaleźli się nad ciemną stroną Argentu, gdy coś szarpnęło jego fragmentem osłony, wiszącym mu nad głową. Z głośnym szumem sprężonego powietrza i trzaskiem konektorów rozwinęło się czarne skrzydło. Już po kilku sekundach Caine stwierdził, że znajduje się w pozycji horyzontalnej i szybuje w zimnych, nocnych przestworzach.

– Caine, jesteś odwrócony w niewłaściwą stronę – rozległ się w słuchawce głos Skylera. – Skręć jakieś dwadzieścia stopni w lewo.

Plastikowy drążek sterowy Allen miał tuż przed sobą. Gdy chwycił go obiema rękoma, poczuł, jak urządzenie delikatnie drży. Ćwiczył kiedyś na Ziemi loty spadochronowe, lecz to było zupełnie co innego. Zdecydowanie napał na drążek.

Szybowiec raptownie skręcił w lewo. Allenowi przez chwilę mignęły przed oczami zarysy innych skrzydeł.

– Spokojnie, spokojnie – mruczał komandos. – Stery są bardzo czułe.

Caine spróbował ponownie. Tym razem manewr wyszedł o wiele łagodniej.

– Dobrze. Jeszcze troszeczkę i powinieneś znaleźć się na kursie.

Ziemianin posłuchał, po czym przeszukał wzrokiem niebo.

– Gdzie są pozostali?

– Ja jestem wyżej. Z tyłu – rzekł Skyler. – Trudno wymagać, żeby wszyscy byli z nami w kontakcie wzrokowym. Załoga pierwszego lądownika leci zazwyczaj nieco wcześniej, aby ubezpieczać resztę.

Nagle ktoś przerwał im rozmowę:

– Skyler, tu Kwon. Podaj swoje namiary. W porządku. Twoja grupa trzyma się razem?

-Tak.

– Skręć na południe. Jesteś jakieś pół kilometra od O'Hary. Lathe? Dobra, znajdujesz się przed O'Harą, więc leć swoim kursem. Haven? – Cisza. – Haven? Podaj namiary.

– Coś musi przerywać – odpowiedział głos Havena. – Ale wszystko gra, widzę Skylera przed sobą.

– Doskonale – stwierdził Lathe. – Nasz cel stanowi zalesiony obszar jakieś dwa kilometry na północ od miasta średniej wielkości. To ze trzydzieści kilometrów stąd, spory kawałek, ale ze statku zaobserwowaliśmy ciepłe prądy, więc łatwo o wznoszenie. Kwon będzie utrzymywał łączność przez nadajnik biomagnetyczny, jeśli czujnik podczerwieni pokaże coś obiecującego. Kiedy znajdziemy się w formacji, obowiązuje pełna cisza radiowa.

Dwa szybowce przed Caine'em wykonały skręt o jakieś piętnaście stopni. Ziemianin ostrożnie powtórzył ich manewr.

– Świetnie – skomentował Skyler. – Widzisz, nietrudno się nauczyć, prawda?

– Nie. Hej, Skyler, co właściwie zamierzamy zrobić, kiedy dostaniemy się do tego miasta?

– Oczywiście skontaktować się z ludźmi tamtejszego podziemia.

– Jak ich odnajdziemy? Porozmawiamy z miejscowymi i spytamy o drogę?

Blackcollar roześmiał się głośno.

– Ależ skąd. Prościej jest pozwolić się złapać. W tej chwili radio zamilkło.

– Wspaniale – mruknął Allen do siebie i postanowił skoncentrować się na locie.

Jak czarnoskrzydłe widma, jedenaście szybowców płynęło cicho między gwiazdami a ciemnością w dole.

Rozdział 10

Nadajnik biomagnetyczny na nadgarstku Allena zadrgał, dając znak, że dobiegło końca pięciogodzinne oczekiwanie: „Wabik wraca plus sześciu i dwa pojazdy”.

– Jadą – rzekł niepotrzebnie, wstając i patrząc na południe, jakby potrafił przeniknąć wzrokiem ciemności spowijające las.

– Tak, wiem – rzucił sucho Hawking i również podniósł się niechętnie. – Jesteś zaskoczony, że się wydostali?

– Małe miasteczko czy nie, ale więzienie to więzienie – rzekł Caine. Pozostała czwórka czekająca na polance już zbierała plecaki i kryła się za drzewami. Ziemianin dostrzegłszy Skylera podszedł do

niego. – Zastanawiałem się nad pewną sprawą – przemówił cicho. – Co zrobimy, jeśli ludzie, którzy są z Lathe'em oraz resztą, nie należą do podziemia?

– A któż inny mógłby to być? – wtrącił Hawking, przechodzący akurat obok nich, z dwoma plecakami w rękach.

– Siły bezpieczeństwa – podsunął agent ruchu oporu. – To byłaby wymarzona okazja do infiltracji i zorientowania się w naszych zamiarach.

Skyler pokręcił głową.

– Ciekawy pomysł, ale zupełnie nieprawdopodobny na tym etapie rozwoju sytuacji. Ulojalnienie powoduje, że ludzie nie potrafią samodzielnie ruszyć głową. Mogliby spróbować takiego wybiegu, jednak znacznie później.

Caine'a wciąż nurtowały wątpliwości, lecz akurat w tym momencie ponownie włączył się nadajnik, sygnalizując, że wysłani blackcollarowie dojechali na miejsce. Czterech spośród sześciu Argentinian towarzyszyło grupie Lathe'a, która ruszyła w las, dwóch zaś zostało przy pojazdach. Komandosi bezgłośnie rozpierzchli się po obrzeżach polanki. Allen wybrał stanowisko za grubym pniem, skąd miał dobry widok. Z głośno bijącym sercem usadowił się wygodniej i czekał.

Usłyszał, jak brną przez szeleszczące liście, dobre pół minuty wcześniej, zanim pojawili się w polu widzenia. Zerkając zza drzewa przyjrzał się czwórce Argentinian otaczających półkołem Lathe'a, Vale'a, Kwona oraz Spadaforę. Byli ubrani jednakowo, w luźne, brązowe, jednoczęściowe kombinezony i wojskowe buty. Twarze mieli zasłonięte siatkowymi maskami. Śrutówki trzymali w sposób świadczący, że mają za sobą dobry trening w posługiwaniu się tego typu orężem.

Lathe, idący na czele, dotarł na środek polany i zatrzymał się przy leżącym na wpół przegniłym pniu. Pozostali także stanęli. Ziemianin odniósł wrażenie, że lufy strzelb uniosły się nieco.

– No więc? Gdzie ta broń? – zapytała jedna z osób towarzyszących komandosom. Caine ze zdziwieniem uznał, że głos należy do kobiety.

– Nie ma tu żadnej broni – powiedział przepaszająco Lathe. – Wieści o przemyście rozpuszczone przez nas w mieście miały tylko na celu zwrócenie waszej uwagi.

Tym razem lufy uniosły się już wyraźnie.

– Sprytne – uznała kobieta lodowatym tonem. – A więc udało się wam tego dokonać. Lepiej, żebyście mieli na to jakieś dobre wytłumaczenie, bo inaczej pożałujecie.

– Właściwie jest ono całkiem proste. Przybyliśmy w specjalnej misji wojskowej i musieliśmy nawiązać łączność z podziemiem. Daliśmy się złapać w tym miasteczku, na uboczu, licząc, że będziecie chcieli nas wyciągnąć. Takie rozwiązanie uznaliśmy za najprostsze.

– Pomysł, owszem, prosty, ale głupi. A gdybyśmy nie próbowali odbić was z więzienia?

– Sami byśmy uciekli. – Dowódca blackcollarów wzruszył ramionami. – Czy możecie skontaktować nas z kimś, kto kieruje waszą organizacją?

– Nie tak szybko – warknął inny Argentinianin. – Li, to na pewno są szpiegdy. Załatwmy ich i spływajmy stąd.

– Uspokój się, Ron. Poczekamy z tym jeszcze, ale trzeba brać pod uwagę i taką możliwość – rzekła kobieta, po czym zwróciła się do Lathe’a: – Zaczniemy od tego, kim jesteście i po co tu przybywacie.

– Damon Lathe, dowódca oddziału sił blackcollarów -przedstawił się komandos. – Wypełniamy misję specjalną, a przylecieliśmy z Plinry, wykonując rozkaz generała Krato-chwila, z Ziemi. Na razie to wszystko, co mogę powiedzieć.

Pośród pozostałych trzech Argentinian rozległy się szepty pełne zdziwienia, ale pozostająca w pogotowiu broń nawet nie drgnęła.

– Blackcollar z innej planety? Cóż, to interesujące... Potrafi pan to udowodnić?

– Mogę spróbować – stwierdził Lathe.

Zgiął rękę i trzy shurikeny utknęły w pniu martwego drzewa.

Argentinianie odwrócili się, podziwiając rzut. Zanim jeszcze Caine pomyślał, co nastąpi, blackcollarowie odebrali śrutówki swoim wyzwolicielom.

– Proszę wybaczyć tak obcesowe zachowanie – rzekł łagodnie dowódca komandosów. W jednym ręku ścisnął zdobytą broń, drugą trzymał kobietę za przegub, uniemożliwiając jej jakikolwiek ruch. – Nie mamy przy sobie identyfikatorów.

– To niczego nie dowodzi – warknął jeden z mężczyzn, bezskutecznie próbując oswobodzić się z chwytu Kwona, który zmusił Argentinianina do opadnięcia na kolana. – Ich wspólnicy rzucili tym, żeby odwrócić naszą uwagę. Po prostu zostaliśmy zaskoczeni.

– Wszystko w porządku. – Co dziwne, w głosie kobiety nie było już złości. – Shurikeny to prawdziwa broń blackcollarów. – Ruchem głowy wskazała las. – Przekonaliście mnie. Pańscy towarzysze nie chcą do nas dołączyć?

– Już wychodzą. – Puścił Argentiniankę i zwrócił jej strzelbę. Ta bez słowa sprawdziła bezpiecznik, po czym przewiesiła broń przez ramię.

Lathe nadał odpowiedni sygnał. Na polanę wyszło pięciu ukrytych dotychczas komandosów oraz Caine. Ten ostatni żałował, że poprzez maski nie widzi twarzy autochtonów. Blackcollarowie w strojach bojowych robili wrażenie.

– Nikt nie został w zaroślach? – zapytała kobieta.

– Mamy jeszcze wartownika na skraju lasu – rzekł Skyler.

– Dobrze. Samochody nie pomieszczą wszystkich. Część z was będzie musiała iść pieszo. – Skinęła na swoich towarzyszy, którzy w przeciwieństwie do niej trzymali zwróconą im broń gotową do strzału. – Tych czterech możecie zabrać przez las prosto do domu. Resztę i bagaże zapakujemy do samochodów.

– Ależ Li, ciągle nie wiemy, kim oni są – zaprotestował jeden z mężczyzn, wskazując lufą Vale’a.

– To blackcollarowie, a więc na pewno nasi sojusznicy -tłumaczyła cierpliwie. – Ruszajcie. I lepiej odłóż broń, zanim znowu ci ją odbiorą.

Mężczyzna prychnął niezadowolony, lecz posłusznie zagłębił się w las, a za nim podążyli wyznaczeni mężczyźni. Kobieta skinęła na Skylera.

– Idziemy.

* * *

„Dom”, do którego zostali zawiezieni, w rzeczywistości okazał się sporą rezydencją. Na obrzeżach lasu znajdował się dwupiętrowy, kamienny budynek, obok zaś okazały garaż. Nie opodal stały trzy albo cztery zabudowania gospodarcze, rozmieszczone w różnej odległości. Ukryte tajne przejście w jednej z szop prowadziło do tunelu łączącego ją z domem. Wydostawszy się z niego, znaleźli się w przyzwyczajonej umebrowanej piwnicy. Pod ścianami ktoś ustawił dwie nieco podniszczone kanapy oraz kilka krzeseł. Była tu nawet kuchenka mikrofalowa i sterta sterylnie zapakowanej żywności. Do wystroju wnętrza wyraźnie nie pasował buczący wygniatacz pluskiew umieszczony przy telefonie. Z pomieszczenia wychodziły jeszcze dwa tunele, a w jednej ze ścian znajdowały się zwykłe drzwi.

– Czujcie się jak u siebie w domu, panowie – przemówiła kobieta.

Zdjęła maskę i Caine po raz pierwszy miał okazję zobaczyć jej twarz.

Spotkało go ogromne rozczarowanie. Sądząc po głosie, Allen spodziewał się raczej, że ujrzy piękność, jaką się widuje w młodzieńczych fantazjach. Stała natomiast przed nim dziewczyna o przeciętnej urodzie, nie wyróżniająca się niczym szczególnym. Jasne włosy obcięte krótko, by ich pielęgnacja nie sprawiała kłopotu, nie łagodziły grubych rysów. Ziemianin doznał uczucia zawodu, lecz niemal natychmiast powstydział się swojej reakcji.

– Chyba powinniśmy się przedstawić – zaproponował Skyler. – Jestem Rafe Skyler, a to Mordecai, Allen Caine, Kelly O'Hara...

Każdemu po kolei kiwała głową, gdy Rafe dokonywał prezentacji.

– Ja nazywam się Lianna Rhodes – powiedziała, kiedy blackcollar skończył. – Odpowiadam za komórkę Radixu w tym regionie.

– A czy istnieje jakieś centralne dowództwo Radixu? -zapytał szybko Hawking.

– Tak, kwatera główna znajduje się w Calarandzie, stolicy Argentu. Mamy z nimi dosyć bezpieczną łączność telefoniczną, ale wolę z niej nie korzystać. Jeśli przekażecie mi bardziej szczegółowe informacje o waszej misji, zakoduję je i prześlę przez łącznika.

– W porządku – zgodził się Skyler.

Dwaj kierowcy, którzy ukrywali samochody, weszli do pomieszczenia, gdy Skyler i Hawking opracowywali wiadomość. Lianna odciągnęła jednego z nich na bok. Przez chwilę rozmawiali szeptem. Wreszcie mężczyzna kiwnął głową, przemierzył pokój i zniknął za drzwiami. Caine, napotkawszy wzrok dziewczyny, uniósł głowę w pytającym geście.

– Poszedł do składziku – wyjaśniła. – To Jason Ho. Zaniesie waszą informację do Calarandu, więc musi się przebrać w zwykłe ubranie. Warn też znajdziemy odpowiednią odzież -dodała, przyglądając się czarnym dermopancerzom blackcollarów.

– Może najpierw rozejrzelibyśmy się na górze i poznali okolicę – zaproponował Novak. – Nie mamy nic do zarzucenia waszym zabezpieczeniom, ale wolelibyśmy sami wszystko sprawdzić.

– Na zewnątrz oglądajcie, co chcecie. Ale nie zbliżajcie się do samego domu. Należy do miejscowego oficera. Zamieszczono tam sporo systemów antywłamaniowych.

Zapanowała pełna napięcia cisza.

– Mogłabyś to wyjaśnić – rzekł w końcu Skyler miękki tonem.

– Och, nie przejmujcie się tym, panowie. W rezydencji nikogo teraz nie ma. Navare i jego ludzie przyjeżdżają tu tylko na wakacje. Wtedy oczywiście my nie kręcimy się po okolicy, ale przez pozostałą część roku to bezpieczne miejsce. Tylko trzeba trzymać się z dala od budynku mieszkalnego.

– Nieprawdopodobne – odezwał się swym potężnym basem O’Hara. – Nigdy nie próbowali sprawdzić, co się dzieje w piwnicy?

– Nic nie wiedzą o jej istnieniu – wejście od strony domu zostało zamurowane, a oficjalne plany budynku zmieniono jeszcze przed zakończeniem wojny. Poza tym, kto szukałby komórki Radixu pod samym nosem wroga?

– Zapewne nikt – przyznał Skyler. – To twój pomysł? Lianna spuściła wzrok.

– Nie, mojego ojca. Kierował tą komórką aż do... niedawna. Cisza, która zapadła po tym stwierdzeniu, została przerwana wejściem przez jeden z tuneli grupy Lathe’a wraz z miejscową eskortą.

– Jakież kłopoty? – zapytała dziewczyna podwładnych. Jeden z nich pokręcił głową.

– Nie, ale lepiej szybko ich stąd zabierajmy – rzekł, gdy zdjęli swoje maski. – Statek sił bezpieczeństwa właśnie nadleciał z Calarandu... Nie będą zachwyceni, kiedy się zorientują, że więźniowie zniknęli.

– Dość szybko zareagowali – zauważyła Argentianka w zamyśleniu. – W porządku, przeniesiemy blackcollarów do domu w Harmon – to powinno być wystarczająco daleko od terenu poszukiwań, które zapewne podejmą rządowcy. Jason jedzie do Calarandu, żeby skontaktować się z dowództwem. Jesteście gotowi? – zapytała Skylera.

Lathe podszedł do kolegi i przeczytał kartkę, którą ten trzymał w ręku.

– Jeszcze jedna rzecz – powiedział wreszcie. – Nasz pilot nie wyskoczył z resztą, ale dalej kierował statkiem. Jeśli udało mu się go opuścić, będzie osamotniony. Możesz zorganizować grupę poszukiwawczą?

– Dołączcie tę informację do notki – rzekła Lianna. – Sami nie zdołamy mu pomóc.

Kolejna kryjówka znajdowała się o kilka godzin jazdy, lecz dotarli do niej bez przeszkód. Zostali tam niemal cały dzień. Mieli więc okazję wypaść się, najeść do syta i dobrać argen-tiańskie ubrania. Hawking odkrył, że zapasowy wygniatacz pluskiew jest uszkodzony i część popołudnia poświęcił na jego naprawę. Reszcie pozostało leniwe oczekiwanie.

Tuż przed zachodem słońca z Calarandu nadeszła wiadomość, że szefowie Radixu chcą się spotkać z przybyszami. Pół godziny później blackcollarowie jechali już pełną drogą w konwoju złożonym z pięciu pojazdów. Siedząc na tyle środkowego wozu, wciśnięty między Mordecaia a Kwona, Caine usiłował drzemać. Wiedział, że ma przed sobą długą podróż. Nie udało mu się jednak zapaść w sen. Przez głowę przebiegały myśli dotyczące zupełnie nie znanego miejsca, do którego zdążali, pełnego żołnierzy, agentów sił bezpieczeństwa i... niepewnych sprzymierzeńców.

Zapewne roi się tam także od Ryqrilów.

Rozdział 11

Żółtopomarańczowe argentiniańskie słońce wylało się zza horyzontu, gdy konwój dotarł do Calarandu. W odróżnieniu od stosunkowo niewysokiej zabudowy Capstone, tutejsze trzydziesto- i czterdziestopiętrowe budynki przywodziły na myśl Nową Genewę. Kiedy jechali przez przedmieścia stolicy, wokół, jak na Plinry, już na pierwszy rzut oka dostrzegało się skutki wojny. Oczywiście nie chodziło o ruiny domów czy gruzowiska, ale o liczne, niewielkie wgłębienia na ścianach budynków oraz ślady wypalone przez działa laserowe. Nawet przy stosunkowo słabym świetle ten widok sprawiał przygnębiające wrażenie. Allen po raz kolejny utwierdził się w przekonaniu, że najmniej na wojnie ucierpiała Ziemia.

– W tej części miasta mieszkają głównie niewykwalifikowani robotnicy. Tu rozmieszczony jest przemysł lekki – wyjaśniła siedząca obok kierowcy Lianna.

– Jaki dokładnie? – zapytał Kwon, wyglądając przez boczną szybę.

– Przede wszystkim tekstylny. Dalej, w Pasie, znajdują się fabryki zbrojeniowe. Pas to jakby strefa buforowa między centrum rządowym a resztą stolicy. Przekraczając tę granicę, przechodzi się pomiędzy czujnikami wykrywającymi metal oraz źródła energii, ale nie są wymagane rządowe identyfikatory.

– Dość nietypowe – stwierdził Kwon. Wzruszyła ramionami.

– Rozmiary produkcji broni zmieniają się znacznie w zależności od zapotrzebowania zgłaszanego przez Ryqrilów. Chyba uznali za zbyt duże ułojalnianie całej rzeszy robotników, których wykorzystują jedynie od czasu do czasu.

Kwon posłał znaczące spojrzenie Mordecaiowi, ale i Caine odczytał jego myśli: fabryka broni znajdująca się pod niedostatecznym nadzorem to niemal zaproszenie do sabotażu.

Na ulicach widać było już przechodniów i sporą liczbę samochodów, gdy zajechali przed trzypiętrowy dom mieszkalny. Sto metrów dalej Allen dostrzegł siwowłosego Hawkinga znikającego w bramie pobliskiego budynku.

– Hej! – zawołał, wskazując komandosa palcem.

– Uspokój się, Caine. Po prostu korzystają z innego wejścia – rzekła dziewczyna. – Idziemy.

Gdy weszli na klatkę schodową, Lianna sprowadziła całą grupę do mieszkania w suterenie. Jego właściciel – mężczyzna w średnim wieku – wpuścił ich do środka. Po wymianie haseł z dziewczyną poprowadził do tunelu, do którego wchodziło się przez szafę stojącą w łazience. Argentinianka, oświetlając drogę niewielką latarką, ruszyła pierwsza. Caine naliczył sto trzydzieści kroków, zanim dotarli do wąskich, spiralnych schodów wiodących na górę. Oceniał, że znajdują się trzy piętra ponad poziomem ulicy, kiedy Lianna otworzyła drzwi i wprowadziła ich do pomieszczenia zalanego oślepiającym światłem.

Mrużąc oczy, Allen rozejrzał się wokół. Pokój, pozbawiony okien, miał pokaźne rozmiary. Stanowił jakby skrzyżowanie dużego prywatnego biura z niewielką salką do prowadzenia narad. Pod

ścianami stało kilkunastu dobrze zbudowanych młodych ludzi, a przez drzwi naprzeciwko wychodziła właśnie reszta blackcollarów wraz z eskortą. Na środku pomieszczenia, po jednej stronie dużego, wyposażonego w wygniatacz pluskiew stołu, siedziało czterech mężczyzn.

Caine od razu domyślił się, że to przywódca Radixu. Przemawiało za tym kilka czynników: zajmowane miejsce, zimne, taksujące spojrzenia, jakimi obrzucili przybyłych, oraz wiek i doświadczenie widoczne w oczach, którego nie mogło stonować nawet długotrwałe stosowanie iduniny. Wszystko to jeszcze potęgowało tę otaczającą ich nieuchwytną aurę władzy i poczucia odpowiedzialności, jaką Allen wyczuwał stykając się z przywódcami ziemskiego ruchu oporu. Caine przyjrzał się po kolei każdemu z siedzących, próbując odgadnąć, co teraz myślą. Był to jednak daremny trud, gdyż doskonale potrafili maskować przeżywane emocje i doznawane wrażenia.

Zamknięto drzwi i jeden ze zgromadzonych za stołem wstał.

– Drużyna Janusa, przejdźcie pod ścianę.

Grupa Lianny wykonała polecenie i Allen wraz z dziesięcioma blackcollarami znalazł się na środku pokoju naprzeciw stołu. Mężczyzna pytająco uniośł brwi, w związku z czym Lathe wystąpił krok naprzód.

– Jestem dowódcą oddziału blackcollarów. Nazywam się Damon Lathe. Odpowiadam za tę grupę i działam na podstawie rozkazu generała Kratochwila z Ziemi – wyrecytował pewnym, żołnierskim tonem. – A wy kim jesteście?

– Ral Tremayne – przedstawił się stojący. – Kieruję organizacją noszącą nazwę Radix. Czy może pan udowodnić to wszystko, co przed chwilą powiedział?

– Niestety nie mam żadnych taśm ani dokumentów. Jednak biorąc pod uwagę fakt, że stanowimy grupę blackcollarów, nasza lojalność wobec wszelkich sił podziemia nie powinna budzić wątpliwości.

– Wielu spośród was poddało się po wojnie – zauważył chłodno mężczyzna o oliwkowej karnacji, siedzący na lewo od Tremayne'a.

– Wielu zaś poniosło śmierć.

– I jednych, i drugich było zbyt dużo – przyznał szczupły mężczyzna zajmujący miejsce po drugiej stronie Tremayne'a. Nie spuszczał wzroku z Lathe'a, gdy wstawał. – Serle Bakshi, dowódca oddziału blackcollarów – przedstawił się, salutując zaciśniętą pięścią.

Czerwone smocze oczy błysnęły przy tym wyraźnie w świetle. Lathe uśmiechnął się ze zdziwieniem i odpowiedział podobnym gestem.

– Bardzo mi miło. Miałem nadzieję, że znajdę towarzyszy na Argencie, ale doprawdy nie spodziewałem się...

Caine ledwie dosłyszał cichy odgłos za plecami, gdy nagle w pomieszczeniu zapanował ruch. Odwrócił się akurat na czas, by zauważyć, że rzucone nunczako Havena trafia w wyciągniętą rękę wartownika Radixu. Ramię, odrzucone siłą uderzenia, huknęło o ścianę, a trzask pałeczek nunczaka zagłuszył krzyk bólu strażnika. Wytracony mu pistolet przeleciał po podłodze pod ścianę. Inny wartownik już po niego sięgał, lecz odskoczył gwałtownie, kiedy czarna gwiazdka wbiła się w ścianę trzy centymetry nad leżącą bronią.

I nagle zapadła cisza... Niczym przed burzą. Odruchowo ustawiwszy się w obronnej pozycji karate, Caine rozejrzał się i stwierdził, że komandosi uczynili to samo. Stanęli w kręgu, zwrócenii na zewnątrz, z przygotowanymi już gwiazdkami.

Wszyscy z wyjątkiem Lathe'a. Allen był pewien, że podczas całego incydentu dowódcy nie drgnął nawet mięsień. W chwili gdy trwał ogólny bezruch, on poruszył się jako jedyny. Podeszedł do stołu, wzrokiem miotając wokół gromy. Przenosząc spojrzenie z Tremayne'a na Bakshiego, wskazał aparat telefoniczny, po czym przemówił cedząc każde słowo:

– Wezwijcie tu wszystkich swoich strażników i żołnierzy. Staniemy z nimi do walki. Postaramy się zabić kilkudziesięciu. Czy to przekona was, że jesteśmy blackcollarami?

– Najmocniej przepraszam – powiedział cicho Tremayne, który nie sprawiał wrażenia szczególnie przestraszonego. – Wiem, że nasze zachowanie nie było w porządku, ale musieliśmy się upewnić.

– W porządku? Mogliśmy go zabić. Mogliśmy położyć trupem was wszystkich.

Lekki uśmiech przemknął przez twarz Argentinianina.

– Chyba bardziej wierzę w wasze opanowanie niż wy sami.

– Ja zaś lepiej potrafię ocenić, do czego zdolni są moi ludzie – odparł Lathe, już nieco spokojniejszy. – Dobrze, mieliście widowisko, którego chcieliście. Następnym razem przyjmujemy, że to prawdziwy atak i nie zawahamy się zabijać. Proszę uprzedzić o tym podwładnych.

Lathe dał komendę spocznij, a następnie dołączył do blackcollarów, którzy chowali już broń. Tremayne zwrócił się do strażników:

– Możecie odejść. Sprawdźcie, czy w pobliżu nie kręci się nikt podejrzany. – Wskazał na oddział Lianny. – I dopilnujcie, żeby grupa Janusa dostała jedzenie oraz miejsce do wypoczynku.

Kiedy drzwi zamknęły się za wychodzącymi, przywódca Radixu wskazał na puste krzesła otaczające stół.

– Panowie, proszę siadać – rzekł, sam zajmując swoje miejsce. Lathe, Skyler i Hawking skorzystali z zaproszenia, podczas gdy reszta stała nadal.

– Najpierw chciałbym poznać powód waszego przybycia na tę planetę – przemówił Tremayne, pochylając się w stronę gości.

– Dobrze, ale przedtem wy musicie odpowiedzieć na kilka naszych pytań. Po pierwsze, czy słyszeliście już coś o Jensenie?

Argentinianin skinął na młodego mężczyznę o wyglądzie ucznia, siedzącego po prawicy Bakshiego.

– Mój adiutant, Jeremiahs Dan, zajmuje się tą sprawą. Jer?

– Wasz statek, zakładam, że ten właśnie należał do was, rozbił się na wschodnich zboczach Gór Rumeliańskich, jakieś trzydzieści godzin temu. Wiemy mniej więcej, w którym miejscu, lecz obecnie mamy problemy aby tam dotrzeć, gdyż siły bezpieczeństwa otoczyły cały ten rejon. Dysponujemy na tym obszarze niewielką komórką, której przesłaliśmy odpowiednie polecenia, ale to wszystko, co możemy obecnie zdziałać.

Lathe na moment zacisnął szczęki.

– No cóż, informujcie nas na bieżąco. Jeśli się dowiecie, że pojazd został znaleziony przez którąś ze stron, zawiadomcie mnie natychmiast. – Przeniósł wzrok na Tremayne'a. – Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o waszej organizacji. W szczególności zaś o jej stanie liczebnym i zasięgu. Interesuje mnie także, jak radzicie sobie w walce z Ryqrilami.

– Wydaje mi się, że prościej będzie, jeśli najpierw poznamy cel zadawanych pytań – zaproponował Bakshi.

– Może i prościej, ale wtedy nie zyskamy dostatecznie wyczerpujących informacji – przemówił Skyler. – Wiedząc o liczebności oddziałów można zorientować się, na jaką skalę są zakrojone wasze działania.

Bakshi chciał znów coś dodać, ale dowódca położył mu dłoń na ramieniu.

– Nie, on ma rację, Serle. No cóż. Radix liczy obecnie około pół miliona członków i aktywnie wspierających go sympatyków, podczas gdy ludności mamy półtora miliarda. Rozmieściliśmy swe placówki na terenie całej planety, choć najwięcej ich znajduje się w dużych miastach, takich jak Calarand.

– A co z bezpieczeństwem? – zapytał Lathe. – Wydaje mi się, że w przypadku rozbudowanych komórek istnieje poważny problem ich infiltracji.

Tremayne wzruszył ramionami.

– Właściwie od tej strony nie widzimy poważniejszego zagrożenia, ponieważ przyjęliśmy zasadę, że wszyscy członkowie oddziału muszą wyrazić zgodę na przyjęcie nowego członka. Od czasu do czasu szpiedzy próbują przeniknąć do naszej organizacji, ale szybko ich wyłapujemy.

Dowódca blackcollarów skinął głową.

– A teraz powiedzcie, jak sobie radzicie.

– Udaje się nam przetrwać, pomimo iż władze usiłują temu przeciwdziałać – rzekł Argentinianin, uśmiechając się kwaśno. – Ale nie wiedzie się nam tak, jakbyśmy pragnęli. Nękamy obcych tu i ówdzie, na przykład przejmując transporty, ale naprawdę istotne obiekty pozostają nie naruszone.

– Wie pan to z doświadczenia? – zapytał uprzejmie Skyler.

– I to niezwykle bolesnego. Zazwyczaj jednak nie odnosimy wielkich strat.

– A wy jesteście zainteresowani określonymi celami? – zapytał Jeremiah Dan.

– Owszem – przyznał Lathe. – Ale najpierw musimy odnaleźć wszystkich żyjących weteranów Sił Gwiezdných. Zakładam, że pewna ich liczba znajdowała się na tej planecie, gdy ogłoszono kapitulację.

– Tak – przyznał Tremayne, marszcząc czoło. – Lecz mowa tu o bardzo odległych czasach.

– Może jednak przetrwali, jeśli regularnie podawano im iduninę – szepnął cicho Vale stojący za plecami Caine'a.

– Dostawali iduninę, prawda? – zapytał Skyler, badawczo wpatrując się w Argentinianin.

– Posłuchajcie... – zaczął mężczyzna o oliwkowej cerze.

- Spokojnie, Uri – przerwał mu szef Radixu. – Tak się składa, że przejmowaliśmy transporty iduniny. A weterani wojny zajmują wysokie pozycje na naszej liście priorytetowej.
- Dobrze – skwitował Lathe. – Chcielibyśmy więc, żebyście jak najszybciej zaczęli ich zbierać.
- Obawiam się niestety, że ktoś nas już uprzedził – rzekł Dan. – Dowiedziałem się o tym poprzedniej nocy, Ral. Nie miałem okazji przekazać ci tej informacji.
- Do diabła – warknął Bakshi. – Znowu?
- Dan przytaknął.
- Tremayne zrobił minę, jakby rozgryzł ziarenko pieprzu.
- Wynika z tego, że nie macie szczęścia. Wszystkich trzystu pięćdziesięciu członków starych załóg zostało zamkniętych, zapewne na kilka miesięcy.
- Co? – Po raz pierwszy od momentu poznania dowódcy blackcollarów Caine widział go tak zaskoczonego. – Dlaczego?
- Dzieje się tak zawsze, kiedy Ryqrilowie rozpoczynają jakąś większą kampanię w wojnie z Chrysellii – wyjaśnił Bakshi. – Rejon starc znajduje się zaledwie o parsek stąd. Chyba obawiają się, że grupa weteranów porwie im jakiś okręt, gdy będą zaangażowani w walkę uniemożliwiającą natychmiastową reakcję.
- To niedorzeczne – stwierdził Lathe. – A dokąd mogliby polecieć?
- Praktycznie wszędzie. – Argentiański blackcollar wzruszył ramionami. – Pojedyncza jednostka przemknie się, nawet w pobliżu frontu.
- To wiem – warknął dowódca komandosów. – Ale chodzi mi o coś innego. Gdzie wylądują? Wszystko w promieniu trzydziestu parseków znajduje się pod kontrolą Ryqrilów albo jest przez nich oblegane.
- Nie my ustalamy te reguły – zauważył nieco zgryźliwie Bakshi. – Rządowcy zapominają prosić nas o zezwolenie, gdy wsadzają ludzi do więzień.
- Oczywiście – przyznał Lathe i podrapał się po policzku. -Przepraszam. Wicie, gdzie są przetrzymywani?
- W więzieniu Henslowe, przy południowym skraju Pasa -odpowiedział Dan. – Jakies dwanaście kilometrów stąd.
- Zapewne teren jest dobrze strzeżony.
- Nawet bardzo – przyznał Tremayne, wyraźnie zaintrygowany. – Ale tak naprawdę, po co są wam potrzebni ci weterani?
- Przykro mi, to tajemnica.
- Niech pan posłucha...
- Macie za sobą długą noc – przerwał Bakshi zwierzchnikowi. – Może odpoczniecie nieco, a do tej rozmowy wrócimy później.
- Dobry pomysł – zgodził się Lathe.

Tremayne nie wyglądał na zadowolonego, ale potakująco skinął głową.

– W porządku. Jer, przygotowałeś miejsce?

– Tak jest. Ludzie czekający na zewnątrz zaprowadzą panów do kwater.

– Dziękujemy za gościnę – rzekł dowódca oddziału, wstając.

– Nie ma sprawy. Życzę miłego wypoczynku.

* * *

Gdy tylko drzwi zamknęły się za przybyszami z Plinry, Tremayne odsunął swoje krzesło.

– Dziękuję, że zażegnałeś to nieporozumienie, Serle – zwrócił się do Bakshiego. – Co o tym sądzicie? – zapytał rozglądając się.

– Wciąż uważam, że nie najlepiej zrobiliśmy sprowadzając ich tutaj – rzekł Uri Greenstein, mężczyzna o oliwkowej cerze. – Nadal nic nie wiemy o zadaniu, jakie mają wykonać, a tymczasem siły bezpieczeństwa zostały postawione w stan gotowości. Nawet jeżeli są po naszej stronie...

– Jeżeli? – zdziwił się argentyński komandos.

– Tak. Blackcollarowie to także ludzie i nie wierzę, żeby wszyscy oni byli tak szlachetni, jak sobie wyobrazasz. Nawet więc, jeżeli są po naszej stronie, wzmożona aktywność sił bezpieczeństwa może stanowić poważny kłopot.

– Słuszna uwaga – przyznał Jer Dan. – Jeśli wierzyć doniesieniom z dystryktu rumeliańskiego, rządowcy przygotowują się do przetrząśnięcia całej planety.

– Co proponujecie? – zapytał Tremayne.

– Odizolować przybyszów – padła natychmiastowa odpowiedź. – Zawiesić kontakty ze wszystkimi komórkami, żeby ograniczyć ryzyko wpadki tylko do grupy calarandzkiej.

– Ale czy będziemy wówczas dysponować wystarczającymi siłami? – zapytał Bakshi.

– Mamy przecież tuzin blackcollarów – parsknął Greenstein.

– Możemy jeszcze zatrzymać tu oddział Janusa – zasugerował lider Radixu. – Nie narazi nas na dodatkowe niebezpieczeństwo, skoro ludzie Lathe'a i tak już ich znają. Coś jeszcze? A więc dobrze. Jer, zacznij ostrzegać inne komórki, żeby na razie trzymały się od nas z daleka. Uri, lepiej wracaj do Millaire i przekaz taki rozkaz sekcji południowej.

– Skoro Calarand zamilknie, nie zdołacie nadzorować poszukiwań brakującego komandosa – zabrał głos Greenstein. – Ja się tym zajmę.

– Dzięki. – Tremayne zamilkł na moment. – Jeśli mowa o blackcollarach, czy któryś z was dostrzegł coś niezwykłego podczas tego pozorowanego ataku?

Zapadła krótka cisza.

– Ja zwróciłem uwagę tylko na taki szczegół – odezwał się wreszcie Bakshi – że jeden z nich przyjął nieco inną pozycję niż pozostali.

Przywódca podziemnej organizacji powoli pokiwał głową.

– To samo i ja miałem na myśli. Raport donosi, że są z Plinry, ale działają pod auspicjami Ziemi. Ciekawe...

– Sądzisz, że ten odmieniec to Ziemianin? – zapytał Dan.

– Niewykluczone. W tej sytuacji nasuwa się pytanie, jak zdołał ominąć ziemski system bezpieczeństwa.

– Może wcale nie istnieje – podsunął Bakshi. – Jeśli Ziemia została zaatakowana potężnymi siłami, to prawdopodobne, że nie ma już na niej czego strzec.

– Cóż, nic nam nie przyjdzie z takich spekulacji – przeciął dyskusję Tremayne. – Pozostawmy im parę godzin na sen. Później przyciśniemy Lathe'a, żeby dokładniej ustalić, na jakiej podstawie działa.

– I jakie otrzymał zadanie – dodał Bakshi.

– Tak, to sprawa nadrzędna

Rozdział 12

– Mówię ci, że coś widziałem – upierał się jeden z piątki agentów bezpieczeństwa, gdy ich patrol, przeciskając się wąskim przejściem, dotarł do podnóża urwiska. – Jakies odbicie światła od metalu lub szkła.

Wskazał jednocześnie na strome zbocze porośnięte drzewami.

– Uważaj – poradził mu inny, po czym uniósł lufę strzelby laserowej, rozglądając się uważnie. – Nie zapominaj, że jeśli rzeczywiście jego zauważyłeś pół godziny temu, to miał wystarczająco dużo czasu, by przygotować się do ataku.

Ukryty za drzewem zaledwie dziesięć metrów od agentów, Jensen nabrał nieco większego szacunku dla ścigających go kolabów. Chociaż wydawali się nieprzywykli do tego typu działań w terenie, byli spostrzegawczy, a ich dowódca nie należał do głupców. Przecież nie mógł się domyślić, że blackcollar powiesił zapasową lornetkę na gałęzi drzewa, kiedy po raz pierwszy ujrzał oddział zdążający w jego stronę. Chciał sprowokować ich do wspinaczki po stoku ku domniemanej pozycji, żywiąc nadzieję, że nie pozostawią wartownika pilnującego jedyne go zejścia ze skarpy. Zaczynał jednak powątpiewać, czy taki plan ma szansę powodzenia.

– Tam! – wykrzyknął prowadzący mężczyzna, wskazując ręką.

– Też coś widziałem – rzekł inny. – Jakies dziesięć stopni w lewo od tego uschniętego, kolczastego krzaka.

– Dobra, ruszamy – zarządził dowódca. – Pamiętajcie, że ten facet jest niebezpieczny, więc jeśli zacznie robić się gorąco, idźcie na całość. Strzelajcie, żeby zabić. Dennie, wezwij pozostałe oddziały, żeby kierowały się do naszego sektora i zawiadom obserwatorów z powietrza. Cham, zostaniesz tutaj na wypadek, gdyby nieprzyjaciel się przedarł. W porządku, naprzód.

Jensen, bezpieczny za drzewem, obserwował, jak czterech agentów sił bezpieczeństwa znika w zaroślach. Oceniał, że mimo wszystko sztuczka przynosi pożądane efekty. Może nawet zyskał na tej zmianie sytuacji: choć przeciwnicy znali mniej więcej jego położenie, on dowiedział się z kolei, że władzom tak bardzo zależało na schwytaniu intruza, iż wysłali na obławę nawet niedoświadczonych ludzi z miasta. Interesujący był także fakt, iż orientowali się, że poszukują pojedynczego człowieka.

Wartownik, Cham, znalazł miękko wyglądający mech obok dużego głazu i usiadł przy nim ciężko, profilem zwrócony do Jensena. Ustawił karabin między kolanami i odgiął mikrofon przytwierdzony przegubowo do helmu. Do oporu przekręcił znajdującą się przy nim gałkę, oparł głowę o kamień i zamknął oczy.

Jensen przyglądał się żołnierzowi ciekawie, rozmyślając co ten właściwie zrobił. Czy wyłączył radio, żeby mógł się spokojnie przespać, czy też ustawił mikrofon na maksymalną moc, by towarzysze słyszeli, co się dzieje, na wypadek gdyby został zaskoczony. Komandos doszedł do wniosku, iż winien być przygotowany na ten drugi wariant, ma bowiem do czynienia z niezwykle ostrożnym agentem, zakładającym, że poszukiwany może znajdować się gdzieś w niewielkiej odległości. Jensen ułożył się wygodniej, przewidując dłuższe oczekiwanie na dalszy rozwój wypadków.

Czas płynął straszliwie wolno. Strażnik wciąż miał zamknięte oczy, ale oddech wskazywał, że mężczyzna nie śpi. Wokół panowała niemal idealna cisza, zakłócana tylko bzykaniem owadów, na niebie zaś jedynie od czasu do czasu pojawiał się jakiś ptak. Blackcollar jednak wiedział, że ten spokój jest pozorny i gdyby tylko ogłoszono alarm, cała okolica zaroiłaby się od żołnierzy. „Cierpliwość to najwyższa cnota”, powtarzał sobie i czekał dalej.

Wreszcie uznał, że czas ruszyć się z miejsca. Reszta patrolu powinna być już w połowie drogi do pozostawionej przez niego lornetki, a potrzebował co najmniej kilku minut na zejście ze zbocza i sforsowanie przesmyku, zanim agenci odkryją sztuczkę i zablokują drogę ucieczki. Ryzykował podejmując działanie, lecz nie miał wyboru. Sięgnął po kamień. Umieściwszy go w procy, lobem posłał na poletko gęstej trawy jakieś piętnaście metrów w górę stoku. Odgłos upadku kamienia był wyraźnie słyszalny.

Wartownik natychmiast zareagował. Jedną ręką odwrócił lufę strzelby laserowej w kierunku, skąd pochodził dźwięk, a drugą ustawił pokrętło mikrofonu.

– Tu Cham – rzekł cicho. – Usłyszałem coś w wysokiej trawie, nieco nade mną. Idę to zbadać.

Wstał ociężale, lecz z bronią w każdej chwili gotową do strzału. Jensen obserwował, jak żołnierz podchodzi do sięgającej kolan trawy, rozglądając się uważnie. Stał przez moment na skraju zarośniętej polany, po czym nagle oddał trzy strzały w różne strony. Nic nie nastąpiło, więc wreszcie zdecydował się zawrócić.

– Pewnie przebiegało tędy jakieś zwierzę – rzekł do mikrofonu, kierując się z powrotem do głazu. Nie było słyhać odpowiedzi, lecz Cham uśmiechnął się nieco i rzekł: – Jasne, ale kto wie, jak szybko potrafią się poruszać ci blackcollarowie?... Wy też.

Rozejrzał się raz jeszcze, po czym znów usiadł na mchu. Odsunąwszy mikrofon, sięgał do pokrętła głośności...

W tym momencie kamień wystrzelony przez Jensena trafił go prosto w szyję.

Przewrócił się, a ręka podniesiona do hełmu opadła bezwładnie, nie dotknąwszy gałki. Po kilku sekundach komandos stał już przy wartowniku. Ostrożnie zdjął mu hełm i przyłożył go sobie do ucha niczym muszlę. Mimo nie najlepszej słyszalności do Jensena docierały komentarze i postępowania wspinających się po zboczu. Nic nie świadczyło o tym, iż usłyszeli cokolwiek niezwykłego. A jeśli nawet, nie zwrócili na to uwagi. Warto więc było ryzykować.

Szybko przeszukał trupa. Natknął się na zestaw pierwszej pomocy i paczkę z jedzeniem. Dorzucił ją do własnych zapasów. Strzelba laserowa kusila, ale jej magazynek mógł zostać wykryty ze znacznej odległości, szczególnie w takiej głuszy. Zabranie hełmu byłoby takim samym błędem, ponieważ nawet przy wyłączonym transmitterze jego elektronika oraz baterie były widoczne dla wykrywaczy źródeł energii jak pochodnia w ciemnościach. Oba przedmioty przeniósł więc kilka metrów w las. Oczywiście je znajdują, ale należało sprawiać wrogowi możliwie dużo kłopotów.

Wreszcie droga stała przed Jensenem otworem. Poruszał się szybko i cicho, wiedziony myślą, że jego szanse wzrosną tylko wówczas, gdy zdoła wyprzedzić pościg. Fakt, iż poszukują go siły bezpieczeństwa, nie był niczym zaskakującym, ale skąd wiedzieli, iż jest sam oraz że mają do czynienia z blackcollarem. Działo się zdecydowanie źle. Gdziekolwiek przebywał Lathe wraz z całym oddziałem, wróg siedział im już na karku.

Pilot brnął w wysokiej trawie. Znajdował się dobrych piętnaście minut drogi od martwego wartownika, gdy dobiegł go głuchy huk eksplozji granatu. Znalaziono już lornetkę. Wkrótce całe góry zaroją się od żołnierzy.

Od tej chwili musiał jeszcze bardziej uważać.

Rozdział 13

Caine obudził się na dźwięk własnego imienia. Leżał jeszcze kilka sekund bez ruchu, nie otwierając oczu. Wokół panował spokój, tylko Lathe, znajdujący się przy drzwiach, mówił cicho:

– ...wciąż śpi. Nie ma sensu go budzić.

– Przykro mi bardzo – powiedział ktoś inny – ale Ral polecił wziąć także Caine'a.

Allen odemknął powieki.

– Nie śpię, Lathe – wyszeptał, nie chcąc obudzić pozostałych. – Co się dzieje?

Blackcollar i jego rozmówca, Jeremiahs Dan, spojrzeli na niego. W oczach dowódcy Ziemianin dostrzegł wyraźną irytację.

– Ral Tremayne pragnie, żeby pan i Lathe spotkali się z naszą grupą taktyczną – wyjaśnił Argentinianin.

– Zupełnie nie widzę potrzeby, żebyś szedł – wtrącił się komandos. – Poradzę sobie sam z ustaleniami taktycznymi.

Czyżby pierwszy krok w kierunku odsunięcia go od sprawy? Caine wstał i ruszył wzdłuż rzędu łóżek.

– Pójdę. Propozycja brzmi dość interesująco.

– W porządku. – Lathe spojrział w drugi koniec pokoju, gdzie przy szachach siedzieli Haven oraz Novak. Skinął na nich, a ci natychmiast wstali i podeszli do dowódcy. – Chcę, żebyście także mi towarzyszyli. Jeśli zaatakujemy więzienie Henslowe, każdy z was pokieruje oddziałem.

Oczy Dana rozwarły się szerzej.

– Ależ... nie dysponujemy odpowiednimi siłami, aby przeprowadzić równie poważną akcję.

– Jak to nie? Tremayne powiedział, że macie pół miliona ludzi. Z taką potęgą możecie je zdobyć, używając wyłącznie kamieni.

– Ale zaraz potem byłoby nas znacznie mniej, prawda? -zauważył chłodno członek Radixu. Odwróciwszy się na pięcie, ruszył korytarzem.

Wypowiedź Dana wprowadziła Caine'a w zakłopotanie. Mimo to bez słowa podążył za grupą mężczyzn. Po chwili zdecydował załagodzić sprawę. Przyspieszył, zrównał się z Argentinianinem i wskazując na długi, wysoki korytarz, zapytał:

– Gdzie właściwie jesteśmy? Nie wygląda to na zwyczajny budynek.

Zagadnięty odprężył się nieco.

– Kiedyś, jakieś sześćdziesiąt lat temu, był to gmach rządowy. Mieściło się tu Ministerstwo Przemysłu Wydobywczego. Gdy zbudowano nową siedzibę, ta została sprzedana i przeznaczona na prywatne biura. Później część pomieszczeń zaadaptowano na mieszkania. Kupiliśmy cały budynek za pośrednictwem szeregu naszych firm i zaprzyjaźnionych osób prywatnych.

Dan zaprowadził ich do dużego pokoju, w którym byli już wcześniej. Tym razem przy stojącym na środku stole znajdowało się więcej zgromadzonych: Tremayne'owi i Bakshiemu towarzyszyło jeszcze sześciu mężczyzn i dwie kobiety. Dla Caine'a przyjemną niespodzianką stanowił widok czterech osób zajmujących miejsca obok Bakshiego. Wyglądali na młodych, twardych i sprawnych... Na szyjach mieli czarne kołnierze, na palcach zaś pierścienie z głową smoka.

Szef Radixu siedział u szczytu stołu, z Bakshim po prawicy. Lathe spoczął w przeciwległym końcu, a Caine tuż obok niego.

– Przepraszam – odezwał się Tremayne, patrząc na Havena i Novaka, gdy Dan zajął ostatnie wolne krzesło. – Nie spodziewałem się nikogo więcej. Poślę po jeszcze dwa siedzenia.

– Nie ma potrzeby – uznał dowódca komandosów. – Mogą stać.

– Ale po co, skoro...

– Powiedziałem, mogą stać.

Zebrani poruszyli się niespokojnie i Allen dostrzegł, jak kilka osób marszczy czoła. Lider miejscowego podziemia zacisnął tylko usta i skinął głową.

– Dobrze. Pozwolę sobie przedstawić naszą grupę taktyczną. – Zaczął od lewej strony. – Obok Jera siedzi Sally Quinlan, odpowiedzialna za wywiad wojskowy. Miles Cameron, szef wywiadu, i Stuart York, zajmujący się zaopatrzeniem. Z prawej, Bakshi jest głównym taktykiem i koordynatorem

operacji w terenie. Komandosi McKitterick, Valentine, Fuess oraz Couturie dowodzą grupami do zadań specjalnych. Faye Picciano pełni także funkcję taktyka.

Wymieniono ukłony.

– Nie mogę się doczekać, żeby poznać warunki panujące na Plinry – odezwała się Faye, spoglądając to na Lathe'a, to na Allena.

Przyglądając się kobiecie, Caine doszedł do wniosku, że bardziej odpowiada jego wyobrażeniu bojowniczkich ruchów oporu niż Lianna Rhodes. Była atrakcyjniejsza, lecz w jej wzroku dominowały energia oraz jakaś męska twardość. I w przeciwieństwie do poważnie wyglądającej Sally Quinlan nie nosiła obrączki.

– Pomówimy o tym, ale później – rzekł Lathe. – Obecnie istotniejsze są warunki panujące na Argencie. Pani Quinlan, proszę ocenić, ile czasu potrwa obecna kampania Ryqrilów?

– Chwileczkę – wtrącił się Tremayne, zanim Sally zdążyła otworzyć usta. – Przed rozpoczęciem poważnej rozmowy, chcielibyśmy wiedzieć dokładnie, jaką misję wypełniacie.

– Mówiłem już wcześniej: to tajne. O naszym zadaniu zostaniecie poinformowani jedynie w koniecznym zakresie, ale dopiero gdy nadejdzie odpowiedni czas. Nie wcześniej. Tak będzie bezpieczniej dla wszystkich.

– Skąd ta pewność? – zapytał Valentine, jeden z miejscowych blackcollarów. – To nasz świat, nie wasz.

– Doprawdy? – zapytał spokojnie Plinrianin. – A Ryqrilowie twierdzą, że Argent stanowi ich własność.

Valentine posłał mu gniewne spojrzenie.

– Niech pan nie stroi sobie żartów z okupacji, Lathe.

– Przepraszam. Ale akurat pan nie powinien kwestionować moich słów. Jak długo nosi pan miano blackcollara, to... – uniósł dłoń z pierścieniem z czerwonoookim smokiem – ...daje mi potrzebną władzę.

– Chyba że rozkazuje nam już kto inny – włączył się do rozmowy Fuess, wysoki blondyn z zapadniętymi policzkami. – A właśnie tak jest.

Plinrianin przyglądał mu się przez moment, po czym przeniósł wzrok na Bakshiego.

– Dowódcu, czy pan uznaje moją władzę?

– Tak, ale tylko w sytuacji, kiedy nasze rozkazy nie będą ze sobą sprzeczne. Na Argencie kwestia zwierzchnictwa jest jasna. Twierdzi pan, że działa w imieniu generała Kratochwila z Ziemi. Czyżbyście zawinęli tam po drodze?

Zapytany zaprzeczył ruchem głowy.

– Rozkaz Kratochwila został nam przekazany przez jego wysłannika, obecnego tu Caine'a. Skoro na Plinry nie było nikogo w równie wysokim stopniu, kto mógłby wypowiedzieć się na temat tych rozkazów, przyjęliśmy je od agenta ziemskiego ruchu oporu.

Tremayne powoli pokiwał głową.

– Zastanawialiśmy się nad nim... A generał Lepkowski? Powinien przecież być na Plinry.

– Lepkowski przestał wydawać rozkazy trzydzieści pięć lat temu – wyjaśnił ponuro Lathe. – Zginął podczas ostrzału planety.

– Rozumiem. – Szef Radixu milczał dłuższą chwilę, w zadumie przyglądając się dowódcy pliniańskich blackcollarów. – Dobrze – przemówił wreszcie. – Zaufamy wam... na razie. Ale macie konsultować się z Bakshim lub ze mną, zanim zrobicie cokolwiek, co może narazić naszych ludzi na niebezpieczeństwo. – Skinął na Quinlan. – W porządku, Sally, twoja kolej.

Specjalistka od wywiadu wojskowego posłała krótkie spojrzenie Lathe'owi, po czym opuściła wzrok na leżące przed nią dokumenty.

– Z posiadanych przez nas informacji wynika, że Ryqrilowie angażują znaczne siły w tę kampanię. Tylko w zeszłym tygodniu do znajdujących się tu baz paliwowych zawinęły cztery desantowce klasy Elephant i trzy skrzydła Korsarzy, a jesteśmy niemal pewni, że do walki rzucono także dwa skrzydła zwykle stacjonujące na Argencie. Sądzę, że minie co najmniej pięćdziesiąt dni, zanim zdecydują się wypuścić weteranów Sił Gwiezdných.

Lathe pokręcił głową.

– To za długo. Bakshi, jakimi siłami pan dysponuje?

– Zbyt małymi, żeby rzucić je do szturm na Henslowe, jeśli to ma pan na myśli. Mamy najwyżej czterdziestu ludzi, nie licząc pańskich blackcollarów.

– Czterdziestu ludzi? A gdzie podziało się pół miliona waszych zagorzałych zwolenników?

Tremayne nie dał się sprowokować i odpowiedział spokojnie:

– Odizolowałem grupę w Calarandzie od reszty Radixu na wypadek, gdyby coś się nie powiodło.

– Świetnie. Co więc zrobimy, jeśli będziemy potrzebowali dodatkowego wsparcia? Damy do gazet ogłoszenia?

– Na razie zatrzymujemy tu grupę Janusa. To kolejna dziesiątka.

– Odnoszę wrażenie, że niezupełnie nam ufacie – odezwał się Haven gdzieś zza pleców Allena – chociaż dobrze wiecie, że nie przybyliśmy tu, żeby was zdradzić.

– Ale możecie to zrobić. Oczywiście przez przypadek -zabrał głos Miles Cameron. – Siły bezpieczeństwa na Argencie są bardzo rozbudowane i działają zapewne według nieco odmiennych metod od tych, które znacie. Nie zaryzykujemy wszystkiego dla jakiegoś planu, o którym dosłownie nic nie wiemy.

– Tak właśnie dzieje się podczas wojny – zauważył Lathe. -Dowództwo wydaje rozkazy, nikt zaś nie pyta członków oddziałów, czy mają ochotę wykonać jakieś zadanie.

– Nie może się pan spodziewać po nas wojskowej dyscypliny – odezwała się Faye. Oblicze Camerona aż pociemniało. -Wojna zakończyła się dawno temu, a większość spośród nas znajdowała się poza systemem militarnym.

Dowódca komandosów zmierzył ją wzrokiem.

– A pani?

- Byłam w zespole taktycznym, w dowództwie sektora generała Cordwainera.
- Jestem zaskoczony. I zdziwiony, że Ryqrilowie pozwalają pani pozostawać na wolności.
- Po prostu nie wiedzą o mnie. Dane uległy zniszczeniu. Takie rzeczy zdarzają się czasami.

Lathe uśmiechnął się i popatrzył na Bakshiego.

– Punkt dla was. Wycofuję wszelkie nieuprzejme uwagi. Może szturm nie będzie konieczny. Czy dysponujecie danymi na temat samego więzienia?

– Tak, posiadamy wiele informacji – odparł Tremayne, znacznie już spokojniejszym tonem. – Miles?

Cameron sięgnął do nesesera stojącego obok krzesła, po czym wyjął gruby plik dokumentów. Wybrał kilka kartek oraz fotografii i podsunął je Lathe'owi.

– To więzienie Henslowe – wyjaśnił.

Caine przechylił głowę, przyglądając się ciekawie. Gmach był czternastopiętrowym prostopadłościanem wykonanym z materiału wyglądającego na kamień. Stał pośrodku zupełnie pustej przestrzeni. Wąskie okna znaczyły ściany od drugiego do dwunastego piętra. Tylko na dwóch najwyższych kondygnacjach miały normalne wymiary. Terenu pilnowali uzbrojeni wartownicy rozmieszczeni gęsto wzdłuż czterometrowego ogrodzenia. Przy potężnej bramie znajdowały się strażnice. Z załączonej mapki wynikało, iż więzienie znajduje się jakieś sto metrów za murem stanowiącym granicę Pasa.

– Gdzie trzymają weteranów? – zapytał Allen.

– Na ósmym piętrze, od strony południowej, jeśli rządowcy nie zmienili taktyki – odparł Cameron. – Stamtąd rozciąga się widok na miasto. Zapewne lokują ich tak celowo, żeby mieli za czym tęsknić.

– Siły bezpieczeństwa robią tu takie rzeczy? – zapytał Lathe.

Fuess wydał z siebie głęboki, gardłowy dźwięk i wbił swój pierścień w drugą dłoń.

– Prefekt Apostoleris to bękart Ryqrila i oślizłego jaszczura – rzekł z obrzydzeniem. – Gdyby tak bardzo nie trząśł się o własną skórę, dawno już byśmy go zlikwidowali. Ale jeszcze dopadniemy gadzinę.

Caine popatrzył na wściekłego blackcollara z pewnym wzruszeniem. Takiego właśnie zachowania spodziewał się po legendarnych wojownikach. Oczekiwał gniewu i zapału, których brak u plinriańskich komandosów tak go rozczarował. Przypatrując się stosunkowo młodym twarzom osób siedzących naprzeciwko, pomyślał nagle, że przyczyną tej różnicy mogą być większe dawki iduniny dostępne na Argencie. Ale czy spokój i opanowanie ludzi Lathe'a jest oznaką ich słabości, czy też siły? W tej chwili nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Tremayne ponownie zabrał głos:

– Na szczęście większością operacji w Caralandzie kieruje zastępca prefekta, pułkownik Eakins. Jest dość niebezpieczny, ale i rozsądny. Nigdy na przykład po naszych akcjach nie dokonuje egzekucji na niewinnych ludziach, co czasami zdarza się Apostolerisowi.

Ale system obrony więzienia znajduje się pod bezpośrednim nadzorem prefekta.

Lathe przyglądał się dokumentom, gładząc w zamyśleniu swój pierścień.

– W jaką broń są wyposażeni strażnicy?

– Ci na zewnątrz oraz w strefie administracyjnej mają strzelby laserowe i pistolety z substancją paraliżującą – wyjaśnił Cameron. – Wartownicy pełniący służbę wewnątrz więzienia noszą przy sobie tylko pistolety strzałkowe.

Caine zadrżał lekko. Na Ziemi posługiwano się kilkoma rodzajami środków paraliżujących, lecz wszystkie one były wyjątkowo niebezpieczne.

– Jakiego specyfiku używają? – zapytał.

– Paralyte-IX, jeśli to coś wyjaśni. Natychmiast poraża mięśnie w miejscu trafienia, a w niespełna minutę blokuje cały organizm. Posługują się amunicją rozpryskową, więc w ciało wbija się naraz kilkanaście strzałek.

– Substancja ulega rozkładowi? – zapytał Lathe. Cameron przytaknął.

– Znika zupełnie po kilku minutach, a jeśli zaatakowane zostają tylko nerwy czuciowe, nie traci się przytomności.

– Czy istnieje jakieś antidotum?

– Och, oczywiście, i udało nam się nawet zgromadzić pokaźne jego zapasy. Niestety jest mocną trucizną w przypadku, gdy paralyte-IX nie znajdzie się wcześniej w organizmie.

– Oczywiście – odezwał się Novak, który dotychczas sprawiał wrażenie zupełnie niezainteresowanego rozmową. – I zapewne wszystkie inne środki wypróbowywane przez was okazują się nieskuteczne.

Cameron poruszył się niespokojnie.

– Proszę wybaczyć, że zanudzam pana, komandosie...

– Ależ skąd – rzekł spokojnie Lathe. – Od zakończenia wojny prawie w ogóle nie mieliśmy do czynienia ze środkami paraliżującymi.

– Czy na Plinry siły bezpieczeństwa nie posługują się tego rodzaju bronią? – zapytała Faye.

– Bardzo rzadko. Tremayne, chciałbym poświęcić kilka dni na poznanie miasta. Czy możemy otrzymać odpowiednie mapy i pojazdy?

Stuart York zapisał coś w rozłożonym przed sobą notatniku.

– Zajmę się zorganizowaniem samochodów. Przywódca Radixu wskazał na zdjęcia więzienia.

– Macie już jakiś pomysł? Lathe pokręcił głową.

– Na razie chciałbym pożyczyć te materiały i dokładnie je przestudiować.

Cameron w milczeniu złożył całą dokumentację i podał Plinrianinowi. Blackcollar skłonił głowę dziękując, po czym ponownie zwrócił się do Tremayne'a.

– Otrzymaliście wieści o Jensenie?

– Albo o jakimś innym statku? – dodał Caine.

– Innym statku? – zapytał Argentinianin, posyłając zdziwione spojrzenia Bakshiemu i Cameronowi. – Spodziewacie się kogoś?

– Ktoś wreszcie przyleci z Pliny z doniesieniem o naszym dość niespodziewanym opuszczeniu planety – wyjaśnił pospiesznie Lathe. – Musimy dobrze się maskować. Na pewno przywiozą ze sobą dokładne informacje na nasz temat.

Caine odwrócił się do komandosa, ale zanim zdążył zaprotestować, że nie o to mu chodziło, poczuł kopnięcie – nie mocne, lecz mające stanowić wyraźne ostrzeżenie. Przełknął więc tylko ślinę i nie odezwał się ani słowem.

Zdziwienie wciąż jednak nie zniknęło z oblicza lidera podziemia.

– Rozumiem. No cóż, możecie zostać tutaj albo przeniesiemy was do innej kryjówki. O Jensenie natomiast wciąż nic nie wiemy. – Spojrzał na jednego ze swych podkomendnych. – Fues, tobie powierzam rolę przewodnika drużyny Lathe'a, gdy będą poznawać miasto.

Wyznaczony zasalutował zaciśniętą pięścią w identyczny sposób jak Bakshi.

– Tak jest.

– A więc dobrze. Skoro już wszystko zostało omówione...

– Mam jeszcze pytanie – odezwał się Caine. Oczy wszystkich spoczęły na Ziemiannie.

– Słucham.

– Zbliżając się do Argentu, słyszeliśmy o wojskowym gubernatorze Ryqirilów. Jak aktywni są obcy na tym terenie?

Sally poruszyła się nerwowo.

– Oprócz sześciu baz posiadają własne enklawy w wielu głównych miastach, włącznie z Calarandem. Miejmy jednak nadzieję, że się na nich nie natkniecie.

– Oczywiście będzie to w znacznej mierze zależało od tego, co postanowicie zrobić w sprawie więźniów – zauważyła Faye. – Może porozmawiamy jeszcze o taktyce Ryqirilów. W rejonie przyfrontowym metody ich działania z pewnością są specyficzne.

– Dobry pomysł – przyznał Lathe. – Skontaktujemy się, gdy znajdziemy czas na omówienie tej sprawy.

Argentianka uśmiechnęła się miło.

– Z przyjemnością spotkam się z panami.

– Jeszcze jakieś pytania? – zapytał Tremayne. – A więc dobrze. Na razie to wszystko.

Dało się słyszeć szuranie krzesłami, gdy zgromadzeni zaczęli wstawać. York, siedzący obok Allena, dotknął jego ramienia.

– Czy wolicie pojazdy otwarte, z możliwością postawienia dachu, czy zamknięte?

– Zamknięte – odparł dowódca komandosów, ubiegając Caine'a. – Jeśli trzeba, Haven pójdzie z panem i wyjaśni dokładnie, o co nam chodzi.

York przytaknął.

– W porządku. Proszę bardzo.

– Wracamy – rzucił władcym tonem Lathe, gdy York oddalił się w towarzystwie Havena.

Caine posłał dowódcy wściekłe spojrzenie.

– Kim ty w ogóle jesteś? Moją niańką? Sam potrafię odpowiadać.

Komados chwycił Ziemianina lekko za łokieć i poprowadził w kierunku drzwi.

– Wiem. Pomówimy o tym po powrocie do kwater.

– Lathe...

Po drugiej stronie, obok Allena, pojawił się Novak.

– Nigdy nie spieraj się z naszym dowódcą w miejscu publicznym, Caine – poradził cicho. – A zwłaszcza w obecności nie znanych nam osób.

Przy drzwiach czekał na nich Fuess.

– Czy mogę w czymś pomóc – zapytał.

– Niech pan przyjdzie do nas z planami Calarandu. Chciałbym, żebyśmy wspólnie się im przyjrzeni, jeśli oczywiście dysponuje pan czasem – rzekł uprzejmie Lathe.

– Zaraz będę.

Fuess odszedł, a Caine wraz z dwoma blackcollarami pomaszerował do kwatery. Gdy tylko tam dotarli, Allen odwrócił się do Lathe'a, ale stary komandos odezwał się pierwszy:

– Od tej chwili, Caine, im mniej będziesz rozmawiał z Argentinami, tym lepiej. Udawaj twardego, milczącego typa, który wszystko musi głęboko przemyśleć, dobra?

– Nie, nie dobra. Dlaczego nagle pozbawiasz mnie prawa wypowiedzenia się we własnym imieniu?

– Samo mówienie nie stanowi problemu. Chodzi o umiejętność przemilczenia. Już byłeś gotów powiedzieć im o Doddsie i zdobytym przez nas Korsarzu.

– A co w tym złego?

– Po pierwsze ja ci nakazuję, żebyś o tym nie wspominał. A po drugie nigdy, przenigdy nie mów więcej niż to konieczne. Inaczej w najlepszym wypadku pomyślą, że jesteś głupi. W najgorszym twoje gadulstwo może kosztować kogoś życie.

Ziemianin prychnął z dezaprobatą.

– Ależ z ciebie sojusznik. Ci ludzie są przecież po naszej stronie.

– Większość z nich na pewno.

– Co? Czyżbyś przypuszczał, że w tej grupie może znajdować się szpieg? To bzdura. W takim przypadku władze dawno zlikwidowałyby już całą tę organizację.

– Niekoniecznie. Często wygodniej jest pozostawić taką strukturę nie naruszoną, ograniczając się jedynie do paraliżowania jej działalności. Nie zapominaj, że sam Tremayne twierdził, iż akcje tutejszego podziemia zazwyczaj kończyły się niepowodzeniem.

Caine wydał policzki. Wciąż czuł się dotknięty, lecz uwagi blackcollara powoli zaczęły do niego docierać.

– Trudno będzie jednak uzyskać ich pomoc, skoro nie mają pojęcia o naszych zamiarach.

– Dowiedzą się, kiedy nadejdzie stosowna pora. Ale to ja o tym zadecyduję.

– Tak. – Allen zbliżył się o pół kroku do komandosa i zniżył głos do szeptu. – Lathe, co właściwie zleciłeś Doddsowi?

Zapytany przez dłuższą chwilę bez mrugnięcia patrzył Caine'owi w oczy.

– Przykro mi, ale nie mogę powiedzieć. Ani tobie, ani nikomu innemu, jeśli ma to dla ciebie jakieś znaczenie.

– Cierpisz na obsesję tajemniczości, która obejmuje także przyjaciół. A może ciągle uważasz, że jestem szpiegiem?

– Nie, wydaje mi się, że mogę ci zaufać. Ale poznając cel misji Doddsa, zaspokoisz jedynie ciekawość. Nic więcej nie zyskasz, a nam wszystkim może to tylko zaszkodzić.

– Rozwiałyś moje wątpliwości.

– Co więc chcesz, żebym zrobił? Wymyślił na poczekaniu jakąś historyjkę? Uprzedziłem przecież, że nie mogę ci tego zdradzić.

Odwrociwszy się na pięcie, Lathe podszedł do stołu, na którym Hawking rozłożył jakieś elektroniczne urządzenia. Dowódca powiedział coś cicho. Komandos skinął głową i zrobił na blacie miejsce.

Caine nie patrzył, co będą robili, tylko podszedł do łóżka i położył się, usiłując zapanować nad sobą. Rozmyślał, co, u licha, tak ważnego miał wykonać Dodds. Uwaga Lathe'a o zagwarantowaniu bezpieczeństwa wydawała się rozsądna, ale zainteresowanie Caine'a nie wynikało z czystej ciekawości. Chodziło tu przecież o pomyślność realizacji misji oraz o jego własne życie, więc blackcollar nie powinien ukrywać przed nim informacji, które mogłyby wpłynąć na jedno lub drugie.

Rozległo się pukanie do drzwi. Gdy Allen odwrócił głowę, zauważył, że Kwon wpuszcza Fuessa. Argentinianin przyniósł stertę papierów. Przemierzywszy pokój, złożył dokumenty na stole, przy którym siedzieli Lathe i Skyler. Wokół zaczęli się zbierać pozostali komandos. Caine wstał, żeby do nich dołączyć. Pomyślał, że przynajmniej tego Lathe mu nie zabroni.

* * *

Dowódca blackcollarów podszedł do łóżka Skylera z mapą Calarandu w dłoni i ukradkiem rozejrzał się wokół, sprawdzając, czy nikt nie będzie go słyszał.

– Zrób trochę miejsca – powiedział.

Wciąż studiując jakiś dokument, Skyler podsunął nogę. Lathe usiadł i wskazał na drzwi.

– Co o nim sądzisz?

– O Fuessie? – Zapytany wzruszył ramionami. – Impulsywny. Nienawiść do Ryqrilów wyłazi z niego każdym porą. Novak mówił, że wszyscy czterej są tacy sami.

– Tak. Dziwi mnie, że nadal żyją, biorąc pod uwagę, jak ludzie tego typu zachowują się w walce.

– To dobrze świadczy o talentach dowódczych Bakshiego i narzuconej przez niego dyscyplinie.

– Być może. – Lathe ponownie omiół wzrokiem pokój. – Musimy rozdzielić się jak najszybciej. Tutaj jesteśmy skoncentrowani na zbyt małej przestrzeni i wszyscy równocześnie narażeni na atak.

– Albo inwigilację. – Skyler skinął głową. – Chociaż tego rodzaju działania powinny być wymierzone przede wszystkim przeciwko tobie albo Caine'owi. A przy okazji, czy przekonało ich twoje tłumaczenie, dlaczego zabrałeś ze sobą na zebranie Havena i Novaka?

– Wątpię. Obstawa to obstawa, nigdy tego nie ukryjesz. Może już się domyślili, że Caine jest dla nas ważniejszy, niż zdawałoby się na pierwszy rzut oka.

– Przynajmniej próbowałeś zachować pozory. Później wezmę ze sobą O'Hare i Spadafore, żeby wyszukali ze dwie pewne kryjówki. Nie liczyłbym jednak na bezpieczniejsze miejsce niż obecne. – Skyler na moment zmarszczył brwi. – Z pytań, które zadawałeś Fuessowi, wywnioskowałem, że masz już w głowie plan związany z odbiciem weteranów. Powiesz mi jaki?

– Na razie nie. Muszę trochę pomyśleć nad szczegółami. Kto, twoim zdaniem, spośród nas wyróżnia się najlepszym zdrowiem?

Skyler rozejrzał się wokół. To jedna z jego największych zalet, że nie zadaje zbędnych pytań, pomyślał Lathe.

– O'Hara, Mordecai i Haven, w takiej właśnie kolejności. Vale będzie wiedział najlepiej. Zna na pamięć niemal całe nasze raporty medyczne.

Dowódca pokiwał głową.

– Pomówię z nim jeszcze, ale twoja opinia pokrywa się z moją. Kiedy wyjdiesz, poszukaj jakiegoś miejsca na uboczu, gdzie schroniłyby się trzy osoby, dobrze?

– Jasne. Kiedy ruszymy na więzienie? Jutro? Pojutrze? Lathe zamyślił się na chwilę.

– Raczej za tydzień. Skyler zdziwiony uniósł brwi.

– Sądziłem, że będziesz chciał przeprowadzić akcję, zanim kolaby się pozbierają.

– Pewne opóźnienie jest nieuniknione. Ale zaoszczędzimy czas, który musielibyśmy poświęcić na szukanie weteranów, więc w rezultacie wyjdzie na to samo. Pogadamy jeszcze później.

Wstał, spoglądając na boki. W przeciwnym końcu pokoju spał Vale. Dowódca komandosów zawahał się, ale doszedł do wniosku, że pytania i rozkazy mogą poczekać. Machnął ręką i położył się na swoim pościeli. Dopiero wówczas poczuł, jak bardzo był zmęczony. Zapomniał już, ile wysiłku wymaga dowodzenie, szczególnie w takich warunkach. Musieli walczyć w obcym świecie, a na dodatek alianci nie byli w pełni godni zaufania. Z tym jakoś sobie poradzi. Najbardziej niepokoiło go rosnące niezadowolenie widoczne w oczach Caine'a. Ziemianin dzierżył klucz do powodzenia tej misji. Jeśli jego pytania o Doddsa przerodzą się w poważne podejrzenia, może to doprowadzić do katastrofy.

I nagle przed oczami blackcollara pojawiły się twarze żołnierzy jego dawnego oddziału. Zamrugał powiekami, chcąc odpędzić obawy. Nowy oddział nie zginie jak tamten, poprzysiągł to sobie. Był już zbyt stary, żeby ponownie przeżyć taką tragedię.

Przekręcił się na bok, ustawił wewnętrzny zegar na budzenie za dwie godziny i zasnął.

Rozdział 14

Migocąc w jaskrawych promieniach stojącego w zenicie słońca, patrolowiec o smukłej sylwetce zamarł na moment w miejscu, zanim powoli zmniejszając wysokość, wylądował na polanie obok wijącej się nie utwardzonej drogi i rzędu pojazdów zaparkowanych na skraju bazy sił bezpieczeństwa. Sześciu mężczyzn pospiesznie opuściło pokład, po czym skierowało się ku ustawionym w półkole namiotom, by zniknąć w jednym z nich, mającym kształt mocno wydłużonego prostokąta. Jensen uznał, że tam właśnie znajdowało się dowództwo. Kilka minut później inna szóstka wyszła z sąsiedniego namiotu. Po ich ruchach blackcollar wywnioskował, że są wypoczęci. Wsiedli do patrolowca, a następnie odlecieli na zachód.

Jensen na chwilę zamknął oczy i przetarł powieki. Leżał powyżej obozu już od godziny, obserwując, co dzieje się w dole i rozważając, jak wniknąć do środka, a potem wymknąć się niepostrzeżenie. Niewątpliwie było to ryzykowne przedsięwzięcie. Mimo skierowania niemal wszystkich sił w góry, w obozie pozostało, jak oceniał, dziesięciu do dwudziestu ludzi. Stosunek liczebny przedstawiał się zdecydowanie niekorzystnie, lecz komandos miał spore szanse, ponieważ działał z zaskoczenia. Żaden uciekinier pozostający przy zdrowych zmysłach nie zbliżyłby się przecież do twierdzy wroga, nie mówiąc już o dobrowolnym do niej wchodzeniu. Ale dla partyzanta przebywającego na terytorium przeciwnika najważniejsze są żywność i transport, właśnie tutaj mógł zdobyć zarówno jedno jak i drugie. Stwierdziwszy, że nadszedł właściwy moment, ruszył w dół zbocza.

Na skraju obozu nie natrafił na druty sygnalizacyjne ani inne systemy zabezpieczające. Poruszając się cicho niczym duch, dotarł do miejsca naprzeciw drogi i lądowiska. Tylko na moment musiał ukryć się za drzewami, kiedy załoga patrolowca opuściła punkt dowodzenia i skierowała się do długiego namiotu wyglądającego na koszarowy. Starając się patrzeć we wszystkich kierunkach jednocześnie, Jensen zbliżył się do pierwszego z brzegu namiotu i zajrzał do wnętrza.

Była to czyjaś kwatera, na szczęście w tym czasie pusta. Zapewne należała do oficera. A gdzie znajdowali się wyżsi rangą żołnierze, tam musiały być także ich zapasowe mundury. Rozejrzawszy się po raz ostatni, komandos wszedł do środka.

Już wkrótce znajdował się ponownie przy wyjściu, odziany w budzący lęk szarozielony mundur, strój, jakiego nienawidził na Plinry. Pilot skrzywił się, lecz z braku czasu szybko pokonał wewnętrzny opór przed ubraniem się w mundur kolaba. Zapewniał nieco większe bezpieczeństwo.

Jednak tylko na krótką chwilę. Marynarka i spodnie leżały dość dobrze, ale nie pasowały do siwiejących włosów i pomarszczonej skóry, a trzymany przez Jensena plecak zdecydowanie nie należał do wyposażenia kolabów. Kryjąc się w cieniu namiotu, dumął nad kolejnym krokiem.

Z lewej widniały koszary i trzy namioty o niewiadomym przeznaczeniu, z prawej zaś dwa: ten, w którym mieściło się dowództwo i jeszcze jeden. Żałując, że słońce nadal jest tak wysoko, komandos ponownie przyjrzał się otoczeniu. Tutejsze rośliny były wyjątkowo sprężyste a podłoże twarde, więc nie dało się dostrzec kolein wyżłobionych przez koła pojazdów. Najwięcej jednak śladów zdawało się prowadzić do namiotu stojącego na lewo od sztabowego. Blackcollar, wzięwszy głęboki oddech,

ruszył, starając się iść tak pewnie, jakby cały obóz należał do niego. Minął pierwszy namiot i wszedł do następnego.

Wnętrze wypełniały białe, plastikowe skrzynie. W tych, które były otwarte leżały paczki z polowymi racjami żywności. Jensen przyklęknął i zaczął ładować je do plecaka.

* * *

Kiedy ponownie wyjrzał na zewnątrz, w pobliżu nie dostrzegł nikogo. Nie do końca dowierając swojemu szczęściu, pomaszerował zdecydowanym krokiem. Minął namiot dowodzenia i... znalazł się naprzeciw dwóch żołnierzy, którzy wyłonili się z lasu zaledwie trzydzieści metrów od niego.

Taki rozwój wydarzeń kompletnie zaskoczył Jensena, który w tym momencie nie miał nawet gdzie się ukryć. Ale wieloletni trening nie poszedł na marne. Bez cienia wahania fałszywy oficer parł dalej, za wszelką cenę starając się zachowywać jak najbardziej naturalnie.

Agenci sił bezpieczeństwa byli znacznie gorzej wyszkoleni, a co więcej dali się zwieść widokiem znajomego munduru. Dzieliło ich od Plinrianina zaledwie kilkanaście kroków, zanim jeden z żołnierzy zwrócił uwagę na twarz blackcollara. W oczach kolaba pojawiło się zdziwienie. Nagle zatrzymał się, lewą ręką chwycił towarzysza za ramię, a prawą sięgnął do kabury. Nie zdążył jednak dotknąć broni, gdy gwiazdka Jensena odrzuciła go w tył. Drugi wojak, ponieważ zorientowawszy się w sytuacji, nie miał już żadnych szans. Następny shuriken przerwał w pół wydobywający się z jego gardła okrzyk przerażenia. Mężczyzna padł na wznak, rżąc.

Klnąc pod nosem, Jensen przykucnął przy ciałach, by odzyskać gwiazdki. Szło mu cholernie wolno. Ta powolność będzie go drogo kosztowała. Wszyscy w obozie musieli usłyszeć wrzask. Szanse na ukradkowe wymknięcie się przepadły. Spoglądając przez ramię, ujrzał siedem osób wybiegających z koszar, z bronią przygotowaną do strzału.

Nie wahał się ani przez moment. I tak zostanie rozpoznany, ale im dłużej zachowa kamuflaż, tym lepiej. Wskazując ręką kierunek, krzyknął:

– Tutaj! Szybko!

Ponownie pochylił się nad trupami i kątem oka obserwował żołnierzy.

Podejrzał, że dadzą się nabrać. Miał rację, bo pięciu ruszyło w jego stronę, podczas gdy dwóch pobiegło w kierunku namiotów, zapewne po zestawy medyczne. Plecak komandosa leżał na ziemi tuż z boku. Starając się nie wykonywać gwałtownych ruchów, lewą ręką wyjął z pochwy nunczako i trzymał tak, żeby było niewidoczne. Nie miał czasu na przygotowanie innej broni. Musiał polegać tylko na nunczaku oraz sześciu gwiazdkach. Pochylił głowę, przycisnął nunczako do piersi i czekał.

Za plecami usłyszał kroki.

– O, Boże – wyjąkał ktoś. – Co się stało?

– Nie wiem – odparł Jensen. Nadciągnęli kolejni żołnierze. Komandos wstał powoli, cofając się nieco.

– Czy oni?... – zaczął ten pierwszy, przyklękając.

Nie dokończył. On i jego towarzysze zostali kompletnie zaskoczeni. Znajdowali się tuż obok siebie, a pistolety trzymali skierowane w niewłaściwą stronę, gdy nerwowo lustrowali skraj lasu. Manewr Jensena sprawił, że znalazł się w środku grupy.

Najpierw zaatakował stojącego z tyłu agenta bezpieczeństwa, zadając mu cios łokciem w splot słoneczny i poprawiając uderzeniem w głowę. W tym samym momencie druga ręka zacisnęła pałeczki nunczaka na szyi mężczyzny z prawej. Kopniecie w potylicę powaliło kłęczącego. Dwóch ostatnich zdążyło zaledwie odwrócić się w stronę napastnika, kiedy nunczako, wyciągnięte na pełną długość, przetrąciło im karki.

Jensen chwycił plecak i biegiem rzucił się ku punktowi dowodzenia. Akcja rozegrała się zaledwie piętnaście metrów od tego namiotu, z pewnością więc odgłosy walki dotarły do osób znajdujących się w środku. Trzeba było uniemożliwić im wysłanie sygnałów o pomoc, które sprowadziłyby co najmniej kilka patrolowców.

Omam nie wpadł na dwóch mężczyzn, którzy wyłonili się zza rogu.

– Co...? – zdążył powiedzieć jeden z nich, zanim nunczako trafiło go prosto w twarz. Drugi z nieludzkim wrzaskiem zdołał uskoczyć w bok, strzelając do Jensena z pistoletu strzałkowego. Blackcollar poczuł, jak pociski osuwają się po ukrytym dermopancerzu. Błyskawicznie rzucił się na ziemię, wyciągniętymi stopami starając się powalić przeciwnika. Tamten padł ciężko, wypuszczając z ręki pistolet. Dwa precyzyjne uderzenia i już po chwili komandos ponownie zmierzał ku wejściu do namiotu.

Zatknał nunczako za pas, po czym wyjął z kieszeni garść gwiazdek. Kłapa od frontu była podciągnięta, więc założywszy, że nikt nie czai się przy samym wejściu, Jensen wpadł do środka.

Oczywiście czekali na niego: trzej mężczyźni ustawieni w głębi, z bronią wycelowaną w przybysza. Zapewne sądzili, że wpadnie wprost na nich, blackcollar natomiast od razu uskoczył w bok. Większość strzałek wbiła się w ściany namiotu, a jedynie kilka ześliznęło się po zabezpieczonych nogach Jensena, gdy przekoziółkował po ziemi, jednocześnie ciskając dwie gwiazdki. Atak, choć niecelny, przyniósł pozytywny efekt – zmusił kolabów do zrobienia uników. Spowodowało to, że druga salwa z ich broni przeszła jedynie powietrze, co dało komandosowi czas, aby poderwać się na nogi i tym razem precyzyjnie trafić w przeciwników. Po kilku sekundach było po wszystkim.

Oddychając głęboko, Jensen rozejrzał się po namiocie. Środek podłogi zajmowała duża mapa pokryta kolorowymi oznaczeniami. Pod jedną z bocznych ścian stał zaś sprzęt łącznościowy, a przy drugiej stojak z sześcioma strzelbami laserowymi. Patrzył na nie, zastanawiając się, dlaczego żołnierze nie używają tej broni. Wyglądało na to, że rozkazano ująć go żywcem. Pochylił się nad mapą, próbując ustalić swe położenie.

Nagły trzask pochodzący z nadajnika sprawił, że odwrócił głowę, czemu zapewne zawdzięczał życie. W wejściu dostrzegł bowiem katem oka dwie postacie.

Rzucił się na podłogę i przekoziółkował akurat w chwili, gdy wiązka lasera trafiła w miejsce, gdzie znajdował się jeszcze przed chwilą. Drugi mężczyzna strzelił już bliżej. Jensen poczuł na twarzy gorący powiew. Ukląkł na jedno kolano i sięgnął po gwiazdki.

Została mu już tylko jedna.

Jego umysł pracował z tak ogromną szybkością, iż wydawało mu się, że świat stanął w miejscu. Pomyślał gorzko, że sam sprowokował własną śmierć. Zupełnie zapomniał o dwóch ludziach, którzy wcześniej opuścili namiot dowodzenia, i teraz płaci za to niedopatrzenie. Napastnicy stali blisko siebie, ten po lewej nieco bardziej z tyłu, a lufy ich strzelb nakierowywały się już na niego. W takiej sytuacji wystarczyłoby rzucić nunczako... gdyby znajdowało się w pochwie. Broń jednak tkwiła zatknięta za pas munduru. Komandos wiedział, że zabraknie czasu na jej wyjęcie. Jeszcze pół sekundy i zginie... Niewiele myśląc, blackcollar z całych sił cisnął gwiazdką w prawą nogę żołnierza stojącego trochę dalej.

Shuriken trafił tuż nad kostką, co wywołało efekt, na jaki Jensen liczył po cichu. Żołnierz, utraciwszy równowagę, zwałił się ciężko na towarzysza, akurat w chwili gdy naciskali spusty. Zanim zdążyli się pozbierać, Jensen stał już nad nimi, wściekle zadając ciosy nunczakiem.

Trząśnięty całym, kiedy wreszcie przestał. Był tak wyczerpany emocjonalnie, że podskoczył aż na dźwięk dobiegający z głośnika:

– Baza piąta, tu patrolowiec numer szesnaście. Czy są dla mnie jakieś rozkazy?

Jensen zawahał się na moment. Wreszcie sięgnął po jedną ze strzelb laserowych i zbliżył się do nadajnika, z niejasnym planem rodzącym się w głowie. Na szczęście urządzenie nie wyglądało na skomplikowane. Włączywszy mikrofon, wysapał:

– Patrolowiec szesnasty, tu baza piąta. Jesteśmy pod ostrzałem!

– Tego blackcollara? – zapytano z drugiej strony.

– Boże, nie mam pojęcia – odpowiedział Jensen, starając się, by w jego głosie wyraźnie brzmiała nuta przerażenia. -Strzelają do nas z góry. Nie możemy się ruszyć, a kapitan dostał...

– Trzymajcie się! Będziemy za piętnaście minut! Ilu jest tych snajperów? Przecież miał być tylko jeden człowiek.

– Może po prostu ciągle zmienia pozycje... Nie wiem. -Blackcollar strzelił dwukrotnie obok anteny, wiedząc, że w odbiorniku patrolowca zabrzmiałoby to jak odległe wybuchy. – Boże, znowu – jęknął. – Muszę zabrać stąd kapitana. Jest ciężko ranny...

– Nie zezwa... – Głos zamilkł, gdy Jensen wypalił prosto w nadajnik.

Jeśli raz jeszcze dopisze mu szczęście, tamci dojdą do wniosku, że radio zostało zniszczone, zanim usłyszał rozkaz.

Gdy wyszedł na zewnątrz, niebo było jeszcze puste, ale wkrótce zaroj się od patrolowców. Musiał więc zaprezentować zbliżającym się jednostkom choć część tego, czego się spodziewały. Ustawił strzelbę na pełną moc i wielokrotnie ostrzelał zboczę, po czym wziął plecak i ruszył ku jednemu z odkrytych pojazdów zaparkowanych przy drodze. Wsiadł do standardowego wozu wojskowego, nieco tylko zmienionego od czasów wojny, sprawdził wskaźniki, a następnie wjechał do obozu, gdzie załadował na tylne siedzenie jedne ze zwłok. Załogi patrolowców sądziły, że jadą ratować rannego kapitana, więc nie mógł ich rozczarować. Wkrótce mknął już w dół zbocza.

Znajdował się zaledwie dwie minuty od obozu, kiedy rozległ się huk silników i w zachodniej części nieba pojawił się patrolowiec. Jensen, pochylony nad kierownicą, skupił uwagę na obserwacji drogi. Miał nadzieję, że minie nieco czasu, zanim kolaby znudzą się przeszukiwaniem wzgórz, tropiąc

ewentualnego napastnika, i wylądują. A kiedy odkryją, jak zginęli żołnierze w bazie... no cóż, Jensen miał nadzieję, że wtedy będzie już dość daleko.

Tak czy inaczej wiedział, że przegrał tę rundę. Przeciwnik z pewnością natychmiast po zorientowaniu się w sytuacji ogłosi alarm.

Blackcollarowi pozostawało tylko jedno wyjście dające szansę ucieczki. Pogoń niewątpliwie skieruje się na wschód, ku dość gęsto zaludnionym równinom, gdzie łatwiej zniknąć. Należało więc zmylić nieprzyjaciela. Musiał uniknąć z powrotem w góry. Zakrawało to na szaleństwo, ale dysponując jedzeniem co najmniej na tydzień i wiedząc, że główne siły wroga zostaną przerzucone na wschód, zdecydował, że warto spróbować. Gdyby zdołał nie zauważony przedostać się wystarczająco daleko na południe, ominąby zastawioną na niego sieć. A wtedy...

Zmarszczył brwi. Początkowo zakładał jak najszybsze nawiązanie kontaktu z argentiańskim podziemiem, ale wszystko wskazywało na to, że z takim samym skutkiem może od razu udać się do kwatery głównej sił bezpieczeństwa. Jasno zdał sobie sprawę, że tutejsza tajna organizacja przecieka niczym sito. Poszukujący wiedzieli o nim zdecydowanie za wiele. Chyba że któryś z blackcollarów został schwytany i zmuszony do mówienia... ale kolabom nie zależałoby tak bardzo na schwytaniu go żywego, gdyby wiedzieli już o okrętach Caine'a. Nie, Lathe zapewne także zorientował się, że coś jest nie w porządku, i stara się zachować ostrożność. A w takim przypadku lepiej pozostać w ukryciu przez pewien czas. Należało się jeszcze nad tym zastanowić.

Z daleka dobiegły stłumione odległością odgłosy wystrzałów. Jensen skrzywił się i przyspieszył. Już wkrótce będzie musiał porzucić samochód.

Rozdział 15

Lathe szedł pustym korytarzem, zadowolony z samotności, ponieważ nie miał w tej chwili ochoty na niczyje towarzystwo. Zdążył już nieco ochłonąć, lecz wciąż stała mu przed oczami Faye Picciano, a w nozdrzach czuł zapach jej perfum. Chciał do niej wrócić. Pragnął jej bardziej niż był się do tego gotów przyznać. Zaciśnął jednak zęby i maszerował dalej.

Wciąż poirytowany, dotarł do kwatery blackcollarów. Otworzył drzwi tak gwałtownie, że Skyler, Novak oraz Mordecai sięgnęli po broń. Lathe nie lubił w ten sposób zaskakiwać swoich ludzi, ale przynajmniej dał im do zrozumienia, że na jakiś czas należy zostawić go w spokoju.

Niestety Caine nie zwrócił uwagi na ten sygnał lub po prostu go zlekceważył. Ziemianin był akurat przy drzwiach i kiedy komandos znalazł się w pokoju, natychmiast zagroził mu drogę.

– Lathe, musimy pomówić.

– Później – rzucił gniewnie blackcollar, zamierzając wyminąć natręta.

Caine wyciągnął rękę.

– Nie, teraz – warknął. – Mam już dość tego „później”. Lathe mocno zaciśnął zęby, hamując wybuch złości. Caine był ostatnią osobą na Argencie, którą mógłby bezkarnie zrugać.

– W porządku. O co chodzi?

– O wykonanie zadania, zanim znajdą nas władze. – Allen wykonał ruch ręką, wskazując komandosów. – Jesteśmy tu zamknięci już od sześciu dni. Przez ten czas nie widziałem niczego, poza tym pokojem. A ty przerzuciłeś stąd tylko część blackcollarów i wciąż przesiadujesz na jakichś spotkaniach. Kiedy wreszcie zaczniemy działać?

– Znasz wojsko – odezwał się Skyler siedzący przy stole i przysłuchujący się rozmowie. – Czasami najpierw się biegnie, a później długo czeka na zbiórce.

– Nie mów mi takich rzeczy. Jak chcecie, potraficie zdobyć się na przeprowadzenie błyskawicznej akcji. Daliście tego dowód na Plinry.

– Ale nie jesteśmy na Plinry – przypomniał Lathe. – Przebywamy na nie znanym terytorium, zmuszeni polegać na organizacji zapewne pełnej szpiegów. Trzeba zdobyć możliwie najwięcej informacji, zanim ruszymy.

– To dlatego tak dużo czasu spędzasz ostatnio z Faye Picciano? – prychnął Allen. – Powinienem się domyślić, że to tylko interes.

Z jakiegoś trudnego do wytłumaczenia powodu słowa Cai-ne'a pozwoliły blackcollarowi spojrzeć na własne postępowanie z pewnej perspektywy i zamiast wybuchnąć, poczuł, że cała złość ulatuje z niego.

– Rzeczywiście, i to obustronny, ponieważ jej także zależy na informacjach. Bądź wdzięczny, że odciągnąłem ją od ciebie. Gdybyś dostał się w ręce Faye, nie wytrzymałbyś nawet godziny.

– Co masz na myśli?

– Kokieteryjne zachowanie tej kobiety. Używa perfum z feromonami. I mówię ci z doświadczenia, że jest cholernie dobra w omamianiu facetów.

Twarz Caine'a przybrała nagle wyraz skupienia, jakby nastrój Lathe'a udzielił się także jemu.

– Czy...

– Nie, nie zdołała. Kokietowanie mężczyzn, aby zapomnieli o ostrożności, to metoda stosowana od tysiącleci, ale nic nie straciła na aktualności. Na szczęście nie jestem podatny na tego rodzaju wpływ, szczególnie zaś podczas wykonywania misji. Nie wiem jednak, czy ty nie uległbyś czarowi Faye. Podejrzewam, że już leżałbyś z nią w łóżku, mówiąc wszystko, co tylko by chciała.

– To niedorzeczne – zaprzeczył, ale w głębi duszy wcale nie był tego taki pewien. – Uważasz, że Picciano to szpieg kolabów?

– Niekoniecznie. – Dowódca komandosów wyminął Allena i usiadł naprzeciw Skylera. – Po czyjejkolwiek stronie by stała, chce z nas wydobyć wszelkie posiadane przez nas informacje. Taktycy zawsze starają się skompletować jak najwięcej danych.

– Czy dlatego właśnie odesłałeś stąd resztę oddziału? -zapytał agent ruchu oporu, podchodząc do stołu. – Żeby nie mogła do nich dotrzeć?

– Ona albo inny potencjalny szpieg. Poza tym istnieje żelazna zasada: nie ładuj wszystkich torped do jednej wyrzutni. Właściwie ty jesteś jedyną osobą, do której nie wolno dopuścić kolabów.

– Stąd ta ochrona?

– Po prostu lubimy twoje towarzystwo – zapewnił go leżący na łóżku Novak.

Caine odpowiedział na to niecierpliwym prychnięciem.

– Ale niech ci będzie – odezwał się Lathe, myśląc intensywnie. – Jeśli w końcu nie ruszymy się stąd, władze z pewnością nas namierzą. W porządku. Jutro Mordecai i ja wybierzemy się na oględziny Henslowe, żeby poszukać sposobu na wydostanie weteranów.

Mordecai, siedzący w przeciwnym końcu pomieszczenia, zdziwiony uniósł brwi, lecz nie odezwał się ani słowem.

– No cóż, dobre i to – stwierdził Ziemanin. – Pojadę z wami.

Dowódca pokręcił głową.

– Przykro mi bardzo. Musimy cię trzymać poza zasięgiem kolabów. Zostaniesz tu, gdzie jesteś bezpieczny.

Allen zacisnął usta, ale coś w wyrazie twarzy Lathe'a powstrzymało go przed dalszą dyskusją. Odwróciwszy się na pięcie, podszedł do okna.

Ach, ta młodzieńcza niecierpliwość, pomyślał blackcollar, patrząc na stojącego tyłem do niego chłopaka i odruchowo pocierając swój pierścień. Ponownie przeżywał tortury, zdając sobie sprawę, że ich misja ma tak niewielkie szanse powodzenia. Westchnął i stanął przodem do stołu.

Skyler badawczo przyglądał się dowódcy.

– Nic ci nie jest? – zapytał cicho. Lathe zmusił się do uśmiechu.

– Jasne, że nie.

– On musi się jeszcze dużo nauczyć. Mówiłeś poważnie o jutrzejszym wypadzie?

– Tak. Rozmawiałeś ostatnio z Vale'em?

– Novak widział się z nim dziś rano. O'Hara i Haven chyba nieźle sobie radzą. Są wciąż dość słabi, ale przecież przyjmowanie dużych dawek iduniny to nie żarty.

– Nikt z nas nie jest tu dla żartów – rzekł oschle dowódca. -Kiedy będą gotowi do walki?

– Vale sądzi, że za trzy, cztery dni odzyskają pełnię sił.

– W porządku. – Lathe spojrzał na zegarek. – Spotkanie grupy taktycznej rozpoczyna się za godzinę. Powiem zebranym o wyprawie. Oczywiście nie wspominając o twoim udziale.

Skyler w zamyśleniu wodził końcami palców po blacie stołu.

– A musisz o tym wspominać? Jeśli w tym towarzystwie czai się szpieg, to tak jakbyś sam zastawił na siebie pułapkę.

– Niewykluczone. Ale jeśli nie wyjawimy im planów, nigdy już nam nie zaufają... Tremayne uważa, że prosimy o zbyt wiele, nic nie dając w zamian. Poza tym w ten właśnie sposób możemy udowodnić, że w tej grupie rzeczywiście ukrywa się agent kolabów.

– Jedziesz więc tylko ty i Mordecai?

– Plus jeden z Argentinian. Spodziewam się, że Tremayne będzie na to nalegał. Chciałbym, aby wyznaczył naszego sympatycznego przewodnika, Fuessa. Jeśli dojdzie do walki, przyda się jeszcze jeden blackcollar. Ponadto chyba tylko on może udzielić odpowiedzi na kilka pytań.

Skyler wskazał głową Caine'a.

– Zamierzasz zostawić go tylko z Novakiem? Jeśli ja miałbym dostać Ziemianina żywcem, wykorzystałbym właśnie ten moment.

Dowódca milczał przez dłuższą chwilę.

– Sądzisz, że są aż tak zdesperowani? Jeśli nie udałoby im się dopaść Caine'a, straciliby możliwość dalszego szpiegowania naszych ludzi.

– To prawda, ale lepiej nie zakładać, że ich tok myślenia pokrywa się z twoim.

– W takim razie może wysłać go pod opiekę Hawkinga, Kwona i Spadaforę?

– Albo zabrać ze sobą jutro rano. Mówię poważnie. Wtedy tym bardziej agentom będzie zależało, żeby nic złego wam się nie przydarzyło. W ten sposób wzrastają także szanse na pomyślną realizację zadania.

– Masz rację. Nasuwa się tu jednak pewien wniosek: będą używali tych swoich strzałek z paralyte-IX. Czy masz zapas antidotum?

– Tak... i Vale już przygotował zastrzyki podskórne, o które z pewnością za moment zapytasz.

Lathe roześmiał się rozbawiony.

– Po co ja właściwie wysilam się i wydaję rozkazy? W porządku. Przemyślę jeszcze sprawę zabrania ze sobą Caine'a. Ale na razie nie wspominaj o tym ani jemu, ani nikomu innemu.

– Dobrze. – Skyler odsunął krzesło i wstał. – Lepiej wezmę się do przygotowania sprzętu.

Podszedł do Novaka, rozmawiał z nim szeptem kilka sekund, po czym skierował się w róg pokoju, gdzie leżał cały sprzęt blackcollarów. Lathe obserwował go uważnie, zwracając uwagę na dynamiczny chód i zdecydowane ruchy. Skyler sprawiał wrażenie szczęśliwego, zapewne po raz pierwszy od czasu zakończenia wojny.

Dowódca uśmiechnął się do siebie i popatrzył na Allena, nadal demonstracyjnie odwróconego do pozostałych plecami. Tak, opłacało się podjąć działanie. Blackcollarowie od dawna umierali po trochu, od wewnątrz, gdy gasła w nich wiara, iż czegoś jeszcze dokonają. Bez względu na to, co się stanie, znów mają okazję pożyć jak prawdziwi wojownicy, szansę oddania ostatniego strzału wymierzonego w kolabów albo ich panów, Ryqrilów. A jeśli ceną, jaką trzeba zapłacić, jest śmierć w obcym świecie... no cóż, byli już na to przygotowani czterdzieści lat temu, na Plinry, więc bez trudu od nowa przyzwyczajają się do tej myśli.

Rozważania o śmierci spowodowały, że Lathe ponownie zmarszczył brwi i utkwiał wzrok w jakimś odległym punkcie.

Gdzie w tej chwili może znajdować się Jensen?

Rozdział 16

Garaż Radixu mieścił się na końcu długiego podziemnego tunelu, który Caine oczami wyobraźni widział jako prawdziwą siedzibę organizacji. Pocąc się pod potrójną warstwą dermopancerza i włożonym nań ubraniem, przekroczył wąskie przejście, idąc między Lathe'em i Mordecaiem. Zastanawiał się, czemu dowódca zmienił zdanie, pozwalając, by pojechał z nimi. Oczywiście sam tego bardzo chciał, ale po wyjaśnieniach, jak bardzo jest cenny, nie spodziewał się, że Lathe ustąpi tak łatwo.

„Garaż” okazał się ogromnym, opuszczonym magazynem zapchanym pojazdami. Nikłe promyki światła rozjaśniały wnętrze, ale mężczyznom, po wyjściu z ciemnego tunelu, takie oświetlenie wystarczyło, aby sprawnie wyminąć zaparkowane wozy i podejść do wyjazdu, gdzie stało przeznaczone dla nich auto. Obok dostrzegli znajome postacie Fuessa, Tremayne'a oraz Bakshiego.

– Witam, dowódco – przemówił Lathe, zbliżając się do Tremayne'a.

– Dzień dobry. – Szef Radixu skinął głową. – Chcieliśmy dopilnować, żebyście mieli najnowsze informacje o ruchach rządowców.

– Uzyskałem je po drodze od ludzi pani Quinlan – oświadczył Mordecai. – Wygląda na to, że w mieście panuje spokój.

– Tak, ale uważajcie – ostrzegł Bakshi, a na czole pojawiła mu się lekka zmarszczka, gdy przyglądał się gościom, a szczególnie Caine'owi. – Jedziecie we trzech?

– Nawet czterech, jeśli liczyć Fuessa – rzekł plinriański komandos, spoglądając na przewodnika. – Wszystko gotowe?

Blondyn przytaknął.

– Tak jest, dowódco.

Lathe kiwnął głową Tremayne'owi i Bakshiemu.

– Do zobaczenia po powrocie.

Wsiedli do poobijanej furgonetki, przypominającej tę, którą Caine podróżował na Plinry. Tym razem jednak musiał usiąść na podłodze w części ładunkowej, ponieważ Fuess zasiadł za kierownicą, a Lathe na siedzeniu dla pasażera. Mordecai rozlokował się po drugiej stronie, między nadkolem a pionowym występem ściany. Allen spróbował tego samego i stwierdził, że rzeczywiście w tym miejscu będzie mu najwygodniej.

Ktoś otworzył bramę i pojazd opuścił garaż. Po minięciu trzech przecznic znaleźli się wreszcie na jednej z większych ulic Calarandu.

Już wkrótce Caine zupełnie stracił orientację. Siedząc tak nisko, nie widział prawie nic przez przednią szybę ani przez niewielkie tylne okienko. Bez skutku też usiłował skojarzyć zakręty z zapamiętaną mapą. Wprawdzie docierała do niego cicha rozmowa między Fuessem a Lathe'em, ale i to niewiele dawało.

– Oto główna siedziba sił bezpieczeństwa... Ten biały budynek z mnóstwem anten satelitarnych na dachu.

– Stąd kontrolują Calarand?

– Całą planetę. – Długa cisza i kolejny zakręt. – To Aleja Zwycięstwa, nazwana tak oczywiście po wojnie. Stanowi jeden z zachodnich wjazdów do Pasa i ciągnie się dalej, do centrum rządowego. Nie opracowaliśmy jak dotąd skutecznej metody fałszowania identyfikatorów, dlatego będziemy musieli skręcić trochę wcześniej.

– Nie szkodzi. Tym razem nie chcę wjeżdżać do Pasa. Niech pan pojedzie wzdłuż granicy i minie więzienie.

Fuess rozejrzał się na boki.

– W ten sposób niewiele zobaczycie.

– To prawda, ale unikniemy kontroli.

– Jesteście uzbrojeni? – zapytał Argentinianin z irytacją. – Mówiłem, żebyście jadąc do Pasa nie zabierali ze sobą broni.

– Dlatego właśnie tam nie jedziemy – wyjaśnił cierpliwie Lathe.

– Zapomnieliście mi powiedzieć, co? Tak samo jak o tym, że będzie wam towarzyszył Caine?

– Dlaczego się tak tym denerwujesz? Pamiętaj, że jesteś tu tylko kierowcą i przewodnikiem.

– Przepraszam – mruknął Fuess głosem ledwie słyszalnym w szumie kół furgonetki. Posłał spojrzenie dowódcy i Allen dostrzegł na jego ustach ironiczny uśmiech. – Myślałem, że w czasie tych wypraw odpowiadam za wasze bezpieczeństwo.

Lathe skwitował tę wypowiedź tylko machnięciem ręki.

– Czy przed sobą mamy teraz ogrodzenie Pasa? – zapytał.

– Tak. Jeśli przejedziemy wzdłuż niego, dostaniemy się w pobliże Henslowe.

– Skręć w następną ulicę. Na razie nie chcę zbytnio zbliżać się do terytorium rządowego. Z tej strony więzienia znajduje się brama, prawda?

– Tak. Biegnie przez nią ulica Avis, którą wcześniej przecina Parlertin. Będziecie mogli przyjrzeć się bramie, jeśli skręcimy w Avis, potem w Parlertin. Następnie przejedziemy obok Henslowe.

– Dobrze.

Caine uniósł się do pozycji kucznej i zdołał rzucić okiem na ogrodzenie, kiedy Fuess wykonywał skręt. Mur zbudowano z wysokich na trzy, cztery metry brudnobiałych płyt. Na szczycie rozciągnięto jeszcze metrowej wysokości stalową siatkę. Brama przypominała te w Capstone, z tą jednak różnicą, że po obu stronach wjazdu znajdowały się wąskie przejścia dla pieszych. Pilnowało jej czterech strażników, choć niewykluczone, że jeszcze kilku znajdowało się poza zasięgiem wzroku. Caine z powrotem siadł na podłodze, rozważając, w jaki sposób Lathe zamierza sforsować tę przeszkodę, nie będąc do tego tak doskonale przygotowanym jak na Plinry.

Furgon jechał dalej. Ze względu na brak możliwości obserwowania trasy, Caine pograżył się w myślach, lecz gwałtowny skręt w prawo nagle wyrwał go z zadumy. Podniósłszy wzrok, ujrzał wyraźnie zaniepokojonego Lathe'a, spoglądającego przez tylną szybę.

– Jedzie za nami? – zapytał Argentinianin.

– Jeszcze go nie widać – odpowiedział dowódca, wciąż odwrócony do tyłu.

– Kto? – zdziwił się Allen, wyciągając szyję, żeby cokolwiek zobaczyć.

– Nie wychylaj się, Caine – polecił Lathe. – Chyba ciągniemy za sobą ogon. – Odwrócił się na siedzeniu, po czym wskazał przed siebie. – Fuess, proszę zaraz skręcić w lewo i skierować się z powrotem w stronę muru.

– Uważa pan, że to rozsądne? Zapytany wzruszył ramionami.

– Jeśli kolaby zastawiły pułapkę, już w nią wpadliśmy. Lepiej więc jechać dalej i szukać sposobu wydostania się z potrzasku.

Caine poczuł skurcz żołądka. Był przekonany, że siły bezpieczeństwa w końcu zaczną działać, ale raczej oczekiwał ataku na główną siedzibę Radixu. Nagle przypomniał sobie wczorajszą sugestię, że Faye Picciano może być szpiegiem rządowców. Ona wiedziała przecież, iż blackcollarowie wybierają się dziś na zwiady.

– Do diabła! – jęknął Fuess, naciskając hamulec.

Allen chwycił się wzmocnienia, żeby nie upaść, kiedy samochód najpierw ostro przyhamował, a potem wykonał gwałtowny skręt w prawo, przyspieszając jednocześnie. Ledwie zdążył się wygodnie usadowić, gdy Argentinianin ponownie zahamował. Rozległ się pisk opon i furgonetka stanęła.

– Blokada ulicy – rzekł cicho Lathe, zanim Caine zdążył zapytać, co się dzieje. – Pułapka: samochód w poprzek drogi z przodu, a drugi z tyłu. Wygląda na to, że w każdym jest po pięciu agentów. Czterech wysiada, jeden zostaje w środku.

– Zająć się nimi? – zapytał Mordecai ze spokojem, który Ziemianina przyprawił o dreszcz.

– Jeszcze nie. Czekaj na mój sygnał.

Ledwie zdążył dokończyć, kiedy tylne drzwi pojazdu zostały gwałtownie otwarte i pojawiły się w nich lufy dwóch pistoletów.

– Wszyscy wychodzić! – krzyknął ktoś rozkazującym tonem. – Ruszać się!

Mordecai wysiadł pierwszy, trzymając ręce odsunięte od tułowia. Caine poszedł w jego ślady. Czyjaś ciężka dłoń chwyciła go za ramię i pociągnęła w bok. Mordecai został pchnięty w drugą stronę. Po chwili dołączyli do nich Lathe oraz Fuess. Czterech agentów bezpieczeństwa z samochodu uniemożliwiającego jazdę do przodu zbliżało się do zatrzymanych. W tej sytuacji Allen musiał zrewidować swoje przypuszczenia, iż zaatakują przeciwników, dopiero gdy zostaną umieszczeni w jakimś pojeździe. Lathe nic nie powiedział, że jeden z agentów niesie cztery pary wzmacnianych kajdanek magnetycznych. Caine wiedział, że można je otworzyć tylko przy użyciu specjalnego sprzętu. Jeśli mieli zaskoczyć kolabów, musieli działać natychmiast.

Wyraźnie Lathe identycznie ocenił sytuację.

– Hej, co tu się dzieje? – zapytał najbliżej stojącego mężczyznę, jedną ręką gestykulując nerwowo, drugą zaś dając ledwie zauważalny sygnał: do ataku!

– Zamknij się... – zdążył powiedzieć żołnierz, nim powalił go cios kolaniem w brzuch.

Jego pistolet wypalił, kiedy zginał się wpół, lecz Allen nie próbował nawet obserwować, w którą stronę poleciały strzałki. Wykręcił prawą rękę, uwalniając się z uchwytu i jednocześnie lewą wytrącił broń swojemu opiekunowi. Nie był tak szybki jak Lathe. Pociski trafiły go w piersi, lecz ześlizgnęły się po dermopancerzu. Druga seria nie została już wystrzelona – łokieć Caine'a wylądował na twarzy agenta sił bezpieczeństwa, a kolejne ciosy sprawiły, że kolab osunął się na chodnik.

Ziemianin nie miał jednak okazji walczyć dalej. Zauważył, że Fuess kończy starcie ze swoim strażnikiem, pilnujący Lathe'a leży martwy, a Mordecai naciera na pozostałych, uporawszy się już z trzema. Nagle za plecami Caine'a rozległ się głośny huk, a dłonie i głowę przeszył palący ból. Z trudem złapał oddech. Starł się odwrócić, unosząc ręce, żeby osłonić twarz, ale ramiona same opadły wzdłuż tułowia, a nogi ugiwały się pod ciężarem. Świat zatańczył wokół niego i zamienił się w ogromny snop iskier.

Gdy błyski gasły powoli, stwierdził, że patrzy na ścianę jakiegoś budynku z odległości raptem trzydziestu centymetrów. Między oczami a murem tkwiła dłoń z wbitymi trzema cienkimi strzałkami. Dopiero po dłuższym zastanowieniu doszedł do wniosku, że to jego własna ręka. Z tyłu usłyszał ostrożne kroki, a po chwili głos:

– W porządku, Garth. Wszyscy załatwieni.

– Jesteś pewien? – zapytał ktoś znajdujący się nieco dalej. -Mogą mieć na sobie jakąś osłonę.

– Wiem, co mówię – rzekł niecierpliwie ten pierwszy. – Igły są wbite bezpośrednio w ciało. Chodź tu i pomóż ich skuć.

Zza furgonetki wyłonił się kierowca samochodu blokującego drogę z przodu.

– Co się właściwie stało? Stamtąd niewiele widziałem.

– Stąd też nie zobaczyłbyś więcej. Coś wybuchło. Szczęście, że byłem za wozem. W zderzak uderzyło całe mnóstwo strzałek i nawet nie wiem, skąd je wystrzelono. Hej, dawaj te kajdanki.

Angażując wszystkie siły, Caine spróbował zacisnąć poranioną dłoń. Nie zauważył, żeby drgnęła choć o milimetr, natomiast podjęty wysiłek wywołał falę bólu. Podjął kolejną próbę i następną, czując coraz większą bezradność.

I nagle jeden z agentów bezpieczeństwa wydał okrzyk, ucięty głuchym dudnieniem ciosów. Zaszeleściło ubranie, zadźwięczał metal i wreszcie do Caine'a dotarł odgłos padających na ziemię ciał.

Przez moment zaległa cisza, podczas której Ziemianin ponawiał starania uruchomienia mięśni. Wreszcie w zasięgu wzroku pojawiła się pomarszczona dłoń i uniosła jego bezwładną rękę. Druga zrobiła mu podskórny zastrzyk w przedramię. Zanim jeszcze igła została wyjęta, poczuł mrowienie od czubków palców aż po bark. Gdy upłynęło kilka sekund, mógł już unieść głowę i rozejrzeć się dokoła.

Obok niego klęczał Lathe.

– Jak się czujesz? – zapytał. Caine'owi plątał się język.

– Lepiej. Co...

– Później. Możesz usiąść?

Z pomocą blackcollara Allen stanął na nogi. Z ciała wypadły mu igły, częściowo już rozpuszczone. Mrowienie ustawało i jedynie drzenie kończyn wskazywało na to, że nie odzyskał jeszcze pełnej sprawności.

– Chyba już dobrze, ale na razie nie nadaję się do walki -rzekł. – Jak inni?

Usta Lathe'a wykrzywiły się w lekkim uśmiechu, gdy popatrzył ponad ramieniem Caine'a.

– Mordecai?

– Jesteśmy już prawie gotowi – padła nieco niewyraźna odpowiedź.

Allen, wsparty o komandosa, odwrócił głowę. Mordecai pomógł właśnie podnieść się Fuessowi. Na ziemi bez ruchu leżało dwóch agentów, którzy uprzednio ubezpieczali swych kolegów.

– Znikajmy – odezwał się Mordecai, spoglądając na dowódcę.

Ten przytaknął, po czym podniósł dwa pistolety strzałkowe.

– Wóz z przodu jest bliżej. Ruszajmy.

Jeszcze przez chwilę Caine'owi i Fuessowi poruszanie się sprawiało spore problemy, ale na szczęście mieli do pokonania niewielką odległość. Wóz patrolowy był stary, ale wyposażony w urządzenie określające pozycję oraz broń wyglądającą na strzelbę strzałkową. Lathe zajął miejsce za kierownicą. Zdjął strzelbę z uchwytów i podał ją Allenowi, który wraz z Mordecaim usiadł w tyle pojazdu.

– Ja poprowadzę – zaprotestował Fuess, gdy Lathe wskazał mu fotel pasażera.

– Może później – rzekł dowódca, uważnie przyglądając się panelowi sterowania. – Wskakuj.

Argentianin posłuchał, wyraźnie jednak niezadowolony. Lathe wyciągnął rękę do tyłu, podając Mordecaiowi dwa zabrane z pola walki pistolety.

– Sprawdź magazynki, dobrze? – Ujął w dłonie kierownicę i raz jeszcze zlustrował wzrokiem instrumenty. – Jedziemy.

Nie zdążyli dotrzeć do najbliższego rogu, kiedy z radia rozległ się głos:

– Piętnastka, zgłoś się. Co z więźniami?

– Co im powiemy? – wyszeptał Fuess.

– Nic. – Lathe uruchomił ekran systemu pozycyjnego, na którym pojawiła się sieć drogowa tej części Calarandu. – Dojdą do wniosku, że tamci są wciąż zajęci. Ciekawe, czy za pomocą tego sprzętu można ustalić pozycje innych wozów.

– Cokolwiek zamierzasz zrobić, nie licz na te pistolety -odezwał się Mordecai. – Mają amunicji tylko na dwa strzały.

– Strzelba także – zameldował Caine. – Wygląda na to, że ktoś wykazał wyjątkową ostrożność.

– Rzeczywiście – przyznał Lathe. – Po dwa strzały, na wypadek gdyby w jakiś sposób udało się nam przechwycić broń. Sprytne.

– Jeśli już mowa o sprycie – odezwał się Allen – jak udało się tobie i Mordecaiowi zabezpieczyć przed działaniem środka paralizującego?

– Mordecai nie zrobił nic. Podobnie jak wy leżał sparaliżowany. Ja zresztą też... przez kilka sekund.

– Piętnastka, odezwiij się! – dobiegło nagle z głośnika. –Śledzimy, jak jedziesz, Moris. Co się u ciebie dzieje?

– Zostaw – rozkazał dowódca, gdyż Fuess już sięgał do mikrofonu. – Niech zgadują.

– I tak wkrótce się domyślą – odpowiedział wzburzony Argentinianin. – Jeśli zdołam utrzymać ich w przekonaniu, że jesteśmy agentami bezpieczeństwa, zyskamy nieco czasu.

– Za późno. – Mordecai wskazał na wyświetlacz. – Jeszcze minutę temu widniało tu mnóstwo sygnałów prawdopodobnie wskazujących na pozycje wozów. Właśnie zniknęły.

– Zostaliśmy odłączeni od sieci informacyjnej – orzekł Lathe. Gdy dojechali do skrzyżowania, rozejrzał się w obie strony i wreszcie skręcił w prawo. – Pamiętasz, jak były rozmieszczone pojazdy?

– W podwójne półkole, ramionami sięgające muru.

– Ale przecież zmienią położenie, prawda? – zapytał Allen.

– Tak, ale zyskamy nieco czasu. Natomiast jeśli chodzi o strzałki z substancją paraliżującą, to bardzo proste. Kiedy zostałem trafiony, postarałem się upaść na lewy bok, żeby stłuc kapsułkę z antidotum, wszytą pod skórę na ramieniu. Reszta poszła już gładko.

– Oczywiście. – Caine zastanawiał się wcześniej, dlaczego główny ciężar walki spadł na barki Mordecaia. Już zrozumiał. –Jakie szczęście, że nie pękła wcześniej.

– W życiu zawsze wkalkulowane jest niebezpieczeństwo.

– Słuchajcie! – zawołał nagle Fuess. – To ulica Parlertin, a dalej brama... Jeździmy w kółko!

– Niezupełnie. – Dowódca oddziału sięgnął do jednego z przycisków i włączył sygnalizator umieszczony na dachu wozu. Samochody przed nimi pousuwały się na boki. Lathe skręcił w Parlertin.

– Z tego, co mówił Mordecai, wynikało, że ogrodzenie Pasa jest częścią ich pierścienia. Nie będą przypuszczali, że skierujemy się właśnie w tę stronę.

– Do Pasa? – wykrzyknął Argentinianin. – To czyste szaleństwo!

– Tylko pewne ryzyko – poprawił go spokojnie Lathe. –Rozjadą się na wszystkie strony, żeby obstawić wyjazdy, a w powstałym zamieszaniu wzrosną nasze szansę na wymknięcie się z obławy.

– Najlepiej jedźmy prosto na bramę – poradził Fuess. Lathe posłał mu ciężkie spojrzenie.

– Rada wysłuchana, komandosie – odparł ze spokojem, który zaskoczył Caine'a. – A teraz zapnijcie pasy.

– Tak jest – mruknął Argentinianin.

W pewnej odległości z przodu Allen dostrzegł błysk świateł ostrzegawczych.

– Ktoś nadjeżdża – rzekł, wskazując palcem.

– Widzę. Jesteście zapięci? Dobrze. Trzymajcie się mocno. Przyhamował, skręcił w prawo i ponownie wduślił pedał gazu. Zaledwie dwadzieścia metrów przed nimi znajdowała się brama przegradzająca ulicę Avis.

Stojący przy niej strażnicy, kompletnie zaskoczeni, nie usiłowali nawet zareagować. Obaj zamarli i dopiero w ostatniej chwili rzucili się na boki, umykając spod kół. Caine nie widział już, czy wartownicy uniknęły śmierci, ponieważ spodziewając się zderzenia, odruchowo zamknął oczy.

Pojazd huknął w zaporę z ogromną siłą. Wstrząs odebrał Ziemiańninowi dech w piersiach. W uszach przez dłuższą chwilę słyszał tylko zgrzyt metalu. Wydawało mu się, że brama wytrzymała... lecz nagle poczuł, iż ponownie przyspieszają. Odemknął powieki i przez spękaną przednią szybę dojrzał, że przód samochodu wciąż znajduje się na swoim miejscu.

– Udało się! – wykrzyknął, wciąż jeszcze w to nie wierząc. Obok niego Mordecai oddychał spokojnie.

– Wcale nie byłem pewien sukcesu. Lathe wyraźnie mocował się z kierownicą.

– Wozy sił bezpieczeństwa są zazwyczaj solidnie zbudowane. Wolałbym jednak nie powtarzać tego wyczynu z drugiej strony Pasa.

– Miał pan rację – przyznał Fuess, kręcąc głową. – Przepraszam, dowódco.

– Niech pan zostawi te komplementy na później – udaj Lathe. – Lepiej szukajcie innego wozu. Ten wyraźnie ściąga w lewo.

Kiedy przejeżdżali przez skrzyżowanie, Caine zauważył w przecznicy błysk koguta.

– Z zachodu zbliża się samochód wroga – zameldował.

– Za nami też widzę jeden – doniósł Mordecai.

– Dobra. – Lathe skręcił, w najbliższą ulicę i gwałtownie zahamował. – Mordecai, zostań na tyłach. Weźmiemy wóz stojący z przodu.

– Tak jest.

Mordecai, uchyliwszy drzwi, z pistoletem w dłoni wyskoczył na zewnątrz.

Lathe ruszył ponownie i przejechał kilkadziesiąt metrów dzielących ich od upatrzonego pojazdu.

– Wysiadać – rozkazał. – Fuess, niech pan go otworzy.

Po kilku sekundach zza rogu wyłonił się pierwszy ze ścigających ich wozów.

– Caine, kryj się – warknął blackcollar, odbierając Ziemiańninowi strzelbę i drugi pistolet. Przebiegł przez ulicę i ukrył się we wnętrzu domu.

Allen posłusznie wpełzł z powrotem do przedniej części auta. Pojazd kolabów stanął tymczasem w poprzek ulicy, blokując drogę, a jednocześnie dając osłonę sześciu żołnierzom, którzy z niego wyskoczyli. Caine obejrzał się, czy z przeciwnej strony nic im nie grozi, lecz zobaczył tam tylko uciekającą w popłochu garstkę pieszych. Sięgnął po jeden z trzech shurikenów, które miał przy sobie. Wyprostował się, cisnął gwiazdkę i schylił ponownie, kryjąc się przed świszczącymi nad głową strzałkami. Wyjął pozostałe dwa shurikeny, lecz postanowił na razie czekać. Przez moment pożałował, że nie został z Novakiem. Tutaj był dla blackcollarów tylko ciężarem, mogącym sprawić, że wszyscy zostaną schwytani lub zginą.

Nagle deszcz strzałek ustał. W pobliżu zapanował jakiś ruch. Caine zadrzał, lecz wkrótce do furgonetki zajrzał Lathe.

– Wóz gotowy?

Allen, zmieszany, wyrzał ostrożnie na ulicę.

Jej środkiem biegł Mordecai, niedbale trzymając pistolet. Za nim, obok pojazdu sił bezpieczeństwa leżało sześć nieruchomych ciał.

Raz jeszcze Mordecai poradził sobie z tyłoma naraz i znów Allen nie zdołał zobaczyć, w jaki sposób blackcollarowi udało się tego dokonać.

– Powinien już działać – doniósł Fuess, wyczołgując się spod zdobycznego auta. W tym samym momencie dwa kolejne samochody rządowców wypadły z za rogu.

Mordecai i Lathe zareagowali równocześnie. W kierunku nacierających pomknęły dwie gwiazdki. Pomimo tak ogromnej odległości, co najmniej jedna z nich trafiła, bo huk pękającej opony zagłuszył nagle pisk hamulców.

– Wsiadać! – warknął Lathe, rzucając jeszcze dwa shurikeny, kiedy agenci zaczęli strzelać, na szczęście niecelnie, przez otwarte okna pojazdów.

Fuess otworzył drzwiczki i wraz z Caine'em wsiedli do środka. Lathe poszedł w ich ślady, spychając Argentinianina z miejsca kierowcy.

– Ja poprowadzę – oświadczył, patrząc na tablicę kontrolną. Mordecai, zabezpieczywszy swój pistolet, w biegu wskoczył na tylne siedzenie, obok Caine'a. Lathe zawrócił i pędził ku samochodowi, który zablokował im drogę. Allen przygotował się już na kolejne zderzenie, lecz dowódca gwałtownie zjechał na chodnik, by przemknąć, niemal ocierając się jedną stroną o ścianę budynku, a drugą wymijając o milimetry zderzak stojącego wozu. Prześlizgnął się jakoś i po chwili znowu przyspieszył, po czym skręcił w lewo.

Ziemianin nie starał się nawet powstrzymać westchnienia ulgi. Pod dermopancerzem był cały mokry od potu.

– No, udało się – rzekł.

– Z pewnością to jeszcze nie koniec – warknął Fuess z przedniego siedzenia. – Rządowcy przekazali już nasze rysopisy wszystkim patrolom w mieście. Co zrobimy, Lathe? Będziemy tak zmieniać wozy, ciągle mając nadzieję, że w końcu zgubimy pościg?

– Moglibyśmy tak postępować. Ale wówczas musielibyśmy wy dostać się z Pasa. A nie mam ochoty taranować kolejnej bramy.

– A więc co dalej? – nie ustępował Argentinianin. Dowódca blackcollarów wykonał kilka skrętów, zanim zdecydował się na odpowiedź.

– Niech się pan postawi na ich miejscu. Do zabawy w policjantów i złodziei mamy cały Pas i jedenaście wyjazdów z niego, a wiemy, że kolaby zgromadziły znaczne siły w pułapce zastawionej na południu. Jakie zatem postępowanie dyktuje logika?

– Chyba takie, że skierujemy się na wschód albo zachód.

– Właśnie. Ruszymy więc tam, gdzie się nas najmniej spodziewają.

Jeszcze kończąc zdanie, skręcił po raz ostatni, po czym zahamował.

Caine, zdziwiony, zmarszczył brwi.

– Mur? Południowa ściana? – zapytał, spoglądając na położenie słońca.

Fuess odwrócił głowę, przyglądając się tabliczkom na narożnych budynkach.

– Jesteśmy zaledwie trzy przecznice od bramy na Avis -stwierdził, a w jego głosie brzmiało zaskoczenie i niepokój.

– Zgadza się – potwierdził Lathe. – Wysiadamy. Resztę drogi pokonamy piechotą.

– Nie możemy przedostać się przez ogrodzenie – zaprotestował Fuess. – Są na nim czujniki oraz druty pod wysokim napięciem.

– Wiem. Dlatego przejdziemy przez bramę. Jak stoimy z bronią?

– Kiepsko – odpowiedział Mordecai, zanim Argentinianin zdążył otrząsnąć się z oszołomienia wywołanego decyzją Lathe'a. – Mam jeden shuriken, no i nunczako.

– Caine?

– Dwie gwiazdki.

– Daj je Mordecaiowi. Fuess?

– To szaleństwo! – wykrzyknął przewodnik. – Przecież zostawią tam ludzi, żeby nie wypuścić nikogo niepożądanego...

– Broń, komandosie – przerwał mu Lathe.

– Nie mam nic!

– Nic? – zdziwił się Mordecai.

– Oczywiście. Sądziłem, że jedziemy do Pasa.

– Nieważne – skwitował dowódca. – Mnie zostały dwie gwiazdki, może wystarczy. Ruszajmy. Mordecai, ty i Fuess trzymajcie się na razie kilka kroków przed nami.

Na najbliższym skrzyżowaniu skręcili w prawo. W głębi ulicy widać było przechodniów oraz kilka pojazdów. Idąc obok Lathe'a i starając się dotrzymać mu kroku, Caine słyszał głośnie bicie własnego serca. Plan dowódcy po prostu nie miał najmniejszych szans powodzenia. Nawet fakt, że w pewnym momencie, nie zwalniając, przejechał obok nich wóz sił bezpieczeństwa, nie zmienił tego przekonania. Agenci nie spodziewali się zapewne, iż uciekinierzy mogą być w tym rejonie, a na dodatek poruszają się pieszo, lecz w końcu ktoś zwróci na nich uwagę.

Nic się jednak nie wydarzyło, gdy pokonywali trzy przecznice dzielące ich od Avis. Wreszcie skręcili na południe, ku zniszczonej bramie.

Biorąc pod uwagę, jak niewiele czasu upłynęło od jej sforsowania, dziura w systemie zabezpieczającym została załatwana z zadziwiającą sprawnością. Duży samochód blokował wjazd, wypełniając niemal całą przestrzeń, tak że prześwity po bokach miały nie więcej niż po metrze szerokości. Oba przejścia dla pieszych nie ucierpiały podczas szarży opozycjonistów. Nadal przepuszczano przez nie ludzi, których uprzednio kontrolowała grupa agentów bezpieczeństwa.

– Patrz... sześciu wartowników – szepnął Caine, nerwowo trącając Lathe'a. – Brakuje nam jednej gwiazdki.

– Właściwie dwóch. Widzisz tę strażnicę?

Niewielka przeszklona kabina przytulona była do ściany, o kilka metrów od bramy. Siedział w niej jeden z sześciu wartowników. Mężczyzna uważnie rozglądał się wokół.

– Liczyłem go – powiedział Allen.

– Z kabiny prowadzi przewód... Znika w ziemi jakiś metr od miejsca, gdzie dawniej stała strażnica. Służy zapewne komunikacji, więc powinien zostać przecięty.

– Rozumiem. – Caine rzeczywiście nie zwrócił uwagi na ten szczegół. – Co więc zrobić z tym w wartowni? Starać się zbliżyć na tyle, żeby wykorzystać nunczako?

– Trudna sprawa – rzucił Mordecai znajdujący się z przodu na tyle blisko, by słyszeć rozmowę.

– Istotnie – przyznał dowódca. – Niestety o tej porze wychodzących z Pasa jest niewiele, a to umożliwi strażnikom bardziej szczegółową obserwację. – Urwał na moment, po czym kontynuował: – W porządku, spróbujmy czegoś takiego. Te schody przy ścianie, jakieś pięćdziesiąt metrów od bramy, powinny zapewnić odpowiednią osłonę dla dwóch. Mordecai, ukryj się za nimi razem z Fuessem. Ja i Caine schronimy się w niszy z drzwiami po tej stronie. Stamtąd zaatakujemy.

– W porządku.

Mordecai trącił Fuessa i przeszli w poprzek ulicy.

– Lathe! – syknął Allen. – Co z tymi dodatkowymi wartownikami?

– Nie przejmuj się nimi. Uważaj tylko i bądź gotowy do biegu.

Ziemianin, zacisnąwszy zęby, ruszył za komandosem, spoglądając to na strażników, to na wskazane zagłębienie w murze. Między nimi a bramą znajdowało się teraz siedmiu lub ośmiu przechodniów. Caine zaniepokoił się, czy Lathe uwzględnił w swoich przewidywaniach ich obecność. Do niszy pozostawało pięć kroków... cztery... trzy...

Jeden z żołnierzy przyglądał im się z wyraźnym zainteresowaniem. Nagle gwałtownie uniósł głowę, a dłoń powędrowała do kabury.

– Hej! – zawołał.

– Ruszaj! – warknął Lathe i gdy Allen wydłużył krok, nad uchem przemknęła mu czarna gwiazdka. Dojrzał jeszcze padającego wartownika, zanim narożnik wnęki zasłonił mu widok. Nim zdążył przywrzeć do drzwi, blackcollar minął go i zasłonił swoim ciałem.

– Nic ci nie jest? – zapytał.

– Nie.

Ponad ramieniem komandosa widział przyczajonych po drugiej stronie Mordecaia oraz Fuessa.

– Załatwiliście ich? – zapytał blackcollar przez nadajnik.

– Zostało jeszcze dwóch. Chyba podejrzewają, że zabrakło nam shurikenów. Nie starają się już kryć.

Gdy mówił, w drzwi wbiło się kolejnych kilka strzałek.

– Świetnie – jęknął Allen. Klamka uwierała go boleśnie. Sięgnął za siebie i spróbował ją nacisnąć. – Drzwi są zamknięte. Możesz zrobić mi trochę miejsca? Spróbuję sforsować zamek.

Znów tuż obok przemknęły pociski ze środkiem paralizującym.

– I tak już jestem jak na strzelnicy.

– Wkrótce znajdziesz się całkiem na widoku. Zaraz tu będą! – wyszeptał przerażony Ziemianin.

Ku swojemu zdziwieniu usłyszał, że Lathe chichocze.

– Na to właśnie liczę – wyjaśnił komandos. Wyjrzał ostrożnie zza rogu. – Tak, już się zbliżają.

Caine nie mógł nic zrobić. To uczucie bezsilności sprawiało, że brakowało mu powietrza. Z pewnością agenci sił bezpieczeństwa byli na tyle sprytni, żeby unikać walki wręcz. Musieli tylko podejść dość blisko, ubezpieczając się wzajemnie, aż w celownikach zobaczą sylwetki uciekinierów. Niczego nie ryzykowali. Z całych sił zaciskając pięści, Caine czekał, aż w jego ciało ponownie wbiją się igły...

Nagle Lathe wychylił się z ukrycia i zamachnął do rzutu, a Mordecai powtórzył ten ruch dokładnie w tym samym momencie. Strzałki z kolejnej salwy utknęły w ścianie, tuż za plecami Allena. Równocześnie usłyszał odgłos czyjegoś upadku. Lathe wyjrzał ponownie i zniknął. Caine ostrożnie poszedł za dowódcą.

Wartownik leżał na ziemi. Lathe pochylił się nad ciałem i wyrwał ze skroni ofiary swój pocisk – niewielki, lśniący przedmiot, z okrwawionym nietoperzowym skrzydłem. Caine nagle uświadomił sobie, że to smoczy pierścień.

Mordecai i Fuess dołączyli do towarzyszy.

– Całą drogę powrotną musimy pokonać pieszo? – zapytał Argentinianin, kiedy pobiegli w stronę bramy.

– Nie ma potrzeby. – Mordecai wskazał samochód blokujący drogę. Na jego pierścieniu także widniały ślady krwi.

Lathe skinął głową.

– Na pewno jest nie zamknięty i gotowy do jazdy. Fuess, pan prowadzi.

Garstka przechodniów wciąż kręciła się przy bramie, a ich ruchy wyrażały całą gamę uczuć: od przerażenia do triumfu.

Caine przyglądał się im uważnie. Nikt nie odważył się sięgnąć po leżącą broń. Fuess i Lathe usiedli z przodu, a on wraz z Mordecaiem wdrapali się na tył wozu. Ruszyli natychmiast.

– To cywilny samochód – orzekł Argentinianin, wskazując na deskę rozdzielczą. – Zapewne komuś zarekwirowany. Jedziemy do domu, czy może nie macie jeszcze dosyć?

– Niech pan skręci w lewo i wysadzi mnie trochę dalej -rzekł dowódca. – Później proszę wracać do kwatery.

– Po co chcesz tu zostać? – zdziwił się Caine.

– Przecież nie przyjrzałem się więzieniu – powiedział wesoło Lathe.

Rozdział 17

– Nie zmieniajcie już wozów, tylko wracajcie jak najszybciej – poradził blackcollar, kiedy Fuess zatrzymał się na poboczu.

Dowódca wyskoczył szybko i chodnikiem ruszył ku wysokiemu domowi stojącemu przy tej ulicy. Począł jeszcze, aż jeden z zaparkowanych wozów odjechał, po czym uśmiechając się, zniknął we wnętrzu budynku.

W holu było stosunkowo dużo ludzi. Większość skupiała się przy windach. Lathe, nie zatrzymując się, pospieszył do schodów. Wszedł na szóste piętro. Nieco czasu zajęło mu odszukanie drogi prowadzącej do magazynku na dachu. Wreszcie dotarł na sam szczyt wieżowca.

Skyler siedział wygodnie, plecami oparty o ścianę. U jego boku monotonnie szumiało radio. Blackcollar podniósł wzrok na dowódcę.

– Miałem już wątpliwości, czy się pojawisz – rzekł wstając na powitanie.

– Cholernie mało brakowało, żebym rzeczywiście nie przyszedł – odpowiedział Lathe, nieco zadyszany. – Wpadliśmy w zasadzkę kolabów.

Skyler kiwnął głową.

– Widziałem. Czy to wy sforsowaliście bramę na Avis?

– Tak. Zdobyłeś mi mundur? Zapytany wskazał ręką.

– Jest za drzwiami. Odzienie podarował ci jakiś miły porucznik. Jeśli pozbędziesz się brody, twój wygląd, przynajmniej na pierwszy rzut oka, nie wzbudzi podejrzeń.

Lathe zamknął drzwi do magazynu. Na walizce leżał szarozielony mundur sił bezpieczeństwa.

– Ktoś może zatęsknić za jego właścicielem? – zapytał, jednocześnie zaczynając się rozbierać.

– Przez jakiś czas na pewno nie. Wiec jak to było z tą pułapką?

– Najwyraźniej nas oczekiwali. – Dowódca znalazł w kieszeni identyfikator. Chwilę przyglądał się zdjęciu jego właściciela, po czym sięgnął po przygotowaną przez Skylera tubę depilatora oraz ręcznik. Łokciem wskazał szumiące urządzenie. – Słyszałeś jakieś dyspozycje w sprawie ruchów ich oddziałów?

– Zanim uciekliście, podali tylko kilka zakodowanych sygnałów, ale to zbyt mało, żeby mogły dotyczyć przygotowania lub choćby koordynacji zasadzki zakrojonej na tak dużą skalę.

– Wszystko jasne – stwierdził Lathe z ciężkim westchnieniem. – W dowództwie Radixu ukrywa się szpieg.

– Na to wygląda – zgodził się Skyler. – Chyba że ktoś jeszcze był w garażu, gdy wyjeżdżaliście... Nie, nie daliby rady tak szybko ustawić ludzi bez posługiwania się radiem.

– Poza tym poleciłem Spadaforze ukryć się tam, żeby zabezpieczył nas przed taką ewentualnością.

– Czy Kwon nawiązał z wami kontakt? Nie chciałem używać nadajnika.

– Tak. Jedzie za Fuessem. Nic im nie grozi. Przecież jest tam jeszcze Mordecai.

Tylko długa znajomość z Lathe'em pozwoliła Skylerowi właściwie odczytać jego słowa.

– Coś nie tak z Fuessem? – zapytał. Dowódca wydał policzki.

– Nie wiem. Nie mam jakichś uzasadnionych podejrzeń. Nie walczy tak dobrze jak powinien. Ale program treningowy pod koniec mógł nie być już tak wszechstronny, więc to o niczym nie świadczy. A może chodzi o jego brak subordynacji.

– Przywykł do roli najsilniejszego dzieciaka na swoim podwórku – roześmiał się Skyler, lecz po chwili przybrał poważną minę. – Przypomina mi bardzo Fafnira Riesmana. Pamiętasz go? Właściwie wszyscy czterej, z wyjątkiem Bakshiego, pasowałiby do wyobrażeń Riesmana o idealnym blackcollarze.

– Tak. Na Plinry każdy im podobny zginął ryzykując o jeden raz za dużo.

– To nie Plinry. Najwyraźniej tutaj przetrwali właśnie ci, którzy odznaczają się takimi cechami.

– Może – zgodził się Lathe. Zakręcił tubkę z depilatorem, odłożył ją na bok i dokończył ubierać się w nowy strój. – Jak wyglądam? – zapytał, podając przyjacielowi identyfikator.

Skyler poprosił, aby dowódca się obrócił.

– No... nieźle. Powinno się udać – orzekł i wsunął kartę do kieszeni munduru.

– W porządku.

Lathe przykucnął przy walizce, uchylił wieko i przyjrzał się zawartości. Dwie trzecie miejsca zajmowała przenośna wyrzutnia rakiet oraz cztery pociski typu ziemia-ziemia. Resztę zaś gogle, kask, niewielka maska gazowa i cały asortyment broni.

– Świetnie – stwierdził, prostując się sprężystym ruchem. -Odwrót zabezpieczony?

– Sprzęt przygotowany. W rogu magazynku. Muszę tylko zamontować wyrzutnię.

Dowódca skinął głową. Zbliżył się do skraju dachu i rozejrzał. Zaledwie trzysta metrów dalej, po drugiej stronie ogrodzenia Pasa, znajdowało się więzienie Henslowe. Uważnie obserwował strażników patrolujących teren. Po ich zachowaniu stwierdził, że niczego nie podejrzewają.

Za jego plecami odezwał się Skyler.

– Jesteś pewien, że chcesz to zrobić?

– Nie – odpowiedział dowódca, odwracając się do towarzysza. – Ale nie widzę żadnego innego sposobu na wydostanie stamtąd weteranów. A ty?

– Przypuśćmy, że zaryzykujemy i zdradzimy Radixowi cel naszego przybycia. Kiedy dowiedzą się o tym kolaby, czy przypadkiem nie zwolnią więźniów, w nadziei że zaprowadzimy ich do statków? Oczywiście musielibyśmy uniknąć zastawionych przez agentów pułapek, ale zapewne i tak nie zaoszczędzą nam niespodzianek. Lathe pokręcił głową.

– Rzecz w tym, że wstrzymaliby się ze zwolnieniem więźniów, dopóki choć części z nich by nie uolajnili. Wystarczająco dużo kłopotów przysporzą nam szpiedzy. Nie chcę mieć ich także pośród załóg.

– Niewykluczone, że już przystąpili do uolajniania weteranów – zauważył Skyler.

– Żeby to stało się niemożliwe do wykrycia, musi trwać znacznie dłużej niż piętnaście dni. A wiedzą o nas dopiero od tygodnia. Jeśli uda się nam uwolnić starych wiarusów w ciągu kilku najbliższych dni, z łatwością będziemy mogli rozpoznać i ujawnić zdrajców.

– Chyba że kolaby schwytały Doddsa tuż po lądowaniu i zmusiły go do mówienia – rzekł Skyler, przyglądając się uważnie dowódcy. – To dałoby im dodatkowych dziewięć dni.

Wyraz twarzy Lathe'a pozostał nieodgadniony.

– Dlaczego sądzisz, że Dodds jest na Argencie, nie wspominając już o tym, że mógł zostać złapany?

Skyler uśmiechnął się szeroko.

– To wciąż tajemnica, co? Przestań, Lathe. Możesz mi chyba zdradzić, co wspólnie uknuliście.

Dowódca pokręcił głową.

– Jeśli misja się nie powiedzie, lepiej żeby jej cel pozostał nieznany.

Przez moment Skyler przyglądał mu się uważnie. Wreszcie lekko wzruszył ramionami.

– W porządku. Mam tylko nadzieję, że nikt niespodziewanie nie wpadnie na Doddsa.

– Nasz przyjaciel wie, jak uniknąć takich sytuacji – uciął Lathe i sięgnął po walizkę. – Przekażę ci sygnał, kiedy będę ruszał. Wozy przygotowane?

– Tak... Twój jest granatowy, po drugiej stronie ulicy. Stoi otwarty. – Skyler zawahał się na moment, jakby chciał coś jeszcze dodać. Wreszcie dotknął ramienia dowódcy i rzekł: -Staraj się napiąć mięśnie twarzy... Nie chcesz chyba wyglądać zbyt staro?

Lathe uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Lepiej martw się o swoją robotę. Ja sobie poradzę. Dopiero gdy znalazł się z powrotem na schodach, pozwolił, by uśmiech zniknął z twarzy. Skyler był jednym z jego najlepszych przyjaciół i nigdy nie zażądałby informacji o poczynaniach Doddsa. Jeśli jednak już on się nad tym zastanawiał, inni niewątpliwie też to robili, wyciągając zapewne niewłaściwe wnioski. A we wspólnej walce nie można dopuścić do wzajemnych podejrzeń i braku zaufania, ale niestety nadal musiał milczeć.

Samochód znajdował się dokładnie tam, gdzie wskazał podwładny. Komandos uruchomił silnik i wkrótce ponownie znalazł się pod zniszczoną bramą na ulicy Avis. Przeciwnik znów działał szybko: nowa zmiana agentów bezpieczeństwa objęła już posterunek, choć jeszcze nie uprzątnięto ciał ich kolegów. Jeden z wartowników, ze strzelbą laserową przewieszoną przez ramię, dał Lathe'owi znak, żeby się zatrzymał.

– Co tu się stało, do diabła? – zapytał ostro blackcollar, kiedy strażnik podszedł do samochodu.

Gdy dostrzegł dystynkcje na mundurze kierowcy, wyprostował się momentalnie.

– Sforsowano bramę, panie poruczniku. Czy mogę prosić o identyfikator?

– Ktoś niepowołany przedostał się na drugą stronę? – zapytał z udawaną złością Lathe, podając kartę. Istniało prawdopodobieństwo, że wóz patrolowy zaparkowany obok jest wyposażony w sprzęt do kontroli odcisków palców i wzoru siatkówki. Lathe uznał więc, że jedynie arogancki sposób bycia,

stworzenie atmosfery napięcia i niecierpliwości mogły zniechęcić żołnierzy do skorzystania z urządzenia sprawdzającego wiarygodność danych. – Kiedy to było?

– Pół godziny temu, proszę pana – odpowiedział wartownik. – Udało im się uciec. Nie ma pan wejścia do sieci informacyjnej?

– Wykonywałem zadanie poza miastem. Posiadanie przy sobie radia groziło niepowodzeniem. Cholera! Muszę natychmiast wiedzieć, co dokładnie się stało.

– Tak jest.

Strażnik zawahał się tylko na chwilę, po czym zwrócił identyfikator i wskazał, że droga wolna.

Przy dwóch przecznicach w rejonie więzienia stało kilka wysokich budynków, ale tylko jeden był tak duży, że z jego szczytu roztaczał się widok na cały więzienny dziedziniec. Blackcollar zaparkował samochód przed wejściem do niego i niosąc walizkę, przemaszerował przez hol, po czym wjechał windą na samą górę – na dwudzieste pierwsze piętro. Wejście na dach było zamknięte, lecz nie na tyle skutecznie, żeby mogło stanowić prawdziwą przeszkodę. Wydostanie się na zewnątrz zajęło Lathe'owi minutę. Przeszedł na skraj dachu od strony Henslowe, otworzył walizę i zabrał się do pracy.

Najpierw ustawił wyrzutnię raket, a następnie odpowiednio ją wycelował. Kiedy skończył, wyjął dużą kapsułę i rozbił powłokę pod statywem miotacza. Ze środka wypłynął bulgocząc śmierzący, brunatny płyn, który rozlał się wokół. Blackcollar wycofał się pospiesznie. Zrzuciwszy z siebie mundur, zaczął uzbrajać się w nunczako, shurikeny i noże. Zanim skończył, kałuża przestała bulgotać. Gdy sprawdził jej powierzchnię, stwierdził, iż stwardniała zamieniając się w lśniącą masę, która solidnie przytwierdziła wyrzutnię do podłoża. Wyjął kłęb stalowej linki. Jeden jej koniec przymocował do kołowrotka umieszczonego u podstawy wyrzutni, a drugi do rakiety pomalowanej w biało-niebieskie pasy. Nałożył gogle i kask, a do pasa przypiął niewielkie radio. Wreszcie po raz ostatni jeszcze przez chwilę obserwował więzienie. Potem wydobył z walizki pocisk, załadował i wystrzelił.

Rakieta spadła tuż przed główną bramą więzienną. Nagle z tego właśnie miejsca na wszystkie strony zaczął rozprzestrzeniać się biały, gęsty dym. W chwili gdy dobiegł go huk eksplozji, już sięgał po drugi pocisk.

– Tu obserwator jeden: bezpośrednie trafienie – zabrzmiał pod kaskiem głos Skylera. – Popraw o cztery stopnie.

– Potwierdzam – odpowiedział Vale. – Drugi na wyrzutni. Komandos odpalił ponownie i kolejna chmura dymu wykwitła między strażnicami za bramą.

– Lider dwa, przygotowuję się do ataku – odezwał się Kwon.

Lathe nacisnął przycisk mikrofonu.

– Lider jeden, oddział gotowy.

– Potwierdzam.

Z lekkim uśmiechem załadował pasiastą raketę i dokładnie wycelował. Kwon oraz Vale znajdowali się teraz o dobre dziesięć kilometrów stąd, ale dzięki prostemu dyskofonowi oraz sprytowi Skylera, kolaby, przez urządzenia podsłuchowe, odbiorą to jak przygotowania do głównego ataku.

Pocisk wystartował ciągnąc za sobą linę. Lathe z napięciem obserwował tor jego lotu. Obawy okazały się przedwczesne. Rakieta wylądowała na dachu więzienia i wyraźnie widział brązową maź wypływającą z jej czubka. Sprawdził czas, a następnie po raz ostatni załadował wyrzutnię.

– Lider jeden, zaczynam akcję.

– Potwierdzam – odpowiedział głos Kwona. – Lider dwa, taran w drodze.

Lathe odpalił pocisk i właśnie zaczepiał na nadgarstku taśmę z krążkiem, gdy dobiegł go huk eksplozji. Podmuchał na moment dym, na tyle, by blackcollar mógł dojrzeć, że brama pozostała w niemal nie naruszonym stanie.

– Lider jeden, taran spalony.

– Obserwator jeden, potwierdzam – rzekł Skyler. Zapadła cisza, podczas której Lathe zastanawiał się, czy przyjaciel przewidział taką ewentualność.

Na szczęście tak.

– Lider dwa, forsujemy bramę w bezpośrednim natarciu -oznajmił Kwon.

– Potwierdzam – rzucił Lathe.

Spojrząwszy na zegarek, przystąpił do napinania liny. Musiał przedostać się na dach więzienia, kiedy strażnicy będą szykowali się do odparcia ataku z ziemi. Istniały spore szanse, że go nie zauważą – zasłona dymna to znany już od stuleci chwyt bojowy, lecz wartownicy nie powinni mieć przy sobie przenośnych skanerów. Naprężywszy linę, sprawdził jeszcze, czy maska gazowa dobrze przylega do kasku, zabezpieczając mu twarz przed strzałkami, których grad zapewne polecą w jego stronę. Przełożył krążek ponad linę i zamocował taśmę na drugim przedramieniu. Wziął głęboki oddech, po czym mocno odepchnął się od skraju dachu.

Jazda po linie trwała prawie minutę, więc miał czas zauważyć trzy wozy sił bezpieczeństwa zbliżające się do więzienia z trzech różnych stron. Kolejny dowód na ich dobrą organizację, pomyślał, mając nadzieję, że nie przeliczył się w swych przewidywaniach. Gdyby zareagowali zbyt szybko... Cóż i tak nie mógł się już wycofać.

Wreszcie sprawnie wyhamował na szczycie więziennego budynku. Natychmiast odczepił krążek i po chwili biegł ku nadbudówce usytuowanej na środku dachu. Znajdował się zaledwie dziesięć metrów od celu, gdy drzwiczki otworzyły się gwałtownie. Ze środka wypadło trzech wartowników uzbrojonych w lasery.

Nie spodziewali się jednak spotkać tu kogoś – widać to było od razu po ich zaskoczonych minach i chaotycznym sięganiu po broń. Shuriken komandosa trafił pierwszego z nich prosto w czoło. Ofiara ataku upadła momentalnie, wprost pod nogi kolegów. Lathe błyskawicznie znalazł się między przeciwnikami, a po upływie dwóch sekund zakończył akcję likwidowania wroga. Wziął jedną ze strzelb laserowych i ostrożnie ruszył schodkami w dół. Zakładał, że strażnicy, których pokonał, pełnili służbę na dwóch górnych piętrach zajmowanych przez administrację, a wysłano ich na dach, by stamtąd wsparli kolegów z dołu, niewiele widzących w gęstym dymie. Skoro więc właśnie te piętra stanowiły cel wyprawy blackcollara, to im więcej wartowników zdoła wyeliminować z walki już na początku, tym będzie bezpieczniejszy. Przynajmniej teoretycznie.

Schody kończyły się potężnymi drzwiami na poziomie ostatniej kondygnacji. Uchyliwszy je wolniutko, rozejrzał się po jasno oświetlonym korytarzu. Usłyszał dalekie odgłosy alarmu oraz tupot nóg. Zamknął drzwi, sięgnął po nunczako... i po chwili liczba wrogów zmniejszyła się o kolejne cztery osoby.

Co najmniej dziesięciu cywilów obojga płci znajdowało się w korytarzu, kiedy wyrzął nań ponownie. Na widok zamaskowanego intruza zamarli przerażeni.

– Ty! – zawołał komandos, wskazując najbliższego mężczyznę. – Gdzie przechowywane są dane?

Zapytany otworzył usta, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk. Lathe zrobił krok w jego stronę. Nagle rozległ się dwukrotnie głośniejszy alarm.

– Nieprzyjaciel na piętnastym! – dobiegło z ukrytego głośnika. – Cały personel, procedura obronna!

Jak głosi stara zasada: jakiegokolwiek działanie jest lepsze od bezczynności. Kilkanaście metrów dalej korytarz krzyżował się z innymi. Wybierając na chybił trafił, blackcollar skręcił w lewo. Ludzie znajdujący się na drodze uskakiwali przed nim, wyraźnie nie mając ochoty stawiać oporu.

W korytarzu po obu stronach znajdował się szereg drzwi, prowadzących zapewne do biur. Dywany wyściełające podłogę świadczyły, że tu właśnie znajduje się siedziba władz więziennych. Lathe ocenił, iż większe szanse znalezienia sekcji ewidencji więźniów ma na piętrze niżej. Z lewej dostrzegł windy oraz schody. Już odwracał się w tamtą stronę, gdy lewe ramię poraził mu nagły ból.

Zareagował natychmiast, rzucając się w bok. Za wszelką cenę nie chciał dopuścić, by promień lasera skupił się na jednej części dermopancerza. Pałaca wiązka, zanim zniknęła, musnęła mu jeszcze szyję. Padając zdążył zauważyć człowieka w mundurze, wyłaniającego się z bocznego korytarza.

Gdy znowu stanął na nogi, stwierdził, że wciąż ścisną w dłoni zdobyty laser. Zaciskając zęby z powodu piekącego bólu, wyrzął zza rogu, z bronią gotową do strzału. Napastnik nie atakował na ślepo, lecz zajął pozycję taką samą jak Lathe. Albo bardzo ostrożny, albo po prostu w każdej chwili spodziewa się wsparcia. Blackcollar uznał więc, że nie czas na zwłokę. Posłał długą serię, żeby choć na moment zatrzymać strażnika, i schylony pobiegł w kierunku wind.

Dopał do nich, zawahał się na ułamek sekundy i wreszcie wybrał schody. Wszystkie trzy dźwigi były w ruchu, natychmiast zatem domyślił się, co to oznacza. Istniała jednak szansa, że schody nie zostały jeszcze obstawione. Przemknął przez drzwi prowadzące na klatkę schodową i stwierdził, że przynajmniej w zasięgu wzroku nie ma nikogo. Maksymalnie koncentrując uwagę, ruszył w dół.

Cichy szum dochodzący ze zdobytego lasera zmusił go do natychmiastowej reakcji. Odrzuciwszy broń, przywarł do podłogi. Strzelba eksplodowała. Kawalki metalu zabębniły po ścianach i dermopancerzu. Rozejrzał się uważnie, wypatrując rezonatorów indukcji, które spowodowały wybuch stabilizatora mocy. Lathe zganił się w myślach, że nie przewidział czegoś takiego. Schody i windy były jedynymi miejscami, gdzie rozmieszczono urządzenia rezonansowe. Odetchnął głęboko, zszedł piętro niżej i ostrożnie zlustrował korytarz. Nie dostrzegł żywej duszy.

Wyszedł więc z klatki schodowej, raz jeszcze rozejrzał się w obie strony i ruszył w prawo, pełen złych przeczuć. Wiedział, że nie spotka już tutaj cywilów, którzy zdążyli zapewne pozamykać się w biurach, ale bez wątplenia nie wszyscy strażnicy pospieszyli na górę. Głośniki dotychczas informujące,

gdzie się znajduje intruz, milczały niepokojąco. Z pewnością zastawiono na niego zasadzkę, więc musiał ją znaleźć i zneutralizować, zanim przeciwnicy zdążą ściągnąć z dołu większe siły.

Skradając się niezwykle ostrożnie, dotarł do głównego korytarza, wyjrzał zza rogu... i ledwie zdążył cofnąć głowę, gdy w ścianę trafiła skoncentrowana wiązka lasera. Na murze pozostał opalony ślad. Blackcollar sięgnął po shuriken i cisnął go na oślep. Zdawał sobie jednak sprawę, że jego akcja w tym miejscu spaliła na panewce. Jeden rzut oka pozwolił zauważyć, że co najmniej dziesięciu strażników zajęło pozycje nie opodal szklanych drzwi prowadzących najpewniej do pokoju komputerowego. Odgadli, dokąd zmierza, lub też mężczyzna, którego zapytał o drogę, wreszcie odzyskał mowę. Wartownicy, choć dobrze uzbrojeni, nie byli w pełni opancerzeni i Lathe wiedział, że zdoła ich zlikwidować, ale w pojedynek nie zdobędzie przecież całego więzienia. Odwrócił się więc i pobiegł z powrotem ku schodom, żywiąc nadzieję, że wróg nie odciął drogi prowadzącej na dach.

Jakimś cudem klatka schodowa nadal pozostawała pusta, choć tupot nóg nasilał się z każdą chwilą. Dochodził zarówno z góry jak i z dołu. Lathe skrzywił się, wyjął nunczako i zaczął wbiegać po schodach.

Z głośnika płynęły informacje o jego obecnym położeniu, ale w panującym hałasie sześciu wartowników pędzących w dół zapewne nie usłyszało doniesień, a może po prostu nie doceniali umiejętności blackcollara w walce wręcz. W każdym razie pojawili się nagle, całą gromadą, nie usiłując się nawet wzajemnie ubezpieczać. Ci z przodu zaczęli strzelać, lecz robili to zbyt nerwowo, a więc niecelnie. Lathe, nie zważając na otaczające go śmiertelne wiązki światła, chwycił gwiazdkę i momentalnie wycelował w ostatniego z przeciwników. Pozostali mieli okazję na własnej skórze doświadczyć efektu domina, podczas gdy blackcollar zadawał precyzyjne ciosy nunczakami prosto w twarze żołnierzy stojących z przodu. Dawno już komandos nie widział tak niedoświadczonej i nieporadnej grupy. Agenci koziołkowali w dół schodów, zmuszając Lathe'a do przeskakiwania ponad nimi. Wreszcie mając przed sobą otwartą drogę, blackcollar pognał dalej, pokonując po trzy schodki naraz.

Na piętnastym piętrze, w korytarzu pozostawiono dwóch ludzi, lecz ci nie spodziewali się, że mogą zostać zaatakowani. Dwie gwiazdki wystarczyły do ich unieszkodliwienia. Lathe pospieszył znaną już sobie trasą, z nadzieją, że nie wystawiono wartownika przy wejściu na dach.

Niestety. Gdy tylko wbiegł w główny korytarz, powietrze przecięła wiązka lasera. Rzucił gwiazdką, celując jedynym widzącym okiem, i przyspieszył, starając się dopaść wyjścia, zanim strażnik zdąży lepiej go namierzyć.

Próba zakończyła się tylko częściowym sukcesem. Shuriken chybił. Pierwszy strzał wartownika trafił Lathe'a w lewe udo, a następny w głowę, gdy komandos był już zaledwie o kilka metrów od schodków prowadzących na dach. Rzucił się naprzód i przekoziółkował. Jedna po drugiej, cisnął cztery gwiazdki, zmuszając przeciwnika do wycofania się z zajmowanej pozycji. Pozwoliło to blackcollarowi pokonać pozostały dystans i otworzyć drzwi. Kolejny strzał trafił już w ścianę. Lathe biegł po schodach, nie zważając na ból.

Przez ostatnich kilka minut nie docierały do jego świadomości uwagi wysyłane przez Skylera. Wiedział tylko, że prawdopodobnie uzasadniały one zwłokę w rozpoczęciu naziemnego ataku. Lathe włączył mikrofon i odezwał się, dysząc ciężko:

- TU lider jeden. Przerywam misję. Powtarzam, przerywam.
- Obserwator jeden, zrozumiałem – rozległ się pełen niepokoju głos Skylera. – Droga gotowa.
- Ruszam.
- Potwierdzam. Szybko, bo sępy startują.

Oznaczało to, że Skyler zauważył zbliżające się patrolowce. Lathe musiał więc jak najszybciej uciekać, zanim zostanie odcięty odwrót.

Wydostał się na dach i stwierdził, że znajduje się tu druga pasiasta rakietka. Przymocowana do niej lina biegła do budynku, na którego szczycie ukrywał się Skyler. W oddali dowódca blackcollarów dostrzegł lecące nisko patrolowce.

Niemal w tym samym czasie kolejnych czterech strażników wpadło wprost na nunczako komandosa. Wreszcie odwróciły się role. Lathe zajmował stosunkowo bezpieczną pozycję obronną. Miał tylko nadzieję, że reszta żołnierzy, którzy niewątpliwie już gromadzili się na dole, nauczona smutnym doświadczeniem, nie zaatakuje natychmiast. Chwila zwłoki spowoduje, że gdy zdecydują się wyjść na dach, jego już tu nie będzie.

– Gotowe – odezwał się Skyler. Blackcollar ruszył biegiem, po drodze mocując taśmę na lewym nadgarstku. Nieco zwolnił, by przerzucić bloczek ponad liną i chwycić drugą ręką. Wkrótce unosił się już w powietrzu.

Silne podmuchy wiatru szarpały nim, gdy mknął po naprężonej linie. W dole mignął więzienny dziedziniec, ściana Pasa oraz osiem wozów sił bezpieczeństwa, ustawionych przy ogrodzeniu Henslowe. Wyskakujący z nich ludzie zaczęli strzelać wściekle, lecz nie zwracał na to uwagi, oszołomiony bólem. Dermopancerz podrażniał poparzone ramię. Skrzywił się gwałtownie, gdy Skyler zatrzymał go rozpostartymi ramionami.

– Nic ci nie jest? – zapytał potężny blackcollar z troską w głosie, kiedy Lathe wyczepiał się z liny.

– Przeżyję – zapewnił dowódca, zdejmując maskę gazową. – Dobra robota, Skyler. Uratowałeś mnie, stary. Weź tylko urządzenie podsłuchowe. Resztę trzeba odżalować. Lada chwila dotrą tu kolaby.

– W porządku. Poczekaaj sekundę.

Skyler podszedł do wyrzutni raketowej i nacisnął spust. Lathe obserwował, jak pocisk trafił w miejsce, gdzie wcześniej znajdowała się brama na Avis. Trzema wozami sił bezpieczeństwa pędzącymi ulicą zarzuciło raptownie, gdy kierowcy starali się ominąć punkt wybuchu. Jeden z nich nie zdążył.

– To powinno na pewien czas zatrzymać pogoń. Zrobiłeś tam wszystko to, co zamierzałeś?

Lathe zdjął gogle, kask i odetchnął głęboko świeżym powietrzem. Wiatr wydał mu się prawie lodowaty, gdy owiał spoconą twarz.

– Tak sędzę. Wracajmy. To był wyjątkowo pracowity ranek.

Rozdział 18

Kod radiowy używany przez argentiniańskie siły bezpieczeństwa różnił się tak bardzo od stosowanego na Plinry, że prefekt Janus Galway nie mógł prawie nic zrozumieć z tego, co słyszał. Wiozący dostojnika wóz patrolowy jechał zatłoczonymi ulicami Calarandu. Zdenerwowany głos operatora stanowiska dowodzenia i pot na czole kierowcy były jednak aż nazbyt symptomatyczne.

Gdzieś tam komandosi Lathe'a prowadzili natarcie.

Galway po raz pierwszy widział tak wysoko zabudowane miasto, więc gdy zbliżali się do centrum, oglądał je z zainteresowaniem i lekką zawiścią. Mimo dających się zauważyć śladów wojny, większość gmachów znajdowała się w znacznie lepszym stanie niż domy w Capstone. Piesi byli lepiej ubrani i odżywieni, a poza tym ulicami jeździło mnóstwo pojazdów. Widocznie Argentianie mieli na tyle rozsądku, aby się poddać, zanim doszło do ostrzału planety.

Spora smuga dymu unosiła się przed nimi, nieco na lewo.

– Przejedziemy obok tamtego pożaru? – zapytał Galway kierowcę.

Ten przecząco pokręcił głową.

– To zbyt ryzykowne. Rebelianci mogą wciąż czaić się w pobliżu.

– Wątpię. Blackcollarowie uderzają błyskawicznie i szybko się wycofują. Chciałbym zobaczyć, co zrobili.

Mężczyzna spojrział na pasażera ukradkiem.

– Cóż... W porządku.

Sięgnął po telefon i zameldował o zmianie trasy.

W pobliżu bramy panował ogromny nieład. Dym pochodził z dogaszonego właśnie samochodu, który rozbił się o brudno-biały mur. Galway zauważył, że zderzenie ze ścianą nastąpiło dopiero po uszkodzeniu pojazdu, zapewne rakietą. Sama brama była kompletnie zniszczona. Prefekt zadrzał, kiedy wóz przejeżdżał wolno obok agentów sił bezpieczeństwa, strażaków i personelu medycznego. Zbyt dokładnie przypominało mu to sceny, jakie oglądał na Plinry.

Kierowcę także wyraźnie wyprowadził z równowagi ten widok, a może zbieleńczały kłykcie strażników zaciśnięte na broni i ich groźne, badawcze spojrzenia posyłane jadącym. Przyspieszył, gdy tylko znaleźli się na otwartej przestrzeni, pozostawiwszy za sobą wrzawę. Kilka przecnic dalej widniała kolejna brama, sprawiająca wrażenie solidniejszej niż poprzednia. Mur zaś, w którym tkwiła, wyglądał identycznie jak ten otaczający Piastę w Capstone: wysoki, szary, z indukcyjnym systemem alarmowym. Wartownicy po tej stronie mieli złe miny, natomiast stojący w głębi żołnierze przez cały czas trzymali lasery gotowe do strzału. Kontrola identyfikatorów nie ograniczała się do wzrokowych oględzin. Posłużono się także przenośnym urządzeniem sprawdzającym odciski palców oraz wzory siatkówek. Gdy Galway patrzył w lufy wymierzonych w niego laserów, zdawało mu się że weryfikacja danych trwa całą wieczność. Wreszcie procedura dobiegła końca i po kilku minutach samochód zajechał przed ogromny biały budynek.

Przy wejściu oczekiwał Plinrianina mężczyzna w mundurze z dystynkcjami pułkownika. Sprawiał wrażenie osoby niezwykle wyniosłej.

– Prefekt Galway? Jestem pułkownik Eakins, dowódca sił bezpieczeństwa Calarandu. Przepraszam, że nie mogłem powitać pana na lotnisku, ale dzisiejszego ranka mieliśmy ręce pełne roboty. Proszę bardzo... Prefekt Apostoleris czeka.

– Nie zrozumiałem wiele z waszych radiowych doniesień -rzekł Galway, kiedy wchodzili do budynku. – Czyżby partyzanci urządzili jakąś akcję?

– Wciąż staramy się to ustalić. Na razie wiemy, że była to tylko próba.

Wjechali windą na górę i przeszli do sali konferencyjnej.

Sterna taśm oraz dokumentów piętrzyła się na wyposażonym w czytnik stole.

– Sprowadzę tu prefekta, a pan, jeżeli ma ochotę, może zacząć zapoznawać się już z dotychczas zebranymi przez nas materiałami – powiedział Eakins, wskazując na stół, zanim zniknął za drzwiami.

Galway zaczął studiować raporty. Zdążył szczegółowo przejrzeć chyba jedną trzecią, gdy pułkownik wrócił z niskim, krępyim mężczyzną.

Plinrianin wstał, a Eakins dokonał prezentacji.

– Galway – powtórzył prefekt Apostoleris i skinął na powitanie, przyglądając się uważnie gościowi.
– Proszę wybaczyć, że pomijam pańskie stanowisko, ale na Argencie jest tylko jeden prefekt sił bezpieczeństwa i to właśnie ja nim jestem. Proszę siadać. Zobaczmy, co pan nam przywiózł.

Przybysz powoli usiadł, obaj zaś Argencjanie zajęli miejsca naprzeciw niego. Otworzył neseser, wyjął plik dokumentów i wręczył prefektowi. Apostoleris sięgnął po znajdujące się na wierzchu parę kartek, przeczytał je pobieżnie, a następnie wziął jedną z taśm i umieścił w czytniku. Ekran pojaśniał. Galway zobaczył pomieszczenie, którego całe umeblowanie stanowiły stół, łóżko oraz szafki. W pokoju znajdowało się kilku mężczyzn ubranych w czarne, obcisłe stroje.

– Rozpoznaje pan któregoś z nich? – zapytał dowódca sił bezpieczeństwa Argentu.

Galway pochylił się nieco do przodu.

– Myślę, że tak. Od lewej mamy Dawisa Hawkinga, Freemana Vale'a, Jamesa Novaka i Mordecaia. Ten wysoki na łóżku to zapewne Charles Kwon lub Kelly O'Hara. Z prawej widać Alaina Rieniego, z Ziemi.

– Doskonale. Tyle tylko, że Rienzi tutaj nazywa się Allen Caine. Mówi to coś panu?

Galway pomyślał przez moment, po czym przecząco pokręcił głową.

– Skąd macie ten film?

– Od jednego z naszych szpiegów – wyjaśnił Apostoleris krótko, zmieniając taśmę. – Dobrze, a co o tym pan powie?

Tym razem prefekt puścił nagranie. Plinrianin słuchał rozmów z rosnącym zainteresowaniem.

– „Lider jeden” to dowódca oddziału, Damon Lathe – wyjaśnił w końcu. – „Lider dwa” to Kwon, a „obserwatorem jeden” jest Rafe Skyler. Nie wiem, do kogo należy ostatni głos. – Posłał spojrzenie Eakinsowi. – Czy zanotowaliście te dialogi podczas akcji, którą właśnie zorganizowali?

– Tak i nie – odpowiedział pułkownik. – Któryś z nich, prawdopodobnie lider jeden, zjechał na linie do więzienia Henslowe. Wdarł się do środka przez dach i prawie udało mu się dostać do pokoju, gdzie przechowujemy dane, dwa piętra niżej. Przerwał jednak swój rajd i uciekł. Natomiast reszta uczestników akcji wcale się nie pojawiła. Wciąż nie wiemy, co było osiągnięciem celu, a co tylko grą mającą wyprowadzić nas w pole.

Galway wciąż analizował początek relacji prefekta.

– Znajdował się wewnątrz budynku i zdołał uciec? Czy nie mieliście tam strażników?

– Oczywiście, że mieliśmy – warknął prefekt Argentu. – Poradził sobie po drodze z osiemnastoma, z których sześciu nie żyje.

Galway skrzywił się, lecz współczuciu towarzyszyło odczucie satysfakcji. Nie on jeden zatem nie docenił blackcollarów.

– Dobrze. Na razie zostawimy tę sprawę. – Apostoleris wskazał przywiezione przez gościa raporty. – Czy tylko tym dysponujemy na ich temat?

Zapytany przytaknął.

– Chciałbym ostrzec, że informacje personalne...

– Są bezwartościowe – dokończył prefekt. – To bez znaczenia. Chodzi mi przede wszystkim o zdjęcia tych mężczyzn.

Plinrianin zrozumiał, w czym rzecz.

– Odbitki znajdzie pan na końcu danych o każdym z blackcollarów.

Apostoleris przerzucał papiery, aż wreszcie natknął się na fotografię.

– Cholera. Na większości twarze są zasłonięte brodami. Powinien pan kazać im się ogolić.

– Na jakiej podstawie? Nie byli przestępcami... W zamian za ujawnienie się zostali objęci amnestią.

W odpowiedzi Argentinianin prychnął lekceważąco. Zebrał dokumenty i skierował się w stronę drzwi.

– Zawsze to więcej niż nic. Zaraz wracam.

Gdy za dostojnikiem zamknęły się drzwi, Galway popatrzył na Eakinsa, zastanawiając się, co powiedzieć. Ku jego zdziwieniu pułkownik zachichotał.

– Irytujący, prawda? Proszę się nie przejmować. Odzyska humor, kiedy znów zapanuje nad sytuacją.

– Dobrze wiedzieć. Myślałem, że jest wściekły na mnie. – Ruchem głowy wskazał wyjście z pomieszczenia. – Wątpię, czy te zdjęcia pomogłyby, nawet gdyby przedstawiały tych ludzi bez zarostu. Powrót do stosowania iduniny po tak długiej przerwie spowoduje zmianę rysów.

– Wiem. Prefekt również. Ale tak niepokoi go obecna sytuacja, że skorzysta ze wszelkich środków ułatwiających schwytanie buntowników.

– Czy pan także się martwi? Twarz Eakinsa pozostała ponura.

– Półtorej godziny temu mieliśmy trzech pańskich blackcollarów niemal na widelcu. Przedostali się do strefy chronionej, zwanej Pasem, skąd zdołali uciec. Potem wrócili i spróbowali zdobyć dane przechowywane w więzieniu Henslowe. Później na dobre rozplynęli się w powietrzu. No cóż, nie mamy powodu do zadowolenia. – Wyjął z czytnika taśmę z zapisem ataku i odłożył ją na inne. – Proszę posłuchać, prefekcie...

– „Galway” wystarczy, pułkowniku. Słyszał pan, co powiedział przełożony.

– W porządku. Nie zapraszaliśmy tu pana wyłącznie jako eskorty informacji o przeciwniku. Pańskich blackcollarów wiele kosztowało przybycie na Argent, a Caine włożył w to jeszcze więcej wysiłku. Musimy się dowiedzieć, po co zadawali sobie trudu.

– Wasz szpieg nie może zdobyć takich informacji? Widzę, że niezwykle skutecznie infiltrujecie podziemie.

– Nie dziwi mnie pańska ironia, ale naprawdę mamy agentów wszędzie tam, gdzie działa Radix. Niestety jak dotąd wiemy tylko, iż Lathe chce zgromadzić dawnych członków Sił Gwiezdných. A ci są zamknięci w Henslowe. Zapewne dlatego blackcollarowie próbowali się tam dzisiaj dostać.

– Dużo myślałem nad ich postępowaniem... – rzekł Galway, cedząc słowa. Włamali się do banku danych na Plinry i skopiowali fragmenty sześciu taśm. Wiemy dokładnie które, ale jak dotąd nie zorientowaliśmy się, co im to dało. Inne ich działania miały na celu przejęcie frachtowca oraz Korsarza.

Eakins gwałtownie wyprostował się w fotelu.

– Zdobyli także Korsarza?

– Tak. Sam widziałem jak startował. Nie przyleciał na Argent?

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Pułkownik zmarszczył brwi i dotknął przycisku na czytniku. – Połączcie mnie z wyszukiwaniem danych,

– Vetter, słucham.

– Tu Eakins. Proszę o wszelkie informacje o Korsarzach, które zbliżyły się do naszej planety w ciągu dwóch ostatnich tygodni, włącznie z wojskowymi danymi Ryqrilów, jeśli są dostępne.

– Tak jest.

Pułkownik przerwał połączenie.

– To może do niczego nie prowadzić. Korsarze mają tak dobre osłony, że gdy lecą na silnikach pomocniczych, są wykrywane tylko przez Ryqrilów. Istnieje pewne prawdopodobieństwo, iż pozwolili wylądować intruzowi, nie powiadamiając sił bezpieczeństwa,

– Żeby go złapać i przesłuchać?

– Chyba że już wcześniej dla nich pracował.

Plinrianin postukał palcami w blat stołu. Kiedyś myślał podobnie o tym Rienzim – Cainie.

– Słyszałem, że blackcollarów nie da się ułojalnić. Trudno więc uwierzyć, żeby tak długo potrafił zwodzić swoich towarzyszy.

– Och, to możliwe. Proszę mi wierzyć. Ale w tym wypadku takie postępowanie po prostu nie miałyby sensu. Czemu Ryqrilowie by się z nimi bawili, skoro mogliby załatwić ich już na Plinry?

– No cóż, podejrzewam, że blackcollarowie czegoś szukają. Archiwum na Plinry zawiera część rozwiązania tej zagadki. Istotną rolę odgrywają w tym planie, jak widać, weterani Sił Gwiazdnych. Lathe powiedział mi przed odlotem, że wywołanie rewolucji nie jest jego obecnym celem. Wnioskuje zatem, że zamierzają dokonać czegoś naprawdę poważnego. Może Ryqrilowie wstrzymują się z działaniem do czasu, aż zorientują się w czym rzecz.

– Niewykluczone – zgodził się Eakins. – A Ryqrilowie rzeczywiście interesują się tą sprawą. Dziś rano przekazali nam nawet pewne informacje, niestety niezbyt pomocne. – Pokręcił głową, jakby wciąż nie mógł uwierzyć w wydarzenia ostatnich dni.

– Do tej pory nie mieliście za wiele do czynienia z blackcollarami? – zagadnął Galway.

– Trochę ich jest na Argencie. Zostali przez Radix rozproszeni po całej planecie. Zajmują się jednak działaniami na znacznie mniejszą skalę. Porywają transporty, od czasu do czasu organizują zamachy bombowe. Nie są zbyt uciążliwi. Dzisiejsza akcja stanowiła dla nas kompletne zaskoczenie. Była czymś zupełnie nowym.

Plinrianin uśmiechnął się gorzko.

– Jak dokładnie przebiegała?

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wszedł Apostoleris.

– W porządku – rzekł, jakby nawet na chwilę nie przerywał rozmowy. – Omówmy następny ruch. To oczywiste, że ktoś przetrzymywany w Henslowe jest niezbędny do realizacji zamierzeń Lathe'a. Nasze raporty donoszą, że dowódca blackcollarów potrzebuje weteranów w komplecie. Ale dzisiejsza szarża na więzienie pozwala wnioskować, że w grę wchodzi tylko jedna osoba. Skoro nie wiemy jeszcze, kto, musimy umieścić wszystkich poza zasięgiem drużyny Lathe'a.

– Wzmocnimy strażę w Henslowe? – zapytał Eakins.

– To nie wystarczy. – Prefekt pokręcił głową. – Do Henslowe zbyt łatwo dostać się z zewnątrz. Dowodzą tego dzisiejsze zdarzenia. Przeniesiemy ich, tak postanowiłem. Rozważyć tylko należy, dokąd.

– Może trzeba by rozdzielić więźniów – podsunął Galway. – Rozproszyć po całej planecie w kilkusobowych grupach.

– Nie dysponujemy wystarczającą liczbą ludzi, żeby skutecznie strzec takich grup – oświadczył Argentinianin z wyraźnym lekceważeniem w głosie.

– Sądzi pan przecież, że zależy im tylko na wybranej osobie – odpowiedział Galway, z trudem panując nad sobą. – Właściwie nic pewnego nie wiemy. Równie dobrze Lathe'owi może chodzić o dziesięciu ludzi, z których każdy zna tylko fragment informacji. A nawet gdyby interesował go wyłącznie jeden człowiek, to rozproszenie weteranów zmusiłoby blackcollarów do przeszukiwania całej planety. Apostoleris ponownie pokręcił głową.

– Cenne spostrzeżenia, ale proszę wziąć pod uwagę i taką ewentualność, że wszystko to jest tylko wybiegiem obliczonym na wywołanie u nas określonej reakcji. W takim wypadku wydamy na siebie

wyrok, pozbywając się ogromnej liczby ludzi odkomenderowanych do pilnowania więźniów. Nie, musimy tylko znaleźć miejsce niedostępne, a jednocześnie łatwe do obrony. Może transportowiec na orbicie? Tam Lathe nie mógłby się dostać.

Galway i Eakins wymienili znaczące spojrzenia.

– Obawiam się, że nie ma pan racji – przemówił wolno pułkownik. – Na Plinry zdołali uprowadzić Korsarza. Wydałem już rozkaz, żeby ustalono, czy wylądował na Argencie.

Apostoleris sięgnął po jedną z taśm i w zadumie obracał ją w palcach. – Cóż, nawet dysponując statkiem, będą mieli problemy, aby odbić z orbity więźniów... ale mogą zdecydować się na zabicie weteranów, chcąc uniemożliwić nam poznanie prawdy. – Z uporem kręcił głową. – Nie dam Lathe'owi takiej możliwości. Pozostaje zatem tylko więzienie Cerbe.

Prefekt Plinry spojrzał pytająco na pułkownika.

– To przebudowana forteca sto kilometrów na południe od Calarandu – wyjaśnił Eakins. – Doskonale strzeżone miejsce, choć nie przewidziane dla tak dużej liczby więźniów.

– Poradzimy sobie – oświadczył Apostoleris. – Poza tym nie pozostaną tam długo. Przesłuchanie wszystkich zajmie nam kilka tygodni, a kiedy znajdziemy tego właściwego... może kilku – dodał, spoglądając na Galwaya – resztę odeślemy z powrotem do Henslowe. Co, panowie, o tym sądzicie?

Przez moment panowała cisza.

– Świetnie – podsumował własne rozważania prefekt Argentu. – Eakins, pan zajmie się sprawą porwanego Korsarza. Nawiążę kontakt z Cerbe i zarządzę przygotowania do transportu więźniów. Galway, pan niech przestudiuje wszystkie raporty. Może natknie się pan na coś istotnego. Jakies pytania? Dobrze, a więc do pracy.

Był już za drzwiami, nim jego rozmówcy zdążyli wstać. Eakins podążył za przełożonym, zostawiając Plinrianina samego.

Ten zmarszczył brwi i ponownie przystąpił do wertowania stosu dokumentów. Rozkazy wydawały się sensowne... a jednak coś bardzo go niepokoiło. Może atak na więzienie? Na pozór było oczywiste, iż Lathe nie docenił obrony Henslowe, lecz Galway nie mógł uwierzyć, że blackcollar popełniłby tak elementarny błąd. Ale jeśli akcja nie miała na celu zdobycia informacji, to po co w ogóle została przeprowadzona? Nie znalazł odpowiedzi. Na razie.

Wsunął do czytnika pierwszą z brzegu taśmę, przygarbił się i zaczął analizować materiał.

* * *

Split był jednym z niewielkich miasteczek w zachodniej części Gór Rumeliańskich. Podczas dziesięciu z dziesięciu miesięcy argentiańskiego roku nic się tam nie działo, a mieszkańcy żyli sobie spokojnie, nie zaprzatając niczyjej uwagi. Może co najwyżej drwali pracujących w górze rzeki. Dziesiąty zaś miesiąc krańcowo różnił się od pozostałych, ponieważ na pięć tygodni zjeżdżali do Splitu śmiałkowie, nawet z samego Calarandu, by zmierzyć się z wezbranymi na wiosnę wodami Hemothu.

Wysokie dochody uzyskiwane dzięki tym ryzykantom zazwyczaj starczały tubylcom na resztę roku. Taki porządek rzeczy zdawał się odpowiadać wszystkim i nie zmieniał się już od wielu lat. Aż do teraz.

Obecnie bowiem w górach niespodziewanie zaroilo się jak w ulu. Na niebie, na północy, pojawiały się patrolowce, a co najmniej raz dziennie przez miasteczko przejeżdżały wozy wojskowe. Nikt nie wiedział na pewno, dlaczego tak się dzieje, ale rozeszła się plotka, iż ktoś uciekł z więzienia i siły bezpieczeństwa usiłują go schwytać.

Ostatni patrol – dwa pojazdy z czterema ludźmi w każdym -przejechał przez Split, udając się na południe. Sandor Gree tylko na chwilę podniósł wzrok, po czym wrócił do spisu inwentaryzacyjnego i formularzy zamówień. W interesie panował ostatnio niezwykle ruch, więc należało uzupełnić magazyny. Chodziło jednak o to, by dokładnie przewidzieć tempo zbytu i nie zamówić naraz zbyt wiele sztuk danego artykułu. Choć właściciel cieszył się z rozkwitu, uzupełnianie towaru zawsze przyprawiało go o ból głowy.

Nagle drzwi wejściowe sklepu otworzyły się gwałtownie i gdy Gree uniósł głowę znad papierów, ujrzał wchodzącego mężczyznę w szarozielonym mundurze.

– Dzień dobry – powitał klienta. – Czym mogę panu służyć?

– Potrzebuję żywności, którą moi ludzie mogliby zabrać ze sobą w góry – oświadczył agent sił bezpieczeństwa.

– Jasne. – Gree wyszedł zza kontuaru i zbliżył się do jednej z półek. – Myślałem, że władze was zaopatrują – skomentował z nadzieją, że przybysz odezwie się ponownie.

– Zabrakło nam prowiantu i mamy kłopoty z uzyskaniem dodatkowych zapasów.

– Aha. – mruknął sklepikarz. Nie mylił się. Żołnierz mówił z lekkim akcentem, Gree nie potrafił określić, skąd mężczyzna pochodzi. – Proszę, oto czym dysponujemy. Wszystkie zestawy są takie same, jeśli chodzi o wartość odżywczą, różnią się tylko smakiem.

Klient wziął jedną z paczek i zaczął analizować skład oraz zawartość. Sklepikarz ukradkiem przyglądał się przybyszowi. Agent był w średnim wieku, ale utrzymywał świetną kondycję. Mundur, choć wymięty, znajdował się w lepszym stanie niż jego brudny, brzydko pachnący właściciel.

– Wezmę te rzeczy – oświadczył agent, przerywając rozmyślania Gree'a. Trzymał stos dziesięciu opakowań.

– Dobrze, proszę pana. – Sprzedawca odebrał artykuły i podszedł do lady. – Gotówka czy karta?

– Gotówka.

Gree spodziewał się takiej odpowiedzi.

– Dziesięć razy dwie marki to dwadzieścia, plus podatek... -Palce Gree'a odruchowo powędrowały ku klawiszom kasy. – Razem dwadzieścia dwie marki – oznajmił trochę niepewnie.

Agent sił bezpieczeństwa wyjął już kilka zmiętych banknotów. Wyszukał dwie dziesiątki, dwie dwójki i zapłaciwszy, pewnym ruchem wziął paczki.

– Może dać panu torbę? – zapytał sklepikarz, gdy klient był już przy drzwiach.

– Nie, dziękuję – rzucił tamten przez ramię. – Zaraz ktoś mnie zabierze samochodem.

I wyszedł.

– Z pewnością – mruknął Gree, a kolana zaczęły mu drżeć z wrażenia.

Ogromne ryzyko, ale się opłaciło. Prawdziwy agent wybuchłby gniewem, gdyby do ceny żywności wliczono podatek od luksusu. Gree zyskał ostateczny dowód. Przeczucia go nie zawiodły. To był ten nieuchwytny blackcollar, Jensen. W mundurze sił bezpieczeństwa i z tak wielkim tupetem, by najzwyczajniej w świecie przyjść do miasteczka po zapasy. Nic dziwnego, że jeszcze nie został złapany.

Gree wyjął spod lady aparat telefoniczny i zaczął wystukiwać numer. Począł, aż dwukrotnie rozlegnie się sygnał, po czym odłożył słuchawkę. Trzydzieści sekund później powtórzył tę samą operację. Sprawdził czas. Dokładnie za dwie minuty i czterdzieści sekund po raz ostatni wybierze numer i słuchawka zostanie podniesiona po jedenastym dzwonku. Miał przynajmniej taką nadzieję.

Odchodząc, blackcollar obejrzał się ponownie. Takiej gracji w ruchach Gree nie widział nigdy wcześniej. Widoczna kocia sprawność uwiarygodniała doniesienia o tym, co potrafią ci komandosi. A jeśli jego przyjaciele byli tacy sami jak on, to może pogłoski o dzisiejszych zajściach w Calarandzie wcale nie miały się z prawdą.

Gree wystukał numer z wyjątkiem ostatniej cyfry. Spoglądając na swój stary, wojskowy zegarek, wyczekał co do sekundy, by po drugiej stronie o czasie zabrzmiał dzwonek. Jeszcze przez moment zwrócił uwagę na nie dokończone formularze.

Lepiej zbyt wiele nie zamawiać. Inwazja turystów-ryzykantów już wkrótce dobiegnie końca.

Rozdział 19

W sali konferencyjnej panowało ogromne napięcie. Caine popatrzył na zgromadzonych przy stole. Emanowała z nich wrogość. Bakshi miał lodowaty wyraz twarzy, a jego komandosi miny pełne pogardy. Jeremiah Dan zacisnął smukłe palce w pięści. Sally Quinlan i Miles Cameron wyglądali jak lwy czekające na swoją kolej do występu na arenie. Nawet Faye Picciano, zajęta robieniem opatrunków Lathe'owi, zachowała nietypowe dla niej milczenie. Ral Tremayne, stojąc za swoim krzesłem, sprawiał wrażenie tak wściekłego, jakby za moment miał wybuchnąć.

– Mało znacząca próba! Lustracja więzienia! Bardzo sprytne. – Wzrok Tremayne'a wwiercał się w dowódcę blackcollarów niczym laser przeciwpancerzy. – Co, u diabła, spodziewał się pan osiągnąć, przeprowadzając ten z góry skazany na niepowodzenie atak?

– Dostałem się do środka, uciekłem i wciąż żyję – odpowiedział Lathe, krzywiąc się, gdy Faye smarowała mu bark maścią.

– Proszę się nie ruszać – syknęła. – To drogi specyfik, nie stać nas, żeby marnować go na zdrową skórę.

– Ani dla kogoś nie potrafiącego przewidywać. Odłóż to, Faye – polecił lider Radixu. – Oszczędź lekarstwo dla naszych ludzi, rannych podczas realizacji przemysłanych akcji. Nie dostałem jeszcze odpowiedzi na moje pytanie, Lathe.

– O co panu chodzi, Tremayne? – zapytał spokojnie dowódca blackcollarów, gdy Picciano zakręciła tubę z maścią i zaczęła bandażować ranę. – Nie potrzebuję pozwolenia na podejmowanie działań, jeśli bezpośrednio nie angażuję w nie pańskich ludzi ani sprzętu.

– A furgonetka, którą straciliście? – warknął Cameron. – Nie była waszą własnością. – Posłał Novakowi, spacerującemu wzdłuż ściany, pełne wściekłości spojrzenie. – Wy dwaj, usiądźcie wreszcie, do cholery.

Mordecai i Novak zachowywali się tak, jakby Cameron skierował polecenie do kogo innego i nawet się nie zatrzymali.

– Proszę zostawić ich w spokoju – rzekł Lathe do szefa wywiadu. – A jeśli chodzi o furgonetkę...

– Wolałbym, żeby usiedli.

– Dość – odezwał się Tremayne. – Zapomnijcie już o tym samochodzie. Rezultat...

– Nie, nie możemy o nim zapomnieć – zaprotestował komandos. Jego głos nagle stał się twardy niczym stal. – Straciliśmy pojazd, ponieważ przygotowano na nas zasadzkę. Zostaliśmy zdradzeni... przez kogoś z was.

– Zapoznałem się z raportem komandosa Fuessa – oświadczył przywódca Radixu – i nie znalazłem na to jednoznacznego dowodu.

Lathe spojrział na Fuessa. Caine zauważył, że Argentinianin poruszył się niespokojnie.

– Czy komandos Fuess wspomniał, że zasadzka została przygotowana jeszcze przed Pasem? I że siły bezpieczeństwa miały już gotowe barykady oraz ciężkie kajdany magnetyczne, które według mnie nie należą do standardowego wyposażenia wozów patrolowych. Czy potrzebuje pan jeszcze jakichś dowodów?

– Ktoś mógł widzieć jak stąd wyjeżdżacie – podsunęła Faye.

– Nie mieliby na przygotowania dość czasu. Poza tym moi ludzie zostali specjalnie rozstawieni tak, żeby zabezpieczyć nas przed taką ewentualnością.

Nagle Tremayne uderzył pięścią w stół.

– Dość tego, do cholery. – Usiadł gwałtownie i wymierzył palec wprost w pierś blackcollara. – Uwierzylimy wam na słowo, a wy działacie za naszymi plecami. Powie pan, w jakim celu tu przybył, i to natychmiast.

– Przykro mi bardzo. – Lathe spokojnie pokręcił głową.

– Nie mam więc innego wyboru.

Tremayne uniósł dłoń i w ścianie naprzeciw Caine'a, na wysokości oczu, otworzyły się nagle trzy ukryte klapki. Po chwili pojawiły się w nich lufy strzelb laserowych.

Allen zamarł, zupełnie zaskoczony tym widokiem... lecz Novak już działał. Znajdował się akurat między dwiema strzelnicami, półtora metra od każdej. Strzelcy nie zdążyli jeszcze wycelować, kiedy dał susa w prawo i nunczakiem wbił lufę w otwór. Plecami wciąż przyciśnięty do ściany zrobił dwa kroki w lewo i precyzyjnym kopnięciem spowodował, że kolba broni trzasnęła strzelca w szczękę. Zanim opuścił nogę, cisnął nunczakiem w trzecią lufę, którą natychmiast odrzuciło w bok. Padł strzał,

lecz wiązka lasera pozostawiła tylko wypaloną smugę na blacie stołu. Strzelec już się szykował do ponownego ataku, ale Novak chwycił za lufę, pchnął, po czym szarpnął do siebie. Gdy broń znalazła się w jego rękach, skierował ją na siedzących przy stole członków Radixu.

Caine obejrzał się na Mordecaia i stwierdził, że on także unieszkodliwił trzy lasery po swojej stronie.

W ciszy wyraźnie rozległ się głos Bakshiego:

– Rzuć to, albo cię zabiję.

Caine spojrzał na niego. Komandos z Argentu nie poruszył się, nie sięgnął po broń, a jednak jego postawa świadczyła o tym, że jest gotów zrealizować groźbę. Nagle w sali powiało chłodem.

– Spokój – odezwał się Lathe. – Nie chcemy zrobić wam nic złego. Ale ostrzegałem, żebyście nigdy więcej nie podejmowali wobec nas prób ataku. – Wychodzić, wszyscy. Tremayne?

Przywódca Radixu posłał Lathe'owi nieprzyjemne spojrzenie, lecz dał znak ręką. Obok każdej ze strzelnic otworzyły się drzwi, trudne do zauważenia w wyłożonych drewnem ścianach. Sześciu mężczyzn, oblizując poranione wargi, masując poobijane barki, wyszło z płytkich, ciemnych nisz i ruszyło do wyjścia. Lathe skinął na podwładnych, którzy zwrócili im odebraną broń.

– Lepiej, żeby nie słyszeli, o czym rozmawiamy – stwierdził dowódca blackcollarów, gdy zamknęli za sobą drzwi.

– Proszę się nimi nie przejmować – rzekł Cameron. – Tym ludziom można w pełni zaufać.

– Nie wierzę nikomu na Argencie – odpowiedział Lathe. – Odcięci od reszty organizacji jesteśmy zbyt słabi, żeby ryzykować. Dlatego nie zdradziliśmy naszych planów. Przepraszam, jeśli czujecie się obrażeni, ale właśnie ukradkiem musimy tu działać.

– Nie chodzi o urażoną dumę, Damonie – odezwała się Faye. – Cokolwiek zamierzaliście zrobić w Henslowe, zapewne Miles ułatwiłby wam zadanie, gdybyście tylko wcześniej omówili z nim tę sprawę. Czy zamierzałeś dowiedzieć się, gdzie przetrzymują kogoś z więźniów? Jeśli tak, zapewne moglibyśmy to ustalić bez konieczności przeprowadzania tak ryzykownego ataku.

Lathe wzruszył ramionami.

– Przecież nic się nie stało.

– Widać, że nie zna pan Apostolerisa – stwierdził Bakshi. – Po waszym występie przeniesie weteranów. Nasi ludzie będą ryzykowali życie, chcąc ich wydostać. Tylko tyle osiągnął pan swoim działaniem.

– Być może. Jeśli tak, to bardzo mi przykro. A dokąd mogą zostać przetransportowani więźniowie?

– Stawiałabym na fort Cerbe – odezwała się Faye. – To stara forteca na południu, stojąca na pełnym pustkowiu. Niewielki budynek, raptem trzy piętra nad ziemią i sześć poniżej poziomu gruntu, z ogrodzonym dziedzińcem na tyle dużym, że mógłby stanowić lądowisko nawet dla Korsarza. Na murach znajdują się wieże strzelnicze, sterowane ręcznie lub automatycznie z głównego budynku.

– Jeśli rządowcy umieszczą ich właśnie tam, możecie się już zacząć pakować i wracać na Plinry – przemówił Deal Valentine, wciąż kipiący złością. – Chociaż lepiej, żebyście i tak stąd odlecieli.

– Uspokój się, Deal – mruknął Bakshi.

– Przepraszam, dowódco, ale robi mi się od tego niedobrze. Zapewniamy im bezpieczeństwo i informacje, a w zamian nie dostajemy zupełnie nic.

Bakshi zwrócił się do Lathe'a:

– Co pan na to, dowódco?

– Jeśli szerzej otworzycie oczy i umysły, to dostrzeżecie korzyści płynące z naszego pobytu i działania.

– Jakie korzyści? – prychnął Valentine.

– No cóż, na przykład udało się nam zniszczyć bramę prowadzącą do Pasa. Ktoś musi ją odbudować, a wtedy można przecież umieścić przy zawiasach miniaturowe ładunki wybuchowe. W ten sposób uzyskacie, co prawda tylko jednorazową, możliwość sforsowania jej bez konieczności przeprowadzania frontального ataku.

Wymiana spojrzeń między Argentinianami najwyraźniej świadczyła o tym, że nikomu nie przyszedł do głowy taki pomysł. Tremayne i Bakshi popatrzyli jeden na drugiego i Caine dostrzegł, jak ten ostatni lekko przytaknął.

– Czy obiecuje pan konsultować się z nami, a przynajmniej ze mną, przed podjęciem jakichkolwiek dalszych działań? – zapytał przywódca organizacji.

– Jeśli jakakolwiek akcja będzie wymagała wsparcia członków Radixu, tak – odpowiedział Lathe. – Zakładając oczywiście, że starczy na to czasu. W przeciwnym razie zamierzam decydować niezależnie.

– To nie wystarczy – ocenił Valentine, kręcąc głową. Plinrianin wzruszył ramionami.

– Niestety niczego więcej nie mogę zagwarantować. Zapadła cisza.

– W porządku – odezwał się w końcu Tremayne. – Rozumiem pana, ale... – Wymierzył palec w blackcollara. – Będziemy postępować według wojennych praw. Jeśli ktoś z Radixu zginie tylko dlatego, że nie porozumiał się pan z nami, stanie pan przed sądem polowym. Jasne?

– Oczywiście. Czy mogę liczyć na to, że zostaniemy natychmiast powiadomieni o ewentualnym przenoszeniu więźniów w inne miejsce?

Tremayne wskazał wzrokiem Camerona.

– Tak. Rozkażę ludziom, żeby tego dopilnowali – oświadczył szef wywiadu.

– Dobrze. Coś nowego na froncie Chryseli?

– Wciąż toczą się walki – odpowiedziała Sally Quinlan z wyraźnym ociąganiem. – W każdym razie Argentu nie zaleje fala powracających z frontu Ryqrilów, jeśli o to panu chodziło.

– Doskonale. Dziękuję. Lathe zaczął się podnosić.

– Jeszcze chwileczkę – powstrzymał go Valentine. – Mając nadzieję, że nie jest to bezpośrednio związane z wykonywaną przez was misją, chciałbym usłyszeć, jak Caine zdołał wydostać się z Ziemi. – Posłał Allenowi ironiczne spojrzenie. – Na to chyba możecie odpowiedzieć.

– Działacze ziemskiego ruchu oporu porwali członka rządu – wyjaśnił wreszcie Caine. – Zmieniono jego identyfikator i w jakiś sposób przerobiono informacje w bazie danych.

– „W jakiś sposób?” Nie uważa pan, że to niczego nie wyjaśnia?

– Sam nie wiem, jak to zrobiono...

– Och, oczywiście. Niezwykle przekonująca historyjka -zadrwił Argentinianin.

Caine poczuł, że palą go policzki.

– Nie należałem do grona przywódców. Nie byłem o wszystkim informowany.

– To nie jest wystarczająco dobre wytłumaczenie – włączył się do rozmowy Cameron.

– Chwileczkę – przerwał mu Lathe. – Wydaje mi się, że wiem, jak zdołano tego dokonać.

Zawahał się na moment.

– No więc? – przynaglił Tremayne.

– Pod koniec wojny komuś udało się rozwiązać problem utrzymania przy życiu ludzkiego klona...

Caine z przerażeniem słuchał teorii komandosa. Podobna możliwość nigdy mu nie przyszła do głowy. Rodzice, członkowie ruchu oporu, którzy go ćwiczyli, nie wspomnieli nawet słowem, że jest wyjątkowy. Ale hipoteza Lathe'a miała sens... a im dłużej się nad nią zastanawiał, tym większego nabierał przekonania. To by tłumaczyło, dlaczego Rienzi cierpiał na te same dolegliwości co on, a także czemu Kratochwil i Marinos byli tak spokojni o dane personalne – cała istotna robota została wykonana dwadzieścia siedem lat wcześniej!

Lathe skończył i na moment zapadła cisza.

– No cóż, interesujące – stwierdził Tremayne. – Oczywiście nie da się tego udowodnić.

– Przedstawiłem tylko przypuszczenia – przypomniał komandos.

– Tak. Ale chyba są dość wiarygodne. – Tremayne spojrzął na Valentine'a, lecz ten nie protestował.

– Dobrze. My powiadomimy was o transporcie weteranów, a wy przedstawicie nam plan ich odbicia. Lathe przytaknął.

– Będzie, jak powiedziałem.

Spotkanie dobiegło końca i Caine natychmiast skierował się ku drzwiom. Chciał być sam, żeby móc wszystko przemyśleć, lecz za nim bez słowa podążyli Novak oraz Mordecai. Idąc korytarzem, nie zwracał na blackcollarów uwagi. Klon. Duplikat. Jeśli to prawda, może po Ziemi chodzi więcej takich sobowtórów? Wcześniej wierzył, że specjalną opieką otaczany jest każdy z przygotowywanych do akcji agentów ruchu oporu. Po wywodzie Lathe'a zaczął w to wątpić. Po prostu właśnie w taki sposób traktowano wszystkie te szczególne narzędzia. Ilu jeszcze specjalnych Allenów Caine'ów żyło na jego planecie? Nimi zapewne także podobnie manipulowano.

Marionetka, sklonowany pajac w rękach Lathe'a i Radixu.

Taka wiadomość powinna wywołać u niego jakieś reakcje. Wściekłość, oburzenie. Okłamywano go przez całe życie. Był biologicznym towarem, któremu wmówiono, że jest istotą ludzką, a wszyscy śmiali się za jego plecami z takiej naiwności. Przynajmniej więc powinien odczuwać wstyd,

tymczasem miał jedynie świadomość, że musi wykonać zadanie. Przeszedł doskonały trening, więc nawet takie rewelacje nie mogły go załamać.

– Caine?

Postać znajdująca się obok pokoju blackcollarów zrobiła krok naprzód. Allen zatrzymał się, porzucając dręczące myśli i wracając do terażniejszości.

Przed nim stała Lianna Rhodes – szefowa komórki Radixu.

– Co? – warknął.

– Chciałabym z panem pomówić.

Ostatnią rzeczą na świecie, której pragnął w tej chwili, była rozmowa z Argentiną. Otwierał już usta, żeby to powiedzieć wprost, gdy wtrącił się Mordecai.

– Może później – mruknął.

Nagle gdzieś głęboko coś pękło w Cainie.

– Jasne – powiedział, gestem zapraszając do pokoju. – Proszę bardzo.

Wreszcie marionetka sama pokieruje własnymi ruchami.

Jeśli nawet Mordecaiowi nie spodobała się ta decyzja, nie dał po sobie tego poznać, jak i Novak, który otworzywszy drzwi, zajrzał na moment do środka, sprawdzając wnętrze. Allen poprowadził Liannę do dwóch krzeseł stojących przy oknie. Blackcollarowie zajęli ulubione miejsca przy drzwiach.

– Czym mogę służyć? – zapytał, wskazując dziewczynie, aby usiadła. Sam również spoczął. Ponad ramieniem Lianny widział Novaka i Mordecaia. Dopiero wtedy zorientował się, że nieświadomie stworzył umiejącym czytać z ruchu warg komandosom możliwość dopilnowania go, by nie zdradził ich sekretów. Jednocześnie przecież ustawił Argentinę w gorszej sytuacji w razie walki. Nawet tak wytracony z równowagi, nie zapominał o wpojonych mu zasadach.

Czy więc rzeczywiście zaczął wreszcie sterować swoimi poczynaniami?

– Caine...

– Allen.

– Dobrze. Posłuchaj, już od tygodnia siedzimy tu jak na szpilkach, czekając, aż coś się wydarzy. Moi ludzie są tym zmęczeni i wkurzeni. Nie znoszę takiej mieszanki uczuć. Słyszeliśmy o waszym zwariowanym ataku, a krążą plotki, że szykujecie naprawdę dużą akcję na więzienie Henslowe. Czy to prawda?

– Nie wiem, ale osobiście wątpię. A z całą pewnością nikt nie ruszy w najbliższym czasie.

– Co zatem planujecie? Caine pokręcił głową.

– Przykro mi, ale misja jest nadal tajna.

– Nie pytam o tę waszą cholerną misję – rzuciła. – Nie obchodzi mnie, co knujecie, supermani. Chcę tylko wiedzieć, czy moi ludzie będą w to zaangażowani, bo nie zamierzam na ślepo posyłać ich na śmierć.

Allen uważnie popatrzył na Liannę. Ten sarkazm, z jakim podchodziła do otaczającego ją świata, nie świadczył o braku cierpliwości czy też egoizmie. To była obawa. Może o siebie, choć bardziej prawdopodobne, że o losy podwładnych. Kierowanie komórką ruchu oporu w świecie takim jak Argent łączyło się z ogromną odpowiedzialnością.

– Bardzo troszczysz się o swoich ludzi – rzekł. – Dobry z ciebie dowódca.

Zacisnęła usta.

– Tak – odezwała się ochryple.

– Powiedziałem to jako komplement.

– Wiem. – Spuściła wzrok. – Przepraszam. Nie... nie chcę dłużej pełnić tej funkcji. Mam dość uzależnienia od czyichś rozkazów.

Caine był wyraźnie zaskoczony.

– Opuzczasz Radix? Przytaknęła.

– Kiedy tylko ktoś zgodzi się przejąć ode mnie sektor. Czy to takie dziwne?

– Myślałem, że twój ojciec... – zamilkł, nie wiedząc jak dokończyć zdanie, aby nie sprawić dziewczynie przykrości.

Twarz Lianny przybrała wyraz goryczy.

– Tak, ojciec rzeczywiście wychował mnie na dobrego członka Radixu. To właściwie wszystko, co dla mnie zrobił. -Spojrzała przez okno. – Radix był dla niego wszystkim. Nigdy nie zajmował się mną ani matką. To bardzo bolało mamę. Długo za to nienawidziłam ojca. – Przesunęła palcami po ustach. - Nie powtórzę tego samego błędu. Odchodzę teraz, zanim ta cholerna organizacja odbierze mi możliwość normalnego życia.

– Dlaczego więc wciąż tu jesteś? – zapytał po chwili. Uśmiechnęła się smutno.

– Chyba kieruje mną coś, co odziedziczyłam po obojgu rodzicach: poczucie obowiązku. Musiałam przejąć sprawy ojca. Poczekam, aż znajdą kogoś na moje miejsce. – Potrząsnęła głową. – Posłuchaj, nie przyszłam płakać ci w mankiet. Chcę tylko usłyszeć, jakie ryzyko czeka moich ludzi.

Niemal zapomniał, jakie pytanie mu postawiła. Popatrzył Liannie prosto w oczy i spróbował myśleć logicznie.

Co miał jej powiedzieć? Nie wiedział nic o planach Lathe'a, a nawet gdyby je znał, nie mógłby o nich mówić. Nie chodziło tu o brak zaufania. Przeczucie podpowiadało mu, że jest uczciwsza niż wielu innych członków Radixu. Ale kierowanie się przeczuciami było zbyt ryzykowne. Przez chwilę wyczuł u niej tę samą chęć dowiedzenia się czegoś, jaka nachodziła go, gdy myślał o tajemniczym zadaniu Doddsa. Dziewczyna, choć twarda, budziła w nim sympatię. Jej poczucie obowiązku i odpowiedzialności wydawało się tak silne jak Caine'a, a przecież nie orientowała się w niczym, co dotyczyło planów blackcollarów. Nie potrafił jej pomóc.

– Przykro mi, ale nie mogę obiecać ci nic ponad to, że nie zostaniesz włączona do akcji bez uzyskania wcześniejszych informacji na ten temat.

Ze smutkiem kiwnęła głową, zacisnęła usta i wstała.

– Spodziewałam się takiej odpowiedzi, ale musiałam spróbować – powiedziała, kiedy i Allen podniósł się z krzesła. Przez moment patrzyła na niego badawczym wzrokiem. -Pamiętaj tylko, że tego nie da się do końca utrzymać w tajemnicy. A jeśli szykuje się rzeź, będziesz miał więcej kłopotów niż przypuszczasz. Komórki Radixu działające w terenie są dość hermetyczne. Nie przyjmujemy bezkrytycznie rozkazów od obcych, szczególnie w sytuacji, kiedy nie wiemy, co się właściwie dzieje. Nie stanowi różnicy, czy otrzymam wyjaśnienie pięć dni, czy pięć minut przed akcją, ale bez niego w ogóle na nas nie liczcie.

Odwróciła się, skinąwszy głową. Allen pozostał na miejscu. Patrzył, jak wymienia ukłony z blackcollarami i wychodzi. Drzwi zatrzasnęły się za nią tak głośno, aż Mordecai spojrzał na Ziemianina.

– No i...?

– Nic ważnego – mruknął Caine, po czym usiadł twarzą do okna. Jeśli komandosi poczują się tym urażeni, trudno.

Był klonem. Próbował w sobie wzbudzić wściekłość za to, co mu zrobiono.

Rozdział 20

Deszcz padał nieprzerwanie od trzech godzin i mimo osłony drzew rosnących wzdłuż drogi Jensen przemókł do suchej nitki. Jego poncho odstawało przy szyi odpychane przez kołnierz munduru i pod ubranie wlewała się woda. Komandos już dawno zrezygnował z przeklinania sytuacji, w jakiej się znalazł. Nie mógł sobie pozwolić wspiąć się na drzewo i przeczekać burzę w rozłożystej koronie. Wciąż znajdował się zbyt blisko gór, dlatego cenny był każdy kilometr oddalający go od porośniętych stoków.

Zza pleców doszedł go nagle plusk wody. Gdy się obejrzał, dostrzegł samochód sunący powoli w jego stronę. Zachłapane reflektory nie raziły oczu, więc zobaczył, że w środku jest tylko kierowca.

Gdyby wcześniej usłyszał warkot silnika, ukryłby się za drzewem, ale było już na to zbyt późno. Stał czekając, aż pojazd zatrzyma się obok niego.

Otworzyło się boczne okno i blackcollar znalazł się naprzeciw mężczyzny o sympatycznym wyrazie twarzy.

– Witam – odezwał się kierowca. – Podły dzień na wycieczki. Może pana podwieźć?

Jensen kalkulował błyskawicznie, ale uznał, że nie ma wyboru. Będąc sam, pieszo i nie posiadając typowej broni, nie mógł przecież twierdzić, że jest agentem sił bezpieczeństwa na patrolu, a nie potrafił na poczekaniu wymyślić żadnej innej sensownej wymówki. Odmowa podwiezienia bez podania przekonującego powodu wzbudziłaby niepotrzebne zainteresowanie jego osobą.

– Jasne. Dziękuję.

Obszedł pojazd, otworzył drzwi i wsiadł. Jednocześnie wyjął nunczako, które potem położył sobie wzdłuż uda. Z lekkim szarpnięciem, gdy koła zabuksowały w błocie, auto ruszyło.

– Dokąd pan jedzie? – zapytał uprzejmie mężczyzna, obserwując, jak woda ścieka z pasażera na fotel i podłogę.

– W tę właśnie stronę. Muszę przebyć jakieś dwadzieścia kilometrów – odpowiedział Jensen. – Skrzyłem w niewłaściwym miejscu i mój samochód utknął niedaleko stąd – dodał, uprzedzając następne pytanie.

– Aha.

Blackcollar kątem oka obserwował kierowcę. Niski, dość korpulentny, przed czterdziestką, jeśli nie korzystał z iduniny. Zdecydowanie wyglądem nie pasował na agenta sił bezpieczeństwa. Mógł jednak być informatorem.

– A dokąd pan zmierza? – zapytał.

– Do Torrentin. Ale jeśli w rzece wzbierze woda i zaleje most, na pewien czas zostanę po tej stronie. Co jest dwadzieścia kilometrów stąd?

W pierwszej chwili komandos nie zrozumiał pytania. Wreszcie oprzytomniał.

– Spotykam się tam z oddziałem sił bezpieczeństwa do zadań specjalnych.

– Tak po prostu na skraju drogi?

– Nie. Rozbito tymczasowy obóz – wyjaśnił Jensen, pocąc się nieco.

Pytania stawały się niebezpieczne, pilot bowiem w ogóle nie znał topografii tego terenu i praktycznie każda odpowiedź mogła go zdradzić. Zaczynał żałować, że umieścił cel swojej podróży w odległości aż dwudziestu kilometrów, a nie choćby pięciu.

– Założę się, że ciągle szukacie tego blackcollara – zagadnął kierowca z zaciekawieniem w głosie.

Komandos mocniej ścisnął nunczako ukryte pod poncho. Czy już wszyscy ludzie wiedzieli o jego lądowaniu, czy mężczyzna znał tajną informację?

– Moja praca nie powinna pana interesować – odpowiedział opryskliwie, ale nawet dla niego zabrzmiało to mało przekonywająco.

– Oczywiście. – Przez chwilę Argentinianin milczał, przedzierając się przez wyjątkowo wyboisty fragment drogi. – Poszukiwania koncentrują się dosyć daleko stąd, na północy -oświadczył wreszcie, gdy autem przestało trząść. – Nie powinien pan mieć poważniejszych kłopotów.

Blackcollar sprężył wszystkie mięśnie.

– Co to znaczy? – warknął, udając oburzenie. Kierowca nie odrywał wzroku od drogi, a z ust nie zniknął lekki uśmiech.

– Cutter Waldemar do usług, komandosie Jensen. Nasi ludzie szukają pana już od tygodnia. Cieszę się, że ubiegliśmy siły bezpieczeństwa.

* * *

Jensen miał świadomość, że w końcu przez kogoś zostanie rozpoznany, lecz nie spodziewał się, że nastąpi to tak szybko. Błyskawicznie jednak pozbiierał myśli.

– O czym pan mówi, do cholery? Waldemar spojrzał na pasażera.

– Niezła reakcja, komandosie, ale niepotrzebnie marnuje pan energię. Zidentyfikowaliśmy pana już w Splicie, a zamiast Jakieś dwadzieścia kilometrów stąd” należało powiedzieć „koło Noma”. Nikt nie wie także o blackcollarze umykającym pogoni w Górach Rumeliańskich, z wyjątkiem sił bezpieczeństwa i naszej organizacji Radix. Poza tym żaden prawdziwy agent nie pozwoliłby na takie indagacje.

– W porządku. Przyznaję się. Teraz niech pan udowodni, kim jest.

– Nie mogę przedstawić materialnego dowodu, ale wyliczę panu argumenty mogące świadczyć o moim stosunku do ukrywającego się blackcollara. Po pierwsze: gdybym był rządowcem, nie odbyłaby się ta rozmowa. Po cichu uruchomiłbym alarm i mówił o pogodzie, podczas gdy samochód wypełniałby się gazem usypiającym. Po tym, czego pańscy towarzysze dokonali wczoraj w Calarandzie, na Argencie nie udałoby się znaleźć agenta sił bezpieczeństwa, który zdecydowałby się stanąć z panem oko w oko.

– Podziwiam zatem pańską wyjątkową odwagę.

– Przesada. Po prostu wiem, że nie mam do czynienia z automatem do zabijania. Po drugie zaś jestem nie uzbrojony. -Uniósł łokcie, zachęcając pasażera do przeprowadzenia rewizji osobistej.

Blackcollar pokręcił głową.

– Wierzę na słowo. A gdyby nawet miał pan broń, zapewne byłaby ukryta tak, żebym jej szybko nie znalazł.

– Racja – przyznał opozycjonista. – Dobrze, oto mój ostatni atut. Pod pańskim siedzeniem znajduje się pistolet strzałkowy. Proszę go wyjąć.

Jensen przez moment zastanawiał się, czy go posłuchać. Wreszcie szybkim ruchem sięgnął pod fotel. Nie było pod nim żadnych ukrytych pułapek, a tylko stary, lecz utrzymany w dobrym stanie pistolet na sprężone powietrze.

– W porządku. Co dalej?

– Pod moim siedzeniem jest zestaw map obejmujących cały obszar stąd do Calarandu, z oznaczonymi miejscami, gdzie mogą znajdować się punkty zaporowe sił bezpieczeństwa. W bagażniku zaś wiozę jedzenie i ubranie – kontynuował Waldemar spokojnym, rzeczowym tonem. – Jeśli nie zechce mi pan zaufać, strzałki z pistoletu unieszkodliwią mnie na pięć, sześć godzin. Może pan mnie tu zostawić, zabrać wóz i uciekać samemu. Wrócę do domu, kiedy tylko środek paraliżujący przestanie działać.

– Czy członkowie pańskiej grupy, Radixu, chcą ze mną rozmawiać?

– Niespecjalnie – kierowca ponownie się uśmiechnął. -Szczerze mówiąc pośród nas panuje opinia, że wszystkich przybyłych komandosów wyłapią albo zabiją, więc im mniej mamy z blackcollarami do czynienia, tym lepiej.

Jensen nie zdołał powstrzymać się przed ironiczną uwagą.

– Jesteście bardzo gościnni.

– Nazywamy to dbałością o własną skórę. Cieszy się pan zbyt dużą popularnością w tych stronach.

Przez długą chwilę jechali w milczeniu. Blackcollar przyglądał się twarzy Waldemara, starając się coś z niej wyczytać, lecz tamten dobrze panował nad własną mimiką. To mogła być precyzyjnie obmyślana pułapka, ale siły bezpieczeństwa nie zadawałyby sobie tyle trudu. A pozbawiony entuzjazmu stosunek Radixu do nie zapowiadanych gości posiadał racjonalne podstawy.

– Przekonał mnie pan – rzekł powoli komandos. – Dokąd jedziemy?

– Do Millaire – odpowiedział Waldemar z wyraźną ulgą. Zapewne nie miał ochoty na długi spacer w taką pogodę. – Tam znajduje się dowództwo naszego południowego sektora. To jakieś sześćset kilometrów stąd, więc jeszcze dzisiaj powinniśmy dotrzeć na miejsce. Chyba że rządowcy zorganizowali nam jakieś nieprzewidziane atrakcje.

– Brzmi nieźle. – Jensen odetchnął głęboko, czując, że opada towarzyszące mu od tak dawna napięcie. Dotychczas nie uświadamiał sobie nawet, jak bardzo jest zmęczony. – Chciałbym zobaczyć te mapy.

– Jasne. – Waldemar wyjął spod fotela gruby plik papierów. – Co chciałby pan usłyszeć o Radixie i Argencie?

– Praktycznie wszystko. – Przeglądając mapy, znalazł opatrzoną napisem: Calarand. Tę właśnie rozłożył. – Może zacznie pan od opowiedzenia, co dokładnie moi przyjaciele zrobili wczoraj w stolicy?

* * *

Nunczako poświstywało cicho, okręcając się wokół ciała Lathe'a z tak ogromną szybkością, że widoczna była tylko mgielka. Blackcollar patrzył gdzieś w dal, kontrolując broń wyłącznie na wycucie. Przerzucał nunczako z ręki do ręki, zadawał nim ciosy niczym biczem z siłą, która zmiażdżyłaby czaszkę. Ćwiczył bloki mogące powstrzymać uderzenia krótkiego miecza Ryqrila. Nie przerywając obrotów nunczakiem, cisnął trzy shurikeny w odległe cele.

Nagle ktoś zapukał.

– Proszę – zawołał nieco zadyszany, chowając broń do pochwy.

W drzwiach ukazała się głowa Bakshiego.

– Przeszkadzam?

– Skądże.

Bakshi wszedł, zamykając za sobą dokładnie drzwi.

– Skyler powiedział, że tutaj pana znajdę. Jak ramię?

– Całkiem dobrze. – Lathe na próbę wyprostował rękę. -

Czuję tylko lekkie napięcie skóry w miejscu oparzenia. Zapomniałem już o wspaniałym działaniu tej maści – dawno zabrakło nam jej na Plinry. – Wskazał na maty. – Jeśli ma pan ochotę, jestem gotów udowodnić swoją dobrą formę.

Argentianin uśmiechnął się i przecząco pokręcił głową.

– Może później – rzekł powoli, po czym zamilkł na moment. – Jeśli mowa o walce, rozmawiałem z Fuessem o waszej wczorajszej akcji. Odniosłem wrażenie, że nie był pan z niego w pełni zadowolony.

– Zgadza się. – Plinrianin ruszył w kierunku tarcz. – Sam o tym powiedział?

– Nie wprost. – Bakshi podążył za Lathe'em. – Chciałbym dowiedzieć się w czym rzecz.

– W porządku. Rzeczywiście mnie rozczarował. Umiejętności chłopaka nie są wystarczające, żeby określić go mianem blackcollara. A co więcej kiepski z niego żołnierz. Próbował kwestionować każdy mój rozkaz, a jeśli już wykonywał polecenia, robił to z wyraźną niechęcią. Zakładam, że nie muszę udowadniać panu konieczności bezwzględnego posłuszeństwa podwładnych, prawda?

-Nie.

Dotarli do tarcz – ciężkich drewnianych blatów z obrysami ludzkich sylwetek, przytwierdzonych do słomianych mat i poznaczonych setkami niewielkich otworów. Każda z trzech gwiazdek tkwiła dokładnie w gardle postaci. Argentianin wyrwał jeden z pocisków i zaczął obracać w dłoni.

– Celnie pan rzuca.

Lathe wyjął pozostałe dwa shurikeny.

– Nic specjalnego. Większość moich ludzi jest co najmniej tak dobra jak ja.

– Pańscy blackcollarowie są więc wyjątkowi – stwierdził Bakshi. – A może to Plinry ma szczęście. Widocznie u was Ryqrilowie nie stosowali gazów paraliżujących.

Lathe popatrzył na niego poważnie.

– Nie, nie korzystali z tego typu broni. Znaczna część komandosów przybyła już po rozpoczęciu wojny lądowej, a wtedy na planecie obcych było zbyt wielu, żeby posługiwali się takimi metodami. Ale proszę nie twierdzić, że Plinry dopisało szczęście.

Argentianin powoli pokiwał głową.

– Chodzi panu o ostrzał planety. Przepraszam. Chyba przy okazji Ryqrilowie nauczyli się czegoś, bo nas zmusili do kapitulacji bez dokonywania takich zniszczeń. Wielu jednak spośród naszych blackcollarów do dzisiaj ponosi konsekwencje działania gazu paraliżującego. Nie mówimy o tym głośno – to wciąż zbyt bolesne wspomnienie.

– Stracili dawny refleks?

– Właśnie. Pewne nerwy zostały uszkodzone. Spotkał się pan z tym wcześniej.

– W jednym czy dwóch przypadkach. – Lathe odpowiedział tak, biorąc pod uwagę możliwość, że ktoś wcześniej wspomniał o Doddsie. – To dlatego żaden z was nie może walczyć?

Bakshi uśmiechnął się gorzko.

– Och, ależ my walczymy. Proszę nie zapominać, że nie siedzieliśmy z założonymi rękami przez ostatnich trzydzieści lat. Ale to właśnie stanowi przyczynę, dla której Fuess i pozostali nie są już tak sprawni w bezpośrednich starciach. I stąd wynika jeszcze jeden problem... – Zrobił dłuższą przerwę. – Sądzę, że trudno im pogodzić się z faktem, że wy jesteście tak sprawni, jak oni byli kiedyś.

Lathe wyciągnął rękę, a Bakshi położył mu na dłoni shuriken.

– Powinien pan z nimi porozmawiać. Nie przybyliśmy na Argent po to, żeby robić pokazy. Czas na medale i chwałę skończył się wraz z kapitulacją DIT-u. Jeśli pańscy ludzie nie potrafią zaakceptować tego, proszę ich zabrać, by przynajmniej nam nie przeszkadzali.

– Powiem to swoim blackcollarom – obiecał Bakshi, gdy obaj szli w stronę drzwi. – Od dawna nie przeprowadzaliśmy równie śmiałych akcji. Mam nadzieję, że się dostosują. – Zamilkł nagle i uniósł brwi. – Ktoś nadchodzi – mruknął.

Lathe także usłyszał czyjeś kroki. Przyspieszył i odruchowo sięgnął po shuriken. Zauważył, że Bakshi idzie tuż za nim, więc odsunął się, postępując według zasady komandosów, by w przypadku zagrożenia nie stać jeden przy drugim. Byli zaledwie pięć kroków od wyjścia, kiedy ktoś zapukał zdecydowanie.

Nie czekając na zaproszenie, do środka wpadł Jeremiahs Dan. W dłoni ścisnął pogniecioną kartkę.

– Mają Jensena! – obwieścił podniecony, wymachując papierem.

– Gdzie jest? – zapytał Bakshi. Lathe sięgnął po notkę.

– W Millaire – odpowiedział asystent Tremayne'a, powoli odzyskując regularny oddech. – Dziś rano znaleźli go nad rzeką Hemoth.

Lathe podniósł wzrok znad kartki.

– Czy kolaby nadal utrzymują punkty kontrolne na przedmieściach?

– Zapewne, ale znamy sposoby na prześlizgnięcie się, jeśli chce pan po niego jechać – oświadczył Dan. – Greenstein przewidywał, że tak właśnie pan zrobi.

– Najwyraźniej woli, aby jego ludzie nie zbliżali się do Calarandu – skomentował argentyński komandos.

– Kim jest ten Greenstein? – zapytał Lathe.

– Uri Greenstein kieruje południowym sektorem. Widział go pan podczas pierwszego spotkania, ale nie zostaliście sobie przedstawieni.

– Wiadomość przekazano telefonicznie?

– Tak, sam ją odbierałem. Komandos Jensen prosił, żeby powtórzyć panu, iż księżycowe dzieci zgadzają się z pana wyliczeniami.

Plinrianin skinął głową. Dan podał hasło, które Lathe wcześniej ustalił z Jensenem.

– Jak daleko stąd do Millaire?

– Około siedmiuset kilometrów, na południowy zachód -odpowiedział Bakshi. – Powinna to być stosunkowo bezpieczna podróż, jeśli zdecyduje się pan jechać.

Lathe zawahał się na moment. Bardzo chciał, żeby Jensen znalazł się w Calarandzie... a zwleknięcie zwiększało możliwość wystąpienia nieoczekiwanych przeszkód.

– W porządku – rzekł wreszcie. – Potrzebujemy dwóch wozów. Mogę dostać je natychmiast?

– Teraz? – Dan spojrział na zegarek. – Dochodzi dwudziesta.

– Nie ma u was przecież godziny policyjnej, prawda?

– Nie. Ale to długa droga, a na dzisiejszą noc zapowiadane są burze.

– Blackcollarowie się nie rozpuszczą. Dajcie dwa samochody i jakiegoś przewodnika.

– Proszę wziąć dwóch moich komandosów – zaproponował Bakshi. – Obiecuję, że tym razem będą się zachowywali właściwie.

– No cóż... – Niestety Lathe'owi nie udało się wymyślić na poczekaniu dobrej wymówki. – Dobrze, ale wystarczy nam jeden. Drugie auto pojedzie przecież za pierwszym.

– To ryzykowne – wtrącił się do rozmowy asystent Tremayne'a. – Co będzie, jeśli się zgubią?

– Bez obaw. Proszę tylko dopilnować, żeby w obu pojazdach znalazł się komplet map. – Lathe skłonił się lekko Bakshiemu. – Wybacz pan, muszę się zająć przygotowaniem ludzi.

– Jeszcze jedno – zawołał za nim Dan. – Otrzymaliśmy potwierdzone informacje, że rządowcy na gwałt przygotowują więzienie Cerbe na przyjęcie nowych więźniów.

– Świetnie. Później przekaże mi pan szczegóły. Teraz najpilniejsze są dla mnie samochody.

Zanim dotarł do kwatery blackcollarów, w głowie miał już zarys planu działania. Wszedłszy do pokoju, skinął na Mordecaia, który jak zwykle stał na straży, po czym zwrócił się do trójki mężczyzn zgromadzonych przy stole.

– Koniec laby – ogłosił. – Radix znalazł Jensena. Zgromadzeni poruszyli się gwałtownie, zelektryzowani wiadomością.

– Gdzie jest? – zapytali jednocześnie Skyler i Novak.

– W mieście Millaire. – Lathe zrelacjonował im rozmowę z Danem. – A co z Cerbe? – zapytał na koniec Skylera. – Znaleźliście z Hawkingiem jakiś słaby punkt?

– Tak. System zabezpieczenia łączności. – Obaj komandosi wraz z Caine'em siedzieli właśnie nad dość skąpymi danymi dotyczącymi więzienia. Skyler podsunął dowódcy jedno ze zdjęć. – Obrotowa wieżyczka z laserowym nadajnikiem na dachu głównego budynku – oświadczył, wskazując ją palcem. – Ma kształt półkuli i jakieś dwadzieścia centymetrów średnicy. Tajne informacje z Calarandu docierają tam za pomocą przekaźników zainstalowanych na patrolowcach znajdujących się stale w powietrzu. Teoretycznie to w stu procentach pewny system, skoro żaden jego element nie jest dostępny z ziemi.

– Macie na niego sposób?

– Hawking przygotowuje urządzenie, które, jak mówi, doskonale spisało się kiedyś w podobnej sytuacji na Plinry.

– Skończy robotę w ciągu godziny? Skyler zdziwiony uniósł brwi.

– Aż tak bardzo się spieszymy?

– Tak. Hawking wyrusza z grupą jadącą do Millaire. Dzięki temu wydostaniecie się z miasta bez zwrócenia uwagi szpiegów funkcjonujących w Radixie. Kiedy miniecie wszystkie punkty kontrolne, zawróćcie i pojedziecie do Cerbe.

– Kogo masz na myśli? – zapytał Novak. Lathe uśmiechnął się szeroko.

– Skylera i ciebie.

Skyler popatrzył na Allena, po czym ponownie przeniósł wzrok na dowódcę.

– Pozbywasz się nas obu?

– Mordecai i ja poradzimy sobie z obroną Caine’a – zapewnił go Lathe. – Chcę, żebyś natychmiast porozumiał się z Hawkingiem. Powiedz mu, co się dzieje. Jeśli nie będzie mógł dokończyć pracy nad urządzeniem w ciągu godziny, niech określi dokładnie, ile czasu mu jeszcze potrzeba, a wtedy spróbuję nieco opóźnić wyprawę. Później idź do garażu i sprawdź, czy przygotowane dla nas wozy nie są zapluskwione albo jakoś oznakowane. Aha, Hawking mówił, że montuje przenośny wygniatacz. Jeżeli przyrząd jest już gotowy, niech weźmie go ze sobą.

Skyler wstał i zaczął zapinać cywilną koszulę, ukrywając pod nią dermopancerz.

– Jedziemy sami czy z kimś z Radixu? Lathe skrzywił się mocno.

– Bakshi przydzielił nam jednego ze swoich blackcollarów.

– Uprzedzę Hawkinga.

Skyler pomachał na pożegnanie milczącemu Mordecaiowi i wyszedł.

– Nie podoba ci się Bakshi? Nie lubisz też jego ludzi, prawda? – zapytał cicho Allen.

Został sam przy stole. Novak opuścił bowiem swoje miejsce i zajął się przygotowaniem sprzętu.

– Co do Bakshiego nie mam większych zarzutów – odpowiedział dowódca komandosów, podsuwając sobie krzesło.

Trening widać zmęczył Lathe’a, ponieważ ciężko opadł na siedzenie. – Martwi mnie pozostała czwórka.

– Dlaczego? Bo są bardziej impulsywni i zاديorni niż wy? Lathe nie zareagował na zaczepkę.

– Zapał do walki to ważna rzecz. Ale jak dotąd nie pokazali niczego poza chęciami. Powiedz, co sądzisz o Liannie Rhodes?

Caine zaskoczony zmianą tematu, zamrugał powiekami.

– Ależ ja... Nie rozumiem?

– Jak według ciebie zachowa się, na przykład pod wpływem dużego stresu? A co ważniejsze, czy uważasz, iż można wykluczyć, że jest szpiegiem sił bezpieczeństwa?

Ziemianin zmarszczył brwi.

– Nie wydaje mi się, żeby była tajnym agentem rządowców – odpowiedział wolno. – Oczywiście opieram się tylko na pewnych przecuciach. Powiedziała, że wkrótce opuszcza Radix, a nie widzę powodu, dla którego szpieg miałby tak właśnie postąpić.

Lathe przytaknął. Informacje i opinie Allena pokrywały się z jego własnymi.

– Czy uważasz, że zaryzykowałabyś podjęcie walki z kolabami?

Ku zdziwieniu komandosa Ziemianin uśmiechnął się radośnie.

– Jeżeli poradziłaś sobie z nami... – Nagle wyraz ciekawości zastąpił uśmiech. – Dlaczego zadajesz te wszystkie pytania?

– Chcę, żebyś pomogła nam dostać się do więzienia Cerbe. Caine nie sprawiał wrażenia szczególnie zaskoczonego.

– Nie będę marnował czasu na tłumaczenie, że to szaleństwo – oświadczył spokojnym tonem. – Czy wyjaśnisz mi wcześniej, o co dokładnie chodzi?

Lathe milczał chwilę. Ostatnio odsuwał Ziemianina od istotnych spraw, co wyraźnie dotknęło chłopaka. Ujawnienie mu tej części swego planu nie stanowiło zbyt wielkiego niebezpieczeństwa. Poza tym pozwalało odwrócić uwagę od Doddsa.

– Jasne – rzekł, spoglądając na cicho szumiące urządzenie antypodsluchowe, stojące na środku pokoju. – Chodź, usiądziemy przy wygniataczu i powiem ci, co zamierzam.

Rozdział 21

Od pół godziny po niebie przetaczały się burzowe chmury, wypierając obłoki. Błyskawice od czasu do czasu rozświetlały horyzont, potęgując wrażenie, że lada moment rozpocznie się ulewa. Siedzący za kierownicą Deal Valentine po raz kolejny popatrzył do tyłu.

– Stało się jak przewidywałem – rzekł. – Jazda w taką noc za pilotem, w nieznanym terenie...

– Niech się pan uspokoi – poradził Skyler z tylnego siedzenia. – Mają mapy, a wiemy, że bezpiecznie wydostali się z Calarandu. Może ostatecznie wybrali inną trasę.

– Może? – oburzył się Argentinianin. – A więc o to chodzi? I oczywiście nie raczyliście mnie uprzedzić.

– Taką radość sprawiało panu oskarżanie ich o brak rozsądku i umiejętności, że grzechem byłoby przeszkadzanie panu -oświadczył cierpko Novak, siedzący obok niego.

Valentine nie odpowiedział. Skyler uważał, że kolega nieco przesadził, ale w sumie nie bez racji. Argentinianin kłął podczas drogi na czym świat stoi i krytykował dosłownie wszystko. Skyler miał już wcześniej do czynienia z takimi ludźmi i wprost ich nie cierpiał. Według niego stanowili niebezpieczeństwo dla otoczenia i zazwyczaj ginęli postępując nierozważnie lub wręcz głupio.

Na przednim fotelu na chwilę zaświeciła się niewielka latarka, gdy czarnoskóry blackcollar ustalał z mapą obecne położenie.

– Powinniśmy już widzieć Millaire – oświadczył.

– Leży w dolinie za tymi wzgórzami – rzekł Valentine, wskazując postrzępione wzniesienia, w których kierunku jechali. – Zobaczycie je za pięć minut.

Novak mruknął coś pod nosem, Skyler zaś obserwował z uwagą teren po obu stronach drogi. W zasięgu wzroku było niewiele świateł, i to głównie z dala od szosy. Nic dziwnego, ponieważ dawno minęła północ i wszyscy porządni obywatele już spali. A jednak ciemności oraz brak jakichkolwiek pojazdów niepokoiły komandosa. Dużo wcześniej nauczył się, że stała podejrzliwość przedłuża życie.

Samochód wjechał na wzgórze. Członkowie wyprawy ujrzeli przed sobą Millaire, rozpostarte w dolinie niczym rozgwiezda.

– Spore miasto – ocenił Novak. – Jak wygląda porównanie z Calarandem?

– Zajmuje większy obszar, ale mieszka w nim mniej ludzi.

– Niech się pan zatrzyma – rzekł Skyler. – Chcę je sobie dokładnie obejrzeć.

– Po co? – zapytał Argentinianin. – I tak już późno.

– Wykonać – w głosie plinriańskiego blackcollara zabrzmiała groźba świadcząca, że stracił ochotę na dalsze tolerowanie malkontenta.

– Tak jest.

Valentine zjechał na pobocze, wzbijając przy tym tuman pyłu.

– Novak, daj mapę – polecił pełniący funkcję dowódcy grupy Skyler, uważnie przyglądając się Millaire. Otrzymawszy ją wraz z latarką, rozwinął płachtę. – Valentine, niech mi pan jeszcze raz dokładnie wskaże, gdzie znajduje się kwatery Radixu – powiedział, dłonią przysłaniając latarkę tak, że oświetlała jedynie fragment mapy.

Argentinianin popatrzył na panoramę miasta i wskazał miejsce leżące jakiś kilometr od centrum.

Skyler przyglądał się mapie przez chwilę, po czym wyłączył latarkę.

– Widzisz, gdzie to jest, Novak?

– Tak – odpowiedział czarnoskóry komandos po pewnym czasie. – Teraz tak.

– O co chodzi? – zapytał Valentine podejrzliwie, wyglądając przez okno.

– Dostrzega pan tę ciemną plamę obok wysokiego, białego budynku? – Skyler wskazał palcem. – Według pana dowództwo Radixu znajduje się właśnie w tym rejonie.

Miejscowy blackcollar wzruszył ramionami.

– Co z tego? Pewnie po prostu nastąpiła awaria sieci elektrycznej.

– Być może. Choć to dziwne, że akurat w miejscu, gdzie przebywa Jensen.

– Według mnie to zwykły zbieg okoliczności – warknął Valentine, lecz jakby bez przekonania.

– Wątpię. – Skyler zwrócił mapę oraz latarkę przyjacielowi. – Ruszajmy. Działamy w warunkach bojowych... Zrozumiano, Valentine?

– Tak jest – odpowiedział ponuro Argentinianin. Samochód znalazł się z powrotem na szosie.

Skyler rozpiął płaszcz i zza pasa wyjął rękawice oraz gogle, po czym sprawdził, czy broń jest na swoim miejscu. Novak zrobił to samo.

Na dworze zaczynało padać.

* * *

– Pańscy przyjaciele dotrą tu co najmniej za godzinę – rzekł Uri Greenstein, podając Jensenowi kubek z parującym płynem i siadając za prostym, metalowym biurkiem. – Do tego czasu radzę, żeby się pan przespał.

– Dziękuję, ale nie skorzystam – odpowiedział komandos, popijając ostrożnie. Był to specyficzny rodzaj zapewne miejscowej kawy o delikatnym smaku. – Zdrzemnąłem się nieco w samochodzie. Miałem ochotę tylko wziąć prysznic i zjeść gorący posiłek, a pańscy ludzie zapewnili mi jedno i drugie.

Argentianin wzruszył ramionami. Jensen rozglądał się wokół ciekawie. Ekspres do kawy stanowił tu jedyny luksus. W biurze na czwartym piętrze panowały wprost spartańskie warunki: ograniczone do minimum umeblowanie, zwykłe rolety w oknie. Spojrzał na Greensteina i stwierdził, że jest pod jego baczna obserwacją.

– Sądzę, panie Greenstein, że miał pan jakiś powód, żeby zaprosić mnie tutaj. Oczywiście poza poczęstowaniem naprawdę wyśmienitą kawą.

Członek dowództwa Radixu uśmiechnął się lekko.

– Szczerze mówiąc chciałem po prostu zobaczyć, jak wyglądacie.

– Mam nadzieję, że nie rozczarowałem pana.

– Ależ skąd. Raczej mnie pan zaintrygował. – Argentianin wskazał na zachód. – Wydostał się pan ze statku, który uległ zniszczeniu, przez osiem dni nie dał się złapać, mimo iż pogoń zorganizowano na niespotykaną tu skalę, zabił wielu doskonale uzbrojonych agentów sił bezpieczeństwa... a jednak nie widać u pana nawet śladu tego charakterystycznego dla naszych blackcollarów zawiadactwa.

– No cóż, zwierzęta w dżungli robią się spokojne, kiedy są najedzone.

– Ja nie żartuję.

– Wiem – odpowiedział Jensen, pociągając z kubka – Chyba wszyscy, zaczynając, byliśmy właśnie tacy. Duma z przynależności do blackcollarów uderzała do głowy. Sądzę jednak, że większość wyzbyła się próżności po kilku pierwszych tygodniach prawdziwej wojny. Kiedy tuż obok giną towarzysze, słowo „elitarny” traci swój sens.

Greenstein przytaknął smutno.

– Rzeczywiście – przyznał. – Byłem świadkiem śmierci wielu moich przyjaciół. – Wlepił wzrok w Jensena. – I nie chcę do nich dołączyć przez pana i resztę plinriańskich komandosów.

Jensen zrozumiał w czym rzecz.

– My zatem powinniśmy przyjąć na siebie ogień kolabów. Wy pozostaniecie za naszymi plecami.

Greenstein wstał.

– Proszę zrozumieć, że osobiście panu nie mam nic do zarzucenia. Rzecz tylko w tym, iż widziałem starcia, z których blackcollarowie uchodzili z życiem, podczas gdy inni na zawsze pozostawali na polu walki.

– Różnie bywało – odparł Jensen, także podnosząc się z krzesła. – Dołożymy jednak wszelkich starań, aby jak najszybciej zejść wam z drogi.

Ledwie to powiedział, kiedy z radiodbiornika stojącego na biurku rozległo się buczenie i zapłonęła na nim czerwona lampka.

– Co to? – zapytał Plinrianin.

Greenstein zmarszczył brwi.

– Ktoś zbliża się od...

Nagle zabłysło jeszcze pięć kontroltek i w tym momencie cały budynek zatrzęsł się od huku.

– Granat akustyczny! – wy sapał blackcollar, nakładając rękawice od dermopancerza.

Szef sektora Radixu nie wahał się ani sekundy. Wyjąwszy z szuflady maskę gazową oraz pistolet na strzałki, popędził do wyjścia. Otworzył drzwi, rozejrzał się w obie strony i wybiegł. Jensen, już w pełnym stroju, z plecakiem na ramionach, podążył za Greensteinem.

Na korytarzu panował półmrok. Przed Argentianinem zobaczył dwie postacie znikające w ukrytym przejściu. Za nim trzech lub czterech ludzi w pośpiechu wypadło z innych pomieszczeń.

– Dokąd? – zapytał członka Radixu.

– Zostaliśmy zaatakowani – odpowiedział ten, oddychając ciężko przez maskę. – Spróbujemy walczyć, a później przedostaniemy się do tuneli.

– Niech się pan zatrzyma. Czy to przejście jest bezpieczne?

Za późno. Greenstein już zbiegał kręconymi schodami. Blackcollar zacisnął zęby i ruszył za tubylcem.

Nie dotarli daleko. Argentianin był zaledwie na półpiętrze, gdy nagle rzucił się do tyłu, a po chwili osunął na poręcz. Niżej stały trzy lub cztery opancerzone postacie.

Jensen zareagował momentalnie, zawracając na piętro, które opuścili. Dwie wiązki strzałek ześlizgnęły się po jego nogach, zanim wydostał się na korytarz. Jeszcze w wejściu trafiono go ponownie, tym razem w piersi. Uskoczył na bok, zamierzył się nunczakiem i... o mało nie zgruchotał czaszki Cutterowi Waldemarowi.

– Jensen – wykrzyknął otyły mężczyzna, pospiesznie opuszczając broń. – Przepraszam. Myślałem, że to rządowiec.

– Agenci są tuż za nami. Wracamy.

Waldemar przytaknął i zrobił mu miejsce. Blackcollar stanął obok ukrytych drzwi i ledwie zdążył unieść nunczako, przekroczył je pierwszy z nacierających.

Zrezygnował z zadania zabójczego ciosu, tylko podciął nogi agenta sił bezpieczeństwa, powalając go na podłogę. Biegący za nim z trudem utrzymał równowagę, a uderzenie nunczaka prosto w szyję wyeliminowało go z walki. Trzeci nie zdołał dotrzeć do korytarza. Komandos kopnął przeciwnika w

piersi z taką siłą, że ten stoczył się po schodach, pociągając za sobą ostatniego z biorących udział w natarciu. Odgłos padających ciał ucichł nagle, gdy Jensen zatrzasnął drzwi.

- Co teraz robimy? – zapytał przejęty Waldemar.
- Musimy uciekać. Czy wie pan, którędy dałoby się stąd wyjść?
- Znam bezpieczne drogi ewakuacyjne. Ale do nich właśnie należały te schody.
- Możemy więc zapomnieć także o innych. Jak wysoki jest ten budynek?
- Cztery piętra. Nad nami znajduje się już tylko dach.

– Pomyślmy... – Jensen rozglądając się uważnie, dostrzegł gniazdko elektryczne. Spojrzał na leżących. Oprócz pistoletów strzałkowych i granatów byli wyposażeni w znajomo wyglądające strzelby laserowe. Blackcollar chwycił jedną z nich, ustawił na średnią moc i strzelił w instalację. Jasny błysk i korytarz pograżył się w zupełnej ciemności.

– Dzięki temu zyskamy nieco czasu – wyjaśnił i uchylił drzwi. Na schodach panowała cisza. Chwyciwszy więc Argentinianina za ramię, pociągnął go za sobą. – Zmusimy agentów do posługiwania się podczerwienią albo wzmacniaczami optycznymi. Idziemy. Ja zostanę z tyłu, na wypadek gdyby ktoś zaczął do nas strzelać.

Bez przeszkód dotarli do szczytu schodów. Tam Jensen wysunął się do przodu i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Przy nadbudówce dostrzegł wyjście, równie starannie zamaskowane jak to na piętrze. Siły bezpieczeństwa nie były w stu procentach przygotowane do akcji – dach pozostał nie obsadzony.

- Co teraz? – zapytał Argentinianin, nerwowo obracając w dłoni pistolet.
- Niech pan obserwuje schody, a ja sprawdzę ulice.

Jensen szybko zorientował się w sytuacji. Rzęsiste oświetlenie ulic eksponowało żołnierzy czających się wokół budynku. Komandos wyjrzał ze wszystkich stron, po czym wrócił na środek dachu, dokąd Waldemar wzywał go, gwałtownie kiwając ręką.

- Ktoś tu idzie – syknął.

Blackcollar spokojnie zdjął z ramion plecak i zaczął go przeszukiwać. Następnie podał Waldemarowi linę oraz zabraną z dołu strzelbę laserową.

– Niech pan przejdzie na skraj dachu, o tam, ale proszę się nie wychylać. Na dole aż roi się od kolabów, a nie chciałbym, żeby pana zauważyli.

Argentinianin wycofał się chyłkiem we wskazane miejsce. Komandos ponownie wyjął nunczako. Poprawił sakiewkę z shurikenami, po czym zbliżył się do drzwi prowadzących na główne schody. Przyłożył do nich ucho. Zgodnie z zapowiedzią usłyszał zbliżające się kroki. Oceniał, że ma przed sobą pięciu, do dziesięciu ludzi. Stał z boku i czekał, aż się pojawią.

Musiał przyznać, że agenci czegoś się już nauczyli. Zachowywali większą ostrożność. Nie rzucili się beładnie naprzód, lecz otworzyli drzwi kopnięciem i wyrzucili przez nie granat.

Jensen zareagował natychmiast, możliwie najciszej uskakując w bok, w róg nadbudówki. Na szczęście eksplozja nie była groźna i kiedy agenci sił bezpieczeństwa wdarli się na górę, on klęczał na

jednym kolanie, gotów do walki. Na słuch doliczył się siedmiu osób. Czterech żołnierzy ruszyło w kierunku Jensena, reszta w inne strony.

Akcja blackcollara przypominała polowanie na dzikie kaczki. Z tak małej odległości gwiazdki komandosa trafiły wszystkich w to samo miejsce: pomiędzy kask a napierśnik. Nie czekając nawet, aż napastnicy upadną, poderwał się na nogi i zaczął przemykać wzdłuż ściany. Pozostali agenci, usłyszawszy za plecami podejrzanego odgłosy, zawrócili, żeby zbadać, co się stało. Wszyscy trzej dostrzegli blackcollara, a jeden zdążył nawet przed śmiercią wystrzelić. Jensen zabrał trupom osiem granatów. Dwa z nich cisnął w dół obu klatek schodowych. Zatrzaskał drzwi, zanim jeszcze eksplodowały, po czym pospieszył do Cuttera.

Waldemar czał się za niską barierką, z bronią gotową do strzału, ale z wyrazu twarzy można było wnioskować, że jest sparaliżowany strachem.

– Niech mi pan da laser – szepnął komandos. – I zawiąże pętlę na linie.

Ledwie zdążył to powiedzieć, gdy w balustradkę wbiła się cała chmura obezwładniających pocisków wystrzelonych z ziemi. Huk wyrwał Waldemara z ośpienia. Oddał broń i zajął się węzłem.

Kpiąc w duchu z reakcji towarzysza, Jensen przetoczył się po dachu. Wyrzwał ponad występem. Powietrze znów przecięły strzałki i odbiły się od jego kasku. Nie zwracając na nie uwagi, ustawił laser na największą moc. Wystrzelił długą serię w podstawę najbliższej latarni. Poprzez świst przelatujących obok niego pocisków usłyszał trzask rozgrzewającego się metalu.

Zgasły światła.

Komandos opuścił broń. Wokół zrobiło się zupełnie ciemno. Dopiero dwie przecznice dalej widać było nikły blask. Nieźle, ale przecież agenci mogli skorzystać z systemu awaryjnego i nie dopuścić do ucieczki obłądzonych.

– Czy to pan zrobił? – zapytał Waldemar, kiedy blackcollar dołączył do niego.

– Tak. Lina gotowa?

Argentianin wcisnął mu ją w dłoń, a Jensen sprawdził po omacku, czy węzeł jest właściwie zawiązany.

– Dobrze. Na mój znak niech pan rzuci na chodnik jeden granat.

Komandos przygniół butem koniec liny, by się nie wysunął. Jensen wymierzył rzut, zanim jeszcze zniszczył latarnię, ale teraz i tak nieźle widział, gdyż wzrok przywykł już do rozproszonego światła docierającego tu z innych części miasta. Zakręcił pętlę, wycelował...

– Teraz! – szepnął, puszczając linę.

Za czasów szkolenia nie cierpiał wprost zajęć w posługiwaniu się lassem. Prowadzili je koniarze z Hedgehog i nie mógł darować, że są lepsi od niego. Pomimo to, a może właśnie dlatego, stał się w swoim oddziale mistrzem w rzucaniu liną. Kiedy więc rozbłysk granatu oślepił na moment wszystkie znajdujące się w pobliżu wzmacniacze optyczne, on zobaczył, jak pętla obejmuje solidnie wyglądający komin na budynku po drugiej stronie ulicy.

– W porządku. Mamy prawie gotowy zjazd na tamten trzypiętrowy dom. Przywiążę tylko koniec i możemy ruszać. -Z plecaka wyciągnął taśmę z przytwierdzonym do niej bloczkiem. – Niech pan to zamocuje na lewym nadgarstku – poleciał, kierując się do nadbudówki.

Jensen zaczął zawiązywać supeł na balustradzie schodów. Panująca na dole cisza nie wróżyła niczego dobrego. Być może członkowie Radixu bronili się nadspodziewanie skutecznie, lecz bardziej prawdopodobne, iż przygotowywano jakąś niespodziankę dla znajdujących się na dachu. Naciągnął linę, rozejrzał się po niebie i wrócił do Waldemara.

Ten wciąż klęczał, kryjąc się za występem.

– Coś się dzieje? – zapytał blackcollar, pomagając towarzyszowi przełożyć przez linę bloczek i zapiąć taśmy.

Argentianin z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Przecież oni musieli zobaczyć tę linę – szepnął.

– Niekoniecznie. – Komandos wziął od niego laser, po czym sięgnął po granat i odbezpieczył zapalnik. – Jest na tyle cienka, że nie widać jej na tle ciemnego nieba. Ponadto wybuch oślepił ich na chwilę. – Uniósł się nieco i cisnął granat poza przeciwległy skraj dachu. – To dla zmylenia przeciwnika -wyjaśnił, gdy rozległ się głuchy huk. – Niech pan się przygotowuje.

Waldemar wykonał polecenie. Jensen włożył tymczasem plecak, wyjął ostatnie dwa granaty i po kolei posłał je na dół.

Przełożył laser do prawej ręki, a lewą mocno chwycił taśmę do poruszania się po linie. Kiedy pociski eksplodowały, skoczył, pchając przed sobą Waldemara. Zaczęli zjeżdżać kołysząc się i obracając.

Cztery sekundy. Na tyle właśnie Jensen wyliczył czas tej podróży – cztery niebezpieczne sekundy, od których zależał ich dalszy los. Komandos wciąż trzymał laser w pogotowiu, z napięciem wypatrując strzałek. Ich pojawienie się świadczyłoby, że zostali wykryci. Ale nic takiego nie nastąpiło. Wreszcie lądowali na dachu, starając się wyhamować. Waldemar nie miał w tym żadnego doświadczenia i zamiast przyjąć uderzenie na całą płaszczyznę stóp, zgięty w pół zaczął się cofać. Komandos wypuścił kółko i po przebiegnięciu kilku kroków, stanął. Gra opłaciła się, a gdyby zdołał odzyskać przynajmniej część liny, żeby przerzucić ją dalej, mieli spore szanse na wydostanie się z oblawy. Sięgnął po shuriken i odwrócił się w stronę budynku Radixu. Wycelował.

Nagle z tyłu błysnęło światło lasera. Wiązka musnęła ramię Jensena i przepaliła linę zaledwie metr od niego. Jednocześnie rozległo się kilka eksplozji i biały, gęsty dym pokrył przestrzeń nad dachem.

Nie było nawet czasu na przekleństwa, choć same cisnęły się do ust. Pilot uskoczył w prawo, odrzucił od siebie broń i wyszarpnął z kieszeni maskę gazową, którą osłonił twarz. Widocznie czekali tu na niego, ukryci za nadbudówką. W taką pułapkę mógł wpaść tylko blackcollar. A on, jako profesjonalnie wyszkolony idiota, dał się nabrać.

Ponownie rozbłysły lasery, z trudem przebijając gęste opary. Jensen na ślepo rzucił wciąż trzymany w dłoni shuriken. Usłyszał, jak ten odbija się od czegoś metalowego. Przykucnął skulony, starając się być jak najmniej widoczny i zyskać czas na zastanowienie, co, u licha, teraz zrobić.

Zapewne kolaby wciąż miały nadzieję, że wezmą uciekiniera żywcem. W przeciwnym razie zestrzeliliby go bez trudu, kiedy wisiał na linie. Uporczywa chęć zdobycia jeńca mogła ich więcej kosztować niż przypuszczali. Obłok gazu usypiającego stanowił bowiem skuteczną zasłonę dla wszystkich znajdujących się na dachu. Nawet podcierwień oraz wzmacniacze optyczne nie zdawały się na wiele, szczególnie gdy sami oślepiali własne skanery wiązkami laserów. Gdyby tylko potrafił wykorzystać powstałą sytuację.

Rozważania przerwał szum nadlatującej z zachodu jednostki zwiadowczej. Jensen dojrzał w górze błyski ognia wyrzucanego z dopalaczy. Lecieli bardzo nisko...

Już nieraz z pozoru głupie pomysły okazały się jedynymi możliwymi do wykonania. Jensen wyprostował się i zaczął biec w kierunku nadbudówki.

Przeciwnicy byli czujni. Gdy komandos wykonywał zaledwie drugi szus, zaczęto strzelać z trzech miejsc jednocześnie. Dwie smugi prześlizgnęły się po jego klatce piersiowej i ramieniu. Ale znowu gęsty dym przyszedł osaczonemu z pomocą, rozpraszając w znacznym stopniu śmiertcionośne wiązki, które stawały się niegroźne dla dermopancerza. W ciągu tego ułamka sekundy komandos dostrzegł hełmy i pancerze. Zwiększył szybkość. Wiedział, że wrogowie na moment sami się oślepiłi.

Nie trwało to jednak długo. Ponownie zaczęły padać strzały, tym razem sięgały one jego piersi. Zaciskając zęby, Jensen zmienił nieco kierunek. Miał nadzieję, że podąży we właściwą stronę. W górze nasilał się szum silników zwiadowcy.

Mało brakowało, by wyminął nadbudówkę, lecz na szczęście dotknął jej ściany wyciągniętą ręką. Zatrzymał się i namacał drzwi. Były zamknięte.

Za plecami wyczuł jakiś ruch. Odwrócił się, błyskawicznie unosząc lewe ramię do bloku, a jednocześnie kontratakując wymierzył kopnięcie w tułów przeciwnika. Trafiony agent przewrócił się z hałasem. Z różnych stron słysząc ciężkie kroki, Jensen chwycił nunczako. Pot ściekał mu po twarzy, co jeszcze ograniczało i tak słabą widoczność. Zrzuciwszy z ramion plecak, zaczął wywijać swą bronią.

Walka była krótka, lecz gwałtowna. Za pomocą nunczaka powalił co najmniej dwóch agentów, unieszkodliwiając ich skutecznie, pomimo iż ciała mieli osłonięte pancerzami. Sam zaś zarobił zaledwie kilka sińców. Wciąż wymachując nunczakiem szerokim łukiem, by utrzymać przeciwników na dystans, znowu napał na drzwi, a następnie kopnął w nie energicznie.

Zamek puścił. W tej samej chwili dach przemienił się w piekło. Co najmniej pięć wiązek lasera trafiło Jensena w odsłonięte plecy. Pod dermopancerzem poczuł żywy ogień. Stracił dech... ale jego mięśnie zdawały się reagować niezależnie od mózgu. Nogi ugięły się i natychmiast wyprostowały, a dłonie szukały uchwytu na górnej krawędzi nadbudówki. Znalazłszy go, ręce dźwignęły całe ciało, które bezpiecznie wylądowało na daszku, podczas gdy lasery nadal demolowały drzwi.

Przez chwilę leżał na boku, ciężko oddychając przez maskę i czekając, aż zmniejszy się ból pleców. Miał zaledwie kilkanaście sekund, zanim oślepieni przeciwnicy odkryją, że nie zbiegł schodami. Zacisnąwszy zęby, podniósł się i spojrzał w górę. Widział już wyraźnie nie tylko błyski z dopalacza patrolowca, ale także płozy podwozia oraz kadłub. Zwiadowcy zbliżali się powoli. Poprzez szum motoru po raz pierwszy uszu Jensena doleciał odgłos, jakby rozpylania wyjątkowo ciężkiej, gęstej cieczy. Ujął pałeczki nunczaka, po czym rozciągnął łączący je łańcuch. Nie potrafił precyzyjnie ocenić odległości, z uwagi na wciąż spowijające go opary, a przecież decydujące znaczenie mógł mieć każdy

centymetr zasięgu ramion. Całą uwagę skoncentrował na zbliżających się światłach. Jeszcze tylko kilka sekund...

Nagle patrolowcem szarpnęło. Jednocześnie z dołu oddano do blackcollara dwa strzały. Został zauważony. Nie wahał się ani przez moment. Skupiając całą energię, wybił się w górę. Miał nadzieję, że statek wciąż jest tam, gdzie go widział, zanim powietrze wypełnił oślepiający błysk lasera. Jensen leciał przez długą chwilę, aż nagle znalazł się ponad warstwą dymu. Tuż nad głową uciekiniera przepływał statek zwiadowczy. Znajdował się niemal poza zasięgiem. Ostatnimi siłami komandos wyciągnął ramiona jeszcze wyżej i... łańcuch nunczaka zaczepił o lewą płożę.

Mężczyzna wisiał przez moment bez ruchu, analizując sytuację. Jednostka była skonstruowana analogicznie do tych używanych przez kolabów na Plinry. Z płoży mógł więc dostać się do dolnego wjazdu, a także do bocznych drzwi. Za wjazdem znajdowała się dysza rozpryskująca na dach oleiste krople. Lepka substancja miała zapewne unieruchomić wszystkich przebywających na dole. Komandos podciągnął się i zaczepił stopę o płożę. Już po chwili czaił się nieco poniżej drzwiczek. Załoga bez wątplenia zdawała sobie sprawę z jego obecności, więc Jensen musiał działać szybko, nim postanowią, co robić. Sięgnął w górę i chwycił zagłębioną dźwignię zamka. Nie próbował jednak otworzyć drzwi z zewnątrz, lecz z całej siły zaczął walić nunczakiem w tkwiące w nich okienko.

Jednostki tego typu nie były zaprojektowane do bezpośredniej walki, więc plastikowe szyby nie zdołałyby wytrzymać takiego traktowania. Trzecie uderzenie spowodowało pęknięcia, a siódme zupełnie roztrzaskało materiał. Blackcollar wyprostował się i lewą dłonią wciąż trzymając się dźwigni, prawą sięgnął przez rozbite okno do mechanizmu zamka.

Nagle statek zanurkował, a następnie wykonał szereg gwałtownych manewrów. Reakcja pilota okazała się jednak spóźniona. Jensen zdobył już solidny uchwyt i wysiłki sterującego pojazdem mogły co najwyżej utrudnić mu walkę z załogą. Zwiadowca skręcił w prawo, a w momencie gdy komandos natrafił na blokadę zamka, w lewo. Blackcollar poradził sobie, mimo że statkiem rzucało na wszystkie strony. Drzwiczki stanęły otworem. Gdy patrolowiec zaczął znowu nurkować, blackcollar wdarł się do środka.

Natychmiast rzuciło się na niego trzech mężczyzn, słabo wyposażonych, lecz starających się wykorzystać swą przewagę liczebną. W normalnych warunkach byłaby to niezwykle łatwa walka, lecz zmęczonemu i rannemu Jensenowi pokonanie przeciwników zajęło dziesięć, może piętnaście sekund. Starcie trwało za długo... Kiedy Plinrianin odwrócił się do pilota, ujrzał wpatrzony w siebie pełne przerażenia oczy. W tle chaotycznie wirowały światła miasta...

Uderzyli w ścianę budynku z głośnym chrzęstem metalu, a siła bezwładności rzuciła komandosa wprost na miażdżony dziób statku. Gdy spadali, niczego już nie czuł.

* * *

Sto kilometrów na południe od Calarandu szalała potężna burza. Czarne niebo niemal bez przerwy przecinały błyskawice. Towarzyszyła im ściana deszczu i grad osiągający nawet rozmiary pięści. Żaden z tych dużych kawałków lodu nie trafił jeszcze Kwona, lecz blackcollar wiedział, że jest to tylko kwestia czasu.

Leżąc na brzuchu u stóp Kwona, Hawking zdawał się w ogóle nie zauważać szalejącego wokół żywiołu. Przyciskał oko do teleskopu, z dłonią spoczywającą na jego pokrętle ostrości. Tkwił w takiej pozycji od dobrych dziesięciu minut, nie przejmując się wodą, która dostawała się pod jego poncho. Kwon podziwiał cierpliwość towarzysza. Choć sam był gotów zginąć dla przyjaciół, tak monotonne zadania doprowadzały go do szaleństwa.

– Jest o jakieś dwa metry za daleko na północ – zameldował Hawking, starając się przekrzyczeć odgłosy burzy.

Obserwując uważnie rozrywane błyskawicami niebo, Kwon zlokalizował punkcik kołyszący się na końcu długiego na kilometr włókna molekularnego. Dokładnie poniżej latawca widniał górny fragment więzienia Cerbe. Resztę budowli zasłaniało piętrzące się przed nią wzgórze. Hawking miał absolutną pewność, że personel więzienia nie zauważy wiszącego nad nimi obiektu. Ani latawiec, ani przymocowane do niego urządzenie nie miały żadnego metalowego elementu możliwego do wykrycia przez radar. Deszcz i grad skutecznie zaś zakłócały działanie czujników dźwiękowych oraz laserowych. Pogoda więc sprzyjała blackcollarom, ponieważ wykonanie operacji wymagało sporo czasu. Kwon na próbę przesunął się nieco w prawo i odwinął ze szpuli pół metra linki. Wiatr przy gruncie miał kierunek wschodni, lecz wyżej latawiec znalazł się w strumieniu powietrza pochylonym bardziej na północ. Gwałtowne jego porywy jednakże nie ułatwiały zadania.

– Jak teraz? – zapytał kolegę.

– Cokolwiek zrobiłeś, wróć do poprzedniego ustawienia -padła odpowiedź. – Znosi go za bardzo na pomoc.

– Dobra.

Strącając z nosa kroplę wody, Kwon nacisnął blokadę szpuli i zwinął metr linki. Już zamierzał zrobić krok w lewo, kiedy nagłe syknięcie spowodowało, że zamarł w bezruchu.

– Tak trzymaj! Jesteś nad celem!

Posłuchał, ostrożnie przenosząc ciężar ciała na obie nogi.

– W porządku – mruknął Hawking. – Zrobione. Wisi dokładnie nad wieżyczką. Odliczam: trzy... dwa... jeden... Puszczaj!

Kwon ponownie nacisnął blokadę, tym razem pozwalając szpuli obracać się swobodnie na gładkich łożyskach. Nie trzymany napiętą linką, latawiec powinien opaść prostopadle w dół...

– Idealnie! – stwierdził Hawking. – Zwijaj powoli. Kwon zahamował szpulę, chcąc, by latawiec poderwał się do lotu. Jeśli gadżet przyjaciela odpowiednio silnie uderzył w dach, cztery zaczepy powinny puścić, odłączając go od latawca.

– Wznosi się – poinformował Hawkinga, uważnie obserwując odległy punkcik.

– Wspaniale. – Twórca urządzenia wstał od teleskopu. -Popatrz sobie. Ja będę ściągał latawiec.

Kwon oddał szpulę, ostrożnie położył się na grząskiej trawie i przyłożył oko do lunety. W centrum pola widzenia znajdował się półkulisty występ na dachu głównego budynku – laserowa wieżyczka komunikacyjna, zapewniająca Cerbe bezpieczną łączność ze światem zewnętrznym. Bezpośrednio nad nią wisiała inna, nieco mniej regularna półkula, zupełnie nie odbijająca światła błyskawic. Jej wygląd

zbliżony do bańki nie był iluzją: urządzenie składało się wyłącznie z tysięcy cienkich niczym włos światłowodów, uformowanych tak, by jedne ich końce rozchodziły się promieniście we wszystkich kierunkach, a drugie łączyły się u podstawy.

– To coś ma rzeczywiście działać? – zapytał Kwon, podnosząc wzrok. W tej samej chwili wpadła mu do oka duża kropla deszczu.

– Jasne. – Hawking zwijał linkę z połową maksymalnej szybkości, a jednocześnie przyglądał się wzgórzom leżącym z prawej strony. – Lasery komunikacyjne zawsze wysyłają szeroką wiązkę, żeby przy dużych odległościach zminimalizować skutki jej rozproszenia. Bez względu na to, w którą stronę będzie skierowana, część światłowodów przechwyci ją i prześle do naszego odbiornika. To samo dotyczy sygnałów nadchodzących. Zupełnie proste i prawie niewykrywalne.

– Chyba że dostrzegą urządzenie.

– To im się nie uda. – Hawking przełożył szpulę do drugiej ręki i wskazał na prawo. – Przechwycony sygnał powinien trafiać gdzieś w okolice tych dwóch pagórków. Kiedy odbiornik znajdzie się na miejscu, to jeśli chcemy, właściwy punkt nasłuchowy możemy zorganizować nawet dziesięć kilometrów stąd.

– Jeśli tak twierdzisz. – Kwon wstał, otrzepał spodnie i spojrzał na zachód. – Burza chyba przechodzi. Błyskawice są coraz bardziej odległe. Zainstalujmy odbiornik, zanim ich czujniki znowu zaczną prawidłowo działać.

– W porządku. Masz, zajmij się latawcem, a ja złożę teleskop.

Kwon uśmiechnął się w ciemnościach, gdy ponownie wziął do ręki szpulę. Obawy Hawkinga o ukochany sprzęt obrosły już legendą.

– Nieźle nam idzie – stwierdził. – Vale mówi, że Haven i O'Hara są już prawie gotowi. My założyliśmy podsłuch na linię łączności kolabów, a Skyler z Novakiem do śniadania przywiozą Jensena.

– Wreszcie sprawy przyjmują pomyślny obrót – zgodził się Hawking, trzymając teleskop tak delikatnie jakby miał na rękach niemowlę.

Na wschodzie niebo znowu przecięła błyskawica.

Rozdział 22

Caine podniósł wzrok, gdy Lathe wchodził do kwatery blackcollarów, lecz po chwili znów pochylił się nad leżącą na stole mapą. Jednak sposób, w jaki dowódca zamknął drzwi, sprawił, że Allen spojrzał na niego ponownie. W wyrazie twarzy komandosa dominowały smutek i powaga.

– Co się stało? – zapytał.

– Jensen stracony – odpowiedział cicho.

– Nie żyje? – Mordecai był spokojny jak zwykle, ale grobowy ton głosu sprawił, że Ziemianin aż zadrżał.

– Nie wiem. – Lathe otarł czoło ręcznikiem przewieszonym przez ramię. – Skyler kontaktował się z nami jakieś pięć minut temu, a Dan złapał mnie i Bakshiego na skraju zasięgu. Kolaby zrobiły zapewne nalot na dowództwo w Millaire tuż przed ich przybyciem. Siły bezpieczeństwa właśnie szykowały się do odwrotu, więc musieli podchodzić zachowując wszelkie środki ostrożności. Nie zdołali się zorientować, czy Jensen zginął, czy też został schwytany.

– A może po prostu uciekł – wtrącił Caine.

Mordecai przecząco pokręcił głową.

– Wtedy nadal trzymaliby ludzi na stanowiskach.

– Masz rację – przyznał Lathe. – Termin obławy raczej wyklucza zbieg okoliczności. Chcieli mieć naszego człowieka i go dostali.

Usiadłszy ciężko na krześle naprzeciw Allena, utkwiał wzrok w przeciwległym końcu pokoju.

– Co zamierza Skyler? – zapytał po chwili Mordecai.

– Zostać i próbować go odnaleźć. Wyraziłem zgodę.

Tym razem Mordecai zapatrzył się gdzieś w dal.

– Zdajesz sobie sprawę, że będziemy musieli ściągnąć kogoś od Hawkinga, aby wzmocnić straż?

– Tak. Ale już pojutrze O'Hara i Haven odzyskają siły.

– Jeśli nie, czeka nas marny los. – Mordecai wzruszył ramionami. – W porządku. Chyba to niewiele zmieni, jeśli Skyler pozostanie tam przez dzień lub dwa. Może nawet odwrócić nieco uwagę od pozostałych. – Uniósł brwi. – Jak ćwiczenia?

Lathe odłożył ręcznik oraz broń przytroczone do pasa, po czym zaczął ściągać górną część dermopancerza.

– Nie ma wątpliwości. Bakshi to prawdziwy blackcollar. Jest niezwykle szybki i spostrzegawczy.

Caine zmarszczył czoło.

– Sprawdzacie Bakshiego? Czemu?

– Dobrze wiedzieć, z kim przyjdzie nam pracować – wyjaśnił dowódca. – A może już zapomniałeś jak Fuess spisywał się w Pasie?

– Przecież on nie jest niczemu winien. Słyszałem, że to efekt działania gazu paralizującego, którym zaatakowano ich jeszcze podczas wojny.

– Jasne – wtrącił Mordecai. – To dość wygodna wymówka.

– Szczególnie gdy na pozór unika się tego tematu, a jednak wszyscy o tym wiedzą – stwierdził Lathe. – Jaki efekt rozmów z Cameronem?

– Lianna Rhodes będzie tu za piętnaście minut. Wtedy przygotujemy listę dowódców lokalnych grup, z którymi skontaktujemy się po północy – odpowiedział Mordecai.

– Dobrze. Akurat zdążę wziąć prysznic.

Lathe zniknął w łazience, zabierając ze sobą jeden z shurikenów.

Caine poruszył się niespokojnie na krześle, wciąż nie mając przekonania do planowanej farsy. Od rana Lathe wraz z Mordecaiem spotykali się z dowódcami Radixu i omawiali z nimi szczegóły przydzielonych zadań, związanych z atakiem na więzienie Cerbe. Ogólny plan sprawiał wrażenie rozsądnego i możliwego do wykonania. Jednak wszyscy oni nie mieli pojęcia, że Lathe wymyślił go tylko po to, aby pozorowanymi działaniami odwrócić uwagę szpiegów sił bezpieczeństwa od jego spotkania z Lianną. Allena ciekawiło, jak zareaguje Tremayne, gdy wreszcie dowie się, że Lathe marnował czas i energię Radixu.

* * *

Mapa Cerbe nadal leżała na stole, lecz przytłaczające wiadomości z Millaire sprawiły, że Allen nie mógł skoncentrować się nad jej studiowaniem. Problem polegał na tym, że sam nie wiedział, co byłoby gorsze: śmierć Jensena czy wzięcie go żywcem. Rząd najwyraźniej za wszelką cenę chciał poznać cel misji blackcollarów. Jeśli zatem komandos żył, Caine zdawał sobie sprawę, co agenci zrobią, żeby wyciągnąć ze schwytanego tę informację.

– To jeszcze nie koniec – dobiegł go cichy głos. Ziemianin zaskoczony, iż ktoś czyta w jego myślach, podniósł wzrok i ujrzał przyglądającego mu się Mordecaia. – Zostali tam Skyler i Novak. Wyciągną Jensena, oczywiście jeżeli jeszcze żyje.

– Tak – Caine mruknął bez przekonania.

Może się uda, dopowiedział w myślach. A może zginą wszyscy trzej.

* * *

– Żyje? – Galway nie mógł uwierzyć.

Prefekt sił bezpieczeństwa Apostoleris przytaknął, zadowolony z siebie.

– Tak. Kosztowało nas to piętnastu ludzi i statek patrolowy, ale się opłaciło.

Pułkownik Eakins odłożył słuchawkę telefonu.

– W szpitalu mówią, że jego stan pozwala na przeniesienie do naszego więzienia – doniósł.

Prefekt skinął głową.

– Dobrze. Galway, jedziemy do Millaire, żeby zacząć przesłuchanie.

– Teraz? – zdziwił się Plinrianin. – Sądziłem, że chce pan, abym został w Cerbe i dopilnował przygotowań.

Apostoleris machnął tylko ręką.

– Nie ma potrzeby. Nasi informatorzy donoszą, że atak

Lathe'a nie nastąpi w ciągu najbliższych dwudziestu pięciu godzin. Przesunąłem akcję przetrzymywania więźniów na dzisiejsze popołudnie, więc kiedy tamci wyruszą, my będziemy już solidnie

przygotowani. Weteranów ukryjemy sześćdziesiąt metrów pod ziemią. Brzmiało to dość logicznie, a jednak...

– Prefekcie, pańscy szpiedzy już raz się pomylili co do zamiarów Lathe’a. Sądzę więc, że bardziej przydam się w Cerbe niż...

– Pan zna Jensena; kulturę, w której spędził on ostatnich trzydzieści pięć lat – powiedział Argentinianin cichym lecz stanowczym tonem. – Zakładam, że zdaje pan sobie sprawę, jak duże ma to znaczenie podczas przesłuchania.

– Tak jest. – Galway poczuł się nieswojo pod ciężkim spojrzeniem Apostolerisa. – Może jednak sprowadzić Jensena tu, do Calarandu? W ten sposób mógłbym brać udział zarówno w przesłuchaniach jak i przygotowywaniu Cerbe.

Apostoleris pokręcił głową.

– Wolałbym zatrzymać go tam, bo wtedy Lathe musi rozdzielić siły, żeby podjąć próbę odbicia przyjaciele. W Millaire jest już dwóch blackcollarów, co wyłącza ich z głównych działań.

– I tak nie wygląda to dobrze – rzekł Galway ostrożnie. Widział już, czego potrafi dokonać zaledwie dwójka komandosów.

– Nie ma najmniejszego zagrożenia. Novakowi i Skylerowi towarzyszy nasz człowiek. – Prefekt zwrócił się do pułkownika. – Eakins, czynię pana odpowiedzialnym za transport więźniów. Proszę się upewnić, czy Henslowe także przygotowano na jakieś nieoczekiwane działania Lathe’a, mogące nastąpić w ostatniej chwili. – Wstał i kiwnął na Plinrianina. – Ruszajmy. Nie możemy pozwolić, żeby Jensen na nas czekał.

Galway podniósł się bez słowa. Złe przeczucia nadal go nurtowały, gdy podążał za Apostolerisem.

Rozdział 23

Więzienie Cerbe było przygotowane.

Komendant Kurz Ehrhardt z uzasadnioną dumą omiótł wzrokiem centrum sterowania. Zaledwie godzinę temu nadeszła wiadomość, że transport przybędzie o dzień wcześniej niż planowano pierwotnie, ale jego ludzie poradzi sobie z tym problemem. Wieżyczki z bronią laserową obsadzono, pomieszczenia dla więźniów przygotowano, a rezerwowa zmiana strażników pozostawała w pełnej gotowości, gdyby zaszła potrzeba jej wezwania. Dwa uzbrojone transportowce, które wystartowały z Calarandu kilka minut temu, dotrą tu za jakieś pół godziny. Kiedy załogi Sił Gwiezdných znajdą się już w Cerbe, nikt ich stąd nie wyrwie. Ktokolwiek by w to wątpił, rozczaruje się gorzko, choćby nawet był blackcollarem.

– Komendancie? – funkcjonariusz sił bezpieczeństwa dyżurujący przy panelu komunikacyjnym przerwał jego rozważania. – Zbliża się pojazd powietrzny. Bez żadnych znaków rozpoznawczych, ale pilot twierdzi, że są z sił bezpieczeństwa. Lecą w pilnej sprawie. Proszą o zezwolenie na lądowanie.

Jakaś nowa sztuczka? Jeśli tak, to źle trafili, nic nie działają. Ehrhardt sięgnął po mikrofon przyczepiony do pasa i przestawił go na zewnętrzną częstotliwość.

– Tu komendant Ehrhardt. Proszę podać cel wizyty.

– Zadanie ściśle tajne, tylko do pańskiej wiadomości -odpowiedział pilot.

Funkcjonariusz obsługujący centrum wyświetlił na ekranie twarz sterującego pojazdem mężczyzny. Komendant przyjrzał się z uwagą młodemu człowiekowi w cywilnym ubraniu, z poważnym obliczem, w skupieniu prowadzącemu maszynę.

– Czy posiada pan kod identyfikacyjny? – zapytał szef służby więziennej, starając się zachować naturalne brzmienie głosu.

Zapanowała cisza tak wymowna, że zawiesił już palce nad przyciskami uruchamiającymi systemy alarmowe.

Pilot zniknął. Na monitorze pokazała się twarz kobiety siedzącej na jednym z foteli obok.

– Komendancie, tu agentka specjalna Renee Lucas, podległa bezpośrednio prefektowi sił bezpieczeństwa Apostolerisowi. Kod wstępny: grudzień, podorbita, dezintegracja. Zaraz nadamy główny kod identyfikacyjny.

Ehrhardt wypuścił powietrze z płuc, a panujące w pomieszczeniu napięcie zniknęło. Uświadomił sobie, że właściwie miał nadzieję, iż zbliżająca się maszyna została wysłana przez Radix. Jakby naprawdę zależało ci na walce! – strofował się w myślach. Kod słowny i przekazany właśnie przez wieżyczkę komunikacyjną elektroniczny holokod były zgodne z tymi, które osobiście uzgodnił z Apostolerisem zaledwie przed sześcioma godzinami. Jeśli agentka Lucas to autentyczna osoba, musiało zdarzyć się coś naprawdę ważnego. Komendant polecił zezwolić na lądowanie, a sam udał się na dziedziniec, aby osobiście przyjąć wysłanniczkę.

Centrum sterowania mieściło się na najniższej podziemnej kondygnacji. Gdy dotarł do głównej bramy, jednostka już wylądowała. Agentka Lucas, a za nią pilot i jeszcze jeden młody mężczyzna w cywilnym ubraniu szli szybkim krokiem w stronę budynku.

Szef służby więziennej obserwował zbliżającą się załogę, mrużąc oczy i czując ogarniające go wątpliwości. Dostęp do laserowego systemu łączności był wykluczony. Poza tym towarzysze kobiety najwyraźniej zażywali iduninę znacznie dłużej niż przybyli z Plinry blackcollarowie. Ale Ehrhardta wciąż coś niepokoiło w tych ludziach. Może ich chód...

Komendant podszedł do oficera straży, stojącego przy masywnej bramie.

– Pełne skanowanie, kiedy będą wchodzili. Niech pan sprawdzi, czy nie mają ze sobą jakiegokolwiek broni. Jeśli są czyści, do strażnicy proszę przerzucić dodatkowych ludzi, a identyfikatory przybyłych poddać szczegółowej kontroli.

– Mogą ich ze sobą nie mieć – zauważył kapitan. Ehrhardt zmarszczył brwi. Tak, jeśli powierzono im zadanie specjalne, zapewne zostali ich pozbawieni.

– W takim razie... przeskanujcie ich i zróbcie komputerowe porównanie wzorów siatkówek z fotografiami z Plinry. I niech ani na chwilę nie odstępują ich sześciu uzbrojonych wartowników. Z pistoletami strzałkowymi, nie z laserami. Jasne?

– Tak jest.

Kapitan sięgnął do mikrofonu. Chwilę później nadeszli niespodziewani goście.

Zwykły rytuał powitania został sprowadzony do minimum. Widać było, że agentka Lucas spieszy się, a nie chce mówić w obecności osób trzecich. Ehrhardt domyślił się w czym rzecz i bez słowa, w otoczeniu czterech członków eskorty, poprowadził ją do swojego biura.

– Proszę usiąść – rzekł przechodząc za biurko. Poza zasięgiem wzroku kobiety, na jednym z ekranów ukazała się informacja, że nie wykryto żadnej broni. Szef spojrzął na obstawę i polecił żołnierzom, by wyszli. – Pani ludzie są sprawdzani na dole – wyjaśnił, gdy drzwi się zamknęły i pozostali sami. – To oczywiście rutynowe działanie...

– Nieważne. – Wciąż stała obok krzesła. – Przybyłam tu, aby ostrzec, iż wkrótce może nastąpić atak na więzienie.

Zmarszczył czoło.

– W porządku... Jesteśmy na to przygotowani.

– Tak się tylko panu zdaje. Sytuacja uległa radykalnej zmianie. – Ruchem głowy wskazała monitory systemu dowodzenia. – Będzie pan musiał natychmiast przełączyć sterowanie laserami i usunąć strażników z wieżyczek. Wartownicy znajdujący się na zewnątrz także powinni zostać przewiezieni do budynku.

– Brzmi to tak, jakbym miał oczekiwać szturmu z powietrza.

– Celne spostrzeżenie. Według naszych informacji rebelianci posiadają Korsarza, którym mogą nas zaatakować.

Na monitorze pojawiła się kolejna informacja. Badanie siatkówek wskazało, że istnieje tylko dwadzieścia jeden procent prawdopodobieństwa, iż któryś z towarzyszy Lucas może być blackcollarem z Plinry. Komputer wciąż czekał na dokładniejsze dane ze strażnicy.

– Zdaję sobie sprawę z takiego zagrożenia, ale podobno skradziony Korsarz nie wylądował na Argencie. Nawet jeśli jakimś cudem udało mu się ukryć na bliskiej orbicie, nie może ruszyć do natarcia nie zdradzając wcześniej swojej obecności.

– Oczywiście. Tylko że nie o ten okręt nam chodzi. Pół godziny temu dostaliśmy informacje od Ryqrilów, iż zniknął jeden z miejscowych Korsarzy.

– Nie słyszałem o tym – rzekł ostrożnie komendant. Przecież to, co mówiła, wydawało się wprost niemożliwe.

– Bo nikt prócz garstki wybranych osób nie słyszał. Jeśli rebelianci założyli podsłuch na sieć komunikacyjną, lepiej żeby nie dowiedzieli się, że kradzież została już ujawniona. Stąd właśnie moja tu obecność. – Niecierpliwie machnęła dłonią. – Jeśli ma pan wątpliwości, proszę skontaktować się z lotniskiem Brocken, aby potwierdzono zdarzenia o kryptonimie LL-18.

– Nie, w porządku – odpowiedział, myśląc usilnie. To dosłownie przewracało do góry nogami cały system obronny więzienia. Korsarz czający się tuż za horyzontem mógł znaleźć się nad ich głowami zaledwie w ciągu dziesięciu sekund, albo w jeszcze krótszym czasie. Gdyby zniszczył wszystkie wieżyczki, zanim sterowanie laserami przejmie podziemne centrum, do obrony pozostaną tylko zabezpieczenia znajdujące się w samym budynku. System obrony, zakładający automatyczne sterowanie urządzeniami zewnętrznymi w razie przejścia centrum kontrolnego, co zresztą wydawało się niemożliwe, nagle w takiej sytuacji tracił skuteczność.

– Dobrze – powiedział wolno komendant i sięgnął po mikrofon. – Zazwyczaj wolę, aby broń obsługiwali ludzie, nie automaty, ale nie widzę sposobu, żeby rebelianci mogli to wykorzystać. – Zawahał się przez chwilę. – Chyba że ukradli także ciężki czołg.

Lucas zmarszczyła nieco brwi.

– Trafna uwaga. O niczym takim nie doniesiono, lecz należałoby sprawdzić tę hipotezę. Niewykluczone, że zdobycie Korsarza to tylko wybryk jakiegoś szaleńca.

Ehrhardt przytaknął, zadowolony z siebie. Skontaktował się z centrum sterowania i rozkazał odwołać ze stanowisk strzelców i znajdujących się na zewnątrz wartowników. Drugie połączenie miało na celu upewnienie się, czy nie uprowadzono jeszcze innego sprzętu wojskowego. Jak na razie nie było powodu do niepokoju.

– Coś jeszcze? – zapytał, kiedy zakończył wydawanie poleceń.

– Nie. Sądzę, że to wszystko. Dziękuję za współpracę, komendancie. Mam nadzieję, że te środki bezpieczeństwa w praktyce okażą się niepotrzebne. – Spojrzała na zegarek. – Transportowiec z więźniami wylądował tu za pięć minut. Może przejdźmy do centrum kontrolnego.

– Tak, powinienem tam być – rzekł z wahaniem szef więzienia. – Przykro mi jednak... Nie pomyślałem o tym wcześniej... ale nie dostanie się pani do środka bez potwierzonego identyfikatora. A skoro nie pokazała mi go pani...

– Zgadza się – przyznała. – Nie noszę go przy sobie. Zapomniałam, jak działa wasz system. W takim razie po prostu poczekam przy jakimś monitorze.

– Oczywiście – wyraził zgodę Ehrhardt nieco zmienionym tonem.

Czyżby agent specjalny naprawdę nie pamiętał, jak działa system bezpieczeństwa wyższego poziomu?

W pierwszym odruchu chciał nacisnąć przyciski alarmowe na biurku, żeby Lucas i jej towarzyszy otoczyli ludzie z laserami. Powstrzymał się jednak. Lepiej popuścić im nieco wodzy... bo jeśli rzeczywiście są szpiegami Radixu, może uda się dowiedzieć, co planują.

– Oczywiście – powtórzył wstając. – Proszę zatem udać się do wartowni i na tamtejszych monitorach obserwować, co się dzieje.

Wysłanniczka przytaknęła i oboje wyszli do poczekalni. Ku zdziwieniu komendanta, w pomieszczeniu zastali tylko dwóch spośród czterech strażników, którzy powinni tu czekać.

– Gdzie reszta? – warknął, a jego dłoń powędrowała w stronę przycisku sygnalizującego niebezpieczeństwo.

– Obawiam się, że nie są w tej chwili osiągalni – odpowiedział jeden z nich... i ręka Ehrhardta zamarła w pół ruchu, gdy spojrzał na twarz strażnika.

– Mój Boże! – wysapał. Jego wzrok błyskawicznie powędrował ku monitorowi na biurku sekretarki, gdzie spodziewał się zobaczyć komunikat alarmowy. Ale na ekranie dostrzegł tylko zwykłe informacje. – Nie macie prawa tu przebywać. Całe to piętro jest na podglądzie.

– Z pewnością – zgodził się uprzejmie pilot pojazdu powietrznego, jednocześnie odbierając komendantowi mikrofon. Mężczyzna był wysoki i barczysty, tak że mundur sił bezpieczeństwa z

trudem opinał jego tors. – I zatrudnia pan człowieka, który obserwuje monitory. Ma on w zasięgu ręki przycisk alarmowy.

– No właśnie – przyznał Ehrhardt. Widok tej potężnej postaci przywiódł mu na myśl informacje przekazane przez wywiad. – Pan nazywa się Kelly O’Hara, prawda? A pan... -spojrzał na drugiego -jest zapewne Taurusem Havenem. Dwójka, która ostatnio zniknęła z pola widzenia. Ukryta, by móc przejść intensywną terapię iduninową, nieprawdaż?

Haven bez słowa skłonił się lekko.

– Prosta metoda kamuflażu, ale jak się okazuje niezwykle skuteczna. Teraz proponuję, żebyśmy wszyscy spokojnie przeszli do centrum sterowania.

– Nic z tego – oświadczył szef więzienia, zaciskając dłonie w pięści. – Już wyjaśniłem waszej współpracownicy, że nie można dostać się tam bez identyfikatorów.

– Nie ma sprawy. – O’Hara wzruszył ramionami. – Po prostu pozwolimy panu otworzyć drzwi za pomocą własnej karty i wtedy jeden z nas bez problemu wejdzie do środka.

Komendant przygryzł wargę. Uznał, że to może się udać. Co prawda wartownik kontrolujący monitory miał zapobiegać podobnym manipulacjom, ale jeśli już się go pozbyli...

Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Zdał sobie sprawę, że może przyjdzie zginąć.

– Nie potrafię tego zrobić – odezwał się niezwykle spokojnym tonem. – Ulojalnienie nie pozwoli mi dokonać takiego oszustwa, nawet pod groźbą śmierci. Wzięcie mnie jako zakładnika także nic wam nie da. Moi ludzie nie ulegną szantażowi. -Poczuł, że mięśnie policzka drgają mu w nie dającym się opanować tiku. – Cóż, będziecie musieli mnie zabić, żeby się o tym przekonać.

– Może tak, może nie – odpowiedział flegmatycznie Haven. – Proszę powiedzieć, czy ulojalnienie wymaga od pana poświęcenia życia za nic?

– Nie rozumiem.

– Pańska śmierć nie powstrzyma nas przed przejściem centrum – ciągnął komandos. – Posiadamy pański identyfikator, a w razie konieczności możemy dysponować pana odciskami palców i wzorem siatkówki.

– Jak? Wlokąc mnie wrzeszczącego przez korytarz? – prychnął Ehrhardt.

– Ależ skąd – zaprzeczył blackcollar. – To co będzie nam potrzebne nie potrafi krzyczeć.

Komendant utkwił w nim wzrok i nagle krew odpłynęła mu z twarzy, gdy zrozumiał sens tych słów.

– Nie zrobicie tego! – wyszeptał.

– Widać, nie zna pan nas jeszcze – oświadczył O’Hara rzeczowym tonem. – Odcięte dłonie i głowa mogą być wykorzystywane przez kilka godzin, zanim maszyna przestanie rozpoznawać wzór siatkówki. Wiem o tym, bo już widziałem jak tak robiono. Decyzja należy do pana.

Ehrhardt poczuł, że zupełnie wyschło mu w gardle.

– Najpierw jedno pytanie. Od bramy towarzyszyło wam sześciu strażników. Co się z nimi stało?

– Obok sekcji monitorującej jest fragment korytarza, którego nie pokrywają żadne urządzenia. Pańscy ludzie mają niebezpieczny dla nich zwyczaj zbijania się w gromadę. Unieszkodliwiliśmy ich więc wszystkich, a potem poszliśmy porozmawiać z dyżurującym obserwatorem.

– Ale nawet jeśli was nie widziano, musiały dobiegać jakieś odgłosy walki...

– Zadbaliśmy, by nic nie było słychać – wyjaśnił O'Hara. Trzech na jednego... Poradzili sobie też ze strażnikami, nikogo nie alarmując. A więc nic nie zdoła ich powstrzymać, uświadomił sobie w końcu Ehrhardt. Tak czy inaczej dostaną się do centrum sterowania... a poza tym mieli rację – bez specjalnych rozkazów, ułożenie nie wymagało od niego daremnego poświęcenia życia.

– Trudno – rzekł wreszcie. – Wprowadzę was. Ale nawet w pełni kontrolując system obrony, nie utrzymacie długo więzienia. Na poszczególnych poziomach znajduje się ponad stu strażników, a dodatkowe siły mogą tu dotrzeć z Calarandu zaledwie w ciągu dwóch godzin.

– To już nasze zmartwienie. Idziemy.

Komendant nie widział, co się działo, kiedy Haven zniknął za drzwiami centrum kontrolnego. Jedno nie ulegało wątpliwości; żaden z tamtejszych pracowników nie zdążył uruchomić alarmu.

– Kto następny? – zapytał Ehrhardt, trzymając w ręku identyfikator.

– Nikt. – O'Hara spojrzał na zegarek i wskazał korytarz. -Idziemy na górę.

Bez przeszkód dotarli do wind. Gdy weszli do pustej kabiny, Ehrhardt pomyślał, by nacisnąć przycisk alarmowy. Ale gdy centrum sterowania znajdowało się w rękach wroga, byłby to próżny gest. I zapewne przypłaciłby go życiem. Nacisnął guzik „parter”, trzymając się z dala od alarmu.

– Teraz proszę uważnie posłuchać – odezwał się komandos, kiedy dźwig ruszył. – Transportowce z więźniami powinny już wylądować. Mój przyjaciel poleci ich pilotom i strażnikom, żeby zbliżyli się do bramy, ponieważ musi pan z nimi porozmawiać. Zamierzamy ich zamknąć, wraz z panem, w wartowni. Tak się stanie, jeśli zechce pan z nami współpracować. Jeżeli nie, wszyscy zginą.

– Zrobicie to, korzystając z ciężkich laserów na wieżyczkach? – zapytał z goryczą w głosie komendant.

– Albo z tych przy wejściu. Wolałbym obejść się bez rozlewu krwi, a więc decyzja należy do pana.

Ehrhardt z trudem przełknął ślinę. Drzwi windy otworzyły się i całą trójką wyszli na korytarz. Przed nimi znajdowała się główna brama, a przez jej solidne okratowania widzieli ludzi na dziedzińcu. Czterech strażników obserwowało przybyłych. W głowie komendanta roiło się od pomysłów, jak ostrzec wartowników, albo poświęcając tę czwórkę, zaalarmować wszystkich będących na zewnątrz. Dobrze jednak wiedział, że nie odważy się na realizację którejkolwiek z tych koncepcji. Teraz nic już nie powstrzyma blackcollarów, a poświęcanie życia podwładnych byłoby z jego strony głupotą, nie zaś przejawem lojalności wobec władz. Teraz lepiej obserwować bieg wydarzeń, starając się zorientować co do dalszych planów komandosów.

Piętnaście minut później transportowce wystartowały z więziennego dziedzińca, z tymi samymi pasażerami na pokładach i dwoma blackcollarami u sterów. Przyciśnięty do ściany wartowni przez tłum przeklinających wartowników, Ehrhardt patrzył, jak znikają za wzgórzami na zachodzie. Wreszcie powoli zaczęło do niego docierać, co się właściwie zdarzyło, i wówczas uświadomił sobie, iż wkrótce

przyjdzie mu zapłacić za poniesioną porażkę. A mimo to nie mógł się powstrzymać przed podziwem dla umiejętności i odwagi tych, którzy przeprowadzili tę operację.

Wątpił jednak, by prefekt Apostoleris potrafił spojrzeć na zaistniałe wypadki od tej właśnie strony.

Rozdział 24

Pierwsze, co dotarło do Jensena, gdy z trudem wracała mu świadomość, to ból.

Ale nie ten ręk czy piersi, będący rezultatem kraksy i poprzedzającej ją walki – nad nim mógł dość łatwo zapanować. Prawdziwy ból pochodził z przodu czaszki, jakby jakiś gigant wciskał swe kciuki w oczy komandosa. Znal już to uczucie, więc zanim jeszcze w pełni odzyskał przytomność, wiedział, czego próbują.

Wygląd pomieszczenia, w którym się znajdował, także go nie zdziwił. Niewielkie, proste, sprawiające wrażenie niedostępnego, jak każda cela do przesłuchań na obszarze DIT-u. Jego nagie ciało przywiązane było do twardego krzesła, a ręce rozkrzyżowane, co ułatwiało dostęp do żył. Jakies kable i rurki oplatały go ze wszystkich stron, przed nim zaś stało dwóch mężczyzn w mundurach sił bezpieczeństwa.

– Obudził się – usłyszał czyjś głos.

Jensen z trudem skoncentrował wzrok na twarzach oprawców.

– O, prefekt Galway – wycharczał. Spróbował przełknąć ślinę i po chwili odezwał się ponownie, tym razem już wyraźniej. – Co sprowadza pana na Argent?

Galway spojrzał na jeńca chłodno.

– Witam, Jensen. De jeszcze chciałby pan pożyć? Komandos uśmiechnął się, choć to spotęgowało i tak trudny do wytrzymania ból.

– Nie za długo. Dziękuję. Widzę, że weryfina nie poskutkowała.

Wyraz twarzy Galwaya nie zmienił się, lecz oblicze znajdującego się za nim mężczyzny pociemniało. Blackcollar wskazał na nieznajomego głową.

– Kto to? Nie przypominam sobie nazwiska.

– Prefekt sił bezpieczeństwa Apostoleris – wycodził dostojnik. – Na pańskim miejscu liczyłbym się ze słowami. Jestem gotów choćby po trupach zmieść tę waszą bandę ze swojej planety.

Dość ostra reakcja, stwierdził Jensen. Przeniósł wzrok z powrotem na Galwaya i zapytał:

– Co tym razem narozrabiał Lathe?

Plinriański urzędnik popatrzył pytająco na swego kolegę, który niecierpliwie machnął ręką.

– Poddał kuracji iduninowej dwóch ludzi, zapewne O'Harę oraz Havena, i wysłał ich do więzienia Cerbe z szefową jednej z komórek Radixu. Zdobyli centrum dowodzenia, po czym odlecieli transportowcami pełnymi weteranów Sił Gwiazdnych, zanim ktokolwiek zrozumiał, co się dzieje.

– Interesujące – mruknął komandos.

– Owszem, interesujące – powtórzył Apostoleris. – Podobnych akcji nie robi się wyłącznie dla zabawy. O czym tak ważnym dla was wiedzą ci ludzie?

Blackcollar wzruszył ramionami, co w jego sytuacji nie było łatwe.

– Niech pan posłucha, Jensen – rzekł Galway. – Nie sędzę, żeby spodobały się panu niespodzianki przygotowane przez prefekta. Dysponujemy środkami, które zniszczą pana psychicznie, a poza tym są inne sposoby na złamanie krnąbrnego więźnia, jak choćby umieszczenie w zbiorniku izolacyjnym, nie mówiąc już o zwykłych torturach fizycznych. Zapewne jest pan wyćwiczony w znoszeniu bólu, ale dotychczas nikt nie wytrzymał powolnego ćwiartowania ciała.

– Możliwe. – Spokojny ton, który Jensen nadał swojej odpowiedzi, był zapewne zbędny. Niewątpliwie ci dwaj wiedzieli, jak blackcollarowie postrzegają śmierć pod nożem oprawcy. – Zadawanie tortur pochłania jednak mnóstwo czasu.

– Twierdzi więc pan, że pańska misja dobiegła już końca? -zapytał Apostoleris.

– Niekoniecznie. Po prostu mogę zostać uratowany, zanim skończycie.

Nie zaszkodziło zasugerować takiej możliwości, lecz sam wiedział, że Lathe nie podjąłby równie wielkiego ryzyka tuż przed decydującą rozgrywką. Ale prefekt nie miał o tym pojęcia, a każdy dodatkowy człowiek strzegący pojmanego ułatwi zadanie towarzyszom.

– Oczywiście, chociaż na pańskim miejscu nie liczyłbym na ocalenie. Nawiązanie kontaktu z weteranami jest zatem jednym z ostatnich etapów. Ciekawe. Nie planujecie zabrać Ryqrilom ich jednostek i dołączyć do Chryseli, prawda? To byłoby zresztą trudne. Ryqrilowie nie daliby się już zaskoczyć tak jak na Plinry. Ponadto u nas nie macie tłumu dzieciaków, za których plecami moglibyście się chować. Nawet gdyby się wam udało wesprzeć Chryseli, to co? Przecież te włochate stwory nie są godnymi zaufania aliantami. Kiedyś już odwrócili się od was, gdy generał Lepkowski prosił o pomoc.

Jensen milczał. Strzały prefekta trafiały niebezpiecznie blisko celu.

Dostojnik właściwie zinterpretował brak odpowiedzi.

– Cóż, komandosie, straciłeś pewność siebie? Nie odpowiada panu kierunek, w którym zmierza nasza rozmowa?

– Niech pan sobie mówi, co chce. Proszę się jednak nie spodziewać, że wyciągniecie ze mnie cokolwiek.

– Zobaczymy. – Apostoleris spojrział gdzieś w górę. – Przygotujcie numer jeden – rzucił.

– Nie zamierza pan nawet, jak zwykle, dać mi godziny na przemyślenie, co mnie czeka? – zapytał Jensen, wciąż siląc się na kpiący ton.

– Sam pan mówił, że nie mamy zbyt wiele czasu. Zaczniemy od sposobów nie wyniszczających organizmu, na wypadek gdyby okazał się pan rozsądny. Później... No cóż, są pewne bardzo bolesne metody bezpośredniego oddziaływania na system nerwowy. Oczywiście te powodują nieodwracalne skutki... – Urwał na moment – Chciałby pan coś powiedzieć, zanim zaczniemy?

– Chyba tylko „idź do diabła”. Prefekt wzruszył ramionami.

– Kiedy zmieni pan zdanie, proszę krzyknąć. Jeżeli jeszcze pan zdoła to zrobić, rzecz jasna.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Galway stał przez moment, patrząc na blackcollara, ale po chwili także zniknął, trzasnąwszy drzwiami. Echo odbijało się jeszcze od ścian, gdy zgasły światła. Ciała pograżyła się w zupełnej ciemności.

Oślepienie – standardowe podejście psychologiczne, myślał ponuro Jensen, a jednocześnie głębsze partie mózgu przysposabiały się do walki z bólem. Wiedział, że wytrzyma wszystko, co wymyślą, przynajmniej tak długo, ile potrwa misja Lathe’a. Później...

Nie było sensu myśleć, co wtedy nastąpi. Teraz musi się skoncentrować na przetrwaniu pierwszego starcia.

Nagle, bez jakiegokolwiek ostrzeżenia, potężne uderzenie elektryczne przebiegło przez lewą połowę jego ciała. Zaciskając zęby, żeby nie poranić języka, Jensen przygotował się na czekające go długotrwałe cierpienia.

* * *

– Bezpośrednie natarcie jest wykluczone – oświadczył Deal Valentine, kiedy zatrzymał samochód na światłach. – Budynek ma podwójne posterunki straży przed głównym wejściem, system obronny dziedzińca i czujniki umieszczone w ścianach. Zginiemy, zanim dostaniemy się do wewnątrz. Z pewnością wasze rozpoznanie pozwoliło ustalić dokładnie to samo.

– Co więc pan proponuje? – zapytał cicho Novak, a Skyler kręcił się niespokojnie na tylnym siedzeniu, z trudem panując nad kłębiącymi się w głowie myślami.

– Penetrację – odpowiedział Argentianin. – Lathe i O’Hara pokazali już, co można zdziałać dysponując odpowiednimi kodami. Ulojalnione umysły są mniej sprawne, więc jeśli przedstawić im to, co spodziewają się zobaczyć, istnieje szansa na wejście do środka.

– Świetnie – skwitował cierpko Skyler. – A w jaki sposób mamy zdobyć identyfikatory? Rozwiązanie Caine’a nie znajdzie tu zastosowania.

– To prawda... ale żołnierze nie zdołają dokładnie kontrolować wszystkich wchodzących. Jeżeli będziemy mieli identyfikatory z niezłymi zdjęciami, sztuczka może się udać.

Skyler, pełniący funkcję dowódcy ich niewielkiej grupy, zmarszczył czoło. To było interesujące spostrzeżenie. Inaczej niż w Calarandzie, w Millaire instytucje rządowe mieściły się w jednym, dziewięciopiętrowym budynku. Podczas dwugodzinnego pieszego zwiadu wraz z Novakiem zaobserwowali zadziwiającą różnorodność ludzi przekraczających główną bramę. Zauważyli, że zwykłym obywatelom przydzielano uzbrojoną eskortę przeprowadzającą ich przez dziedzińiec. Propozycja Valentine’a wydawała się zatem warta rozważenia.

– Nie wykluczam takiej ewentualności – rzekł w końcu blackcollar.

– To dobrze... Spróbujmy zatem zdobyć identyfikatory. Mam pewien pomysł. – Valentine skrzywił w lewo, ponownie kierując się do dzielnicy zdominowanej przez biurowce. – Kiedy wy wybraliście się na zwiady, ja także nie próżnowałem. Udało mi się skontaktować z niedobitkami pozostałymi po tutejszej komórcie Radixu.

– I jaki rezultat?

– Dowiedziałem się, że nasz fałszerz identyfikatorów jest wciąż na wolności.

Skyler zmienił pozycję, żeby móc obserwować twarz Argentinianina.

– Dokumenty są dobrze podrobione?

– Niemal perfekcyjnie.

– Ale jeśli danych nie ma w komputerze, dlaczego... – Novak urwał nagle, gdy przyjaciel dał mu znak poprzez nadajnik biomagnetyczny.

– Dlaczego to proponuję? – zapytał z irytacją Valentine. – Powiedziałem już – nie wszystkich będą sprawdzali dokładnie.

– Trzeba zaryzykować – rzekł Skyler, myśląc błyskawicznie. – A może istnieje także możliwość zdobycia ładunków wybuchowych?

Przewodnik obejrzał się zdziwiony.

– Po co wam?

– Do dywersji. Moglibyśmy rozmieścić je gdzieś w terenie i zmusić jak największą liczbę agentów do opuszczenia biurowca. Gdybyśmy równocześnie wysadzili kawałek muru, zapewne uznają, że to atak. Pospieszyliby z powrotem bronić budynku, a wtedy my wślizgnęlibyśmy się wraz z nimi.

– Tak... niezły pomysł – rzekł Argentinianin po chwili. – Kiedy uderzymy? O zmroku?

– Albo kilka godzin wcześniej. Później o tym zdecydujemy. Najpierw spróbujmy dotrzeć do tego fałszerza i zdobyć ładunki. Zaczniemy od tego ostatniego. Gdyby wasz człowiek był obserwowany, trzeba jakoś utorować sobie drogę.

– Rozkaz, szefie – rzekł Valentine i skrzywił się w prawo na najbliższym skrzyżowaniu. – Wiem, z kim mówić, więc powinno się udać.

Skyler usiadł wygodnie i przez okienko spojrzął w górę. Deszcz, który zaczął padać ubiegłej nocy, przeszedł, lecz niebo wciąż zasnuwały ciemne chmury. Komandos miał nadzieję, że wiatr ich nie przegna. Bezgwiezdna noc z pewnością ułatwi im działanie, ale i tak musi minąć co najmniej sześć godzin, zanim będą mogli rozpocząć akcję.

Może Jensen zdoła wytrzymać tak długo.

Rozdział 25

Przy dużym stole w sali konferencyjnej miejsca zajmowali tylko Tremayne oraz Bakshi. Postępując za przykładem Lathe'a, Caine usiadł na krześle naprzeciwko Argentinian, mimo że najchętniej towarzyszyłby teraz Mordecaiowi i Kwonowi. Po wydarzeniach w Cerbe ta rozmowa nie będzie zapewne należała do przyjemnych.

Niestety dowódca blackcollarów zabrał go ze sobą.

– Jak na kogoś, kto mówi tyle o posłuszeństwie, Lathe, sam traktuje je pan dosyć luźno – przemówił szef Radixu opanowanym tonem. – Co powinniśmy zrobić, żeby wreszcie nam pan zaufał?

– Mam nadzieję, że weterani bezpiecznie przybyli na miejsce – odezwał się Lathe, jakby nie słyszał pytania.

Tremayne przytaknął.

– Rhodes przywiozła ostatnią grupę dwadzieścia minut temu.

– To dobrze. Chciałbym zauważyć, że posłużyliśmy się Lianną Rhodes, ponieważ przyznała się, iż zamierza opuścić Radix.

– Tak, wiem o jej decyzji. Sprytna kombinacja. Obiecał pan konsultować się ze mną, jeśli w operacje zostaną zaangażowani członkowie mojej organizacji. – Przez moment oczy Argentinianina iskrzyły gniewem. – Zdaje pan sobie zapewne sprawę, jak niewielkie znaczenie w tym momencie mają plany Lianny Rhodes. Wciąż bowiem przynależy do Radixu.

– Do diabła! – głos Bakshiego brzmiał na pozór spokojnie, lecz widać było, że argentiniański blackcollar jest jeszcze bardziej rozwścieczony niż jego dowódca. – Zlekceważył pan porozumienie. Proszę mi podać choć jeden rozsądny powód, dla którego nie mielibyśmy was wyrzucić na ulicę? Pozbyć się związanego z waszym postępowaniem ryzyka.

– Chwileczkę. Nie możemy tego zrobić – ostudził zapędy podwładnego Tremayne. – Weterani będą traktowani jak zbiegli więźniowie i Apostoleris wymierzy im surowe kary, jeżeli ponownie dostanie ich w swoje ręce. A jeśli chodzi o blackcollarów, osiągnęli swój cel.

Argentiniański komandos prychnął.

– Ja, w odróżnieniu od ciebie, nie przestanę protestować. Działali na wariackich papierach i tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności odnieśli sukces.

– Nie ma w tym nic z przypadku – oświadczył cicho Lathe. – Szczegółowo zaplanowaliśmy wszystkie posunięcia, począwszy od mojej wyprawy do więzienia Henslowe. Z pewnością zdajecie sobie panowie sprawę z niemożliwości wydostania takiej liczby ludzi bez ponoszenia ogromnych strat. Należało więc zmusić siły bezpieczeństwa, żeby nieświadomie same nam pomogły i udało się.

– Po fakcie łatwo tak mówić – skwitował Bakshi.

– A jeśli chodzi o powód... Podam wam jeden. Cholernie istotny. – Dowódca blackcollarów spojrzał na Tremayne'a. – Czy ma pan pomieszczenie na tyle duże, żeby pomieścić uwolnionych więźniów?

– Garaż powinien być dobry – zaproponował przywódca Radixu, marszcząc brwi. – Większość samochodów znajduje się właśnie w terenie.

– Dobrze. Proszę zebrać weteranów i waszą grupę taktyczną. Za chwilę do nich dołączymy.

Tremayne powoli skinął głową,

– W porządku. I radzę, żeby powód był rzeczywiście „cholernie istotny”.

Skinął na Bakshiego i wspólnie opuścili salę.

– Co im powiesz? – zapytał Caine.

– Prawdę. Wszystko oprócz tego, że tylko ty znasz miejsce położenia statków, chociaż i tak zapewne sami się domyśla.

– Uważasz, że to rozsądne? Jeżeli masz rację co do szpiega działającego w dowództwie, z równym skutkiem możesz wezwać funkcjonariuszy sił bezpieczeństwa i bezpośrednio im to przekazać.

– Rzecz w tym, iż właśnie chcę, żeby władze się dowiedziały.

Allen podejrzliwie zmrużył oczy.

– Nie rozumiem. Lathe westchnął.

– Posłuchaj. Mimo nieznajomości naszych planów kolaby z pewnością już się zorientowały, że zamierzamy opuścić planetę. Kiedy już odbiliśmy weteranów, najlepszym sposobem, aby nam przeszkodzić, jest uniemożliwienie dostępu do statków transportowych.

– Zgadza się. Ale na Plinry stosunkowo łatwo opanowaliście lotnisko.

– To tylko pozory. Obmyślaliśmy tę akcję od trzydziestu lat. Poza tym udało się nam zaskoczyć Galwaya. Tutaj sytuacja nam nie sprzyja.

– Czy cokolwiek zyskamy potwierdzając ich podejrzenia?

– Owszem – zapewnił komandos. – Zaoferujemy coś wartego zainteresowania. Pięć okrętów klasy Nova to niezwykle cenna zdobycz, ale będą ją mogli przechwycić tylko wówczas, gdy pozwolą nam się wydostać.

Caine patrzył na dowódcę z podziwem, po raz pierwszy dostrzegając zmarszczki wokół oczu, których nie zdołała zlikwidować idunina.

– Zdajesz sobie sprawę, co robisz? – odezwał się wreszcie. – Świadomie prowadzisz nas w pułapkę.

– Tak. – Głos blackcollara brzmiał spokojnie, lecz brakowało w nim pewności siebie, prezentowanej w obecności Argentian. – To graniczy z szaleństwem, ale fakt, że wiemy o pułapce, może pomóc ją ominąć. Poza tym nie widzę żadnego innego wyjścia.

– Dlaczego nie wymyślić jakiejś bajeczki? Powiedz na przykład, że zamierzamy wyzwolić Ziemię.

– Nie przejdzie. Kolaby muszą nabrać przekonania, że czeka ich nagroda, dla której warto wypuścić nas z planety. Poza tym nie wolno nam oszukiwać weteranów.

Dowódca odsunął krzesło i wstał.

– Chyba masz rację. – Caine także się podniósł. Położył dłoń na ramieniu Lathe'a. – Ale jest możliwość wydostania się z tej pułapki, prawda?

Zapytany wzruszył ramionami.

– Istnieją wyjścia z każdej zasadzki. Pytanie tylko, czy zdołamy znaleźć je na czas. – Twarz blackcollara nagle pociemniała. – A jakkolwiek byłaby tego cena, wiedz, że przyjdzie płacić ludzkim życiem. – Ruchem głowy wskazał drzwi. – Chodźmy.

Pomimo braku wielu wozów – jak powiedziano Allenowi wysłanych na zwiady po operacji w Cerbe – w garażu panował tłok. Weterani Sił Gwiazdnych w większości wyglądali na ludzi po trzydziestce, co świadczyło, że przez lata systematycznie stosowali iduninę.

Tremayne wszedł na dach jednego z samochodów i gdy Ziemianin wraz z Lathe'em zbliżył się nieco, uniósł dłoń, nakazując ciszę.

– Wiem, że wszyscy zastanawiacie się, co jest grane -przemówił, gdy ustał szum rozmów. – Pozwólcie, że wyjaśni to człowiek, który wydostał was z więzienia: dowódca oddziału blackcollarów, Lathe, ostatnio działający na terenie Plinry.

Spojrzał w stronę komandosa i wykonał zapraszający gest.

Tłum rozsunął się, lecz Lathe doszedł tylko do najbliższego wozu i wspiął się na dach. Caine obserwował Tremayne'a, rozważając, czy ten nie obrazi się za odmowę dołączenia do niego. Ale szef Radixu stał słuchając z napięciem i zainteresowaniem, gdy komandos zaczął mówić.

Lathe nie należał do krasomówców, więc tylko w prostych słowach zrelacjonował przebieg akcji przeprowadzonych przez blackcollarów, a także wytłumaczył zdarzenia, które skłoniły ich do działania. Caine rzadko miał okazję widzieć tak zaśluchane gremium. Dopiero tu zrozumiał, jak ogromną rolę może odegrać pięć okrętów klasy Nova w obecnych warunkach. Rozglądając się ukradkiem, dostrzegł, że weterani w zadumie kiwają głowami i wymieniają między sobą porozumiewawcze spojrzenia. Członkowie grupy taktycznej Radixu sprawiali wrażenie równie poruszonych. Miles Cameron i Sally Quinlan, niemal stykając się głowami, prowadzili dyskusję, zapewne na temat siły militarnej Ryqrilów. Kilka metrów dalej Fuess wraz z Couturiem z widocznym napięciem wpatrywali się w Lathe'a. Jedyne twarz Bakshiego przypominała maskę.

Plinriański blackcollar zamilkł i przez dłuższą chwilę w garażu słychać było jedynie szemranie. Nagle zgromadzeni rozsunęli się na boki. Przed nich wystąpił otyły mężczyzna. Zatrzymał się w pół drogi między wozami, na których stali obaj przywódcy. Popatrzył na nich kolejno i wreszcie zwrócił się do komandosa:

– Dowódco, jestem komandor Garth Nomura, w tym gronie najwyższy stopniem członek Sił Gwiezdnych. Zauważyłem, że nie wydał pan rozkazu, abyśmy wam towarzyszyli. Czy zamierza pan to uczynić? Jeśli tak, kto dał panu do tego prawo?

– Oczywiście wolałbym dobrowolną współpracę. Pozwólcie jednak, że zaprezentuję wam mojego współpracownika. – Lathe wskazał w stronę Ziemianina. Allen Caine reprezentuje generała Kratochwila z Ziemi. Ja natomiast jestem następcą generała Lepkowskiego dowodzącego sektorem Plinry.

Nomura wzruszył ramionami.

– Wszystko to opiera się tylko na słowach.

– Racja. Ale bez łączności międzyplanetarnej żadne pełnomocnictwo nie będzie w pełni wiarygodne.

– Wiem. Proszę jednak zrozumieć, że nie kieruje mną upór. Zwracacie się do nas w sprawie wymagającej rzucenia na szalę naszego życia i bezpieczeństwa rodzin, a nie zrobię tego polegając wyłącznie na waszych oświadczeniach, które przecież mogą być jedną wielką mistyfikacją.

– Zbyt skomplikowane rozumowanie jak na kolabów – mruknął Kwon do ucha Allena. Mordecai, stojący po drugiej stronie, lekko skinął głową.

– Poza tym – ciągnął komandor, oglądając się na Tremayne'a – mam wrażenie, że Radix także do końca wam nie zaufał.

Lathe już otwierał usta, lecz niespodziewanie ubiegł go przywódca organizacji.

– To nieprawda – zaprzeczył. – Nasza działalność z uzasadnionych powodów została ograniczona na prośbę samego dowódcy, Lathe'a. Ale ich operacje zawsze miały pełne poparcie członków Radixu.

Caine ze zdziwieniem spojrział na Argentinianina, ale szczerłość brzmiąca w jego głosie malowała się także na twarzy. Sam, starając się przybrać obojętną minę, myślał intensywnie, do czego ten zmierza.

Zdawało się, że Nomura nadal ma wątpliwości. Ponownie popatrzył po obu dowódcach i wreszcie zwrócił się do Tremayne'a:

– Mówi pan więc, że zawierzyliście słowom tego Plinrianina?

– Na ich potwierdzenie najlepszym dowodem jest fakt, iż Lathe przewodzi blackcollarom. To właśnie stanowiło dla nas najważniejszy argument.

– Rozumiem – rzekł wolno komandor. Zawahał się i Caine'owi przyszło do głowy porównanie: jakby próbował określić kierunek wiatru w bezwietrzny dzień. – Ale ryzyko wciąż istnieje.

Kilka metrów od komandora nad głowami uniosła się czyjaś ręka.

– Garth, mogę coś powiedzieć?

Nomura odwrócił się, żeby zobaczyć, kto prosi.

– Oczywiście, Rayd, mów.

– No cóż, sądzę, że już wystarczająco długo siedzieliśmy beczynnie – przemówił ochotnik. Jego głos był silny i dźwięczny, wyraźnie należący do osoby przywykłej do wydawania rozkazów. – Mamy cholernie dobrą okazję dopiec Ryqrilom, a jeśli ktoś w to nie wierzy, niech sobie przypomni, jak blackcollarowie ryzykowali dla nas życie w przedsięwzięciu wyglądającym na beznadziejne. – Wokół dały się słyszeć potakiwania i mówca musiał podnieść głos, żeby wszędzie docierał. – Nie powinniśmy też zapominać, że członkowie Radixu często narażali własną skórę, dbając o zapewnienie nam iduniny. Nie pozwólmy, żeby wszyscy oni pomyśleli, iż Siły Gwiazdne przyjmują pomoc, ale nie chcą poświęcić niczego w zamian!

Widać już było wyraźnie, skąd wieje wiatr. Uniósłszy rękę, by uciszyć zebranych, Nomura pokiwał głową.

– Wygląda na to, że osiągnęliśmy porozumienie – stwierdził. – W porządku, wejdziemy w skład pańskich oddziałów. Kiedy ruszamy?

– Za dwa lub trzy dni – odpowiedział komandos. – Musimy zdobyć transport, który umożliwi nam wydostanie się z planety, a wy powinniście skompletować załogi i przygotować się do uruchomienia okrętów. – Spojrział na Tremayne'a. – Czy Radix może tu ukryć wszystkich tych ludzi?

– Poradzimy sobie. Jer? – Szef organizacji wypatrzył Jeremiaha Dana i wskazał mu Nomurę. – Dopilnuj zakwaterowania naszych gości. Lathe, będziemy musieli pomówić o dalszym postępowaniu.

Spotkanie dobiegło końca. Gdy ponownie rozbrzmiały rozmowy oraz komentarze, Caine poczuł, że Kwon dotyka jego ramienia.

– Wracajmy na górę – zaproponował potężny blackcollar. -Lathe sam już sobie poradzi.

Allen machinalnie przytaknął, pogrążony w myślach. W ciągu zaledwie jednego dnia Tremayne przemienił się w idealnego sojusznika. Wydawało się to dość dziwne, żeby nie powiedzieć: podejrzane. W najlepszym wypadku w grę wchodziła polityka – pozorna zmiana frontu, mająca na celu zademonstrowanie weteranom jedności. W najgorszym... Ziemianin przypomniał sobie, jak trafnie Lathe potrafi przewidywać... Co prawda szef Radixu mógł zmienić zdanie, zrozumiałwszy wagę ich misji, ale...

Ale jeśli Lathe miał rację, ktoś wreszcie poznał tajemnicę. Dręczony obawami, Caine przyspieszył kroku.

Rozdział 26

– Niewiarygodne – mruknął pułkownik Eakins, powoli kręcąc głową i uparcie wpatrując się w swój kubek. – Są tuż pod naszym nosem. Uważa pan, że wciąż są sprawne?

– Zapewne. – Galwayowi po plecach przebiegł dreszcz. Jego zimna już kawa stała na biurku. „Dowie się pan pewnego dnia”, powiedział mu Lathe w porcie na Plinry, a z tych słów wywnioskował, że blackcollar miał na myśli coś poważnego. Ale nie aż tak bardzo. – Przy wszystkich systemach wyłączonych lub ustawionych na wyczekiwanie, mogą być tylko problemy z paliwem i tlenem, ewentualnie korozją wewnętrzną. Chociaż tej ostatniej da się zapobiec, wypompowując z okrętu powietrze.

– Sprawia pan wrażenie znającego te zagadnienia – skomentował Apostoleris, odkładając słuchawkę, do której mówił jeszcze przed chwilą.

– Mój ojciec służył w Siłach Gwiezdnych – wyjaśnił Plinrianin. – Jensen wciąż się trzyma?

Prefekt Argentu ze złością machnął ręką.

– Złamiemy drania.

– Po co? Pańscy szpiedzy dostarczyli już wszelkich informacji. Dlaczego po prostu go nie zlikwidować?

– Na martwą przynętę trudno zwabić rybę. Czyżby zapomniał pan o Skylerze i Novaku?

– Nie dowiedzą się, że nie żyje, póki nie będzie dla nich za późno.

Eakins podniósł wzrok znad kubka.

– Wciąż jest pan przekonany, że uda im się dotrzeć tak daleko – rzekł z pewnym rozdrażnieniem. – Obecna sytuacja w niczym nie przypomina tej z Cerbe, Galway... Tym razem wszystko w pełni kontrolujemy.

Plinrianin przetarł czoło gestem świadczącym o zmęczeniu.

– Wiem. Nie chcę tylko, aby po raz kolejny okazało się, że ich nie doceniamy.

– Bez obaw – rzekł Apostoleris z przechwałką w głosie. -Jeśli chodzi o Jensena, zgadzam się z panem – on prawdopodobnie o niczym nie wie. Ale Skyler i Novak towarzyszyli Lathe’owi przez cały czas. Powinni więc orientować się w jego obecnych planach.

– Pańscy agenci w Radixie mają większe szansę na zdobycie tych informacji.

Argentianin prychnął i z dezaprobatą pokręcił głową.

– Widzę, że nie chce im pan zrobić krzywdy – oświadczył. -Może właśnie dlatego odnosili takie sukcesy na Plinry?

Galway puścił zaczepkę mimo uszu. Poniewczasie zdał sobie sprawę, że Apostoleris traktuje zmagania z blackcollarami niezwykle osobiście, niemal jakby w grę wchodził pojedynek między nim a Lathe'em. Było to niebezpieczne, ponieważ szef sił bezpieczeństwa łatwo mógł stracić z pola widzenia wojnę, koncentrując się na wygrywaniu niewiele znaczących potyczek. Pod wieloma względami Apostoleris zachowywał się jak początkujący szachista, utożsamiający stosunek sił z liczbą figur pozostających na szachownicy.

Galway westchnął i spojrzął na zegarek. Do zachodu pozostało czterdzieści minut, a Skyler na pewno nie zaatakuje wcześniej. Wprawdzie komandosi dysponowali ładunkami wybuchowymi oraz fałszywymi identyfikatorami, ale ostatnie raporty świadczyły o tym, że zastawiona na blackcollarów pułapka, potrójnie zabezpieczona, jest już gotowa. Przyniesie efekt... ale z pewnością pociągnie za sobą stratę wielu ludzi.

Plinrianin poruszył się niespokojnie na krześle i sięgnął po kubek. Zmierzch za trzydzieści osiem minut.

Rozdział 27

– Zmrok zapadnie za kwadrans – powiedział Valentine, rozparty na przednim siedzeniu zaparkowanego samochodu.

Skyler przytaknął. Niebo nad Millaire wciąż zasnuwały gęste chmury, skrywające słońce. Włączono lampy uliczne. Komandos doszedł do wniosku, że jest już prawie wystarczająco ciemno.

– Kiedy ruszamy? – zapytał Novak, odwracając głowę.

– Za jakieś trzydzieści minut. Godzinę zajmie nam rozmieszczanie ładunków, a wtedy będzie dostatecznie słaba widoczność, żeby zaatakować.

Mówiąc lustrował okolicę. Wokół nie dostrzegł żywej duszy. Godzinę temu wybrał uczęszczaną ulicę, lecz o tej porze było już na niej pusto. Zaciśnął zęby i wyjął z pochwy nunczako. Wziął głęboki wdech, zamachnął się i trafił Valentine’a w podstawę czaszki.

Kiedy Argentianin upadał do przodu, Novak odwrócił się ku niemu, z własnym nunczakiem w dłoni.

– Co...

Skyler uciszył przyjaciela, podnosząc otwartą dłoń, a następnie przekazał ręką cztery znaki. Czarnoskóry komandos zmarszczył brwi, lecz schował broń i sięgnął pod deskę rozdzielczą, skąd po chwili wyjął dwa, właśnie rozłączone przewody. Towarzysz podał mu przenośne urządzenie antypodsluchowe, które połączył z kabelkami i uruchomił. Zaszumiało, a na jego obudowie zabłysła zielona dioda.

– Nie zainstalowali żadnych pluskiew – mruknął Skyler. – Są bardziej pewni siebie niż przypuszczałem.

– Kto, kolaby? – Novak wciąż sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Oczywiście. Chyba uznali, że ich szpieg ma nas już w ręku.

Czarnoskóry spojrzał na skuloną postać Valentine'a, po czym przeniósł wzrok na przyjaciela, a w jego oczach pojawiło się nieme pytanie.

Skyler westchnął.

– Nie słyszałeś, jak się zdradził? Pamiętasz, kiedy proponował penetrację, powiedział, że możemy wziąć przykład z La-the'a i O'Hary. Skąd, u licha, miałyby się orientować, że to O'Hara brał udział w akcji na więzienie?

– Może członkowie Radixu komentowali całe zdarzenie... -zaczął Novak powoli.

– W porządku, a skąd oni wiedzieli, którzy z nas byli bezpośrednio zaangażowani? Lathe z pewnością tego nie zdradził, a i miejscowe wróble nie ćwierkały na ten temat. W tej sytuacji pozostaje tylko jedno źródło.

Novak pokręcił głową.

– To nie jest na tyle pewny dowód, żeby na jego podstawie wydać wyrok na człowieka.

– Jeszcze nie skończyłem. – Skyler sięgnął do kieszeni po identyfikator. – O co zmierzałeś zapytać, kiedy po raz pierwszy wspomniał o znajomym fałszerzu?

– Przerwałeś mi wtedy, a chciałem się dowiedzieć, po co podrabiać coś, czego praktycznie nie da się podrobić.

– Dobre pytanie. Mnie natomiast zaintrygowało, dlaczego Tremayne nigdy nie wspomniał, że Radix posiada takie możliwości. – Skyler podsunął dokument bliżej oczu. – Wspaniała robota. Już wcześniej przyglądałem mu się z dziesięć minut i nigdzie nie zauważyłem żadnego błędu.

Novak w zamyśleniu przyglądał się nieprzytomnemu Argentininowi.

– Lathe mówił, że dostał się do Pasa tylko po zwykłej kontroli wizualnej. Można sądzić, że jeśli rzeczywiście po mieście krążyłyby fałszywe identyfikatory, sprawdzaliby ich właściciele dokładniej. – Schylił się i uniósł prawą rękę leżące go. Na palcu załśnił pierścień. Komandos zdjął go z pewnym wysiłkiem. – Coś mi przyszło do głowy -. wyjaśnił przyglądając się symbolowi blackcollarów w świetle przysłoniętej dłonią latarki. – Jeżeli jest szpiegiem kolabów, to i pierścień nie będzie autentyczny... Hmm, pod grzebieniem smoka widnieje znak Centauri A. – Przeciągnął sygnetem po metalowym słupku, po czym przyjrzał się pierścieniowi, a także pozostawionej rysie. – Zrobiony z oryginalnego materiału – stwierdził z westchnieniem, wraz z latarką podając go towarzyszowi.

– Mógł zostać skradziony – wyraził przypuszczenie Skyler, lecz sam nie bardzo wierzył w to, co mówi. Wcześniej był całkowicie przekonany... ale doświadczenie z pierścieniem sprawiło, że pewność spadła do osiemdziesięciu procent. Istniała więc obawa, że bezpodstawnie wydał wyrok na Valentine'a.
– I tak nie powinien z nami wyruszać.

– Zgadza się. Przesłuchamy go po powrocie?

– Chyba... – Skyler zamilkł nagle, gdy pewien szczegół przykuł jego uwagę.

– Co się stało? – zapytał zaintrygowany Novak.

– Przyjrzyj się ślepiom.

– Widzę charakterystyczne otwory w metalu – odpowiedział czarnoskóry blackcollar. Długo oglądał pierścień, a kiedy uniósł wzrok, jego twarz zdawała się wyrzeźbiona z lodu. – Prawdziwe oczy zostały usunięte – przemówił miękko. – Te wydrążono później. Kiedyś pierścień należał do dowódcy oddziału.

– Albo do kogoś jeszcze wyżej. Możliwe, że przetrząsnęli cały DIT, żeby znaleźć pasujący na Valentine'a sygnet.

– Przemysłny podstęp. – Głos Novaka był twardy niczym stal. – To w pełni potwierdza podejrzenia. Zostaliśmy zdradzeni... i musimy zmodyfikować plan.

Skyler skrzywił się mocno.

– Całe popołudnie starałem się wymyślić coś innego, co miałyby szanse powodzenia.

– Widać kiepsko się starałeś. Odpowiedź jest oczywista.

– Nie. To wykluczone.

Novak parsknął niecierpliwie.

– Starasz się być szlachetny, ale tylko marnujesz czas. Jedyne tym sposobem zdołamy przygotować drogę ucieczki z miasta, i dobrze o tym wiesz.

Skyler rzeczywiście zdawał sobie z tego sprawę, lecz nie ułatwiało mu to podjęcia trudnej decyzji.

– Nie mogę pozwolić...

– Rafe – przemówił cicho czarnoskóry. – Jensena z pewnością torturują. Chcę wydostać przyjaciela... albo podarować mu szybką śmierć. Pozwól mi, proszę, podjąć takie ryzyko.

Skyler westchnął ciężko.

– W porządku – rzekł wreszcie. – Samochód zostawimy tutaj... Na pewno o nim wiedzą. Chyba bez problemu możemy zdobyć inny pojazd. – Sięgnął po nóż. Trzeba wykonać egzekucję szpiega, powtarzał sobie w myślach. – Valentine oczywiście także tu zostanie.

Uniósł broń, lecz Novak przytrzymał mu ramię.

– Ja to zrobię. On przyczynił się do złapania Jensena.

Kilka minut później, z torbami zawierającymi ładunki wybuchowe oraz sprzęt, dwaj blackcollarowie opuścili samochód i ruszyli przed siebie.

* * *

Za zewnętrznym murem i dziedzińcem dziewięciopiętrowy budynek rządowy stał pogrążony w ciemnościach na tle zasnutego chmurami, bezgwiezdnego nieba. Nieliczne światła paliły się tylko na dwóch najniższych piętrach. Obserwując gmach z pustego biurowca po drugiej stronie ulicy, Skyler od czasu do czasu spoglądał na plan budynku. Schemat znalazł pośród map leżących w wozie.

– Wiesz, co robić? – zapytał stojącego obok zacienionego mężczyznę.

Novak przytaknął.

– Na parterze, po prawej – sala kontrolna i ściana konstrukcyjna.

Jego głos brzmiał spokojnie. Dłonie pewnymi ruchami sprawdzały mocowanie znajdującego się na ramieniu tobołka. Ten właśnie pakunek martwił Skylera. Okręcone w dermopancerz Valentine'a ładunki wybuchowe mogły łatwo eksplodować, gdyby trafiła w nie bezpośrednio wiązka lasera. Ale nie mieli czasu na wymyślenie czegoś bezpieczniejszego.

– W porządku.

Należało powiedzieć znacznie więcej, ale Skyler wiedział, że przyjaciel nie ma ochoty tego słuchać. Ścisnął więc tylko jego ramię, po czym wyszedł na zewnątrz.

Wybuchy następowały zgodnie z planem, rozlegając się jeden po drugim z miejscach oddalonych o kilka przecznic od budynku rządowego. Po trzeciej eksplozji przez bramę zaczęli się wysypywać żołnierze.

– Niezły pokaz – mruknął Novak poprzez maskę gazową. – Może rzeczywiście opróżnili budynek.

– Może. I tak w środku pozostało znacznie mniej ludzi niż było wcześniej. Skyler wciągnął powietrze głęboko do płuc i odbezpieczył detonator. – Już. – Przyłgnąwszy całym ciałem do muru, wdusił przycisk.

Nastąpił oślepiający błysk, a po chwili potężny huk odbił się wielokrotnym echem od okolicznych budynków. Skyler, wyjrawszy zza rogu, ruszył biegiem w kierunku wylotu w ścianie, zrobionego przez założony tam wcześniej ładunek. Poprzez dzwonienie w uszach słyszał krzyki strażników. Wiedział, że jeszcze przez co najmniej kilka sekund nie zorientują się, że scenariusz uległ zmianie. Wcisnął ramiona i tors w otwór. Dziura była ciasna, ale blackcollar nie miał wątpliwości, że zdoła się przez nią przecisnąć. Z tyłu nadbiegł Novak. Chwyił przyjaciela za nogi i pchnął bezceremonialnie, tak że Skyler błyskawicznie wylądował na ziemi po drugiej stronie. Poderwał się momentalnie i popatrzył wkoło. Na dziedzińcu panowała pustka. Z wyjątkiem wysypanej żwirem ścieżki wzdłuż ściany, teren nie miał jakichkolwiek cech szczególnych. Za jego plecami pojawił się pakunek, a po chwili sam Novak.

– Co o tym myślisz? – wyszeptał, rozglądając się uważnie.

– Nie widać obrony. Miny igłowe są zapewne wszędzie z wyjątkiem tej ścieżki. – Skyler wskazał budynek. – To wygląda na wyjście ewakuacyjne, oznaczone na mapie. Idziemy... Trzymaj się moich śladów.

Novak przerzucił tobolek przez ramię. Jak dwa duchy ruszyli dziedzincem... a do kierownictwa sił bezpieczeństwa powoli zaczęło docierać, że coś jest nie tak.

* * *

Jensen dopiero po pewnym czasie zdał sobie sprawę, że ostatnia tura przesłuchania dobiegła końca. Ustały skurcze żołądka, zupełnie pozbawiające go sił. Odetchnął ostrożnie, pozwalając odpocząć wnętrznościom i starając się nie zwracać uwagi na drażniący nozdrza zapach wymiocin. Kolaby z rozmysłem włączyły światło, żeby mógł widzieć, co narobił. Niepotrzebnie zresztą marnowali prąd, zmęczenie nie pozwalało Jensenowi otworzyć oczu.

W tym momencie usłyszał, że otwierają się drzwi, a lekki powiew wywołał gwałtowny dreszcz. Z trudem unosząc głowę, zobaczył, iż do celi wszedł prefekt Galway. Omijając wymiociny znaczące podłogę, zbliżył się do Jensena i usiadł na stołeczku naprzeciw niego. Blackcollar zwrócił uwagę, że dostojnik ma u pas broń.

Przez chwilę przybysz przyglądał mu się w milczeniu.

– Ciężko, prawda? – odezwał się wreszcie, a głos ledwie dotarł do uszu skatowanego mężczyzny. – Umiejętność blokowania odczuć nie jest szczególnie przydatna w przypadku bólu pośredniego, na przykład w razie wymiotów.

– W zupełności wystarcza – wyszeptał komandos. – Nie macie jeszcze powodu do satysfakcji.

Galway pokręcił głową.

– Przysparzanie komuś cierpień nie napawa mnie radością. Gdybym to ja tu decydował, dawno już bym pana zabił.

Blackcollar z ogromnym wysiłkiem ponownie odemknął powieki i spróbował odczytać wyraz twarzy prefekta. Nie widział na niej złości, tylko smutek i chyba nieco współczucia.

– Dziękuję – powiedział szczerze.

– Nie ma za co. Gdybym przypuszczał, że wie pan coś istotnego, nie miałbym nic przeciwko temu, aby wyciągali z pana informacje wszelkimi możliwymi metodami. Ale to przesłuchanie nie jest niczym innym jak upokarzaniem pana z niezrozumiałych dla mnie powodów. Strata czasu, w dodatku wymagająca zaangażowania zbyt dużej liczby ludzi.

– Boicie się, że ucieknę? – zapytał Jensen. W wyobraźni zobaczył siebie wydostającego się w takim stanie z głównej siedziby sił bezpieczeństwa i omal nie parsknął śmiechem.

– Szczerze mówiąc, tak. – Galway wyjął z kabury laser, sprawdził bezpiecznik i położył go sobie na kolanach. – Skyler z Novakiem są teraz po przeciwnej stronie ulicy i przygotowują się do ataku, żeby pana uratować.

Pozbawiony już zawartości żołądek komandosa skurczył się ponownie. Nie... to niemożliwe. Galway zapewne kłamie.

* * *

Prefekt widocznie niewłaściwie zinterpretował wyraz twarzy więźnia.

– Och, proszę nie mieć złudnych nadziei... Nie może im się udać. Znamy ich plan, a towarzyszy im jeden z naszych agentów. Gdy tylko ruszą, zamkniemy śmiałków w kleszczach między murem i szwadronem świetnie wyposażonych żołnierzy, na otwartej przestrzeni. Nie zbliżą się nawet na tyle, żeby pan cokolwiek stąd usłyszał.

Jensen popatrzył znacząco na laser.

– Więc po co pan tu przyszedł?

Galway uśmiechnął się gorzko.

– Raz nie doceniłem waszych umiejętności. Nie zamierzam powtórzyć tego samego błędu. Jesteście niezwykle niebezpieczni, czego prefekt Apostoleris nadal nie rozumie. Może dlatego, że czterech jego szpiegów przez wiele lat wodziło za nos całe miejscowe podziemie. Spodziewa się, że wy także będziecie postępowali zgodnie z tym, co sobie wyobraża. I wierzy... że zмага się ze zwykłymi ludźmi.

– Podczas gdy ma do czynienia z poczwarkami elfów. -Jensena znowu napadły mdłości i musiał z całych sił zaciskać zęby, zanim przeszły.

– Żartuje pan sobie, ale według mnie taka właśnie jest prawda. Im dłużej obserwuję wasze działania, tym bardziej wzmacniam się w przekonaniu, że intensywny trening w jakiś dziwny sposób zmienił psychikę każdego blackcollara. Uczynił go... innym.

– Dlaczego? Bo nie opadły nam ręce i nie zginęliśmy dla wygody Ryqrilów? – Komandos z trudem pokręcił głową. – Na pewno zna pan historię, Galway. Istoty ludzkie nigdy łatwo nie dawały się zniewolić. Partyzanci od niepamiętnych czasów nękali najeźdźców i zazwyczaj odnosili większe sukcesy, niż można by się spodziewać po ich liczebności.

– Zgadza się... ale też zawsze cieszyli się poparciem znacznej części ludności, co zwiększało skuteczność ich poczynań. Na Plinry było inaczej. A mimo to udało się wam przeprowadzić niezwykle efektywny atak po zaledwie kilkugodzinnym przygotowaniu. – Prefekt uniósł laser i przesunął kciukiem po jego lufie. – Wie pan, że mój ojciec należał do wojskowej grupy badawczej, która w 2414 roku wysunęła propozycję stworzenia blackcollarów? Szczerze mówiąc został później jednym z trzech dysydentów. Doszedł bowiem do wniosku, że lepiej rozwijać program chodzących czołgów. Komandos parsknął ironicznie.

– To dopiero byłaby katastrofa. Znanych jest co najmniej czterdzieści sposobów naprowadzania rakiety przeciwpancernej na ciężki pancierz bojowy, a Ryqrilowie przećwiczyli wszystkie. Od czasów Navarre w każdej lądowej bitwie chodzące czołgi zmiotano z powierzchni ziemi w ciągu pierwszych trzydziestu minut działań. Przywdzianie takiego pancerza to po prostu kosztowna forma samobójstwa.

– Wiem. – Zrobił dłuższą przerwę. – Plinry ma i tak wystarczająco dużo kłopotów, bez tych, które wy na nią ściągniecie. – Galway utkwiał wzrok w komandosie. – A może w ogóle nie interesujecie się tym, co Ryqrilowie zrobią przez was z naszą planetą?

– Niech pan nie zrzuca na nas odpowiedzialności za akcje odwetowe obcych. To wojna, a my mamy powierzone zadanie. Jeżeli spodziewa się pan, że zwiniemy pod siebie ogon i zaszyjemy się w kącie z powodu gróźb wymierzonych przeciwko niewinnym ludziom, to nie zasługuje pan nawet na litość.

– Źle mnie pan zrozumiał – przemówił prefekt spokojnie. -Zdaję sobie sprawę, że nie dam rady wpłynąć na postępowanie blackcollarów. Powiedziałem to, ponieważ nie zobaczy pan już swoich towarzyszy. To dlatego... – Urwał na moment. – Po prostu pragnąłem, by ktoś dowiedział się, iż ułojalnienie nie oznacza braku dbałości o interesy mieszkańców Plinry. Bardzo mi na nich zależy... za bardzo, żeby patrzeć, jak cierpią z powodu jakiejś szalonej misji, która nie ma najmniejszych szans powodzenia. To dlatego chcę doprowadzić do waszej śmierci, zanim spowodujecie jeszcze większe kłopoty. Może wtedy odwet będzie mniej krwawy.

Jensen słuchał, niemal zupełnie zapomniawszy o bólu i zmęczeniu.

– Trzeba przyznać, pięknie pan mówi. Ale ile w tym prawdy, a ile usprawiedliwiania tego, do czego zmusza pana ułojalnienie?

– Spodziewałem się, że nie dojdziemy do porozumienia... -Galway zamilkł nagle, zapatrzony gdzieś przed siebie.

Blackcollar usłyszał odległy tupot. Prefekt skoczył na równe nogi i stanął w szerokim rozkroku, trzymając w obu rękach broń skierowaną w stronę drzwi. Z głośno bijącym sercem, Jensen odetchnął głęboko, zbierając resztki sił w pełnym napięcia oczekiwaniu.

Nie trwało ono długo. Nagle kopnięte mocno drzwi rozwarły się gwałtownie, uderzając o ścianę.

Pierwszy strzał Galwaya okazał się o ułamek sekundy spóźniony. Trafił jedynie w metalową framugę, podczas gdy postać w czarnym stroju znalazła się już w środku. Kiedy wycelował ponownie, w dłoni intruza błysnął nóż. Zanim jednak padł strzał, Jensen naparł całym ciałem na unieruchamiającą go konstrukcję w kształcie krzyża. Ta poruszyła się nieco, zaledwie o kilka centymetrów, lecz zaskoczyło to Galwaya i spowodowało, że odruchowo spojrzął w stronę więźnia. Drugi strzał także okazał się niecelny, napastnik bowiem kopnięciem wytrącił dostojnikowi broń i skoczył w jego stronę.

– Nie zabijaj! – wycharczał Jensen.

Atakujący blackcollar w ostatniej chwili odchylił rękę tak, że zamiast ostrzem, zadał cios rękojęścią. Prefekt runął na ziemię chwytając się za szyję, a pogramca natychmiast przystąpił do przecinania pasów krępujących zmaltretowanego mężczyznę.

Jensen zobaczył wreszcie twarz wybawiciela.

– Skyler? – wyszeptał.

– Tak – potwierdził zapytany, ostrożnie rozcinając kolejne więzy.

Jensen wreszcie był wolny.

– Gdzie Novak? – zapytał, wstając niepewnie.

Tylko szybka reakcja Skylera uchroniła go przed upadkiem na twarz, ponieważ nogi nie mogły utrzymać ciężaru ciała. Osunął się z powrotem na krzesło.

– Uspokój się. Mamy chwilę czasu.

– Do diabła, cały ten teren to jedna wielka pułapka – wysapał, czekając, aż przed oczami przestaną wirować białe płatki.

– Zauważyliśmy. – Skyler przyklęknął nad nieprzytomnym Galwayem i zaczął ściągać z niego mundur. – Ale na pewien czas udało się nam przechytryć rządowców. Ich główne siły wywabiliśmy poza mur. Tam się z nimi rozprawimy. Teraz dopiero próbują zrozumieć, co się dzieje. Poza centrum kontrolnym w samym budynku jest stosunkowo bezpiecznie.

– Jasne. – Jensen nie potrafił zliczyć brudnoszarych śladów trafień wiązek laserowych, znaczących dermopancerz wybawcy.

Skyler pomógł koledze ubierać się w zdobyty mundur.

– Szkoda, że nie mamy dla ciebie dermopancerza, ale zdjęty ze szpiega, którego na nas nasłali, nie pasowałby.

Więzień skupił się na wkładaniu munduru. Wiele pytań kłębiło się w obolałej głowie mężczyzny, lecz postać słów przybrało tylko jedno:

– Gdzie Novak?

– Zajął się... zabezpieczeniem trasy ucieczki. W głosie Skylera było coś niepokojącego.

– Co masz na myśli? Co naprawdę robi?

Skyler przykucnął, by pomóc w nakładaniu butów.

– Należało unieszkodliwić centrum kontrolne. Koordynują stamtąd wszystkie operacje w Millaire i na obrzeżach miasta. Ale znajduje się za grubą ścianą, niemożliwą do zburzenia ładunkami wybuchowymi.

– Novak wszedł do centrum...? – Gardło Jensena zacisnęła obawa o życie przyjaciela. Wspierając się na ramieniu Skylera, zdołał wstać. Zrobił parę kroków o własnych siłach. – Chodź, musimy... mu pomóc – wysapał. – Tam są przecież strażnicy...

Zanim skończył, cela nagle zakołysała się, gdy ściany zadrżały od potężnej eksplozji.

– Co...? – zaczął.

Odpowiedzią Skylera było działanie. Bez słowa przerzuciwszy towarzysza przez bark, ruszył ku drzwiom. Błyskawicznie zlustrował obie strony korytarza i skręcił w prawo. W tej chwili Jensen zdał sobie sprawę, że lekkie wibracje przerodziły się w złowieszcze dudnienie, rozbrzmiewające ze wszystkich kierunków.

Zaczął sypać się sufit.

Więzień, wciąż słaby i oszołomiony podawanymi środkami, bieg przez korytarz odbierał jako dalszy ciąg przeżywanego wcześniej koszmaru. Świat wirował wokół, jakby za chwilę miał mu się zwalić na głowę. Uszy wypełnił huk przypominający pęknięcie gór lodowych. Skyler dotarł do końca holu, skręcił w lewo i zatrzymał się trzy kroki dalej, pod ścianą. Rzucił Jensena na wibrującą podłogę i przyczaił się nad kolegą, osłaniając go swoim ciałem. Grzmoty nie ustawały, a leżący zaczął ochryple kaszleć, gdy do płuc dostał mu się wzbijany tumanami pył. W zamieszaniu nie zauważył, kiedy zgasły światła. Duszący kaszel przerodził się w rżenie. Jensenowi zaczęło się wydawać, że od wewnątrz pali go ogień...

I nagle wszystko uległo zmianie. Drżenie ustało, zaległa cisza, a plinriański pilot zdołał opanować kaszel. Przez załzawione oczy rozróżnił Skylera jako pogrążoną w półmroku postać.

W półmroku?

Zmusił się do obrócenia głowy. Zaledwie dwadzieścia metrów dalej zdewastowany korytarz kończył się wyłomem, przez który dawało się dostrzec światła miasta. Wytężył słuch. Gdzieś z daleka dobiegały pokrzykiwania i od czasu do czasu wrzaski pełne bólu.

Skyler wyciągnął dłoń, pomagając mu wstać.

– A Novak? – zapytał Jensen.

Pytanie uznał za retoryczne, ponieważ dobrze wiedział, co się stało z przyjacielem.

Gdy ruszali w stronę wyrwy, Skyler udzielił jednak odpowiedzi.

– Z planu budynku i usytuowania okien Novak wywnioskował, że centrum kontrolne jest w zachodnim skrzydle, przy ścianie konstrukcyjnej, na szczęście w pewnej odległości od cel, w których przeprowadzają przesłuchania.

– Znajdował się w miejscu, gdzie nastąpiła eksplozja, prawda?

Skyler zawahał się, ale wreszcie przytaknął.

– Nie było możliwości, by założyć ładunek i uciec. Materiał wybuchowy musiał zostać umieszczony w określonym punkcie ściany nośnej. Istniała tylko niewielka szansa, że przytwierdzi go i zdąży wyskoczyć z pomieszczenia... Gdyby mu się udało, przesłałby już wiadomość. – Potężny blackcollar urwał. – Przykro mi, Jensen. Nie pozwolił, żebym ja wykonał tę robotę.

– Powinniście mnie tu zostawić.

– Na to także nie chciał się zgodzić.

– Wiem. Dobrze znałem Novaka.

Gdy pokonywali gruzowisko, więzień zataczał się, lecz towarzysz podtrzymywał go, obejmując w pasie. Na zewnątrz dziedziniec był usłany ogromną wprost ilością gruzu. W ścianie okalającej podwórzec znajdowały się przynajmniej trzy wyłomy. Pobiegli w kierunku jednej z wyrw.

– Co ze strażnikami?

– Jeśli Novak nie pomylił się w wyliczeniach, większość z nich powinna być w tej części budynku, która się zawaliła. Uważaj – dodał Skyler, gdy Jensen ponownie się zachwiał. – Musimy stąd wyjść, zanim kolaby zorganizują pościg. Mam nadzieję, że wstrząsy i odłamki przetały drogę pośród min. Jeżeli żaden z nas nie zwichnie kostki, powinniśmy bez problemu dotrzeć do wozu.

Marsz kosztował Jensena resztki sił. Czuł, że zaczyna mu się coraz bardziej kręcić w głowie.

– Galway mówił, że w Radixie jest czterech szpiegów... i że oszukali tutejszego blackcollara.

– A więc wszyscy czterej? Nawet mnie to nie dziwi.

– Zabiję drani. Zapadło krótkie milczenie.

– Dostaniemy ich, nie martw się, stary. No proszę, natknąłem się na samego Galwaya – dodał, jakby zależało mu na zmianie tematu. – Nawet się nie zorientowałem. Dlaczego nie chciałeś, żebym zabił prefekta?

Jensen ujrzał przed oczami białe płatki, jakby padał śnieg.

– Byłem... coś winien... Plinry – wyszeptał słabnącym głosem.

Po tych słowach ogarnęły go ciemności.

Rozdział 28

Mordecai odszukał właściwe drzwi i na moment zatrzymał się przed nimi, nasłuchując. Ze środka dochodziły czyjeś głosy. Widać pomimo późnej pory mieszkańcy nie spali jeszcze. Ostatni raz rozejrzał się po pustym korytarzu i delikatnie zapukał do drzwi.

Otworzyły się kilka sekund później.

– Mordecai! – rzekł Fuess z zaskoczoną miną i natychmiast uśmiechnął się wesoło. – Proszę wejść!

Gość minął argentiniańskiego blackcollara, pozwalając, by zamknął drzwi. Jednym rzutem oka omiół pomieszczenie. Dość spore i niezłe urządzone, ocenił. Pod przeciwległymi ścianami umieszczone były dwa duże łóżka, a w nogach każdego stała szafka wojskowa podwójnej wielkości. Na środku znajdował się owalny stół, przy którym naprzeciw siebie, z kartami w dłoniach, siedzieli McKitterick i Couturie.

– Witam – Ten ostatni skinął przybyszowi i wstał. – Napije się pan?

Mordecai pokręcił głową.

– Nie. Nie przyszedłem na pogawędkę.

Fuess przeszedł obok Plinrianina i zatrzymał się za plecami McKittericka.

– Co zatem możemy dla pana zrobić? – zapytał.

– Lathe właśnie odebrał telefon z budki nie opodal Millaire. Dzwonił Skyler. Jest z nim nasz pilot – poinformował plinriański blackcollar.

Dobrze grali, musiał to przyznać. Na twarzy żadnego nie dało się zauważyć zaskoczenia, a Fuess natychmiast zakrzyknął z entuzjazmem:

– Wydostali Jensena? Wspaniale! Kiedy tu będą?

– Wkrótce. Ponieśli znaczne straty... Novak i Valentine nie żyją.

Fuess zawahał się jedynie na ułamek sekundy.

– Cholerni rządowcy – warknął. Mordecai znowu zaprzeczył ruchem głowy.

– Proszę ich nie winić, przynajmniej za śmierć Valentine'a. Skyler dokonał na nim egzekucji... jako na zdrajcy.

– Co? – wykrzyknęli jednocześnie Fuess i Couturie. McKit-terick siedział w milczeniu, wyraźnie zaszokowany.

– Wasz przyjaciel był szpiegiem kolabów.

– Bzdura! – parsknął Couturie. – Przecież to blackcollar!

Mordecai zmierzył wzrokiem wzburzonego Argentinianina.

– Służył pan z nim w czasie wojny? Albo zna osobiście kogoś walczącego w tym samym co on oddziale?

Couturie nie odpowiadał przez chwilę.

– No cóż... Nie – rzekł w końcu. – Ale sam słyszałem, jak opisywał operacje, które znam.

– Co z tego? Ja mogę zrelacjonować przebieg bitwy z wojny krymskiej, toczonej jeszcze na Ziemi.

– Twierdzi więc pan, że Valentine wcale nie należał do blackcollarów? – zapytał wolno Fuess.

– Celne spostrzeżenie. Tyle że spóźnione o dobrych kilkanaście lat. Dlaczego wcześniej nawet go nie podejrzewaliście?

Nie wymienili między sobą spojrzeń, ale jakby na sygnał Fuess i Couturie zaczęli odsuwać się od stołu. Dla Mordecaia było to równoznaczne z przyznaniem się do winy. Odgadli już treść kolejnych pytań.

– Nie sądzi pan, że łatwo jest uczynić oszusta z autentycznego blackcollara, którego system nerwowy został na trwałe uszkodzony – przemówił McKitterick, a w jego głosie wrogość mieszała się z urazą. – Wiem, że wasz człowiek, Dodds, także ucierpiał... Dlaczego go nie zabiliście?

– Dlatego, że on nie był szpiegiem jak Valentine... i wy trzej. Brak ostrej reakcji z ich strony stanowił kolejny dowód na to, iż przewidzieli ten zarzut.

– Pan oszalał – oświadczył Fuess. – Całkowicie postradał rozum. Czemu wymyśla pan takie absurdalne oskarżenia?

Mordecai przyjrzał mu się uważnie.

– Na pana miejscu wymyśliłbym lepszą formę obrony niż posądzenie mnie o szaleństwo. Widziałem już pana w akcji. Żeby być blackcollarem, nie wystarczy tylko reaktol. Chodzi jeszcze, na przykład o umiejętność współpracy i posłuszeństwo wobec dowódcy.

– Widać nie jestem idealnym blackcollarem. Czy to zbrodnia?

– A co to ma wspólnego z nami? – zapytał cicho McKitterick. Wciąż siedział przy stole i Mordecai zastanawiał się nad nim przez moment. Czy rzeczywiście był niewinny, czy po prostu nie zauważył sygnału do gotowości.

– Przecież ja i Couturie rzadko się z panem widywaliśmy. Tylko na naradach grupy taktycznej, a nigdy w warunkach bojowych. Na jakiej więc podstawie pan nas osądza?

Plinrianin uśmiechnął się gorzko.

– Tak szybko odcinacie się od skazanego? Przez tyle lat nie nauczyliście się nawet lojalności.

– Jesteśmy lojalni wobec Radixu, i to od samego początku -rzekł Couturie, obchodząc stół, jakby chciał podejść do Fuessa, lecz jednocześnie znalazł się bliżej przybysza. – A jeśli Fuess zdradził...

– Zaraz, zaraz – zaprotestował główny oskarżony. W jego głosie zabrzmiała panika. – Wierzycie w jego oszczerstwa?

Ponownie bez wyraźnego sygnału, nagle wspólnie zaatakowali. McKitterick pchnął stół na Mordecaia. Fuess oraz Couturie doskoczyli z boków do blackcollara. Była to dobrze skoordynowana akcja i może zakończyłaby się powodzeniem, gdyby napastnicy mieli przeciwko sobie przeciętnego komandosa.

Ale walczyli z Mordecaiem, on zaś był najlepszy. Nim stół upadł, Plinrianin uskoczył w prawo, kierując się prosto na Fuessa, równocześnie wychodząc poza zasięg drugiego z napastników. Fałszywy blackcollar najwyraźniej przewidział atak. Jego stopa wystrzeliła w bocznym kopnięciu wymierzonym w kolano, a ręce ułożyły się do podwójnego uderzenia w głowę i splot słoneczny. Mordecai nie starał się nawet zablokować przeciwnika, lecz błyskawicznie zrobił unik. Sam kontratakował skuteczniej: obracając się o sto osiemdziesiąt stopni, kopnął Fuessa w piersi z taką siłą, że ten poleciał w powietrzu dobry metr i zatrzymał się dopiero na jednej ze stojących pod ścianą szafek.

Plinrianin momentalnie zwrócił się twarzą do najbliższego napastnika. Wiedział, co robi. Zanim jeszcze Fuess padł na podłogę, do akcji ruszył Couturie.

Argentianin natarł pochylony, z prawą ręką wysuniętą do przodu, celując w oczy. Jednocześnie zrobił wymach nogą, usiłując wykonać klasyczne podcięcie. Mordecai wyrzucił przed siebie lewą rękę i przedramieniem zbił uderzenie. Próba powalenia blackcollara także zakończyła się niepowodzeniem. Wspaniały refleks pozwolił komandosowi przeskoczyć ponad nogą tamtego. Jeszcze w locie chwycił nadgarstek napastnika i szarpnął mocno do tyłu, zmuszając Argentianina do zmiany pozycji. Couturie znalazł się plecami do Mordecaia, z ramieniem zablokowanym w dźwigni... Wolna ręka Plinrianina trafiła szpiega w szyję z siłą zdolną złamać kręgosłup.

Nie interesując się już dalej Couturiami, spojrział na ostatniego z wrogów, McKittericka, w momencie gdy ten zerwał się wreszcie z krzesła i wyciągnął niewielki pistolet. Widoczna ponad lufą twarz mężczyzny wyrażała strach i wściekłość.

Jedynym wyjściem dla Mordecaia, którego głowy i dłoni nie chronił dermopancerz, było uskoczenie z linii strzału. Rzucił się więc szczupakiem w bok, co spowodowało, że na chwilę zasłonił go stół. Dwukrotnie, w krótkich odstępach czasu, rozległ się dźwięk przypominający rwanie papieru. Pociski trafiły w ścianę i blat.

Znajdując się w ruchu, Plinrianin miałby ułatwione zadanie, gdyby chciał toczyć się dalej po podłodze lub przykłęknąć. Lecz nie zrobił ani jednego ani drugiego, tylko momentalnie zmienił kierunek, by pojawić się dokładnie w tym samym miejscu, w którym zniknął przeciwnikowi z oczu.

Sztuczka udała się, bo McKitterick ruszył tam, gdzie spodziewał się ujrzeć komandosa. Lufę trzymał skierowaną ponad blat stołu. W ciągu ułamka sekundy zrozumiał, że za swój błąd zapłaci życiem. Na kolejny strzał nie starczyło już czasu. Shuriken Mordecaia zagłębił się w gardle zdrajcy. Nie wydawszy z siebie żadnego dźwięku, runął na plecy.

Plinrianin przez moment leżał bez ruchu, nasłuchując, czy nie dochodzą go odgłosy kroków. Wreszcie wstał. Sprawdził, czy wszyscy Argentianie nie żyją, i przy okazji wyjął gwiazdkę z szyi

McKittericka. Przyszła mu do głowy myśl, aby przeszukać pomieszczenie, lecz szybko zrezygnował z tego zamiaru i skierował się w stronę drzwi.

Przystanął, z dłonią na klamce, i po raz ostatni obrzucił spojrzeniem nieruchome ciała. Nie czuł ani żalu, ani winy. Tak właśnie musiał postąpić. To było wyłącznie wymierzenie sprawiedliwości i obrona tych, których zdrajcy mogli jeszcze wydać na śmierć.

Wyszedł z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

Rozdział 29

Wrogi nastrój panujący w sali konferencyjnej poraził go niemal jak prąd, gdy wraz z Lathe'em zbliżał się do przeznaczonych dla nich miejsc. Zebrani wpatrywali się w przybyłych wściekłymi i zarazem zimnymi spojrzeniami. Caine zerknął ukradkiem na towarzysza, ale jeśli dowódca znał powody takiego nastroju Argentinian, nie dawał tego po sobie poznać. Przy stole krzesła zajmowane zwykle przez blackcollarów Bakshiego były puste.

Tremayne nie bawił się w żadne wstępny, lecz od razu zaatakował:

– Dowódco Lathe, czy powie mi pan, gdzie znajdowali się pańscy ludzie wczoraj między dwudziestą pierwszą a północą?

– Raczej nie, ponieważ nie widzę takiej potrzeby – odpowiedział Plinrianin. – To ja wydałem rozkaz, aby ich zabito.

Zdziwienie na moment zastąpiło panujące napięcie, lecz po chwili powróciło ono ze zdwojoną siłą.

– Aby zabito kogo? – zapytał Caine, czując skurcz w żołądku.

– Fuessa, McKittericka i Couturiego – odpowiedział lodowatym tonem szef Radixu. – A słyszałem, że także Valentine nie wrócił ze Skylerem i Jensenem.

– Zgadza się. – Głos Lathe'a był spokojny, lecz wyczuć w nim można było gorycz. Novak też zginął. Valentine i pozostala trójka ponosiła odpowiedzialność za jego śmierć.

– Na jakiej podstawie tak pan twierdzi? – warknął Miles Cameron.

– Byli rządowymi agentami.

Cisza, która nastąpiła po tych słowach, nie trwała długo, ponieważ Argentinianie szeptem zaczęli wymieniać między sobą komentarze. Jeden zdecydowany głos zdominował szum rozmów:

– Żądam dowodów.

Lathe odwrócił się w stronę Faye Picciano.

– Nie mam materialnego dowodu, jeśli o to chodzi. Gdybyście dysponowali odpowiednim sprzętem, biochemicy stwierdziliby, że żaden z nich nigdy nie przyjmował reaktolu. Mogę wam jednak podać przekonujące argumenty.

– A mianowicie? – Faye nadal spoglądała nieprzyjaźnie jak pozostali, lecz ona przynajmniej zamierzała wysłuchać Lathe'a.

– Wyraźne afiszowanie się z nienawiścią do Ryqrilów i władz. Bakshi nie okazuje tak emocjonalnie swego stosunku do obcych, podobnie jak moi ludzie. Blackcollarowie, którzy zachowują się równie gwałtownie, nie przetrwają wojny ani nawet jakiegokolwiek walki – zbyt szybko się spalają. Kamuflażem było przybranie stereotypowej osobowości blackcollara, jakiej wszyscy się po nich spodziewaliście. Prawda?

Caine oderwał wzrok od mówcy i przyglądał się słuchaczom. Na twarzach wciąż wrogo nastawionych Argentinian znalazły odbicie wątpliwości wywołane słowami komandosa. Sam Allen odnosił wrażenie, jakby stał na skraju urwiska, które zaczyna się pod nim osuwać.

– Skyler przywiózł ze sobą pierścień Valentine’a – ciągnął Lathe. – Mogę wykazać, że został przerobiony, aby odpowiadał jego stopniowi komandosa, podczas gdy pierwotnie należał do oficera. I wreszcie ta trójka zabita przez Mordecaia. Zaatakowali go pierwsi, co nie jest zgodne z filozofią i taktyką blackcollarów.

– Nie pomogło im to wiele, prawda? – zapytał Tremayne, spoglądając ponad ramieniem Caine’a na stojących przy drzwiach Kwona oraz Mordecaia. – McKitterick miał krtań rozoraną gwiazdką, Couturie złamany kręgosłup, a Fuess pogruchotane żebra, których odłamki przebiły mu płuca i serce. A nie widzę, żeby pan choćby utykał.

Mordecai milczał.

– Pozostaje jednak fakt, że prawdziwi blackcollarowie nie zaatakowaliby – kontynuował dowódca Plinrian. – Mogli przecież próbować oczyścić się z zarzutów.

– W jaki sposób? – warknął Cameron. – Ich słowa przeciwko waszym?

– Rusz głową, Miles – odezwał się niespodziewanie Bakshi. – Byliśmy w tym samym centrum treningowym na Centauri A. Są tysiące umiejętności i wiadomości, które posiada prawdziwy blackcollar.

Uwaga wszystkich skoncentrowała się na argentiańskim komandosie.

– Twierdzisz więc, że Lathe ma rację? – zapytał Tremayne, nie starając się ukryć zaskoczenia.

– Nie wiem na pewno... a jakkolwiek możliwość sprawdzenia tej czwórki przypadła.

– Bardzo sprytne – rzekł Cameron z sarkazmem.

– Ale jeśli Lathe się nie myli – ciągnął Bakshi – to by tłumaczyło, czemu tak często nie udawały się nam ważne akcje.

– Nawet gdyby okazało się, że nie są blackcollarami, nie musieli zaraz być szpiegami – zaprotestował Cameron.

– Chyba sam w to nie wierzysz – rzekła Faye. – A kim innym mieliby być?

– Czy przypadkiem nie pan wprowadził tę czwórkę do Radixu? – wtrącił Lathe.

Zapytany zaczerwienił się mocno.

– Co to ma znaczyć?

– Tylko tyle, że usiłuje pan ich bronić jak ktoś, komu sprawa ta może popsuć opinię, jeśli potwierdzone zostałyby zarzuty.

– Nie jestem... Do diabła. Tak, poprzez swoje znajomości nawiązałem z nimi kontakt i poleciłem ich Ralowi, żeby pomogli nam w opracowywaniu strategii. Ale na tym koniec. -Wskazał palcem Bakshiego. – A Serle uznał tych czterech za autentycznych blackcollarów, więc jakie ja mogłem mieć obiekcje?

– Dlaczego wydałeś taką opinię, Serle? – zapytała ciekawie Faye. – Przecież sam powiedziałeś przed chwilą, że bardzo łatwo sprawdzić czyjaś przynależność do blackcollarów.

Bakshi wzruszył ramionami. Podobnie jak Cameron sprawiał wrażenie zakłopotanego.

– Nie widziałem powodu, żeby im nie wierzyć. Posiadali wystarczająco dużo ogólnej wiedzy o umiejętnościach i taktyce blackcollarów, więc uznałem ich za cennych dla Radixu. Musicie pamiętać, że oddziały komandosów działały niezależnie w wyznaczonych rejonach. Nie mogłem więc się spodziewać, że będę znał wszystkich osobiście. – Spojrzał na Lathe'a. -Pańska drużyna także została sformowana z niedobitków, prawda? A jeśli o tym mowa, słyszałem, że jeden z waszych ludzi cierpi z powodu porażenia nerwów, na co też uskarżali się Fuess i pozostali. Jeśli tak długo nie zdołał ich pan przejrzeć, to dowód, że bardzo dobrze symulowali.

Lathe przytaknął. Caine z trudem zachował obojętny wyraz twarzy, ponieważ w jednej chwili ze zdwojoną siłą powróciły pytania związane z osobą Doddsa. Jeśli Fuessowi oraz jego towarzyszom udawało się tak długo zwodzić Bakshiego, dlaczegóż Dodds nie miałby robić tego samego na Plinry? Różnica polegała jednak na tym, że Lathe osobiście ręczył za niego.

Ziemianin niemal niedostrzegalnie potrząsnął głową, by odpędzić od siebie te myśli. Z pewnością Lathe pozostawał poza wszelkimi podejrzeniami – wystarczająco często ryzykował życie, żeby nie musieć tego udowadniać. A jednak Allen nie mógł się oprzeć przekonaniu, że wyeliminowanie tych właśnie czterech Argentinian spowodowało uciszenie najbardziej opornych członków grupy taktycznej Radixu. Niepokoiło to Caine'a tak bardzo, że nie potrafił przestać o tym rozmyślać. Miał nadzieję, iż Tremayne lub Cameron zażądają od komandosa przedstawienia jeszcze innych dowodów. Może kolejne wyjaśnienia dowódcy umożliwiłyby wyrobienie sobie jednoznacznej opinii.

Ale w sytuacji, gdy Bakshi i Faye skłaniali się ku wersji Lathe'a, kontrowersje związane z likwidacją szpiegów znikwały, przynajmniej na pewien czas. Sam komandos wyraźnie uważał tę sprawę za zamkniętą, ponieważ zajął się czym innym, rozpościerając już na stole mapę. Allen słuchał jednym uchem, jak towarzysz wyniszcza plan, który opracował wraz z Hawkingiem. Chodziło o zdobycie transportowców kosmicznych w wojskowym porcie Brocken, jakieś piętnaście kilometrów na południe od Calarandu... Szybko jednak wyszło na jaw, że opór wobec metod Lathe'a nie zginął wraz z Fuessem i jego współnikami.

– Zdaje się pan w pełni przekonany, że zdołamy przedostać się przez zewnętrzne zabezpieczenia, zanim rozpocznie się ostrzał z wież laserowych lub Ryqrilowie zmobilizują swoje siły naziemne – rzekła Sally Quinlan, kręcąc głową. – Jestem gotowa wierzyć panu, jeśli w grę wchodzi sprawy bezpośrednio związane z blackcollarami, ale tu mówimy o walce z obcymi, a wiem, że oni mają świetnie zorganizowaną obronę.

– To prawda – przyznał Lathe – ale przedstawiłem tylko jeden z kierunków natarcia. Drugie nastąpi tutaj... – Wskazał punkt na mapie. – Przeprowadzą je komandosi w podwójnych dermopancerzach,

którzy przedrą się przez pole minowe. Nie będą korzystali z ładunków wybuchowych jak pierwsza grupa, więc Ryqrilowie nie powinni zorientować się w sytuacji, nim oni dotrą między statki.

– Chyba że lasery przeciwlotnicze uprzednio zostaną nastawione na automatyczne niszczenie celów naziemnych – odezwał się Tremayne. – Zgadzam się z Sally. Ten plan jest niemożliwy do zrealizowania. – Spojrzał wyzywająco na dowódcę blackcollarów. – A może to kolejna fikcja, jak ta wielka operacja skierowana przeciw więzieniu Cerbe?

Lathe zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie, zaprezentowałem autentyczny plan. I rzeczywiście byłby niewykonalny, gdybyśmy chcieli na dłużej opanować cały port. Ale skoro chodzi tylko o zdobycie statków i wsadzenie do nich weteranów, doprawdy niewiele nam grozi.

– Skąd ta pewność? – warknął szef Radixu.

– Bo Ryqrilom zależy na krążownikach typu Nova – przemówiła Faye, nie spuszczać wzroku z Lathe'a. – Na to liczysz, czyż nie?

– Mój Boże! – wykrzyknął Jeremiahs Dan, wyraźnie poruszony. – Ona ma rację, Ral... Fuess i McKitterick przysłuchiwali się wywodowi o okrętach.

Tremayne popatrzył podejrzliwie na Plinrianina, po czym zwrócił się do Faye:

– Dlaczego sądzisz, że Lathe na to liczy?

– To proste – odpowiedziała dziewczyna, ani na chwilę nie odwracając oczu od komandosa. – Teraz, kiedy obcy znają cel pobytu blackcollarów, mają do wyboru dwa wyjścia. Mogą albo otoczyć nas i zniszczyć, co oznaczałoby definitywne przerwanie operacji, albo wypuścić nas i zadziałać dopiero później, gdy się dowiedzą, gdzie jest ukryta flotylla. Lathe uśmiechnął się lekko i skinął głową.

– Czytasz w moich myślach – stwierdził.

– Dziękuję – odrzekła machinalnie i kontynuowała: – Otóż wiedzcie, że sami zdecydowaliście już za władze. Pozbawiony agentów Apostoleris nie może pozwolić, abyśmy opuścili planetę. Ryqrilowie nie podążą tak po prostu za nami, bo ich statki musiałyby trzymać się w sporej odległości i zanim wreszcie by nas dogonili, mogłoby się okazać, że zdołaliśmy już uruchomić co najmniej jeden okręt.

– Jeśli mają do dyspozycji trzydzieści Korsarzy? – zapytał blackcollar. – Ryqrilowie wiedzą, że z taką liczbą ludzi na pokładach nie uzyskamy pełnej mocy okrętów wcześniej niż po upływie czterdziestu, pięćdziesięciu godzin. Spokojnie dotrą więc do celu po śladzie zostawionym przez silniki naszych pojazdów i pozostanie im jeszcze mnóstwo czasu, aby nas zlikwidować.

– Bardzo możliwe, ale przy założeniu, że krążowniki znajdują się w zasięgu czterdziestu godzin lotu od Argentu -odezwał się Bakshi.

– Bo tak jest. Przecież zapewne wszyscy już się domyślacie, gdzie je ukryto.

Zapadła cisza.

– Gdzieś w Diamentowym Pierścieniu? – zaryzykował wreszcie Tremayne.

– Oczywiście. Istnieje tam około osiemdziesięciu tysięcy większych asteroidów. Posiadają one grotty i prawie w każdej z nich może być ukrytych pięć odpowiednio zamaskowanych okrętów.

Ryqrilowie sami szukaliby ich przynajmniej przez najbliższe dziesięć lat, a i tak zapewne na nie by nie natrafili. Dlatego będą chcieli, żebyśmy to my pokazali im drogę.

– To wyłącznie przypuszczenia – wyraził swą opinię Cameron. – A poza tym, skoro Apostoleris trzyma nas w garści, jaki jest sens w ogóle podejmować działanie?

– Ponieważ wiemy o czymś, o czym nie mają pojęcia siły bezpieczeństwa – rzekł spokojnie Lathe.
– Jeden z moich ludzi zna dość oryginalny sposób skrócenia procedury uzbrajania krążownika. Po takim przygotowaniu można wykorzystywać jego arsenał już po niespełna czterech godzinach. Jeśli odpowiednio szybko znajdziemy te jednostki, prawdopodobnie zdołamy odpierać ataki obcych na tyle długo, żeby uruchomić główny napęd. I to nieważne, jakiego rodzaju broni użyją Ryqrilowie.

– Dlaczego wcześniej nie mówił pan nic o tym cudownym sposobie? – zapytał podejrzliwie Tremayne. – I któż to niby jest tym fachowcem?

– Wcale nie „niby”. A nie słyszeliście o nim do tej pory, ponieważ sprawa staje się aktualna dopiero teraz.

– Kto to?

– Oczywiście Jensen. Najlepszy spośród blackcollarów specjalista od statków gwiazdnych.

Przywódca Radixu utkwiał wzrok w komandosie. Caine był przekonany, że Argentianin zaraz znowu zażąda jakiegoś dowodu. Ale Lathe hardo wytrzymał spojrzenie i to Tremayne pierwszy spuścił oczy.

– Proszę tylko nie zapominać, że przyjmuje pan na siebie odpowiedzialność za niepowodzenie. – Wskazał na plan bazy Brocken. – I lepiej, żeby rządowcy działali tak, jak pan przewidywał. W przeciwnym wypadku wielu dobrych ludzi zginie nadaremnie... Ale wtedy pan i pańscy towarzysze nie umkniecie sprawiedliwości.

– Przecież my ryzykujemy najbardziej. Zapomniał pan, że to właśnie blackcollarowie będą prowadzili oba atakujące oddziały?

Tremayne kolejny raz zmierzył Lathe'a wzrokiem.

– W porządku – stwierdził. – Kiedy uderzymy? Komandos odpowiedział bez chwili zastanowienia:

– Dziś wieczorem.

* * *

Galway nie znał środka przeciwbólowego, który mu podano. Specyfik skutecznie jednak uśmierzył ból złamanego ramienia i ponadrywanych mięśni szyi, nie powodując równocześnie otępienia. W pewnym sensie prefekt żałował tego, ponieważ wolałby uciec przed wspomnieniami zdarzeń ostatnich kilku godzin. Odzyskawszy świadomość, stwierdził, że znajduje się wśród gruzowiska. Pamięć tego, co się stało, jeszcze w tej chwili wywoływała u niego dreszcze. Większych cierpień przysparzało jednak zdanie sobie sprawy, że blackcollarowie po raz kolejny zrealizowali pozornie niewykonalny zamiar.

I ta okropna świadomość, że on sam po części odpowiada za obecną sytuację.

– Jestem pewien, że zwrócił na to uwagę – rzekł ponownie do pułkownika Eakinsa. – Miał w tym momencie wystarczająco jasny umysł, a blackcollarowie nie puszczaają mimo uszu takich informacji.

– Szczególnie jeśli mają je podane na srebrnej tacy – skwitował ironicznie Argentinianin, odchylając się w krześle.

Plinrianin pomyślał, że kiedy godzinę temu pułkownik usiadł po drugiej stronie biurka, wyglądało to dość dziwnie. Zapewne nigdy wcześniej nie zajmował miejsca prefekta. Po wykonaniu kilkudziesięciu telefonów i wydaniu dwukrotnie większej liczby rozkazów sprawiał wrażenie zmęczonego.

Poczucie winy Galwaya nie dało się stłumić świadomością, że zapewne tylko dzięki pobytowi w sali przesłuchań w czasie eksplozji, uniknął śmierci. Spośród osób znajdujących się w centrum kontroli przeżył jedynie prefekt Apostoleris, ale i on był z trudem utrzymywany przy życiu w szpitalu w Millaire.

Eakins zachnął się, lecz po chwili pokręcił głową.

– Niech pan już się nie dręczy. Gdyby nic pan nie powiedział, i tak zapewne dotarliby do pozostałej trójki, łącząc ich z Valentine'em. Żywię tylko nadzieję, że będziemy gotowi, zanim Lathe wykona następny ruch.

Galway zdrowym ramieniem wskazał telefon.

– Czy uważa pan, że dysponujemy wystarczającymi siłami, aby zabezpieczyć wszystkie lotniska na planecie?

Eakins westchnął.

– Nie mam wyboru. Nie dysponując już dostępem do kierownictwa Radixu, nie zdołamy zdobyć na czas koordynatów krążowników, żeby Ryqrilowie dotarli tam na czas.

– Dlaczego nie pozwolić im odlecieć? Moglibyśmy potem ruszyć po śladach – zasugerował Plinrianin. – Wystarczy dopilnować, żeby na uprowadzonych statkach znajdowały się transpondery dalekiego zasięgu. Co prawda pierwsi dotrą do ukrytych okrętów, ale minie zaledwie kilka godzin, zanim Ryqrilowie rzucą przeciwko nim skrzydło Korsarzy.

– Myślałem o przeprowadzeniu takiej akcji. Wszyscy nasi eksperci twierdzą, że jest wykonalna, ponieważ uruchomienie okrętów zajmie im prawie dwie doby. – Pułkownik podniósł wzrok na Galwaya. Na twarzy Argentinianina malowała się troska. – To zbyt oczywiste, żeby Lathe nie brał tego pod uwagę, a jednak nie zamierza się wycofać. W takim razie albo my się mylimy, albo też Lathe wie o czymś, o czym my nie mamy pojęcia. – Pokręcił głową. – Nie mogę sobie pozwolić, żeby ponownie zlekceważyć przeciwnika.

Zadzwoił telefon.

– Biuro prefekta. Eakins, słucham – rzekł. Po chwili jego oczy wyraźnie się rozszerzyły. – Tak, dziękuję – rzucił pospiesznie i cisnął słuchawkę na widełki.

– Co się stało? – zapytał zaniepokojony Galway.

– Idzie tu Ryqril – syknął pułkownik.

Słowa jeszcze dźwięczały w uszach prefekta Plinry, gdy otworzyły się drzwi i do środka wszedł obcy.

Widział ich z bliska jakieś dziesięć razy w ciągu całego swego życia, lecz wygląd przybyłego osobnika sprawił, że Galway wpatrywał się w niego, jakby po raz pierwszy dostąpił takiego zaszczytu. Ryqril był naprawdę ogromny. Jego nieco schyłona postać ledwie zmieściła się w drzwiach, a gdy szedł, cała podłoga drżała pod grubym, miękkim dywanem. Ale nawet to nie uzasadniało faktu, iż pomieszczenie wypełniło się nagle jak gdyby prądami, z których emanowała potęga i władza. Obaj mężczyźni momentalnie poderwali się na nogi. Galway przebiegł wzrokiem po zdobnym pasie z koalicyjką, przytrzymującym laser i krótki miecz, poszukując oznaczenia szarży lub symbolu stanowiska. Nie zauważył jednak niczego takiego.

Ryqril podszedł do biurka i stanął, utkwivszy swe czarne oczy w pułkowniku.

– 'Ge'est A'staeleris? – zapytał.

Mowa obcych z trudem dawała się zrozumieć, nie potrafili oni bowiem wyartykułować szeregu dźwięków, a poza tym dodatkowo zniekształcała ją wibrująca tonacja głosu.

Argentinianin głośno przełknął ślinę.

– Jestem pułkownik Eakins i obecnie pełnię funkcję komendanta sił zbrojnych – rzekł wyraźnie. – Prefekt Apostoleris jest ciężko ranny.

Ryqril wykonał gwałtowny gest i Galway skurczył się instynktownie, zanim uświadomił sobie, że obcy nie sięga po miecz. Zachowanie Plinrianina, choć słabo dostrzegalne, zwróciło uwagę obcego.

– Je'em Hrarkh – we'ewnik khassq – oświadczył kończąc ruch, który stanowił rodzaj salutu.

Galway poczuł falę gorąca. Wojownicy klasy „khassq” znajdowali się na samym szczycie drabiny społecznej okupantów, niedostępnym dla znanych mu obcych stacjonujących na Plinry. Nie miał pojęcia, jakie miejsce zajmuje ten Ryqril we władzach Argentu i całej maszyny wojennej aktualnie skierowanej przeciwko Chryselli. Ale nie przedstawiało to żadnego znaczenia. Władza wojownika khassq była nieograniczona i wymagała bezwzględnego posłuszeństwa.

Widocznie Eakins wiedział o tym nie gorzej od Galwaya.

– Jakie są pańskie rozkazy? – zapytał.

– Wyce'ac we'ewnikow ze wszestkich le'nisk – powiedział bez chwili zastanowienia obcy. – Wregi at'k ma sie udac.

Eakins zamrugał powiekami.

– T... Tak jest. Ale... czy wie pan, że wróg zlikwidował naszych informatorów?

– Sprzecie'asz sie? – głos Hrarkha zniżył się o oktawę i Galway poczuł trudną do zniesienia suchość w gardle. Tylko raz do tej pory słyszał taki ton w wypowiedzi Ryqrila i w efekcie zginęło trzech ludzi.

– Ależ nie kwestionuję pańskiej władzy ani rozkazu – odpowiedział pospiesznie pułkownik. – Chodzi mi tylko o to, czy zdołamy chronić interesy Ryqrilów, jeśli zrezygnujemy z obrony.

Galway odniósł wrażenie, że obcy się odprężył, choć nie drgnął nawet najmniejszy mięsień potężnego ciała. Głos wrócił do typowego pisku.

– Ta ebawa nie je't petrze'na. Kentreljemy sytuacje.

– Oczywiście – zapewnił z zapalem Eakins. – Nasze siły zostaną natychmiast wycofane.

Ryqril raz jeszcze zmierzył wzrokiem Galwaya, po czym bez słowa odwrócił się i wyszedł.

Eakins usiadł ostrożnie, jakby starał się zachować choć odrobinę dostojęstwa. Galway nie próbował nawet tego i z ulgą opadł na swoje siedzenie.

– Na Plinry krążą plotki, że Ryqrilowie, zamiast wzywać ludzi do siebie, przychodzą do ich biur, bo kiedy się wściekają, niszczą cudze, a nie własne.

– To nie plotka... Sam widziałem podobne zdarzenie. Galway popatrzył na drzwi, w obawie czy niespodziewany gość nie wróci.

– O co, u diabła, chodziło? Pułkownik potarł dłonią czoło.

– Wygląda na to, że wracają do realizacji pierwotnego planu Apostolerisa.

– Ryzykowna decyzja. Jeśli Lathe ma coś w zanadru, mogą wszystko stracić... Właśnie udało się panu przekonać mnie o rym.

– Zgadza się. Ale może nie będą zmuszeni czekać z wkroczeniem do akcji, aż Lathe dotrze do okrętów.

Plinrianin zmarszczył czoło, zrozumiałwszy aluzję rozmówcy.

– Uważa pan, że Ryqrilowie dysponują własnym szpiegiem we władzach Radixu?

– Wcale by mnie to nie zdziwiło.

Przez chwilę mężczyźni patrzyli jeden na drugiego. Galway odczytał z twarzy Eakinsa tę samą co u siebie niechęć do odrębnej siatki szpiegowskiej obcych. Obaj jednak milczeli. W końcu Argentinian wyprostował się w fotelu i sięgnął po telefon. Galway wiedział, że pułkownik ma do odwołania wiele wydanych wcześniej rozkazów.

* * *

Opracowanie planu ataku wymagało zajęcia się mnóstwem szczegółów, więc dopiero późnym popołudniem Lathe mógł wreszcie wrócić do swojej kwatery. Głowę wciąż zaprzętały mu rozwiązania taktyczne. Dlatego zdążył już zamknąć za sobą drzwi, nim zorientował się, że poza mieszkańcami znajduje się tu ktoś obcy. W przeciwległym końcu pokoju Lianna Rhodes rozmawiała szeptem z Caine'em.

Nieco zaniepokojony podszedł do Hawkinga, uważnie obserwującego dyskutujących.

– Jak tam Jensen i Skyler? – zapytał Hawking witając dowódcę uniesieniem ręki.

– Lepiej. Vale mówi, że Jensen jest przede wszystkim odwodniony i ma mocno nadszarpnięty układ trawienny. Poza tym odniósł lekkie obrażenia w walce. Skylera zaś usztywniły nieco oparzenia,

ale wydobrzeje za dzień lub dwa. Dzisiejszą akcję będzie musiał sobie jednak odpuścić. – Lathe ruchem głowy wskazał Lianę. – Od dawna tu jest?

– Od dziesięciu minut – odpowiedział Hawking z wyraźnym niezadowoleniem. – Nie chciałem jej wpuszczać, ale Caine nalegał. Zapewne umówił się z nią po spotkaniu z ludźmi Tremayne’a, zanim przejąłem służbę od Kwona.

Lathe spojrział na Mordecaia, jak zwykle siedzącego koło drzwi. Blackcollar potwierdził oświadczenie kolegi nieznacznym ruchem głowy.

– O czym rozmawiają?

– Nie wiem, co mówi ona, ale z ruchu warg Caine’a wnioskuję, że chodzi o jakiś raport wywiadu.

Lathe przytaknął.

– No cóż, będzie musiała wyjść. Nie mamy na to czasu, żeby Caine bawił się w generała.

Uniósł nieco rękę, chcąc zwrócić na siebie uwagę Ziemianina. Gest okazał się zbędny, ponieważ w tym momencie wstali jednocześnie i ruszyli w stronę drzwi. Lianna skinęła dowódcy przechodząc obok, w odróżnieniu od Allena, który zupełnie nie zwrócił na niego uwagi. Mordecai wypuścił dziewczynę i gdy zamykał drzwi, Caine odwrócił się ku Lathe’owi.

Komandos pierwszy zdążył zadać pytanie:

– O co chodziło?

– Poprosiłem ją, żeby dyskretnie zdobyła dla mnie pewne informacje od Camerona i Sally Quinlan.

– Jaki rezultat?

– Trzy godziny temu lotnisko Brocken aż roilo się od agentów sił bezpieczeństwa, którzy sposobili się do obrony. Obserwatorzy Sally donoszą, że właśnie zabrano ich i odtransportowano do koszar. Inne raporty mówią o podobnej sytuacji w pozostałych portach. I jeszcze jedna ciekawostka: mniej więcej od południa nasiliły się starty zadziwiająco dużej liczby Korsarzy i nikt nie widział, żeby wracały.

– Działają tak na wszelki wypadek – mruknął stojący za plecami dowódcy Hawking. – Ryqrilowie zapewne rozpraszają pojazdy w Pierścieniu, mając nadzieję, że któryś z nich znajdzie się bliżej krążowników niż jednostki wysłane naszym tropem.

– Brzmi to rozsądnie – przyznał Lathe.

– Tak – zgodził się Caine. – Nie dziwi cię, że siły bezpieczeństwa nagle umożliwiają nam dostęp do Brocken?

– A czy z kolei ciebie nie dziwi, że wysyłają Korsarze, aby na nas czekały?

– Jak twierdzi Hawking, robią to na wszelki wypadek.

– A może mają konkretne powody? Może obawiają się, że Jensen rzeczywiście zna sztuczkę z uzbrajaniem okrętów?

Sądząc z wyrazu twarzy Ziemianina, zrozumienie tej aluzji zajęło mu kilka sekund.

– Sugerujesz, że w grupie Radixu działa szpieg? – zapytał z niedowierzaniem. – Czy to aby nie przesada?

Lathe wzruszył ramionami.

– Mogę się mylić.

– Do diabła, mam nadzieję, że tak właśnie jest, bo jeśli nie, to twoje kłamstwo tylko pogorszy naszą sytuację. Jensen nie potrafi w szybkim tempie uzbrajać krążowników, prawda?

– Uspokój się. Musiałem jakoś przekonać Tremayne'a, aby towarzyszył nam w akcji.

– Świetnie... Wszyscy razem wpadniemy prosto w łapy kolabów. Lathe, żeby wyplątać się z tej pajączyny, będziesz potrzebował cholernie sprytnej sztuczki.

– Wiem. Może mam taką, ale trzeba poczekać z przekonaniem się, czy coś z niej wyjdzie.

– Powiedz więcej na ten temat.

– Przykro mi, nie mogę.

– To ma związek z Doddsem, tak? – nie ustępował Ziemianin. – Uzbroił swojego Korsarza w ukrytą gdzieś ciężką broń, czy coś podobnego?

Lathe pokręcił głową.

– Przepraszam, ale musisz zaufać mi na kredyt jeszcze przez jakiś czas.

Caine wbił w niego wzrok, zagryzając wargi.

– Powtarzasz to już zbyt długo – rzekł wreszcie. – Ja także ponoszę odpowiedzialność za tę misję i moja cierpliwość jest już na wyczerpaniu. Jeśli prosisz o zaufanie, musisz okazać je także w stosunku do mnie.

– Ryzykowałem życie was wszystkich, przybywając na Argent – odpowiedział ze spokojem Lathe. – Straciliśmy wielu dobrych ludzi na Plinry, a tutaj Novaka. W zależności od postępowania kolabów dzisiaj może zginąć kolejny nasz człowiek. Czego jeszcze chcesz?

– Powiedziałem już: pragnę wiedzieć, co się stanie, kiedy wreszcie znajdziemy krążowniki.

W pokoju zapanowała martwa cisza. Lathe wyczuwał, że Hawking oraz Mordecai uważnie przysłuchują się ich rozmowie, i wiedział, że oni także zastanawiają się, co planuje.

– Przykro mi – powtórzył z naciskiem. – Teraz podejdź tu, proszę – dodał, kierując się w stronę stołu, przy którym siedział Hawking. – Przed nami mnóstwo różnych spraw do omówienia.

– Z pewnością – rzekł Caine.

Przez chwilę dowódca zastanawiał się, jak ugłaskać wyraźnie niezadowolonego Ziemianina, lecz dał sobie z tym spokój. Zbliżali się już do ostatniej przeszkody i nie było czasu, żeby poświęcać uwagę dąsom kogokolwiek z zespołu.

Jeśli Caine naprawdę czuje się urażony, wkrótce sam o tym zapomni.

Rozdział 30

Choć Allen nie posiadał dużej praktyki, jego wiedza teoretyczna dotycząca wojskowości była dość szeroka. Co więcej, z punktu obserwacyjnego na dachu jednej z ciężarówek zaparkowanych kilka kilometrów od Brocken, miał doskonały przegląd sytuacji. Wszystko to pozwoliło mu dojść do jednego wniosku:

Atak przebiegał zaskakująco skutecznie.

Leżąc na brzuchu, Caine opuścił lornetkę i na tyle odchylił gogle, żeby móc palcem przetrzeć powieki piekące od soli zawartej w pocie.

Oba oddziały przemykały bez większych problemów przez rzęsiście oświetlone lądowisko, napotykać tylko sporadycznie na opór Ryqirilów. Widocznie Lathe miał rację: Władze obcych chciały, żeby napastnicy wydostali się z planety. Ograniczyły więc obronę na tyle, żeby nie zniechęcić buntowników i nie zmusić ich do odwrotu.

Ziemianin z trudem przełknął ślinę i nagle przypomniał sobie, iż do uda ma przytroczony pistolet laserowy. Nie było wątpliwości, że pośród nich znajduje się szpieg... a myśl o czekającym zadaniu sprawiała, iż przerażenie zaciskało Allenowi gardło.

– Caine! – dobiegł go szept z dołu.

Przezołgawszy się o metr do przodu, Ziemianin wyjrzał zza skraju dachu. W półmroku z trudem dało się wypatrzeć kilkanaście postaci przemykających obok zaparkowanych tu pięciu ciężarówek. Jedna z ciemnych sylwetek tkwiła tuż przy kabinie i patrzyła w górę.

– Tak?

– Czas ruszać – padło polecenie, bez wątpienia wydane przez Mordecaia.

Chwyciwszy się brzegu kabiny, zsunął się po niej i sprawnie wylądował na nogach. Pół minuty później siedział już wciśnięty między Mordecaiem a Skylerem, pośród grupy weteranów Sił Gwiazdnych stłoczonych na skrzyni.

– Jaka sytuacja? – zapytał Skyler.

– Wchodzą niczym w masło – odpowiedział Allen.

Po chwili zatrzaśnięto klapę. Ciężarówka szarpnęła ruszając.

Droga nie trwała długo i choć Caine wytężył słuch, nie usłyszał wiele. Raz dobiegł go przytłumiony huk eksplozji, mającej zapewne sygnalizować wysadzenie głównej bramy portu. Po pewnym czasie nastąpił jeszcze jeden wybuch, lecz znacznie już cichszy. Kierowca skręcił ostro. Kilka minut szybkiej jazdy i nagle pojazd się zatrzymał. Zanim jeszcze ściśnięci wewnątrz ludzie odzyskali równowagę, klapa opadła i rozległy się krzyki, żeby jak najszybciej wysiadali. Caine znajdował się w tylnej części wozu, więc zeskoczył na ziemię jako jeden z pierwszych.

Byli na terenie cywilnej części lotniska, ukryci za zapewniającymi bezpieczeństwo ogromnymi cielskami transportowców. Cztery spośród pięciu ciężarówek dotarły na miejsce, a ich pasażerowie

wylewali się ze środka i biegiem kierowali do włączów towarowych. W pobliżu stali uzbrojeni w lasery członkowie Radixu, pełniąc funkcję strażników, a jednocześnie kierując ruchem. Dalej, na końcach korytarza powstałego między statkami, widniał kordon stanowiący kolejne zabezpieczenie. Za nim krajobraz drgał, zapewne z powodu rozgrzanego powietrza, a od strony budynków portowych docierał dziwny, migotliwy blask.

– Co płonie? – zapytał Allen Mordecaia, kiedy ten pokazał mu, żeby ruszał do najbliższego transportowca.

– Nic ważnego – odpowiedział Skyler, idący z pewnym trudem po drugiej stronie Ziemianina. – W pierwszej ciężarówce wieźliśmy łatwopalny płyn. Spadafora zaparkował auto między nami a wieżą i podpalił. Powstała ściana ognia długa na jakieś pięćdziesiąt metrów i wysoka miejscami nawet na dziesięć. Zniechęca wroga do zbyt ryzykownego działania, a poza tym oślepiła lampy podczerwieni.

– Spadaforze nic się nie stało?

– Ależ skąd. To urodzony piroman. Wzniecił więcej pożarów niż my wszyscy razem wzięci. Ten był konieczny na wypadek, gdyby Ryqrilowie zmienili zdanie co do swojego dalszego postępowania.

Weszli do transportowca. Pojazd okazało się znacznie większy od tego, którym przylecieli z Plinry, i co najmniej dziesięć lat młodszy. Najwyraźniej Skyler dokładnie znał wnętrze jednostki, i to on poprowadził na mostek.

Znajdowało się tam już niemało ludzi. Oprócz Lathe'a, Bakshiego oraz Tremayne'a nowo przybyli zastali komandora Nomurę z trzema podwładnymi, właśnie przygotowującymi statek do startu. Szef Radixu zajął miejsce przy konsoli łączności, a obok niego stanęli obaj dowódcy. Argentiański blackcollar oprócz nunczaka trzymał w dłoni pistolet laserowy. Wypatrzwszy wolny kąt w tylnej części mostka, Allen wycofał się tam, wsparł o ścianę i czekał. Serce waliło mu jak młotem.

Start nastąpił kilka minut później. Był tak łagodny, że gdyby wysłannik ruchu oporu nie słyszał wydanego rozkazu, przegapiłby moment, w którym oderwali się od ziemi. Przez kilka sekund jeden z monitorów pokazywał światła lotniska i morze ognia. Nomurze zależało, aby jak najszybciej wy dostać się poza zasięg laserów przeciwlotniczych, dlatego już po chwili dystans dzielący pojazd od planety spowodował, że krajobraz w dole zlał się w bezkształtną, prawie jednolitą masę. Na innym ekranie gwiazdy stały się znacznie wyraźniejsze i jaśniejsze, kiedy transportowiec pokonał granicę atmosfery Argentu. Caine machinalnie oparł dłoń na kolbie lasera i próbował zapanować nad kłębiącymi się w głowie myślami.

– Weszliśmy na orbitę – zameldował jeden z członków załogi. – „Chainbreaker II” jest tuż za nami. Ani śladu pościgu.

– To nie potrwa długo – skomentował Nomura, po czym zwrócił się do Lathe'a: – Teraz czekam na podanie kierunku lotu, dowódcu.

Blackcollar skinął na Ziemianina.

– W porządku, Caine. Dawaj.

– Nie – zaprotestował Allen, wyciągając laser z kabury. – Najpierw trzeba unieszkodliwić jeszcze jednego rządowego szpiega.

Szum rozmów zgromadzonych na mostku ucichł nagle i zaległa cisza jak makiem zasiał. Jako pierwszy odezwał się Lathe, nie spuszczając wzroku z twarzy Allena i jakby nie zauważając lufy lasera wymierzonej w swoją pierś.

– Co ty, u licha, wyprawiasz? – krzyknął zaskoczony.

Caine udał, że nie słyszy pytania.

– Niech wszyscy trzymają się poza linią ognia – polecił głośno, na pozór spokojnym tonem. – Jeżeli się zgodzisz, żeby ktoś cię związał, Lathe, zyskasz szansę na sprawiedliwy proces. W przeciwnym wypadku zabiję cię od razu. Co wolisz?

– Caine, lepiej żebyś miał cholernie dobre wytłumaczenie takiego postępowania – warknął Skyler, a jego ręka zbliżyła się do pochwy, w której tkwił nóż.

– Lathe jest szpiegiem – wyjaśnił Ziemianin. – Na razie nie dysponuję dowodami rzeczowymi, ale wiele wskazuje na to, że współpracował z rządowcami. Jakże inaczej wytłumaczyć fakt, że wszystko, czymkolwiek się zajmował, tak świetnie wychodziło? No więc dasz się związać Tremayne'owi i Bakshiemu?

– Chyba postradałeś rozum, Caine. Ale jeśli tak bardzo ci na tym zależy, w porządku.

Blackcollar uniósł ręce na wysokość piersi... i nagle skoczył.

Ruch był błyskawiczny, lecz Allen spodziewał się takiej reakcji, więc zanim Lathe pokonał połowę dzielącej ich około trzymetrowej odległości, przyklęknął na jedno kolano i strzelił. Zaraz po tym uskoczył w bok, a rozpedzony komandos przeleciał obok niego i z hukiem wylądował na ścianie. Osunął się na podłogę i zastygł.

Zdawało się, że cisza, jaka później nastąpiła, rozsądzi bębenki. Caine pozostał w przysiadzie, z laserem wciąż gotowym do strzału. Obserwował, czy dowódca się nie poruszy. Lathe jednak nawet nie drgnął. Leżał na boku, z lewym ramieniem zagiętym pod głowę. Prawa ręka przysłaniała otwór ze zwęglonymi brzegami, który wiązka lasera wypaliła w jego piersi. Nawet z odległości metra wyraźnie było czuć gryzącą woń spalonego ciała.

Allen, wciąż dygocząc z emocji, wstał wreszcie, schował broń do kabury i odwrócił się przodem do przerażonych widzów.

– W porządku – rzekł, za wszelką cenę starając się nadać swojemu głosowi jak najspokojniejsze brzmienie. – Teraz sądzę, że możemy już lecieć do celu.

Skyler, jakby w zwolnionym tempie, odszedł od grupy przy konsolach i przyklęknął nad ciałem Lathe'a. Palce blackcollara dotknęły przepalonego dermopancerza, po czym powędrowały ku szyi ofiary. Szukając pulsu, mężczyzna zamarł na moment. Po chwili wyprostował się z pewnym trudem. Allena cieszyło, że wyraz twarzy Skylera był trudny do odgadnięcia pod dużymi goglami.

– Caine... – zaczął blackcollar grobowym głosem.

– Sam się zdradził – przerwał Ziemianin. – Mamy przeciwko niemu ten sam dowód, jaki podałem mówiąc o Fuessie i jego wspornikach: zaatakował. – Rozmyślnie odwrócił się plecami do Skylera i podszedł do urządzeń sterujących, obsługiwanych przez przerażonego Nomurę. – Komandorze, mam

dwa zestawy koordynatów określających pozycję krążowników. Czy ten komputer może wyliczyć na ich podstawie odpowiednią orbitę.

Weteran przytaknął z wciąż niepewną miną.

– W porządku. – Caine powoli wydobył z pamięci ukryte głęboko cyfry, które umieścił w niej, jak mu się wydawało, już całą wieczność temu. Czuł się przy tym dziwnie, jakby pewna część mózgu opierała się tej czynności. – Pierwszy zestaw koordynatów: standardowy system gwiazdno-galaktyczny...

Wyrecytowanie liczb i wprowadzenie ich do komputera zajęło niecałą minutę, a w ciągu kolejnych trzydziestu sekund maszyna podała namiary, uwzględniając odchylenie orbity wynikające z upływu trzydziestu trzech lat. Wreszcie na ekranie ukazało się obecne położenie ukrytego skarbu i trzy możliwe kursy, by do niego dotrzeć.

– Tak, to rzeczywiście gdzieś w Pierścieniu – zauważył Allen, przyglądając się koordynatom. – Niech pan leci w nieco innym kierunku, żeby na razie Ryqrilowie nie dowiedzieli się, dokąd naprawdę zmierzamy.

Nomura przytaknął i sięgnął ku przełącznikom na konsoli łączności.

– Muszę podać nasz kurs „Chainbreakerowi II” – wyjaśnił.

– Niech się pan nie trudzi – rzekł ktoś za ich plecami. – Nikt już dzisiaj nigdzie nie polecie. – W głosie mówiącego było coś, co zniechęcało do natychmiastowej reakcji.

Caine odwrócił się, trzymając rękę z dala od kabury. W pewnej odległości od pozostałych, z wyciągniętym laserem stał Bakshi.

Rozdział 31

Istnieje granica, poza którą ludzki umysł przestaje reagować na stres, a następujące po sobie silne impulsy ujawniają niespodziewane reakcje lub powodują ich zupełny brak. Kiedy Caine przypatrywał się kamiennemu obliczu Bakshiego, wyczuł, że tak właśnie dzieje się ze zgromadzonymi. Zastrzelenie Lathe'a zbyt mocno poraziło ich umysły, żeby mogli w jakikolwiek sposób zareagować.

– Co ty wyprawiasz, Serle? – wyszeptał wreszcie Tremayne, a jego pytanie w panującej ciszy zdawało się zupełnie nie na miejscu.

Stojąc nieco z boku, Allen obserwował zdziwienie szefa Radixu.

– Skyler, podejdź do reszty – polecił Bakshi, nie zwracając uwagi na przełożonego. – Trzymaj ręce w górze. Pamiętaj, że mam refleks tak dobry jak twój. I nie zasłaniaj mi Caine'a.

Kątem oka Allen zobaczył, że Skyler posłuchał i zbliżył się do Bakshiego na odległość niecałego metra.

– Kogo zamierzasz zabić? – zapytał pogardliwie.

– Nikt nie musi ginąć. Dla wszystkich uczestników tej akcji ogłoszona zostanie amnestia, włącznie z Caine'em i blackcollarami, oczywiście pod warunkiem, że się poddadcie. Komandorze Nomura, proszę poinformować drugi transportowiec, że zmieniamy kurs. Z powrotem kierujemy się na Brocken.

– A jeśli odmówię? – zapytał weteran zmienionym głosem.

– Pozostanie tu nic Ryqrilom nie da, nie znają przecież położenia okrętów – przypomniał mu argentyński komandos.

– Ty zdrajco – przemówił Tremayne z nienawiścią, jakiej Allen nie spodziewał się usłyszeć w ludzkim głosie. – Ty wszawy morderco.

– Proszę przesłać wiadomość, komandorze – powtórzył Bakshi.

Jego spojrzenie i lufa trzymanego lasera były skierowane gdzieś na lewo, lecz nie na siedzącego tam Nomurę. Zaskoczyło to nieco Caine'a i wyraźnie poirytowało Tremayne'a.

– Spójrz na mnie, do cholery! – krzyknął nagle przywódca Radixu. – A może nie masz odwagi popatrzeć mi w oczy?

Twarz blackcollara wykrzywił grymas.

– Przykro mi, Rał, ale w tej chwili nie stanowisz dla mnie żadnego zagrożenia. Komandos Mordecai to całkiem inna sprawa.

– Mordecai? – powtórzył ze zdziwieniem Tremayne. Caine bardzo wolno odwrócił głowę. Najlepszy z żyjących kiedykolwiek wojowników, specjalistów walki wręcz, jak nazwał go kiedyś Lathe, stał bez ruchu na linii strzału Bakshiego. Był niższy od Argentinina o głowę i ważył z pewnością ze dwadzieścia pięć kilo mniej.

– Przecenia mnie pan, dowódco – mruknął, ubierając w słowa myśli Allena.

– Nie sądzę. Fuess, McKitterick i Couturie nie należeli do blackcollarów, ale walczyli cholernie dobrze. Muszę się liczyć z kimś, kto poradził sobie z nimi w taki sposób. Dlatego nie spuszczę pana z oczu.

– A więc orientował się pan, że zostali podstawieni przez rządowców – rzekł wolno Caine. – Zapewne oni także wiedzieli o pańskich powiązaniach z kolabami. Szkoda że Mordecai przed likwidacją nie wziął ich na spytki.

– Niczego byście nie zyskali. Tych trzech nie miało pojęcia o mojej działalności. Podlegałem bezpośrednim rozkazom Ryqrilów.

– Ryqrilów? – powtórzył już opanowanym głosem Tremayne. Lecz jego twarz pozostała biała. Wręcz płonął nienawiścią. – Zdradziłeś więc swoją rasę... Ile teraz się za to dostaje? Nadal trzydzieści srebrników?

Bakshi wziął głęboki oddech.

– Staralem się wam pomagać.

– Oczywiście. Bez zdrajców nie moglibyśmy w ogóle funkcjonować?

– Nie przetrwalibyście długo – warknął blackcollar, na moment tracąc panowanie. Choć z widocznym trudem odzyskał jednak równowagę. Kiedy odezwał się ponownie, w jego głosie

pobrzmiwał smutek. – Nie rozumiesz – przemówił miękko -że Ryqrilowie nigdy nie pozwoliliby na to, żeby skuteczny w działaniu ruch oporu funkcjonował tak blisko frontu z Chryseli?

– Zdecydowałeś się zatem nas wykastrować – rzucił Tremayne i splunął.

– Mogłem decydować – albo unieszkodliwianie działań, albo masowa zagłada. Apostoleris miał swoich ludzi w waszym dowództwie w Calarandzie i Millaire. Gdyby tylko Ryqrilowie wydali rozkaz, zostalibyście zmieceni z powierzchni planety w ciągu jednej nocy. Komórki terenowe Radixu potraktowano by zapewne jeszcze okrutniej. Agenci sił bezpieczeństwa zniszczyliby całe miasteczka, żeby mieć pewność, iż nikt nie uszedł z życiem. Czy właśnie takiego losu chciałeś dla Argentu, Ral? Naprawdę?

Zapytany westchnął głośno.

– Są gorsze rzeczy niż śmierć w obronie ideałów. Na przykład życie z przeświadczeniem, iż jest się czyjąś marionetką.

– Nie miałem nadziei, że mnie zrozumiesz – rzekł zmęczonym głosem Bakshi. – I zdejmij rękę z lasera. Nie zdążyłbyś nawet wyjąć go z kabury.

– Nie – Głos Tremayne’a brzmiał pewnie. – Niepotrzebna mi litość Ryqrilów. Przekonajmy się, tchórze, czy pozostało ci na tyle odwagi, żeby mnie zastrzelić.

– Ral – zaczął komandos ostrzegawczo...

I nagle błysnął srebrzysty, niewielki przedmiot ciśnięty gdzieś zza pleców Caine'a. Trafił Bakshiego w nadgarstek ręki trzymającej laser, odrzucając ją nieco w bok.

Uderzenie nie wyrządziło blackcollarowi krzywdy i nie pozbawiło broni. Potrzeba mu było zaledwie pół sekundy, żeby ponownie wycelować. Ale dla Mordecaia stanowiło to niemal wieczność.

Kopnięcie z obrotu wytrąciło broń z dłoni Argentinianina i zapewne złamało mu rękę, ponieważ dał się słyszeć głośny, suchy trzask. Bakshi usiłował nogą zadać cios w brzuch przeciwnika. Nie zdołał jednak trafić, więc momentalnie odskoczył do tyłu, przyjmując pozycję bojową. Mordecai podążył za zdrajcą. Przez kilka sekund błyskawicznie wymieniali i blokowali uderzenia. Zamarli na chwilę i Allen zobaczył wyraźną strużkę krwi, płynącą z zaciśniętych ust Bakshiego, zanim ten raz jeszcze rzucił się do desperackiego ataku ostatniej szansy. Mordecai spokojnie zadawał precyzyjne ciosy, przed którymi Argentinianin nie miał już siły się bronić. W końcu upadł na podłogę.

Tremayne, wyrwawszy się z odrętwienia, dobył tkwiący w kaburze pistolet. Zaczaj poszukiwać celu, przenosząc wzrok z bezwładnego ciała Bakshiego w miejsce, z którego Lathe właśnie się podnosił.

– Może pan odłożyć broń? – zapytał spokojnie dowódca komandosów. – Teraz to już naprawdę koniec. Nomura, proszę przesłać namiary. Ruszajmy, zanim Ryqrilowie zorientują się, że stracili kontrolę nad sytuacją.

– Hm... Tak jest.

Caine obejrzał się na tyle szybko, by zauważyć, jak komandor, wciąż zaskoczony, odwraca się do konsoli.

Lathe szedł do Bakshiego, rozsiewając po podłodze zwęglone strzępy dermopancerza i ciągnąc za sobą odór spalenizny. Przyklęknął i na wszelki wypadek sprawdził puls leżącego. Wreszcie stanął naprzeciw Tremayne'a, który nadal ścisnął kurczowo laser.

– To już koniec – powtórzył. – Chyba że nie wyzbył się pan wątpliwości, że Bakshi szpiegował dla Ryqrilów.

Szef Radixu powoli wsunął broń do kabury i przyjrzał się uważnie dziurze wypalanej w dermopancerzu.

– Kolejna pańska sztuczka, co? – zapytał z ironią w głosie, posyłając Allenowi wściekłe spojrzenie. – Pewnie laser Caine'a został specjalnie przygotowany.

Lathe pokręcił głową.

– Był równie groźny jak pański. Bakshi nie dałby się nabrać na jakieś zabawki. Mam na sobie po prostu dwie warstwy ochronne, z cienkim plastrem krwistego, surowego mięsa między nimi, żeby zapewniło odpowiednie wrażenia zapachowe. Gdyby Caine'owi zadrżała ręka i trafił mnie przez przypadek w głowę, rzeczywiście bym zginął.

Zdjął rękawice i z wyraźnym znużeniem przetarł czoło wierzchem dłoni.

– Jesteśmy już na kursie, dowódco – zameldował Nomura. – Na razie lecimy dziesięć stopni od docelowego.

– Mógł mi pan zdradzić swoje przypuszczenia – warknął Tremayne. – A może uważał pan, że nie zdobędę się na obiektywny osąd w sprawie dotyczącej jednego z najbardziej zaufanych ludzi?

Komandos spojrzął mu prosto w oczy.

– Nie wątpił w pański obiektywizm. Nie byłem tylko pewien lojalności.

Lider Radixu odruchowo napiął mięśnie, lecz spodziewany przez Caine'a wybuch nie nastąpił.

– Wierzę, że zaraz usłyszę odpowiednie wyjaśnienie – przemówił lodowatym tonem.

– Pamięta pan zasadzkę, którą siły bezpieczeństwa przygotowały na nas w Calarandzie, tego dnia kiedy dostałem się do Henslowe? W wyposażeniu samochodu, który nas zatrzymał, znajdowały się cztery pary kajdan magnetycznych. Cztery, a nie trzy. Przed wymarszem do miasta tylko pan i Bakshi byliście w garażu. Jedynie wy dwaj wiedzieliście, że zabieramy ze sobą Caine'a. Jechaliśmy w zamkniętej furgonetce, więc obserwatorzy kolabów nie mogli nas policzyć, a wcześniej zadbałem, żeby nikt inny nie towarzyszył nam przy wyjeździe. Jeden z was był więc szpiclem. Musieliśmy dać mu szansę, żeby sam podpisał na siebie wyrok.

Tremayne powoli pokiwał głową.

– Ma pan rację – przyznał. – Absolutną rację. A mnie nawet nie przyszło równie nieprawdopodobne podejrzenie do głowy. Blackcollar. Aż trudno w to uwierzyć.

Lathe nagle wydał się o kilka lat starszy.

– Właśnie. Dlatego czekałem tak długo. Pragnąłem usłyszeć bezpośrednio od niego, dlaczego to zrobił. Chciałem spróbować zrozumieć.

– Chyba rzeczywiście sądził, że nam pomaga – rzekł wolno szef Radixu. – Operacje związane ze zdobywaniem iduniny i żywności zawsze się udawały. Nie wiem, czemu wcześniej nie zwróciłem na to uwagi. Zapewne te sukcesy zawdzięczaliśmy właśnie jemu.

Dowódca blackcollarów przemierzył mostek i schylił się, by podnieść pocisk, którym trafił Bakshiego w nadgarstek. Przez długą chwilę wpatrywał się w lśniące czerwienią oczy smoka. Wreszcie zdecydowanym ruchem wsunął pierścień na palec.

– Jego zadaniem nie powinno być zapewnianie wam możliwości przeżycia, lecz walka z Ryqrilami. – Spojrzał na Skylera oraz Mordecaia, wskazał im ciało Bakshiego, po czym odwrócił się przodem do Nomury. – Komandorze, kiedy dotrzemy do celu?

* * *

– Oba transportowce opuściły orbitę – zameldował dyżurny sił bezpieczeństwa, naciskając jeden z przełączników na konsoli. Włączył w ten sposób monitor, na którym wyświetlone zostały koordynaty statków. – Chce pan, żebym określił ich cel, pułkowniku?

Eakins przecząco pokręcił głową.

– Byliby głupi, gdyby bezpośrednio skierowali się w stronę krążowników. Poczekaj, aż zmienią kurs.

– Tak jest.

Pułkownik przeszedł na środek centrum kontrolnego, gdzie siedział Galway.

– Słyszał pan? Zapytany kiwnął głową.

– Czy wiadomo, kiedy Ryqrilowie zamierzają interweniować?

– Nie, ale na ich miejscu już dawno rozpocząłbym atak. Uważa pan, że coś jest nie w porządku?

Plinrianin wzruszył ramionami i znowu poczuł dotkliwy ból szyi.

– Być może Caine podał tylko przybliżony kurs i zwleka z ujawnieniem dokładnych koordynatów. Niewykluczone też, że Lathe po prostu przechytrzył agenta Ryqrilów.

Pułkownik popatrzył na prefekta zaintrygowanym wzrokiem.

– Ma pan nadzieję, że został rozszyfrowany, prawda? -zapytał cicho. – Tak naprawdę chciałby pan, żeby Ryqrilowie przegrali?

– Sam nie wiem – przyznał Galway. – Gdybym nagle znalazł się na ich statku z laserem w dłoni, jestem pewien, że poświęciłbym życie, starając się zatrzymać śmiałków. Ale siedzę tu, nie mając żadnego wpływu na przebieg zdarzeń... Trudno to wyjaśnić. Wstąpienie na służbę wiązało się z wzięciem na siebie odpowiedzialności za ludność Plinry. Jako prefekt sił bezpieczeństwa dbałem o porządek po części dlatego, że taki dostałem rozkaz, lecz przede wszystkim, żeby zapobiec odwetowi Ryqrilów za ewentualne przejawy nieposłuszeństwa. -Wskazał na ekrany. – Jeśli próby powstrzymywania Lathe'a nie powiodą się, Plinry drogo za to zapłaci, nawet jeśli Korsarze wreszcie

dopadną tego buntownika. Ale gdyby zdołał zwyciężyć, może zmusi ich do ustępstw. – Chciał pokręcić głową, ale natychmiast skrzywił się z bólu. – Czy moje słowa mają dla pana jakiś sens?

– Szczerze mówiąc, raczej nie. Ale przecież odniósł pan poważne obrażenia. Na dole jest kilka łóżek. Obaj możemy się przespać, bo przecież przeciwnik nie zdąży nigdzie dolecieć w ciągu najbliższych trzydziestu godzin.

– Dobrze.

Galwayowi wydawało się, że kieruje nim łatwe do zrozumienia uczucie, lecz widać nie potrafił tego wystarczająco jasno wytłumaczyć. Czy miłość do ojczyzny była rzeczywiście aż tak trudna do pojęcia?

Do diabła z tym wszystkim.

– Dobrze – powtórzył. – I chyba wezmę jeszcze jeden proszek przeciwbólowy.

* * *

„Chainbreaker I” już kilka godzin wcześniej został przełączony na tryb nocny i kiedy Lathe wrócił na mostek, uderzyła go jasność gwiazd widocznych na podglądzie. Niektóre z nich w rzeczywistości były asteroidami.

Jedyny obecny tu członek załogi odwrócił się na dźwięk otwierania przegrody.

– Witam, dowódco – rzekł. – Czym mogę służyć?

– Powinniście w ciągu ubiegłej godziny otrzymać zakodowany sygnał z drugiego statku. Chciałbym sprawdzić, czy jest właściwy. Gdzie szukać oficera odpowiedzialnego za łączność?

– Porucznik Inouye wyszedł do holu, żeby trochę odetchnąć. Jeśli zastąpi mnie pan na moment, pójdę po niego.

– Dziękuję.

Weteran odpiął pasy, wstał i wyszedł. Komandos policzył do pięciu i zabrał się do pracy.

Wywołanie z pamięci komputera obecnej pozycji krążowników trwało zaledwie kilka sekund. Wycelowanie i zawężenie wiązki komunikacyjnej zajęło już nieco więcej czasu, lecz nic tu nie dawało się przyspieszyć. Wiadomość musiała być możliwa do odbioru niemal na całym obszarze Pierścienia, a jednocześnie Lathe nie mógł dopuścić, aby została przechwycona przez „Chainbreakera II”, lecącego obok nich w odległości zaledwie stu kilometrów. Wreszcie wszystko było gotowe. Odkodowanie cyfr określających pozycję stanowiło drobiazg. W myślach dodał do nich określoną liczbę, po czym całość wprowadził do transmitera pulsacyjnego i pięciokrotnie nacisnął włącznik transmisji.

Nie czekał na potwierdzenie, ponieważ i tak się go nie spodziewał, lecz natychmiast oczyścił pamięć transmitera oraz ekran i przywrócił pierwotne zapisy.

Kiedy obaj członkowie Sił Gwiazdnych wrócili, ujrzeni Lathe’a siedzącego w hełmie sensorowym, lustrującego niebo w poszukiwaniu pościgu.

Rozdział 32

– Tam! – wykrzyknął Tremayne, wskazując palcem mały punkt na ekranie. – To musi być tam!

Caine przyjrzał się dwóm zestawom zbliżonych do siebie cyfr, oznaczającym pozycję „Chainbreakera I” i miejsce ukrycia okrętów.

– Chyba ma pan rację – zgodził się Ziemianin.

– To cholerstwo może mieć z pięć kilometrów średnicy -mruknął Nomura, wpatrzony w widniejący pośrodku ekranu obraz nieregularnego asteroidu. – Jeśli krążowniki są zabezpieczone tarczami siłowymi, ich znalezienie z pewnością zajmie nam co najmniej kilka godzin.

– Musimy dostać się tylko do jednego – rzekł ponuro szef Radixu. – Jeżeli Jensen zdoła uaktywnić jego arsenał, mamy jakieś szansę.

Caine posłał Lathe’owi karcące spojrzenie. Był przekonany, że blackcollar wyprowadził już z błędu Argentiniana, ale widać nie zrobił tego jeszcze...

– Tremayne... – zaczął Ziemianin.

– Co się dzieje z Korsarzami? – przerwał Lathe, patrząc na Caine’a groźnie.

Allen zamilkł i ze złości zacisnął szczęki.

– Trzy, które wystartowały z Argentu, doleczą tu za jakieś sześć godzin – odpowiedział kontroler. – Ale ujawniliśmy jeszcze cztery inne w różnych częściach nieba.

– Natychmiast proszę rozpocząć poszukiwanie krążowników – zwrócił się Tremayne do Nomury. – Nie mamy zbyt wiele czasu.

Caine’owi następne trzy godziny wydawały się najdłuższymi, a jednocześnie najkrótszymi w życiu. Choć oba transportowce wspólnie przeszukiwały powierzchnię asteroidu, nie przynosiło to żadnego efektu. Krążowniki były niezwykle dobrze ukryte, a statki zbyt ubogo wyposażone. Poczucie bezradności potęgował fakt, iż Allen osobiście w niczym nie mógł pomóc. Patrzył więc tylko, jak obraz kamienistej powierzchni przesuwają się na jednym z ekranów. Na innych zaś z minuty na minutę coraz jaśniejsze stawały się światła pochodzące z napędów Korsarzy.

To właśnie ku tym ostatnim najczęściej wędrował wzrok Ziemianina. Pojazdy Ryqrilów zbliżały się pełną mocą silników. Obcy nie usiłowali kryć się za żadnymi tarczami. Widocznie Bakshi zdążył przekazać swoim mocodawcom kłamstwo Lathe’a. Ryqrilscy wojownicy spieszyli się zatem, chcąc uprzedzić zdarzenia, które w rzeczywistości nie nastąpią. Nie po raz pierwszy Caine zastanawiał się, czy dowódca wziął pod uwagę taką możliwość, iż Korsarze wystrzelą w ich stronę rakiety. W ten sposób pozbawiliby Plinrianina możliwości skorzystania z niespodzianki, którą trzymał w zanadrzu.

Lathe. Allen podążał za starym blackcollarem słuchając jego rozkazów. Praktycznie postępował tak od chwili, gdy tylko wylądował na Plinry. Dopiero na transportowcu, zmuszony do bezczynności,

Caine w pełni uświadomił sobie, że ten człowiek nadal stanowi dla niego jedną wielką niewiadomą. Przez lata udawał niepoczytalnego, po czym nagle stał się przywódcą cieszącym się pełnym poparciem podwładnych. Ryzykował ich życie, realizując tajemniczy plan, o którym nie mieli nawet pojęcia. Czemu szli za Lathe'em kierowani tylko ślełą wiarą?

A dlaczego także on, agent ziemskiego ruchu oporu, robił podobnie?

Sam nie wiedział... i wyglądało na to, że nigdy już nie pozna odpowiedzi.

– Mam coś! – wykrzyknął nagle mężczyzna w hełmie sensorowym. Sternik nie czekał na rozkaz Nomury, lecz natychmiast uruchomił awaryjne hamowanie. Przez moment zapanowało ogromne napięcie. I wreszcie...

– Widzę kadłub... To chyba dziób, komandorze. Tak... tak, jest tam również drugi.

– Popatrzcie – rzekł Tremayne podekscytowanym tonem, wskazując na ekran. – Zarys jaskini. Tutaj... – Przesunął palcem po obrazie skalistego gruntu. – ...I tutaj. Założę się, że są tam wszystkie. – Podniósł wzrok na Lathe'a. – Niech Jensen już się przebierze, żeby ruszył jak tylko znajdziemy do nich dostęp. Trzeba działać szybko.

– Właściwie muszę się przyznać, że postąpiłem wobec pana trochę nieuczciwie – odezwał się wolno blackcollar. – Tak naprawdę, Jensen nie może zrobić niczego szczególnego.

– Co? – zapytał aż sztucznie spokojnym tonem szef Radixu.

– Ale jeśli tylko o to chodzi, czas nie działa już na naszą niekorzyść. – Dowódca wskazał na jeden z monitorów.

– O, mój Boże! – wykrzyknął Tremayne. Skąd, u diabła, to się tu wzięło?

Caine'owi odpowiedź wydawała się oczywista. Ogromny okręt zbliżał się do nich powoli, więc jego napęd był trudny do wykrycia z większej odległości. Wystarczyła najprostsza tarcza, żeby ukryć przed transportowcami jego obecność.

– Musieli przylecieć dużo wcześniej – rzekł niczym w transie.

Wcale nie zamierzał się poddawać wyrokowi losu... lecz nie miał ani cienia wątpliwości, że to już koniec.

– Ale skąd wiedzieli? – zapytał cicho Tremayne. Jego mina świadczyła o tym, że zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji.

– Bo ja przesłałem wiadomość prawie dwadzieścia godzin temu – wyjaśnił spokojnie Lathe.

Caine odwrócił się, by spojrzeć blackcollarowi prosto w twarz, a ręka powędrowała ku laserowi.

– Ty? – zapytał zmienionym głosem Ziemianin.

– Uspokój się i popatrz uważnie. Chyba nieco się mylisz w swoich osądach.

Allen z trudem przeniósł wzrok na monitor. Okręt, niemal dorównujący rozmiarami krążownikowi klasy Nova, wyraźnie widniał na ekranie.

Nomura jako pierwszy zrozumiał w czym rzecz.

– To nie jest jednostka Ryqrilów – oświadczył niepewnie. – A przynajmniej ja nigdy takiej nie widziałem.

– Nic dziwnego – odpowiedział Lathe. – Przed nami znajduje się okręt Chryselli.

– Chryselli? – wyjąkał komandor. – Co, u licha, robią tu Chryselli?

W tej chwili wszystkie elementy układanki utworzyły całość.

– Dodds! – wykrzyknął Allen. – Poleciał po pomoc! Blackcollar podszedł do konsoli komunikacyjnej i ustawivszy aparaturę, sięgnął po mikrofon.

– Dowódca Damon Lathe z pokładu „Chainbreakera I”, do Franka Doddsa, odbiór.

Dodds widocznie już czekał na nawiązanie łączności, ponieważ niemal natychmiast ekran rozjaśnił się i wypełniła go szeroko uśmiechnięta twarz.

– Dodds do Lathe’a i „Chainbreakera I” – rozbrzmiał z głośnika wesoły głos. – Cieszę się, że zdołaliście tu dotrzeć. Jaka jest sytuacja?

– Kieruje się na nas kilka Korsarzy, ale nie sądzę, żeby dysponowały jakimś cięższym uzbrojeniem. Możecie je powstrzymać, zanim zdążymy przygotować krążowniki?

Dodds odwrócił się do widocznych w tle postaci i rozmawiał z nimi przez moment.

– Gospodarze twierdzą, że nie powinno z tym być problemu. Ale lepiej się pospieszcie. Prześlizgnęliśmy się obok lecących w tę stronę większych jednostek i warto, żeby krążowniki były już sprawne, kiedy Ryqrilowie przyślą posiłki.

– W porządku – rzekł Lathe i kiwnął na Nomurę. – Słyszał pan, komandorze. Proszę przygotować drużyny i jak najszybciej dotrzeć na pokłady okrętów. Sam zajmę się na razie mostkiem.

– Tak jest – odpowiedział weteran, po czym spojrział pytająco na Tremayne'a. – Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, członkowie Radixu mogliby mi bardzo pomóc.

– Jasne – odpowiedział Argentinianin, jednocześnie rzucając Lathe'owi pozbawione już wrogości spojrzenie. – Oczywiście za pańskim pozwoleniem, dowódco.

Odwrócił się i opuścił mostek wraz z Nomurą. Lathe oraz Caine pozostali sami, nie licząc załogi na stanowiskach.

– Widzę, że twoje przywództwo nie straciło nic z dawnego uroku – zauważył Dodds.

– Tremayne był już tylko troszkę niezadowolony. Jestem pewien, że poczuje się lepiej, kiedy wreszcie naprawdę zrozumie, co osiągnęliśmy. – Przeciągnął się i spojrział na Caine'a.

– Jeśli chcesz, możesz pójść z nimi. Mordecai z resztą czuwa nad bezpieczeństwem akcji. Trzeba uważać na mogących wyjść z ukrycia agentów kolabów. Dodatkowa para oczu na pewno przyda się blackcollarom.

Allen przytaknął.

– Świetnie. – Zawahał się na moment. – Zanim jednak odejdę, chciałbym przeprosić za moje słowa i podejrzenia. Teraz rozumiem, dlaczego musiał pan trzymać swoje plany w tajemnicy. W pobliżu czaił się Bakshi i pozostali szpiegowie. Wówczas nie mogłem jednak tego pojąć.

Lathe niedbale machnął ręką.

– Zapomnij o tym... Czerwonookiego smoka nie dostaje się dla uzyskania popularności.

– Chrzest bojowy jest zawsze ciężki, Caine – wtrącił Dodds. – Wygląda na to, że dobrze sobie radziłeś... Na pewno lepiej niż wielu, których znałem.

– Dziękuję. Muszę jednak zauważyć, że powinieneś powiedzieć o statku Chryselli trzy godziny temu – zwrócił się Ziemiannin do dowódcy komandosów. – Wtedy i tak Ryqrilowie nie zrobiliby już niczego, a uspokoiłbyś nas wszystkich.

– Miałem ważne powody.

– Przede wszystkim daną mi obietnicę – mruknął niespodziewanie komandos widoczny na ekranie.

– Dodds...

– Nie, Lathe. Prędzej czy później prawda wyjdzie na jaw. A poza tym teraz, gdy wreszcie dotarliśmy do okrętów, sytuacja przedstawia się zupełnie inaczej.

Caine intensywnie myślał słuchając i obserwując dwóch blackcollarów w czasie tej rozmowy... aż wreszcie ostatni element układanki trafił na swoje miejsce. Był przecież tylko jeden człowiek, którego Lathe mógł posłać po pomoc do Chryselli. Na Plinry jedynie on wiedział o kosmatych stworach wystarczająco dużo, żeby podołać temu zadaniu. Jednocześnie Chryselli znali go na tyle, by mu zaufać...

Lathe wciąż nie wyglądał na przekonanego, lecz Dodds przyglądając się twarzy Caine'a zrozumiał, że ten odkrył już tajemnicę. Allen stanął na wprost monitora i zaszutował.

– To dla mnie zaszczyt poznać pana, generale Lepkowski – rzekł. – Widać, zbyt pochopnie doniesiono o pańskiej śmierci.

Rozdział 33

Na co dzień pomieszczenie było trzecią mesą oficerską, ale po wyłączeniu światła i uniesieniu zabezpieczającej metalowej kopuły przemieniało się w fantastyczny świat. Stanowiło połączenie pokładu obserwacyjnego, planetarium i kosmicznego sanktuarium. Caine odnosił wrażenie, że gwiazdy tłoczą się ku idealnie przejrzystej plastikowej półkuli. Wyobraził sobie, że najbliższe asteroidy są pojazdami gwiazdowymi. W pobliżu znajdował się krążownik, przytłaczający swymi rozmiarami dwa przycumowane do niego transportowce. Częściowo ukryty za krawędzią kopuły wisiał zaś okręt Chryselli, nadal osłaniający przed atakami, za które Ryqrilowie zapłacili już utratą połowy skrzydła Korsarzy.

Niewidoczne w panującym mroku drzwi otworzyły się i po chwili cicho zamknęły. Allen na moment napiął mięśnie, lecz gdy ciemna postać podeszła do niego, całkowicie się odprężył.

– Witaj, Lathe.

– Cześć. Miałem nadzieję, że cię tu znajdę. Blackcollar usiadł bezszelestnie w fotelu obok Ziemanina. Allen pokiwał głową. Przez kilka ostatnich dni spędzał w tym pomieszczeniu większość czasu. To było dobre miejsce do rozmyślań... a miał co rozważać.

– Martwi cię coś, dowódco – zapytał.

– Ty. Widzę, że nie jesteś zadowolony z wyników toczonych rokowań.

Caine westchnął ciężko.

– Sam nie wiem. Niby wszystko idzie jak należy. Z pewnością korzystne będzie ograniczenie utrudnień w podróżach międzygwiazdnych, a gospodarka DIT-u zyska dzięki ulgom, o które zabiegacie. Wydaje mi się tylko, iż moglibyśmy żądać znacznie więcej.

– Na przykład, żeby Ryqrilowie zupełnie wycofali się z naszych planet?

Allen poczuł, że się czerwieni.

– Tak, chyba o tym właśnie myślałem – przyznał. – Zawsze uznawałem tę misję za zapalnik ładunku. Sądziłem więc, że gdy wykonamy zadanie, nastąpi wybuch, który przywróci przedwojenny porządek.

– To byłoby wspaniale – zgodził się Lathe. – Ale obawiam się, że rzeczywistość na to nie pozwoli. Jeśli wysunęlibyśmy zbyt śmiałe żądania, Ryqrilowie uderzyliby takimi siłami, które startyby nas na proch. Nie mieliby innego wyboru. Prawdopodobnie zapewniłoby to Chryseli wytchnienie przynajmniej na pewien czas, ale my nic byśmy na tym nie zyskali. Nie sądz, że ponieśliśmy porażkę. – Ciemna ręka komandosa wskazała otaczające ich gwiazdy. – Dzięki dwóm okrętom, które przekażemy Chryseli, machina wojenna Ryqrilów będzie musiała rzucić jeszcze większe siły na front, co z kolei spowolni jakiegokolwiek ich reakcje na wydarzenia w DIT-cie. A krążowniki i swobodne podróże międzygwiazdne pozwolą nam skoordynować działania ruchu oporu, w takim stopniu, jaki nie był możliwy nigdy wcześniej. – Caine usłyszał, że blackcollar śmieje się cicho. – Nikt nie wie, co z tego wyniknie, ale z pewnością znajdziemy się w znacznie lepszej sytuacji, niż można by sądzić na pierwszy rzut oka.

– Być może. – Caine zamilkł na moment, wyraźnie się wahając. – Opowiedz mi o Doddsie.

– Właściwie niewiele jest do mówienia. Nowe Karachi było oblegane. Otrzymałem zadanie przeniesienia Lepkowskiego do rezerwowego centrum kontrolnego. Musieliśmy przebić się przez dwa kordony Ryqrilów... co kosztowało mnie resztki mojego oddziału. – Nawet po upływie trzydziestu pięciu lat na twarzy Lathe'a malowało się cierpienie, gdy wspominał o tamtych wydarzeniach. – Pół godziny później miasto zostało zaatakowane z orbity. Wraz z zakończeniem ostrzału nastąpiła oficjalna kapitulacja planety.

– Uratowałeś więc generała i przemieniłeś go w blackcollara?

– Tak. Ale nie przyszło mi to łatwo. Nieliczni żołnierze, którzy pozostali z armii Lepkowskiego, przygotowywali się do bitwy ostatniej szansy, a on chciał się z nimi koniecznie skontaktować i wydać rozkaz złożenia broni. – Komandos westchnął. – Jego milczenie kosztowało życie wielu ludzi. Chyba właśnie dlatego nikomu nie zdradził swojej prawdziwej tożsamości, nawet blackcollarom. Za utrzymanie tej tajemnicy my także słono zapłaciliśmy.

– Chyba rozumiem decyzję Doddsa.

– Wątpię – odpowiedział Lathe, nie mając jednak zamiaru urazić Ziemianina. – Nie zrozumiesz, póki sam nie zaczniesz dowodzić. – Zamilkł na chwilę. – Co zamierzasz robić, kiedy stąd odleciemy? Wrócić na Ziemię?

Ten temat jak bumerang wracał w myślach Allena w ostatnich dniach.

– Nie wiem. Ziemia to mój dom. Nie wyobrażam sobie innego miejsca, z którego chciałbym prowadzić walkę z Ryqrilami. Ale... – urwał niezdecydowany.

– Ciągłe nie przestajesz być zły, że nie powiedzieli ci, iż jesteś klonem?

– Nie. A przynajmniej nie sędzę, żeby to stanowiło główny powód. Bardziej niepokoi mnie fakt, że jeśli władze zlikwidowały ziemski ruch oporu, wszyscy których znałem są w więzieniach lub nie żyją. Będę zupełnie sam.

– Chyba nic w tym złego?

– Nie rozumiesz. Ja pragnę jeszcze coś zdziałać. – Caine uśmiechnął się gorzko. – Zapominasz, że służyłem jako broń jednorazowego użytku. Przygotowywano mnie tylko do wykonania jednego zadania: miałem wcielić się w Alaina Rieniego i spowodować jak największe zniszczenie, zanim zostanę schwytany. Misję wypełniłem, ale mój program dobiegł już końca. Nikt nigdy nie wpajał mi wiedzy, jak na przykład organizować podziemie albo planować i przeprowadzać akcje na terytorium kontrolowanym przez wroga. Ani nawet, jak ukrywać się w razie poszukiwania.

– Uważasz, że Ryqrilowie będą jednak chcieli cię dopaść?

– Wątpię, by ich zapewnienie o rezygnacji z odwetu na Plinry i Argencie dotyczyło także mojej osoby. Nie wydaje mi się, żeby zdawali sobie sprawę, iż w rzeczywistości stanowią niewielkie zagrożenie.

– Wobec tego może zdecydowałbyś się na powrót z nami na Plinry – zaproponował komandos.

Przez długą chwilę Allen walczył z pokusą. Bezpieczny pośród blackcollarów... Wreszcie przecząco pokręcił głową.

– Dziękuję, ale to niczego nie zmieni – odpowiedział z nutką żalu.

– Posłuchaj... Nie proponuję ci bezpiecznego azylu. Lepkowski będzie potrzebował sprawnych partyzantów, a Plinry zdaje się nadal dobrym miejscem do ich szkolenia, przynajmniej przez pewien czas. Mamy najlepszych nauczycieli w DIT-cie. Potrzebujemy tylko zdolnych i zaangażowanych uczniów.

– Masz na myśli... pełne szkolenie blackcollarów?

– Na tyle pełne, na ile się da. Zrozum, że bez reaktolu nie zdołamy uczynić z nikogo prawdziwego blackcollara. – Lathe zawahał się na moment. – Wiedz jednak, że przyjmując moją propozycję, narażasz się na poważne kłopoty. Galway zapewne jest już w drodze powrotnej na Plinry, a tam będzie nas pilnował jak wściekły pies.

Caine myślał intensywnie. Ryqrilowie i tak wydali na niego wyrok śmierci... a jeśli jeszcze gdzieś zachowała się tajemnica produkcji reaktolu, to zapewne tylko na Ziemi. Zdobycz warta zachodu. Może nawet okaże się cenniejsza od pięciu krążowników, gdy znajdzie się we właściwych rękach. Allen już wiedział, czyje to powinny być ręce.

– W porządku. Obiecuj mi tylko, że po zakończeniu szkolenia będę mógł wrócić na Ziemię... I pamiętaj, że na Plinry muszę zażywać lekarstwo przeciw astmie.

– Nie ma sprawy – roześmiał się dowódca. – Już wcześniej poleciłem przygotować dla ciebie zapas tego środka.

Allen, zdziwiony, próbował mimo mroku zobaczyć twarz Lathe'a.

– Byłeś pewien swego. A gdybym odmówił?

– Sam łykałbym te pigułki. Ale wierzyłem, że się zgodzisz. W sumie jesteś do mnie bardzo podobny. – Wstał i ruszył ku drzwiom. – Pierwsza lekcja jutro o dziesiątej, w sali na rufie. Do zobaczenia.

Lathe bezszelestnie opuścił pomieszczenie.

Przez chwilę Ziemianin przypatrywał się miejscu, w którym tamten zniknął. Czuł się mile połączony komplementem. On podobny do dowódcy blackcollarów? To doprawdy zaszczyt. Zamierzał więc dać z siebie wszystko, żeby nie zawieść Lathe'a.

Spojrzał w gwiazdy i uśmiechnął się lekko. Ryqirilowie jeszcze o tym nie wiedzą, ale czekają ich nie lada kłopoty.

KONIEC tomu 1